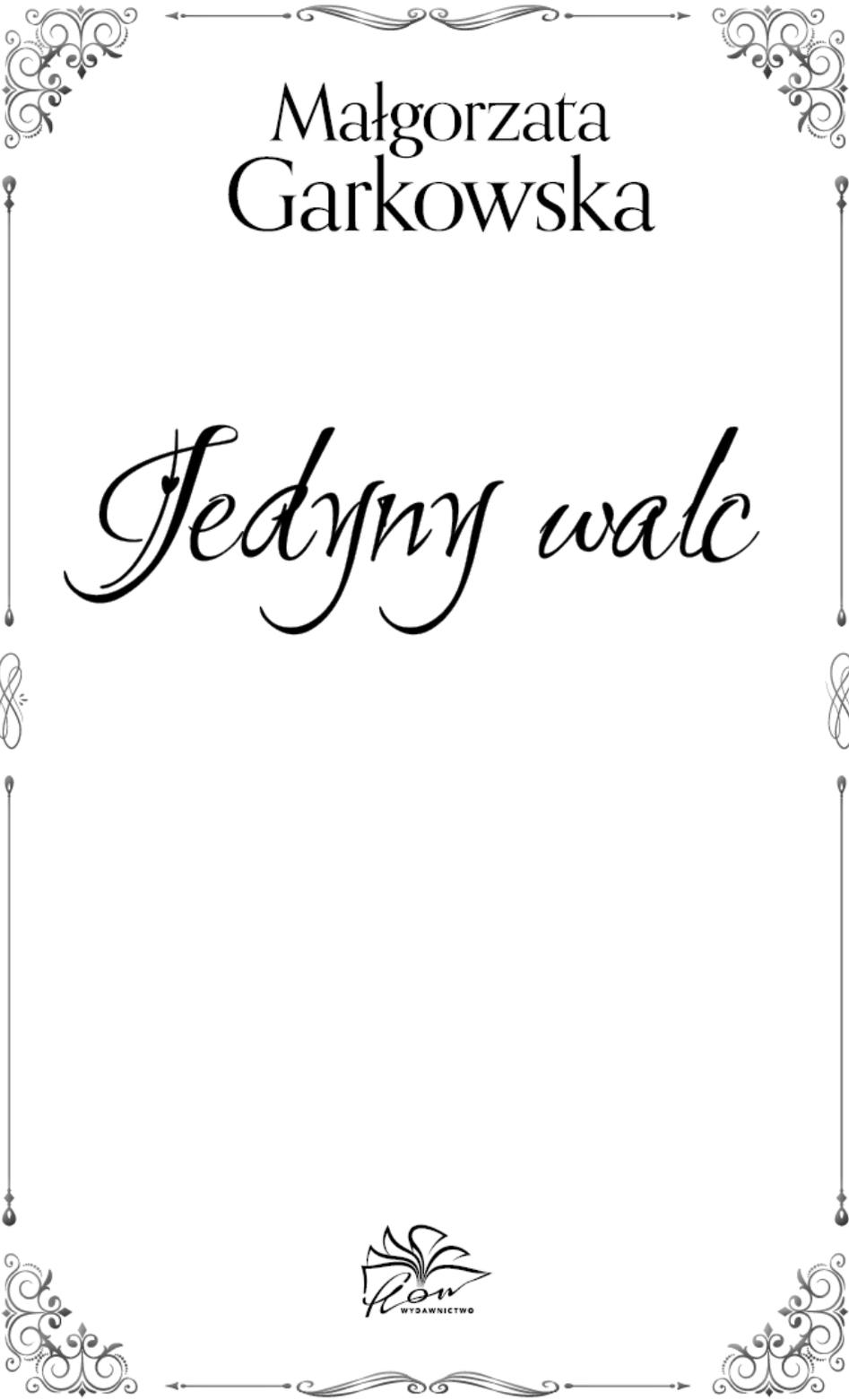


Małgorzata
Garkowska

Sedymy walc



Flow
WYDAWNICTWO



Małgorzata
Garkowska

Sedymy walc



Redakcja

Anna Seweryn

Projekt okładki, redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociek

Korekta

Urszula Bańcerk

Anna Jeziorska

Ilustracje na okładce

© *Ildiko Neer* | *Trevillion Images*

© *rawpixel.com* | *freepik.com*

Wydanie I, Chorzów 2023

tekst © Małgorzata Garkowska, 2023

© Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-035-8

Wydawnictwo FLOW

Lofty Kościuszko

ul. Metalowców 13/B1/104

41-500 Chorzów

biuro@wydawnictwoflow.pl

+48 538 281 367

A szczęście było tak dostępne, tak blisko!
Aleksandr Puszkina, Eugeniusz Oniegin

Prolog

1884

Porywisty listopadowy wiatr targał gałęziami grabów rosnących wzdłuż prowadzącego do dworku na Przylesiu zwirowanego podjazdu. Wieczór już czyhał, gotów objąć okolicę kłębamii chmur, zwiastującymi deszcz.

Zaprężony w gniadego ogiera wolant, prowadzony pewną ręką zarządcy dworu, minął główne wejście i zatrzymał się bliżej bocznego, przeznaczonego dla służby. Józef Borek zeskoczył z kozła i poczekał, aż doktor Wawrzyn Matuszewski wysiądzie, osobiście zabrał jego torbę lekarską i dopiero wtedy dał znać stajennemu, żeby odprowadził powóz. Gwałtowny podmuch zafurkotał płaszczami obu mężczyzn i zmusił ich do podtrzymania kapeluszy.

– Psia pogoda! – Matuszewski poprawił zsuwające się z nosa okulary i nie powstrzymał złorzeczenia.

Zarządca tylko przytaknął, nie wiedząc, co mógłby dodać, wszak późną jesienią wiatr i deszcz nie były niczym wyjątkowym.

Józef odgonił łaszące mu się do nóg dwa brytany i jak to on, oszczędnym, ale uprzejmym gestem wskazał lekarzowi, by podążył za nim. Ten się nie ościagał, bo i jemu już chłód zdążył dać się we znaki. Nie pierwszy raz gościł we dworku Sorokinów, Natalia Nikolajewna wzywała go, gdy potrzebowała konsultacji w sprawie zdrowia małego Aleksandra, ale zdecydowanie wołał składać wizyty w czasie letnim, gdy tak wiele się tutaj działo, a otaczający Przylesie prowadzony z wycuciem przez hrabinę kwiatowy ogród zachwycał feerią barw i zapachów. Najczęściej wraz z pierwszymi zapowiedziami pogorszenia pogody państwo hrabiostwo przenosili się do Petersburga, dlatego doktor Wawrzyn ze zdziwieniem przyjął prośbę Borka, by przyjechał ulżyć hrabiemu Konstantinowi w chorobie, która – jak opowiadał zarządca – wręcz przykuła go do łóżka.

Ledwo zdążyli przed kolejnym uderzeniem przenikliwego wiatru, z ulgą zanurzając się w ciepłą i cichą sień, zwłaszcza Matuszewski po podróży niczym nieosłoniętym wolantem, wychłostany podmuchami zimna, w tej chwili rozmyślał bardziej o gorącym napitku niż o czekającym na badanie pacjencie. „A i zjeść by się przydało, Borkowa znakomitego gulaszu z dziczyzny potrafi nagotować” – skonstatował na swój użytek, nie wypowiadając jednak tego głośno.

Z pospiesznie zapadającą ciemnością wieczoru nadciągnął deszcz, gęste krople szybko zamieniły się w zacinające ukosem strugi. Woda bębniła po gontowanym dachu, uderzała w szyby lub w zamknięte na noc drewniane okiennice. Zgasły pod naporem ulewy zawieszzone na ganku latarnie, zrywane z drzew gwałtownymi powiewami żółtawe liście wirowały bezładnie i krótko, zanim mokre zasnuły drogę i pielęgnowany na angielską modę trawnik. Zdawało się, że z każdym nowym uderzeniem nawałnicy coraz większy ziąb przejmuje władzę, przenika ceglane ściany, wygrywa z rozpalonym w kominkach ogniem.

– Stefcia! – zawołał Borek niecierpliwie, oczekiwał przecież, że żona będzie przygotowana na ich przyjazd, tymczasem nigdzie nie było jej widać. Nie chcąc przedłużać, sam odebrał od Matuszewskiego okrycie i mruklawie wytłumaczył nieobecność małżonki. – Zaproszę szanownego doktora do kuchni, tam teraz najcieplej. Pan hrabia, jak to przed zimą, większość służby kazał odesłać, część tylko z panią i chłopcem wyjechała jak co roku do Petersburga – wyjaśnił niepotrzebnie, wiedza o zwyczajach państwa Sorokinów nie była żadną tajemnicą, ale jak poznał po minie Wawrzyna, doktor nie poczuł się urażony. – Stefa! – Józef znowu podniósł głos, gdy weszli dalej, do wykładanej jasnym drewnem jadalni dla służby, rozgrzanej żarem od schowanego głębiej węglowego pieca.

Matuszewski w pierwszej chwili zachnął się na propozycję, choć nie pokazał tego po sobie, ale kiedy wyobraził sobie niedogrzany salon, bo podczas nieobecności hrabiostwa we dworze na pokojach nie utrzymywano licznego personelu, zdecydował, że woli posiedzieć w przyjemnym cieple, niechby już w jadalni dla służby.

– Proszę siadać, panie konsyliarzu, przy stole. Grzanego piwa dam, a i Stefa pewnikiem zaraz coś ciepłego poda, ja tymczasem się dowiem, kiedy pan hrabia pozwoli... Rozumie pan doktor, już późno się zrobiło – przerwał zakłopotany.

– Rozumiem, panie Borek. Konstantin Aleksandrowicz nigdy nie przepadał za moimi odwiedzinami. – Matuszewski się uśmiechnął i zaraz pogładził wąsy, jakby chcąc ukryć niestosowną wesołość. – Sprawa jednak musi być poważna, skoro hrabia nie zdecydował się na wyjazd – dodał.

Zarządca kiwnął głową. W myślach już planował, czego jeszcze będzie musiał dopilnować, zanim uda się na spoczynek. Znużony był, bo na podróż do Rudy zmitrężył więcej czasu, a i za żoną też już nieco się stęsknił.

Borek zarządzał dworem od niecałych piętnastu lat, przejął niejako obowiązki po swoim ojcu, który u poprzedniego właściciela Przylesia, hrabiego Ostaszewskiego, służył długie lata jako rządca. W zasadzie Józef mógł mówić o sporym szczęściu, które stało się jego udziałem. Do powstania w sześćdziesiątym trzecim pewnie by poszedł, ale rok wcześniej wzięto go do carskiej armii i odbywał służbę poza Królestwem. Zresztą Rosjanie trzymali wszystkich rekrutów pod strażą, zapewne w obawie, by nie dołączyli do rewolty. Kiedy Józef wrócił do Przylesia, ze smutkiem odkrył, że ojciec i starszy brat polegli w trakcie walk w lesie bolimowskim, hrabia Ostaszewski trafił do sybirskiego więzienia, majątek rodzinny zaś został skonfiskowany i teraz należy do hrabiego Konstantina Aleksandrowicza Sorokina. Rosjanin zakupił pewną część udziałów w żyrardowskiej fabryce lnu i na Przylesiu spędzał z rodziną kilka miesięcy w roku. Mimo obaw miejscowych okazał się przyjaźnie nastawiony do Polaków i nie robił trudności, żeby we dworze pozostali wszyscy chętni do pracy. We wsi mówiono, że o matkę Józefa, o której się dowiedział, że jest znakomitą kucharką, nawet zabiegał, mimo udziału jej męża w powstaniu. Za to nowy zarządca, którego Sorokin przyjął na miejsce starego Borka, zupełnie się nie sprawdził, nie miał posłuchu i szybko wyszło na jaw, że trwoni pieniądze. Los zechciał, żeby właśnie wtedy pojawił się Józef. W niedługim czasie, dzięki wstawiennictwu matki, a i sumiennoci, jaką on sam się wykazał, hrabia powierzył mu obowiązki zarządcy. Tutaj też poznał Stefanię, którą najęto na przyuczenie do jego matki, i szybko stało się to, co według Borka było nieuniknione: zapowiedzi, ślub i nie minęło pół roku, gdy na świat przyszło ich pierwsze dziecko, a właściwie dzieci – dwóch pięknych chłopców: Juliusz i Adam. Poród był ciężki i Stefa utraciła mnóstwo krwi, a potem szczęście już na dobre Józefa opuściło. Najpierw na krup umarł Adaś, a niedługo po nim kostucha zabrała Juleczka. Pomimo usilnych starań, modlitw i zabiegów słynnej w okolicy zielarki Borkowa już więcej w ciążę nie zaszła. Borek jakoś pogodził się z brakiem Bożej przychylności, ale jego żonie przyszło to o wiele trudniej i nie było miesiąca, żeby nie pochlipywała w ukryciu. Dopiero po kilku latach możliwość zajmowania się synem Sorokinów, Aleksandrem, nieco uśmierzyła jej boleść.

Po dłuższej chwili Stefania pojawiła się w drugim wejściu do pomieszczenia kuchennego. Wykrochmalony biały fartuch, narzucony na suknię, wskazywał, że przynajmniej w tej chwili pełni obowiązki nie tylko kucharki, ale także pokojówki. Z uśmiechem powitała lekarza i pewnymi ruchami zaczęła odstawiać przyniesione na tacy brudne naczynia. Maruszewskiemu nie umknęło, że żona zarządcy nadal wygląda kwitnąco jak na swoje lata, a czas nie odjął gibkości jej ruchom, ciągle tak samo zachwycającym, jak wtedy, gdy zdarzyło mu się ją obserwować podczas swojej poprzedniej bytności w dworku.

Ledwie przywitała Matuszewskiego, obrzuciła swojego męża gradem informacji.

– No toć nie krzycz tak, Józef, nie rozdwoję się. Zanosłam teraz na górę kolację, ale hrabia nie ma apetytu, nawet na rosół z kuropatwy, a przecież zawsze to był jego ulubiony. Kazał za to powiedzieć, że dość się naczekał i spać będzie. – Stefania mitygowała męża, nie przejmując się obecnością doktora Matuszewskiego. Zaraz jednak, rzuciwszy w jego kierunku wymowne spojrzenie, dopowiedziała znacznie łagodniejszym głosem: – Już panu doktorowi naszykowałam pokój na spanie, niech się pan Wawrzyniec nie martwi, porządnie tam kazałam napalić i zaraz podam ciepłej strawy. A i ty, Józef, zjedz, bo cały dzień ci zeszło. – Pokręciła głową z widoczną dezaprobatą. – Martwiłam się, bo ta burza w powietrzu od dawna wisiała.

– Tak wypatrujesz, że jak przyjeżdżamy, to cię nie ma. Po drodze żeśmy przymusowy postój we wsi mieli – mruknął Borek.

– Poród. Komplikacje – wyjaśnił krótko Matuszewski, przysuwając do siebie koszyk z chlebem.

Stefania Borkowa, która właśnie nalewała okraszony kawałkami boczku krupnik, zamarała w pół gestu. Łyżka wazowa wysunęła jej się z dłoni i brzydko szcęknęła o wazę.

– Przepraszam – wymamrotała, odwracając się do mężczyzn. – To nasza Helcia?

– Tak, ale nie czas na to teraz – uciszył jej kolejne pytania Józef. – Niech pan doktor zje w spokoju.

Kobieta bez słowa wróciła do podawania posiłku, choć talerz przed mężem postawiła nieco zbyt mocno, aż gorąca zupa chlapnęła na jego dłoń. Józef, przyzwyczajony do fochów małżonki, ze spokojem sięgnął po serwetę i starannie wytarł ręce, usiłując nie widzieć nieco kpiącego uśmiešku błakającego się pod wąsem Matuszewskiego.

Hrabia Konstantin Aleksandrowicz Sorokin mimo swojej zapowiedzi nie spał. Bezsenność męczyła go od dawna. Nie miał apetytu i odesłał Stefanię, przykazując, żeby dziś nikt go nie niepokoił. Oczywiście wiedział o wizycie lekarza, jednak nie miał już nadziei, że jakiegokolwiek jego specyfiki uśmierzą ból choćby na tyle, żeby spokojnie przespał noc. Borek uparł się sprowadzić tego – w ocenie hrabiego – zwykłego konowala, Matuszewskiego, lekceważąc całkowicie wolę swojego chlebobawcy. Rzecz jasna Sorokin nie wątpił, że zachowanie Józefa podszyte jest jedynie troską i poczuciem odpowiedzialności, cechami bardzo pożądanymi, kiedy decyduje się powierzyć zarządzanie posiadłością Polakowi, nie zmniejszało to jednak irytacji na Wawrzyna, za którym hrabia nigdy nie przepadał. Natomiast lubiła go i darzyła uznaniem żona Konstantina, stąd pewnie decyzja Borka, żeby sprowadzić Matuszewskiego, a nie starszego i bardziej cenionego przez hrabiego doktora Jawurka. Druga rzecz, że Natalia Nikołajewna zapewne już napisała do rządcy list z pytaniami o zdrowie męża i gdyby Józef poinformował, że żadnego lekarza przy nim nie było, gotowa sprowadzić jakiegoś z Rosji. A na to Konstantin nie zamierzał wydawać ani rubla.

Leżał więc w niedawno zmienionej przez Stefanię wykrochmalonej pościeli i leniwie przyglądał się zdobieniom na inkrustowanych macicą perłową w kwiatowe motywy gałkach swojego łóża. Szalejące za oknem – wydawałoby się, że w rytm nacierającego wiatru – błyskawice raz po raz rozświetlały pokój, wydobywając z mroku złocenia zdobiące tapety. Ból ku jego zdziwieniu nie dokuczał mu aż tak dotkliwie, jak zazwyczaj, za to ogarniała go nieznana dotąd, dziwna słabość. „Nie potrzeba mi tego konowala. Sam umrę, jeszcze tej nocy” – westchnął w myślach, nie odmawiając nawet sobie sarkazmu. „Dobrze mi było w tej Polsce – myślał dalej, pozwalając leniwie płynąć wspomnieniom. – Lepiej czasem niż w Rosji, choć ten ubiegłoroczny kwietniowy strajk szpularek nieco napsuł mi krwi”.

Krwawe starcia robotników z wojskiem na tyle zdenerwowały hrabinę, że w obawie o małego Aleksandra Konstantinowicza omal nie wróciła do Petersburga. Pokłócili się wówczas jak nigdy dotąd i kilka następnych tygodni panowała między nimi zimna cisza. Sorokin przypuszczał, że bardziej niż o zamieszki jego żonie mogło chodzić o ręcznie malowany wazon z chińskiej porcelany, który w gniewie rozbił o ścianę, bo kolejne strajki z sierpnia tego roku zrobiły na niej zdecydowanie mniejsze wrażenie...

Hrabia, pogrążony w przeszłości, niemal przegapił ciche pukanie do drzwi.

– Wejść – nakazał po rosyjsku.

Borek najwyraźniej też nie wierzył, że hrabia zdoła usnąć. Jeszcze kilka tygodni temu pewnie by z tego żartował, ale dziś oddychało mu się na tyle ciężko, że bez potrzeby nie wdawał się w żadne konwersacje.

– Mam wieści, Konstantinie Aleksandrowiczu. – Rosyjski Józefa nie był tak śpiewny, jak potrzeba, ale przynajmniej nie wymawiał słów, jakby się nimi brzydził, co hrabia niejednokrotnie obserwował u Polaków.

– Mów – polecił krótko.

– Orłowska urodziła dziś syna. Może i dobrze, żem z doktorem wracał. Stara Wiskówna, akuszerka, wołała o pomoc, bo dzieciak wyjść nie chciał. Mówili, że w drugą stronę ułożony. – Borek umilkł, zbierał siłę na dalsze słowa.

– To wszystko? – ponaglił go w końcu Sorokin.

– Nie, panie hrabio... Orłowska nie przeżyła.

Konstantin posmutniał. Helenka zwabiła go smukłą kibicią i delikatnością. Czerwieniła się niczym pensjonarka, gdy wołał ją do swojego gabinetu na pieszczoty, wykorzystując czas codziennej przechadzki Natalii

Nikołajewny. Ach, cudowna była jej świeżość i hrabiemu zrobiło się żal, że już nigdy nie posmakuje skóry na jędrnych piersiach swojej ulubionej kochanki. Owszem, ciąża była utrudnieniem, zwłaszcza że dziewczka się uparła i nie chciała jej spędzić, czemu Sorokin, powodowany słabością do młódki, uległ, obiecał nawet uznać dziecko, ale postawił warunek, że jeśli Hela zostanie przy dworze, to da jej na wykształcenie dzieciaka, gdy urodzi się chłopak, lub na posag, gdy dziewczuska, i nie zamierzał tego zobowiązania wycofywać, ale na nic więcej Orłowska liczyć nie może. Konstantin nie miał złudzeń, że i jego małżonka, i cała dworska służba doskonale się domyślali, skąd ciąża u młodziutkiej Helenki. Jednak co innego plotki, a co innego gdyby jednoznacznie nie wykluczył nieślubnego potomka z testamentu, czego, oczywiście, hrabia nie planował, bo z pewnością uraziłby Natalię Nikołajewną – a na to tym bardziej nie było go stać. Hrabina mogła przymykać oko na brzuch jego kochanki, ale nawet minimalny udział bękarta w spadku nie wchodził w grę.

– Wiesz, Józefie Antonowiczu, gdzie są moje zapisy, prawda? Dopilnuj, żeby trafiły gdzie trzeba. I na pogrzeb Orłowskiej możesz wziąć z kasy odpowiednią sumę. – Uniósł się lekko na łokciu i przez najbliższą minutę zanosił się kaszlem.

Borek podał mu rozcieńczone wodą wino, do którego dodał porcję uśmierzającego ból laudanum, i cofnąwszy się o krok, czekał cierpliwie, a odezwał się dopiero, kiedy atak minął i Sorokin wypił lekarstwo.

– Jak hrabia sobie życzy. Dopilnuję wszystkiego i do kancelarii notarialnej Goldbluma akt urodzenia dziecka przekażę – zapewnił i skłonił głowę.

Pomyślał przy tym, że jego chlebobawca wygląda dziś nieco lepiej niż jeszcze przed tygodniem, i zdziwiła go ta nagła dyspozycja, jakby Sorokin już zegnał się ze światem. Chciał nawet coś na ten temat napomknąć, ale w tym samym momencie Konstantin dał znać, żeby Józef przybliżył się do łóżka.

– Weźmiecie chłopaka na wychowanie? – zaproponował. Myśl powstała nagle w jego głowie, niczym iskra, i hrabia schwycił ją w ostatniej chwili. – Nie macie ze Stefanią dzieci, to nikt nie będzie się szczególnie dziwił.

– Oczywiście, Konstantinie Aleksandrowiczu.

– A teraz już mnie zostaw – jęknął i opadł na poduszki. – Tego konowała po śniadaniu przyprowadź.

Józef bez słowa spełnił polecenie. To także lubił w nim Sorokin – nie miał niepotrzebnie językiem, stronił od zabaw z pijatykami, za to zawsze hrabia mógł na niego liczyć.

Konstantin ułożył się wygodniej i zamknął oczy. Poczł nagłą ulgę i spokój. „Może prześpię noc” – pomyślał z nadzieją i po raz pierwszy nie ogarnął go lęk, że sześćdziesiąty rok jego życia okaże się ostatnim. Słuchał wiatru uderzającego deszczem o szyby i błędził myślami wokół Heleny i nowo narodzonego syna, co rusz wracając do wspomnień o małym Aleksandrze, którego po wielu latach nieudanych starań o ciążę wydała na świat jego ukochana Natka. Nie przypuszczał wtedy, że jeszcze kiedykolwiek doczeka się potomka. Obrazy się mieszały, nakładały na siebie, przenikały, aż przestał odróżniać jawę od majaków. Ból odszedł od niego całkowicie, a wraz z nim świadomość.

Konstantin Aleksandrowicz Sorokin zmarł we śnie jeszcze tej nocy.

Rozdział I

1899

Ewelina Klara Strojnowska skończyła dopiero dwanaście lat i była głęboko niezadowolona, że nie będzie mogła wziąć udziału w przyjęciu weselnym rodzonej siostry. Zupełnie tego nie rozumiała. Nie można przecież określić tego wydarzenia typowym bale, to tylko uroczysty obiad z tańcami w wynajętej Sali Hotelu Angielskiego i dziewczynka uważała, że jej obecność nikomu by nie uchybiła. Zwłaszcza że tylko ona reprezentowała rodzeństwo panny młodej! Stanisław Andrzej, najstarszy syn państwa Strojnowskich, miał być nieobecny podczas tego doniosłego wydarzenia, przysłał list, że nie ma mowy, aby teraz opuścił Bordeaux, gdzie na tamtejszym *université* studiował filologię. Panienska Ewelina, gdyby ktokolwiek chciał wysłuchać, co ona o tym sądzi, określiłaby zachowanie brata jako niedopuszczalne i bardzo nieeleganckie. Oczywiście dobre wychowanie nie pozwalało jej zabierać głosu bez pozwolenia i wtrącać się w rozmowy dorosłych, a nikt jej o opinię nie poprosił. Niemniej była przygotowana na ewentualne wygłoszenie swojego zdania. Nie omieszkała też uraczyć małym przemówieniem na ten temat towarzystwa lał, które zebrała na popołudniowej herbatce we własnej bawialni.

Najistotniejszym powodem niweczącym wszystkie aspiracje Eweliny pozostawał fakt, że główna zainteresowana była o siedem lat młodsza od swej siostry i aż o czternaście od brata. Ona z całą pewnością nie uznawała tej okoliczności za jakiś duży kłopot, musiała jednak pogodzić się z faktem, że jej *père et mère* (kiedy była niezadowolona, nadmiernie dbała o właściwą powagę, nawet jeśli tylko we własnych myślach) reprezentowali stanowisko zgoła odmienne.

Dostała jedynie zgodę – oprócz uczestnictwa w uroczystości zaślubin w kościele – na towarzyszenie rodzicom podczas wspólnego śniadania z rodziną pana Seweryna Jaraczewskiego, narzeczonego Marianny. To nieco ukoiliło zawód, którego doznała. Zaciekawiona wszystkim, co się działo wokół niej, tkwiła przy stole wyprostowana jak struna, uważając, aby nie poplamić nowego stroju, uszytego według wskazówek siostry u Hersego, specjalnie na dzień ślubu. Po raz pierwszy Ewelina miała na sobie suknię o zupełnie niedzielnym kroju i niemal tak samo długą jak te dla dorosłych panien, z czego była niezmiernie dumna. Bładoróżowy gładki żakiecik przechodził w ciemniejszą, drapowaną w liczne fałdy spódnice, ozdobioną ukośnie naszytą wstążką w kolorze wina – identyczna zdobiła rękawy z pięknymi bufkami. Wprawdzie ze względu na obfitość zakładek z tyłu nie była najwygodniejsza do siedzenia na wyściełanym śliskim materiale krzesła, ale dziewczynka, pamiętając, jak stylowo prezentowała się jej sylwetka, gdy podziwiała rano swoje odbicie w lustrze, dzielnie znosiła tę drobną niedogodność.

Rozmowa podczas posiłku toczyła się niespiesznie, ale wesoło. Ku zadowoleniu pani domu służba na czas podawała zaplanowane starannie dania, nie myląc półmisków ani kolejności deserów. Ewelina wręcz chłonęła atmosferę panującą w salonie. Zachwycało ją wszystko – od wykwintnych potraw, które zadysponowała przygotować kucharce nieoceniona *maman*, przez eleganckie toalety gości, wreszcie po unoszące się w powietrzu zapachy francuskich perfum i męskich wód kolońskich. Podobał się jej również przyszyły mąż Marianny – Seweryn, nadzwyczaj życzliwy mężczyzna o nienagannych manierach. W oczach dziewczynki spełniał wszelkie warunki, aby ubiegać się o miano dżentelmena idealnego: był przystojny, słusznej postury, nosił się modnie, a jego bystre zielone oczy świadczyły o inteligencji. Do tego mimo dość młodego wieku zdążył już zyskać uznanie jako świetny lekarz i mógł się poszczycić dobrze prosperującą praktyką, więc nie było obaw, że Mariannie będzie czegokolwiek brakowało. Już teraz było wiadomo, że po ślubie czeka na młodych dziewięciopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w samym centrum miasta. Niestety nie Warszawy, a Poznania, co jak na razie według młodszej siostry okazało się jej jedynym większym zmartwieniem i rysą na tym sielankowym obrazie.

Sama panna młoda wydawała się mieć podobnych wątpliwości nieco więcej, bo co raz w chwilach zapomnienia nerwowo zaciskała usta i niepewnie popatrywała na swojego narzeczonego. Ewelina zastanawiała

się, czy ma to związek z niewielką liczbą odwiedzin, które przed ślubem składał w Warszawie młody pan Jaraczewski. Było to zrozumiałe, skoro mieszkał na stałe w innym zaborze, a ponadto musiał poświęcać sporo czasu na rozwijanie swojej praktyki. Gdyby nie uczestnictwo Adama Strojnowskiego w odbywającym się w Galicji ogólnosiwiatowym zjeździe lekarzy chorób wewnętrznych, gdzie poznał zarówno ojca pana Seweryna, jak i jego samego, Marianna pewnie dziś nie miałaby okazji, by się zastanawiać, jakim mężem okaże się jej narzeczony. Ale może siostra uważała, że nie dość dobrze się poznali? Że za mało listów i podarków wymienili między sobą? A może nie była pewna, jak się odnajdzie w dalekim Poznaniu, gdzie przecież nie nawiązała jeszcze żadnych stosunków i będzie zdana na koneksje męża? Marianna na te tematy rozmawiała z Ewelina rozczarowująco niewiele i nigdy nie zdołała nic podsłuchać, gdy z matką, w jej buduarze, omawiały ślubne okoliczności. Za to – jakby zawczasu chcąc pocieszyć młodszą siostrzyczkę – ofiarowała jej w prezencie nową lalę, z kompletną panięską wyprawą w okazałym kufunku.

Tymczasem zakończono główną część śniadania i *papa* polecił podać kawę, natomiast narzeczeni przeprosili zebranych. Żeby zdążyć na uroczystość, musieli poświęcić nieco więcej czasu na przygotowanie strojów. Pan Seweryn odjechał powozem do hotelu, a Marianna udała się do swojej panięskiej sypialni, gdzie czekały na nią pokojowe. Młodzi spotkać się mieli dopiero przed kościołem św. Karola Boromeusza.

– Lineczko, ty także możesz już odejść od stołu – zaleciła córce Barbara Strojnowska, zapewne nie wiedząc, jak bardzo tym poleceniem rozczarowała dziewczynkę.

Ewelina jednak nie protestowała, choć miała nadzieję dłużej zabawić wśród dorosłego towarzystwa. Złożyła wszystkim skromny ukłon – dokładnie tak, jak ją nauczono – i pomaszerowała do bawialni, żeby tam oczekiwać na sygnał do wyjazdu. Wprawdzie po drodze zastanawiała się, czy nie wprosić się do pokoju Marianny, żeby być jak najbliżej przygotowań, ale szybko zrezygnowała, przypomniawszy sobie, że Czesia obiecała ułożyć jej włosy w wymyślny warkocz. A suknię ślubną siostry widziała przecież tyle razy podczas przymiarek, że mogła z pamięci wymienić każdy hafcik i ozdobną fałdkę.

Ledwo Ewelina zniknęła za drzwiami, rozmowa przy stole zeszała na jej temat.

– Jakaż piękna i doskonale ułożona panienka – zachwycił się starszy pan Jaraczewski. – Jestem przekonany, że za kilka lat będzie najlepszą partią w całym Królestwie. Aż żałuję, że nie posiadamy z małżonką jeszcze jednego syna! – Roześmiał się rubasznie, gładząc przy tym brodę.

Państwo Strojnowscy zawtórowali uprzejmie, nie śmiała się tylko pogrążona w myślach ciotka Leokadia, zwana w kręgach rodzinnych Leosią, młodsza siostra ojca pani domu. Teraz dystyngowana i poważna dama w swoich latach, niegdyś słynęła z urody i niefrasobliwości, fundując rodzinie Ostaszewskich niemały skandal. Mając za nic konwenanse, wyjechała do Wilna za swoim przyszłym mężem Alfredem Jarczysem – artystą, który nie posiadał zbyt wielkiego majątku i istniała obawa, że czyha po prostu na posag panny Leosi. Z czasem jednak się okazało, że szybko znajdujący uznanie młody malarz jest w stanie zapewnić żonie właściwy poziom życia, a i małżonkiem okazał się nad wyraz porządnym. Kiedy zmarł po niefortunnym upadku z konia, Leokadia bardzo opłakiwała swojego Alfreda i długo ponad zwyczaj nosiła się w żałobie.

Na wesele Marianny, jednej z wnuczek swojego starszego brata, jednak przyjechała. Warszawa po kilku latach wydała jej się odrobinę bardziej światowa, ale nadal nie robiła na niej dobrego wrażenia – o ilez lepiej czuła się na uliczkach Wilna, które od dawna uważała za swoje... Westchnęła w duchu, ale z powodu tęsknoty za mężem nie zdecydowałaby się na wyjazd na stałe do innego miasta czy nawet najpiękniejszego dworku wiejskiego. Pamiętała dobrze posiadłość Ostaszewskich, zabraną jej rodzinie za udział w powstaniu. Dawne czasy, a jednak we wspomnieniach stale odżywały, lecz nawet one nie były piękniejsze od chwil przeżytych z Alfredem. Jedyne, co starszej pani dokuczalo, to samotność. Kiedy tak dywagowano nad przyszłością Ewelinki, w jej głowie narodził się pewien plan. „Muszę porozmawiać z Adamem i Basią, oczywiście najwcześniej jutro wieczorem” – postanowiła sobie, wstając od stołu. Miała akurat chwilę, żeby się odświeżyć przed wyjazdem do kościoła.

Tymczasem Lineczka, która nie miała pojęcia o planach ciotki Leokadii, nie mogła się wprost doczekać podstawienia powozów i zadręczała Czesię, żeby ta po raz kolejny sprawdziła, czy na pewno każdy element stroju

leży bez zarzutu.

– Panienska by się dziś tylko w lustrze przeglądała! A uchodzi to tak? – nie wytrzymała w końcu służąca.

Zajmowała się dziewczynką od dziecka i doskonale wiedziała, kiedy może swoją panienkę zругać, a kiedy przytulić. Zresztą Ewelina uwielbiała spędzać czas z Czesią i traktowała ją bardziej jak siostrę niż służącą, zwłaszcza że Marianna zazwyczaj nie miała ochoty na przebywanie w towarzystwie młodszej siostrzyczki.

– Ależ moja Czesławo, nigdy dotąd nie miałam takiej pięknej *robe élégante*, sama tak powiedziałaś! – odparła dziewczynka niefrasobliwie, po raz kolejny okręcając się wokół własnej osi. Uwielbiała wtrącać w swoje wypowiedzi francuskie słówka, czasem nie przejmując się ich poprawnością, czuła się wówczas wyjątkowo poważna i światowa. – Idę o zakład, że też byś się tak zachowywała!

– Pewnie ma panienska rację – przyznała ze śmiechem Czesia. – A suknia w rzeczy samej bardzo udana. Od początku byłam pewna, że odcienie różu idealnie do panienki będą pasować. I słońce dzisiaj piękne, to i bućków panienska nie uwala.

– Właśnie! Aż szkoda, że *maman* się nie zgodziła, żebyś poszła na przyjęcie – zafrasowała się na powrót Ewelina. – Tatusia prawie już przekonałam i byłby się zgodził, gdyby nie obawy mamusi – dodała z niezachwianą pewnością rozpieszczonej córeczki. – A Marianna też musiała wtrącić swoje trzy grosze, to niesprawiedliwe!

– Jeszcze się panienska nachodzi na prawdziwe bale – pocieszyła małą Czesia.

Wreszcie podstawiono przysłane przez pana Seweryna powozy i w jednej chwili pilnowanie, żeby nie wygnieść ani nie ubrudzić swojej wykwintnej toalety, stało się najważniejszym problemem zajmującym Lineczkę.

Zarówno w pojeździe, jak i w kościele przeznaczono jej miejsce obok ciotki Leokadii. Początkowo dziewczynka nie była z tego zadowolona. Nie знаła tej wytwornej damy, dotąd jedynie udało jej się podsłuchać, jak na temat wysłania zaproszenia do Wilna rozprawiły Marianna z matką. Dowiedziała się wtedy, że we wczesnej młodości cioteczka wywołała prawdziwy skandal i że odziedziczyła niemalą fortunę po swoim mężu. Rzecz jasna kwestia skandalu interesowała dziewczynkę o wiele bardziej niż kwestia majątku, nie śmiała jednak wypytywać starszej krewnej o szczegóły. Jak dotąd niemal wszystkie jej zachcianki były skwapliwie spełniane, więc skąd mogła wiedzieć, że jej rodzice już zaczęli myśleć o posagu swojej najmłodszej córki? Oni, w przeciwieństwie do dwunastolatki, mieli świadomość, że dobre zamążpójście nie jest tak łatwe, jak się wydawało Ewelinie.

Ciotka Leokadia z kolei chętnie przyjęła Lineczkę za towarzyszkę. Doceniała, że dziewczynka siedzi grzecznie i nie papple bez ładu i składu, a tym bardziej bez pozwolenia, choć w jej oczach widziała prawdziwą ciekawość świata. Kiedy zachęciła panienkę do rozmowy, przekonała się, że nie myliła się również co do jej inteligencji – mała odpowiadała rezolutnie, ale nie wychodząc poza ramy narzucone konwenansami. Leokadia była przekonana, że, gdy poznają się lepiej, ich dyskusje mogą być naprawdę zajmujące.

Z Barbarą i Adamem Strojnowskimi Leokadia zdecydowała się pomówić nie kolejnego wieczoru, ale dopiero po dwóch dniach przy śniadaniu. Marianna i Seweryn wyruszyli z samego rana w podróż do Poznania. Uznała, że obecność Eweliny przy tej rozmowie będzie dobrym pomysłem. Sama nie cierpiała, gdy rozprawiano o niej za plecami, a tym bardziej decydowano o jej losie, czemu dała wyraz, uciekając z Alfredem do Wilna. Oczywiście to nie dziewczynka będzie miała ostateczny głos, ale dlaczego nie pozwolić jej posłuchać, jak się sprawy mają?

– Mam dla was propozycję – zaczęła, nie bawiąc się w nudne wstępy. Nie brakowało jej manier, gdy było ich potrzeba, jednak w domowym zaciszu i wobec najbliższej rodziny nie zamierzała stosować podchodów. I tak odczekała wystarczająco długo.

– Tak, ciociu? – Strojnowski natychmiast zwrócił się do niej z zakłopotaną miną. Podejrzewała, że Adam najwyraźniej się zamyślił, a teraz nadrabiał zmieszanie nadmierną uprzejmością.

Basia już miała dać znać córce, aby ta opuściła jadalnię, ale przygotowana na to Leokadia powstrzymała ją gestem.

– Niech Lineczka z nami zostanie, bo to o niej chcę mówić.

Ewelina natychmiast przybrała minę: „ja przecież nic nie zrobiłam”, ale można było zauważyć, że mimo wszystko niepewność zalała ją intensywną falą i nerwowo poprawiła się na krześle.

– Czy moja córka w czymś ci uchybiła? – Strojnowski spojrzął na dziewczynkę surowo i miało się wrażenie, że jego wąsy nasrożyły się razem z dopiero wzbierającym gniewem.

– Ależ skąd! – Leokadia machnęła ręką, rozbawiona i zasmucona równocześnie, że pierwsza myśl rodziców jest zawsze ta sama: oto ich dziecko coś przeszkrobało. „Gdybym sama miała dzieci...” – westchnęła w duchu, ale nie dokończyła myśli, zajęta tym, co miała powiedzieć. – Wręcz przeciwnie, mój drogi, wręcz przeciwnie... Nie mam wątpliwości, że Ewelinka jest doskonale wychowaną młodą panienką i uważam, że byłoby słuszne, aby zapewnić jej odpowiednie wykształcenie, zanim zaczniecie myśleć o jej zamążpójściu.

– Guwernantka przychodzi do nas regularnie, do tego sama dobieram Lineczce odpowiednie lektury. No i lekcje gry na pianinie pobiera u... – zaczęła natychmiast tłumaczyć Barbara, ale Leokadia uciszyła ją łagodnym gestem.

Ewelina siedziała jak trusia w obawie, że matka jednak każe jej wyjść, a była niezmiernie zainteresowana, co wymyśliła ciocia Leosia, do której jej sympatia wzrosła błyskawicznie w momencie, gdy usłyszała, że może posłuchać dyskusji o swojej osobie.

– Nie wątpię, Basiu, że zapewniasz córce wszystko, co najlepsze. Pozwólcie, że wyjaśnię... Jestem już w takim wieku, że powinnam myśleć o wypisaniu testamentu. Nie zaprzeczaj, Adamie... – Uśmiechnęła się. –

Bardzo kochałam mego męża, ale niestety Bóg nie pobłogosławił nas dziećmi. Rada bym była, żeby moje pieniądze zostały w rodzinie, jako że to, co należało się spadkobiercom Alfreda, już spłaciłam. Szczerze mówiąc, myślałam najpierw o Stanisławie i dlatego opłaciłam jego studia we Francji, ale wybaczcie, wasz syn nie korzysta z szansy, jaką dostał, sami zresztą o tym wiecie najlepiej. Ale do rzeczy... Jestem gotowa zapisać swój majątek Ewelince, ale pod jednym warunkiem: wybiorę dla niej odpowiednią pensję w Wilnie. Chciałabym, żeby zamieszkała ze mną na czas nauki. Wprawdzie doskonała Kleczkowska już nie prowadzi swojego instytutu, ale jestem pewna, że znajdę coś równie dobrego – zakończyła.

Zapadła cisza. Lineczka nie śmiała spojrzeć na twarze mamusi i tatusia, bała się rozczarowania, bo propozycja cioci bardzo, ale to bardzo jej się spodobała. Nie chodziło jej, oczywiście, o majątek, to mogłaby docenić dopiero po kilku latach, ale o sam pomysł wyjazdu. Do Wilna! Nigdy tam nie była i wyobrażała sobie, że to musi być równie fascynujące miejsce, co Rzym czy Paryż. To, że jak dotąd nie odwiedziła i tych miast, zupełnie nie przeszkadzało jej w ekscytowaniu się perspektywą wyjazdu. Niemal bez ruchu oczekiwała na werdykt, który z pewnością odmieni jej życie. Kiedy po jej zdaniem zbyt długim milczeniu usłyszała, że *papa* wyraża zgodę, spontanicznie zerwała się ze swojego miejsca i podbiegła, żeby uściskać najpierw rodziców, a potem zadowolona z takiego obrotu sprawy ciocię Leokadię.

Rozdział II

1902

Aleksandr Konstantinowicz Sorokin zdecydowanym gestem odprawił lokaja. Nie miał ochoty na niczyje towarzystwo, co powtarzał matce od kilku dni, a ona jakby nie słyszała i każdego ranka przysyłała mu pytanie, czy dołączy do śniadania. Doprawdy mogłaby okazać więcej zrozumienia dla niego oraz starego Igora Iwanowicza, który od jakiegoś czasu wyraźnie utykał. Niekiedy Aleksandr miał wrażenie, że Wierka – nowo zatrudniona służąca, która mu przynosiła posiłki i sprzątała sypialnię – rozumie go lepiej. A przynajmniej częściej się z nim zgadzała. Zagadywał dziewczynę co jakiś czas, a bywało, że popieścił tu i ówdzie, bo wyglądała wyjątkowo apetycznie w swoim białym fartuszk starannie zawiązanym na sukni. Nigdy nie protestowała. Nie miał wątpliwości, że mógłby posunąć się dalej, ale od czasu, gdy otrzymał tamtą feralną korespondencję, jakoś nie znajdował w tym upodobania.

Owinął się mocniej szlafrokiem, bo poranek był wyjątkowo chłodny, i zamyślony odchylił zasłonę, żeby wyjrzeć za okno, na Newski Prospekt. Przez moment z wysokości drugiego piętra śledził wzrokiem dorożki i powozy, spieszących gdzieś konnych czy ludzi – o tej porze głównie służących, studentów i urzędników. Potem przeniósł wzrok na zapowiadające deszcz stalowe chmury. Skłębione nisko nad horyzontem, zdawały się bronić promieniom słońca dostępu do miasta, zupełnie jak niedoszła narzeczona Aleksandra broniła jemu dostępu do siebie...

Przypuszczał, że o wszystkim przesądziła jego sześciomiesięczna nieobecność w Petersburgu, bo wówczas panna Lizawieta Fiodorowna, córka hrabiego Fiodora Lewaszowa, uznała, że Aleksandr Konstantinowicz nie dość o nią zabiega. Cóż z tego, że zadbał, aby codziennie dostarczano do jej apartamentu kwiaty lub czekoladki, coś z tego, że regularnie pisał listy, choć ich wysyłanie podczas służby na morzu nie było najłatwiejsze... Naprawdę się starał, lecz to wszystko nie wystarczyło, a panna Liza najwyraźniej oczekiwała, że ze względu na jej osobę obowiązek wojskowy kandydata na narzeczonego zostanie przełożony. Aleksandr nie uważał, żeby było to konieczne, ale, jak widać, koszmarnie się pomylił i dlatego teraz zamiast towarzyszyć młodej hrabiance w przechadzce czy innej rozrywce, zdenerwowany przemierzał swoje pokoje, po raz kolejny odczytując linijki dostarczonego mu tydzień temu pisma.

Nawet nie zaszczyciła go własnoręcznym listem! Nie, w jej imieniu napisał brat, który wśród uprzejmych fraz i grzecznościowych pochwał, uświadomił młodemu hrabiemu, jak bardzo nieodpowiednią jest partią dla jego siostry. Już następnego dnia stało się jasne, że rywal Aleksandra, podpułkownik książę Aleksiej Kurakin, został zaakceptowany mimo wszystkich niedogodności, które zostały wytknięte Sorokinowi. I pomyśleć, że jeszcze rok temu miał tak szeroko zakrojone plany na nadchodzący tysiąc dziewięćset drugi rok: zdobyty na Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych dyplom architekta artysty pierwszej klasy, zakończenie służby wojskowej w stopniu miczman na krążowniku Ruryk oraz własny ślub, oczywiście z kobietą, którą sobie wybrał. I choć bardzo nie lubił rezygnować ze swoich zamierzeń, to w tym momencie był zmuszony przyznać, że nie wszystko idzie po jego myśli.

Aleksandr nie mógł przeboleć odrzucenia, zwłaszcza że znajdował wyjątkowe upodobanie w hrabiance Lewaszowej. Wprost burzyła w nim krew. Niejednokrotnie wieczorami wspominał jej kuszące do pocałunku i delikatne niczym pączek róży usteczka oraz zgrabne palce z taką lekkością fruujące po klawiszach fortepianu, że aż się zastanawiał, czy równie niesamowity byłby dotyk tych dłoni na jego skórze. Jeśli dodać do tego złote włosy w niesfornych puklach muskające policzki, smukłą kibić i rozkosznie wychylające się z dekoltu piersi, panna Lizawieta jawiła się mu jako ideał kobiecości.

Nie dalej jak wczoraj pomimo braku zaproszenia pojawił się na wieczorku organizowanym przez Lewaszowów, w nadziei, że zdoła zamienić z ukochaną choć słowo albo chociaż nasycić oczy jej urodą. Niestety, Liza nie życzyła sobie z nim rozmawiać, a nawet tak zajmowała miejsce, żeby zawsze ktoś przesłaniał niedoszłemu narzeczonemu widok. Aleksandr opuścił jej dom wściekły, a po powrocie kazał przygotować sobie

gorącą kąpiel i butelkę koniaku. To wtedy desperacko oblał służkę, w nadziei na kilka chwil zapomnienia, i choć dziewczka nie była mu niechętna, to ze zdziwieniem skonstatował, że zupełnie nie ma ochoty na igraszki z inną kobietą. Odkrycie rozgniewało go jeszcze mocniej i od tego momentu usilnie się zastanawiał, co zrobić, żeby wyrzucić z pamięci przekłętą hrabiankę, która zdawała się mieć władzę nie tylko nad jego myślami, ale i ciałem. Na razie nie zdołał niczego wymyślić, bo nic go nie pociągało tak, jak panna Liza.

Ktoś bez pukania otworzył drzwi do sypialni. Aleksandr westchnął zirytowany. To, że zdarzało mu się łąpać Wierkę za biust, w żaden sposób nie usprawiedliwiała takiego jej zachowania. Nawet gdy niosła mu śniadanie!

– Jestem nieubrany! – rzucił gniewnie przez ramię.

– Jakby to ci kiedykolwiek przeszkadzało, Aleksandrze. – Usłyszał niski głos swojego stryja.

Odwrócił się niechętnie i lekkim ukłonem przywitał Nikołaja Aleksandrowicza. Młodszy brat jego świętej pamięci ojca był obecny w życiu Aleksandra od wczesnego dzieciństwa, przejął bowiem opiekę nad osieroconym bratankiem i owdowiałą Natalią Nikołajewną. Kiedy był chłopcem, nie dziwiła go niemal stała obecność stryja w ich domu, ale gdy zaczął dorastać, zauważył, że zbyt często bywał on w prywatnych pokojach jego matki, by mogło to być uznane za dopuszczalne. Podobne zdanie najprawdopodobniej miała żona Nikołaja, bo odkąd Aleksandr pamiętał, nie darzyła Natalii sympatią i bardzo rzadko opuszczała majątek pod miastem, wymawiając się słabym zdrowiem od udziału w przyjęciach organizowanych przez hrabinę Sorokinę.

Stryj miał na sobie dość swobodny poranny strój i roztaczał wokół intensywny zapach wody po goleniu, więc Aleksandr bez trudu się domyślił, że musiał przyjechać do Petersburga jeszcze poprzedniego wieczoru.

– Czy coś się wydarzyło, stryju, że pofatygowałeś się do mnie? – spytał na pozór uprzejmie, ale nie zdołał ukryć uszczypliwych nutek i cisnącego się na usta pobłażliwego uśmiechu.

– Dobrze wiesz, Aleksandrze, co mnie tu sprowadza. Martwisz swoją matkę.

– Moja matka zamartwia się o mnie nawet wtedy, kiedy nie ma ku temu istotnych powodów. Przywykłem – odparował. – Że też i ciebie musi tym zamęczać od rana, ledwo przyjechałeś – dodał złośliwie.

Nikołaj wciągnął powoli powietrze, ale zmilczał jawny przytyk młodzieńca. Z pozornym spokojem powrócił do tematu, z którym wybrał się do jego pokoi.

– Aleksandrze... Od tygodnia nie schodzisz na śniadanie, znikasz z domu popołudniami, nie informując Natalii o swoich planach. Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie tak to powinno wyglądać?

– A wy zdajecie sobie sprawę z tego, że jestem już dorosły? – zapytał Aleksandr z kpiącym uśmiechem, przekrzywiając lekko głowę.

– Nie sądzisz, że przesadzasz? Twoja matka życzy sobie, żebyś pojawił się na śniadaniu, i zamierzam tego osobiście dopilnować. – Nikołaj z trudem opanowywał gniew.

Mierzyli się wzrokiem. Z głębi mieszkania, zza niedomkniętych drzwi, dochodziły odgłosy zwykłej porannej krzątania. Aleksandr pomyślał, że chętnie napiłby się kawy, a scysja ze stryjem znacznie opóźni ten moment. Poza tym uznał, że w obecnej sytuacji nie musi zwlekać z realizacją innego planu. Ułożył go, co prawda, jako zapasowy, ale ani Nikołaj, ani matka nie muszą o tym wiedzieć.

– Jeśli pozwolisz, ubiorę się i jak najszybciej do was dołączę – zwrócił się uprzejmie do stryja.

Zaskoczony nieco zmianą frontu mężczyzna, przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć, ale szybko się opanował. Uśmiechnął się i skinął głową.

Oczywiście Aleksandr nie zamierzał się zbyt spieszyc. Jego przygotowania trwały dokładnie tyle, żeby nie przeciągnąć ponad miarę czasu oczekiwania i cierpliwości hrabiny, ale też wystarczająco długo, żeby nieco zdenerwować Nikołaja Aleksandrowicza.

Zszedł do jadalni w miękkich pantoflach, ale do luźnej koszuli założył kamizelkę, bo Natalia wiele mogła zignorować i wybaczyć, jednak niedbały strój przy stole był z tej listy wykluczony.

– Dzień dobry, mamó. – Przywitał ją pocałunkiem w policzek. – Pięknie wyglądasz.

– Cieszę się, że w końcu nas zaszczyciłeś swoją obecnością – mruknęła, taksując syna wzrokiem.

Kiedy nie znalazła uchybień w jego wyglądzie, uśmiechnęła się ciepło. Uwielbiała swojego jedynaka ze wszech miar i nie mogła znieść myśli, że ktokolwiek mógłby wyrządzić mu krzywdę i doprowadzić do cierpienia, dlatego była tak zaniepokojona jego niecodziennym zachowaniem.

– Podać kawy, stryju? – Aleksandr odnosił się do Nikołaja przyjaźnie, jakby nic przed kilkoma minutami ich nie poróżniło.

– Dziękuję. Wolę herbatę.

– Dobrze spałeś, synku? Całą noc deszcz tłukł o szyby, wybudzałam się co chwila.

– Nic nie słyszałem – zapewnił.

– Podobno Lizawieta Fiodorowna wydaje bal z okazji swoich imienin – zagał Nikołaj.

Aleksandr zmarszczył brwi. Albo stryj nie miał pojęcia o jego planach, albo doskonale wiedział, jak jego bratanek został potraktowany i teraz odpłacał się za uszczypliwości z porannej rozmowy. Młody hrabia nie miał wątpliwości, że plotki rozniosą się szybko, ale zdecydowanie wołał, żeby rozpowiadano je za jego plecami. Nie miał ochoty konfrontować się ze złośliwymi uwagami przypadkowych świadków swojej klęski.

– Ja również słyszałem, ale się nie wybieram – odparował.

– Jakże to? – Hrabina wyglądała na szczerze zdziwioną. – Wydawało mi się...

– Wybacz, mamu, wołałbym o tym nie mówić – przerwał. Poczul, że wzbiera w nim złość. Czy to był powód, dla którego tak oboje nastawiali na jego obecność przy śniadaniu? Koniecznie chcieli omawiać jego stosunki z rodziną Lizawiety?

– Aleksandrze, chyba się zapominasz – upomniał go natychmiast Nikołaj, ale Sorokin zignorował i jego.

– Zresztą udział w tym wydarzeniu pokrzyżowałby moje plany – kontynuował. Odchylił się nieco na oparciu, jakby chciał w ten sposób podkreślić swoją odrębność, i z tej perspektywy przyjrzał się matce.

Natalia Nikołajewna ostrożnie i z uwagą odkrajała czubek jajka ugotowanego na miękko, odłożyła nożyczki na talerzyk i dopiero spytała:

– Plany? Nic nie wspomniałeś, synku.

– To właśnie chciałbym omówić... Zamierzam pojechać do Warszawy i nawiązać kontakty w tamtejszej Szkole Sztuk Pięknych, mój kolega z akademii, Ludwik Rybczyński, namawiał mnie na odwiedziny, poza tym dobre miejsce, żebym poszukał posady, oczywiście niekoniecznie na uczelni. Zamierzam w końcu zainteresować się majątkiem ojca w Przylesiu, a niedaleko jest fabryczna osada, nazwana – jak się dowiedziałem – od imienia francuskiego inżyniera de Girarda, Żyrardów. To całe miasto zaprojektowane i zbudowane od podstaw. Tam jest ciągły rozwój, a to dla mnie szansa. Nowe budynki, nowe projekty...

– Ale co z Lizawietą Fiodorowną? – Matka sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała całego wywodu Aleksandra, a interesował ją jedynie ożenek syna i osoba przyszłej synowej. Aleksandr nie miał złudzeń, że akurat tę uwagę powoduje niemały posąg hrabianki. – Przecież miałeś się oświadczać, starałeś się o jej względy! Niedawno wróciłeś z morza! I teraz tak sobie chcesz wyjechać? I do tego jeszcze na zaproszenie... Polaka?! –

Natalia Nikołajewna podniosła głos i w zdenerwowaniu wachlowała się chusteczką. – Tak po prostu wyjechać? – powtórzyła, wyraźnie zbulwersowana rewelacjami.

Aleksandr zerwał się z krzesła. Pobladł ze złości i tylko zaciśnięte do bólu pięści powstrzymały go przed mocniejszym okazaniem gniewu.

– Nie będzie żadnych oświadczeń, możesz o tym zapomnieć, tak jak ja pragnę zapomnieć o istnieniu Lizawiety Fiodorowny Lewaszowej. A w przyszłym miesiącu, niezależnie od waszego na ten temat poglądu, wybieram się do Warszawy – powtórzył wolno, cedząc przez zęby, i zdecydowanym krokiem opuścił jadalnię, nie zważając już na groźne spojrzenia stryja oraz omdlewające westchnienia matki.

Rozdział III

1904–1905

Krajobraz za oknem pociągu nie zmieniał się od kilkunastu dni, bezkresne wydawałoby się połacie stepów przechodziły w ciągnące się po horyzont bezdrzewne pola, więc po wcześniejszym zachwycie nad przestrzenią i po kolejnych godzinach obserwacji tego samego widok nużył i usypiał. Zresztą od początku ta podróż w żaden sposób Pawła Orłowskiego nie ekscytowała, a nastroje wśród jego towarzyszy z przedziału były podobne. Jediną rozrywką pozostały stacje, na których czasem udawało się zdobyć gorącą wodę albo kupić chleb czy papierosy. Wódki Orłowski nie szukał, nawet nie dlatego, że dowództwo wyraźnie tego zakazało. Po prostu żał mu było pieniędzy, choć po prawdzie czasem się zastanawiał, na co niby ma oszczędzać, przecież cel tej podróży był jasny, a pewność, że z niej powróci – niemal żadna. Inna sprawa, że nie przepadał za tego rodzaju mocnymi trunkami, pił, gdy już musiał, bez szczególnego upodobania. A w tych warunkach jakość alkoholu pozostawiała wiele do życzenia. Na razie stosował się do rozkazu, oczywiście starannie nie zauważając nikogo, kto by postępował przeciwnie. *Wasze wysokobłagorodie, wsie po zakazu* – meldował, prężąc się jak struna, pułkownikowi Andriejowi Maksymowiczowi Lebidiewowi, jeśli ten akurat zaszczycił swoją wizytą ich oddział. *Wysokobłagorodie* potakiwał, nie patrząc ani na Pawła, ani na stojących czasem nieco chwiejnie podkomendnych.

Podróż się dłużyła i znużeni żołnierze z jednej strony pragnęli, by w końcu się zakończyła, z drugiej – gdyby tylko mieli wybór – pewnie woleliby nigdy nie dojechać do miejsca przeznaczenia. Czyli na front. Oficjalne doniesienia z konfliktu z Japończykami były takie jak okrzyki *Urra!* zwyczajowo wydawane przez szeregowych przy odjeździe pociągu ze stacji: po wierzchu pełne animuszu, a naprawdę podszyte strachem, niepewnością i znużeniem. Paweł nie miał złudzeń, że zwycięstwo to kwestia kilku miesięcy, nastawiał się raczej na długą kampanię. Działania ledwo się rozpoczęły, a już posyłano coraz więcej i więcej wojska. W jego przypadku wezwanie przyszło w dniu, gdy odebrał stopień oficerski, wieńczący jego kształcenie w Wileńskiej Szkole Junkrów Piechoty.

„I po cóż nas tam tańczyć uczyli?” – rozmyślał gorzko nocą, patrząc w widoczny przez okno pociągu skrawek nieba. Koła wagonu turkotały, skład się kołysał, a gwiazdy pozostawały niezmiennie, zachowując swoje pozycje, jakby drwiły sobie z młodego podporucznika, który nieuchronnie z każdą godziną przybliżał się do wojny.

Regularnie widywali pociągi sanitarne albo i zwykłe zwożące rannych. Paweł się zastanawiał, czy tam, na dalekim mandżurskim froncie, nie ma szpitali, czy po prostu wracają już ci niezdolni do walki, a jeszcze żywi. Szybko porzucał te rozważania, nie chcąc wpędzać się głębiej w melancholię. Wiedział, że będzie walczył. Bo tego go nauczono. Bo szanował i lubił swoich towarzyszy ze szkoły, których wielu było w identycznej jak on sytuacji. Bo czasem miał wrażenie, że nie ma innego wyjścia, jakby miejsce i czas, w którym się urodził, na zawsze wyznaczyły mu miejsce w szeregu. Ale miłości do tej wojny nie czuł i choćby chciał, nie potrafił się zmusić, by uznać sprawę, za którą kazano mu stawać do boju, za swoją.

Paweł Orłowski nie uważał się za Rosjanina, chociaż – jak zapisano w jego akcie urodzenia i jak wiedział od Józefa Borka, zarządcy dworu, który wraz ze swoją żoną Stefanią go wychował – jego ojcem był rosyjski właściciel majątku, podobno hrabia... Paweł niezbyt wierzył w to wyjątkowe pochodzenie, ale rzeczywiście wszyscy w wiosce tak o panu Sorokinie mówili. Jego przeszłość, na którą przecież nie miał żadnego wpływu, nie stanowiła tajemnicy dla sąsiadów, a przez to niejednokrotnie musiał znosić wyzwiska i stawać do bitki z synami okolicznych chłopów czy robotników. Właściwie z ulgą przyjął decyzję Józefa, że wysyłają go najpierw do Warszawy, a potem do Wilna, do szkół z internatem.

Matki nie poznał, wiedział jedynie, że była Polką, służyła we dworze i zainteresowanie swojego chlebobdawcy przypłaciła śmiercią, gdy rodziła Pawła. Miał po niej srebrny medalik z Maryjką, nazwisko – bo jako nieślubne dziecko nie miał prawa nosić tego po ojcu – i parę wspomnień od Stefy, która tak naprawdę nie wiedziała o niej zbyt dużo. Helenę Orłowską najęła do majątku Przylesie żona hrabiego Sorokina, ponoć w Warszawie, ale skąd

tak naprawdę Helka pochodziła, nikt nie wiedział. Ona też nic nie mówiła o swojej rodzinie, więc nie wiadomo było nawet, kogo powiadomić, że umarła.

Po ojcu, którego również nigdy nie poznał, bo zbiegiem okoliczności i on zmarł tego samego dnia co matka, Paweł dostał prawo do używania otczestwa, choć stosował je jedynie w kontaktach z Rosjanami, oraz sumę pieniędzy wystarczającą na wykształcenie, z zastrzeżeniem, że musi być to szkoła wojskowa. Borkowie, którzy chłopaka wychowali, zawsze powtarzali, że hrabia był bardzo hojny, skoro uznał go za swego. Orłowski, jeśli czuł wdzięczność, to jedynie za możliwość zdobycia wykształcenia. Od momentu gdy poszedł do szkoły w żyrardowskiej osadzie, wiedział, że chce się uczyć, żeby nie pracować jako służący w majątku czy robotnik w fabryce. On chciałby te fabryki budować. Szkoła junkrów miała być przepustką do dalszych studiów, niechby i wojskowych, tam też kształcono inżynierów. Cóż z tego, wezwanie pokrzyżowało te plany i wrzuciło go do pociągu jadącego przez Ural wprost na front mandżurski.

– A ty, Paszka, znowu w myślach pogrążony – zakpił z niego przyjaciel, który właśnie się przebudził z niezbyt spokojnego snu i przez kilka chwil przyglądał się Pawłowi.

– Spać nie mogę – odmruknął Orłowski.

Z Antonem Wasiliewiczem Makarowem trzymali się blisko niemal od początku szkoły junkierskiej. Paweł początkowo dość nieufnie podchodził do tej znajomości, bo jak wielokrotnie przekonał się wcześniej, wszelka zażyłość ze strony lepiej sytuowanych kolegów kończyła się, kiedy dowiadawali się o jego pochodzeniu. Anton jako jeden z niewielu traktował go jak równego sobie, chociaż tak naprawdę różniło ich wiele: pochodził z majątnej rodziny spod Kowna, jego ojciec był urzędnikiem szóstej rangi, miał jeszcze dwóch młodszych braci, których również wysłano do szkół wojskowych, i młodszą o kilka lat siostrę. Kilka razy Orłowski został zaproszony do Makarowów na święta i kosztował wtedy życia, jakiego dotąd nie znał, zwłaszcza że rodzina Antoszy przyjęła go wyjątkowo serdecznie.

– Bo za dużo myślisz. – Zaśmiał się, ale jakoś gorzko.

– A co niby tu jest do roboty – westchnął Paweł. – Za oknem ciągle to samo, a tam gdzie jedziemy, sam wiesz...

– Cichaj! Nie chcę o tym mówić. To nie ma sensu.

Naburmuszony Anton odwrócił się na drugi bok, twarzą do ściany. Przez moment się wydawało, że zaśnie na powrót, więc Orłowski się nie odzywał, żeby nie przeszkadzać koledze. Być może i on powinien się położyć, wypocząć nieco, zanim nowy dzień przyniesie obowiązki... albo dalszą nudę.

– Paszka, czemu nie potrafisz jak inni? Może łatwiej pić wódkę i śpiewać z Kozakami, zamiast siedzieć i myśleć?

Jednak nie spał. Paweł milczał dłuższą chwilę, zanim się odezwał, ostrożnie, jakby nie chciał Antona spłoszyć nierozważnym słowem czy gestem. Widział, jak bardzo przyjaciel potrzebuje rozmowy i jak bardzo wstydzi się do tego przyznać. A przecież tyle już godzin mieli przegadanych, o sprawach i głupich, i ważnych.

– A ty, Antosza, potrafisz, i co? Prościej ci z tym jest? – spytał cicho.

– Nie jest. – Anton dalej nie chciał na niego spojrzeć. Mówił niemal szeptem, czasem jego głos nikał wśród stukotu kół wagonu. – Czasem, gdy myślę o tym, gdzie właściwie jedziemy, to... czasem się po prostu boję. Nie powiesz nikomu?

– Każdy się boi, Antosza. Ja też. Wolałbym być gdzie indziej, jeszcze jak bym wolał – przyznał.

– A czego mieliśmy się spodziewać, skoro uczyli nas na wojaków? – jęknął Anton.

Znowu zapadła cisza. Paweł nie wiedział czemu miał wrażenie, że pomiędzy nimi kłębi się mnóstwo niezadanych pytań, ale właściwie wszystko, co było najważniejsze, właśnie sobie powiedzieli.

– Gdybyś mógł wybrać, to gdzie...

– Nie, o tym ja nie chcę mówić! – Teraz Orłowski przerwał. – Po co nasycać się nadzieją czy marzeniem, które pewnie się nie spełni.

– Ja już nie wiem, co robić, Pasza. Nie chcę być tchórzem. Nie tak mnie tatko wychował! Nie tego moi bracia po mnie oczekują. A jednak nie radzę sobie już teraz, a co dopiero tam będzie.

Makarow usiadł na posłaniu i spojrzał wprost na przyjaciela. Zmartwienie wyrysowało pod jego oczami sine cienie. Paweł nie miał pojęcia, co mógłby mu odpowiedzieć, jak go pocieszyć. On sam chyba już zdążył się pogodzić z nieuchronnym losem.

– Tam nie będziemy mieć czasu na strach – pocieszył Antoszę i niemal namacalnie poczuł, jak bardzo tym prostym stwierdzeniem dotknął prawdy.

W istocie słowa Pawła szybko się sprawdziły – kiedy dotarli do stacji docelowej, skąd mieli wymaszerować do obozu rozłożonego w jednej z wiosek. Tam czekały ich pułk kolejne zadania, z góry ustalone w sztabie, choć trudno było w ich celowość uwierzyć wśród narastającego wokół chaosu. Zdawało się, że koniec podróży, wyczekiwany przecież, zaskoczył rekrutów, ukołysanych monotonią jazdy i uśpionych wypitą gorzałką. Naraz powietrze wypełniły krzyki rozkazów, nagle stali się trybami dobrze naoliwionej maszyny. A przynajmniej tego od nich wymagano. Rzucili ich do walki szybciej, niż się spodziewali, nie było już czasu ani siły na rozważania, gdy trafiła się chwila odpoczynku, wycieńczonych żołnierzy natychmiast zawładnęła najpierw głód, a potem sen. Dni znowu zlewały się ze sobą, zmęczenie sprawiało, że przestali nawet liczyć mijający czas, jedynie kolejni ranni lub zabici nadawali wszystkiemu jakiś koszmarny rytm. Śmierć wkrótce stała się nieodstępującą ich na krok towarzyszką, od której nie było nigdzie ucieczki.

Chwilami Paweł miał wrażenie, że byli tam już długie miesiące. Mijały kolejne tygodnie, a on wciąż żył i czasami go to dziwiło, jeśli znalazł jeszcze tyle siły, żeby się zastanawiać nad swoim położeniem. Potem na powrót pogrążał się w jakiejś bezmyślności, w sumie z pewną ulgą, jakby to, że ma do wypełnienia rozkazy, zdejmowało z niego ciężar odpowiedzialności. Wiedział, że wojna to zabijanie, ale dopiero bliskość krwi, ran i śmierci uświadomiła mu, jak ubogą miał wyobraźnię. Widoki rozerwanych ciał, trupy towarzyszy broni, odgłosy konających i upiorny zapach walki początkowo odbijały się w nim wręcz namacalnym bólem, potem odciął się od tych doznań i odtąd zdawało mu się, że patrzy na wszystko z boku. Ale nie zubożał, nie potrafił. Czasem martwił się o Antona, który jakby zapadł się w siebie, odsunął od wszystkich i nawet z nim nie chciał rozmawiać. W boju jednak rozumieli się doskonale i Orłowski miał pewność, że może na niego liczyć.

Pod koniec lutego pułkownik Lebediew zdecydował, że ruszą niewielkim zwiadem zbadać teren wokół leżących na linii ich przemarszu wiosek i wyłapać chińskich sygnalistów, którzy mogliby zawiadomić Japończyków o ruchach rosyjskiego wojska. Planował zastawić na nieprzyjaciela pułapkę, tylko nie przewidział, że sam w podobną wpadnie...

Nic nie zwiastowało zasadzki, zwiodły ich pozorna cisza i spokój, nikt nie spodziewał się ataku. Po jednym z popasów, w czasie gdy oddziały szykowały się do dalszej drogi, pułkownik zebrał oficerów na krótką naradę. Uderzenie przyszło właśnie od tej strony, gdzie znajdowało się dowództwo. Japończyków było niemal tylu co Rosjan i można było odnieść wrażenie, że przeciwnicy wyrosli jak spod ziemi. Celne salwy z karabinów i precyzyjnie rzucone granaty zabiły na miejscu kilkudziesięciu żołnierzy, w tym trzech wyższych rangą, znajdujących się tuż obok Lebediewa. Bez wyraźnych komend wśród szeregowych szybko zapanował chaos. Ktoś uciekał bezładnie, ktoś strzelał, nie wiedząc czemu, w powietrze, kilka grup z własnej inicjatywy rzuciło się w kierunku nacierających Japończyków, szybko wiążąc ich w walkę na bagnety i równie prędko ginąc.

Paweł z grupą swoich podkomendnych oraz prowadzący swój oddział Anton usiłowali się przez to pandemonium dostać w pobliże Lebediewa, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi całkowite okrążenie i odcięcie od reszty gwardzistów coraz słabiej chroniących pułkownika. Orłowski miał świadomość, że tylko Lebediew będzie w stanie zapanować nad dalszym przebiegiem potyczki i przegrupować żołnierzy tak, żeby albo wroga odepchnąć, albo umożliwić Rosjanom bezpieczny odwrót.

Z Antonem u boku Paweł niemal instynktownie wiedział, co robić. Wykrzykiwał rozkazy i atakował, ale nie bezmyślnie: uparcie, metr za metrem zmniejszał dystans do Lebediewa. Starcie już właściwie wszędzie

przerodziło się w bitwę wręcz, ale nadal wokół wybuchały granaty, raniąc odłamkami jednak obie strony. Jeden z odprysków drasnął twarz Orłowskiego i krew przez moment zalała mu oczy, rozmazała pole widzenia. Niecierpliwie otarł czoło rękawem i gestem pokazał, że *wsio w pariadkie*.

Już niemal dotarli do pułkownika, kiedy niespodziewanie kilku japońskich żołnierzy przerwało dopiero formującą się ochronę wokół rannego w rękę Lebediewa. Widząc, że oficer z trudem unika ataków, Paweł bez zastanowienia odrzucił najbliższego napastnika i stanął na drodze następnemu, osłaniając dowódcę. Japończyk natarł gwałtownie, zmuszając Orłowskiego do rozpaczliwej obrony. Za plecami słyszał głos pułkownika, który donośnie przywoływał swoich oficerów do porządku, i krótkie potwierdzenia, gdy padały konkretne komendy. Paweł zebrał ostatnie siły, dawał dowódcy czas, a sobie nadzieję, że za chwilę znajdą się w bezpieczniejszym miejscu, że znowu umknie spod kosy. Bo chociaż myśli o śmierci były wszechobecne, powtarzane w każdej minucie, w każdej godzinie, to nikt nie chciał zbyt wcześnie zamykać oczu.

Nadbiegającego z boku Japońca, gotowego do rzutu granatem, dostrzegł w ostatniej chwili. Skoczył na niego i desperacko pchnął bagnetem. Niespodziewanie złamał go przeszywający na wskroś ból. Usłyszał jeszcze rozpaczliwe wołanie Antona: „Paszka, Paszka!”, zanim osunął się w ciszę i ciemność.

Rozdział IV

1903

To, że Warszawa to nie Petersburg, Aleksandr Konstantinowicz wiedział, zanim tu przyjechał. Oczywiście nie wpłynęło to w żaden sposób na jego decyzję o podróży. Może miał nadzieję, że znajdzie w Kraju Przywiślańskim to, co tak przyciągało tutaj starego hrabiego? On sam niewiele pamiętał z dzieciństwa, kiedy jeszcze wszyscy przyjeżdżali latem do majątku Przylesie. Tam zresztą ostatni raz widział swego ojca. Czasem wspominał tę chwilę, bywało nawet, że z lekkimi wyrzutami sumienia, bo rozgniewany czymś nie miał ochoty na rozmowę z nim przed powrotem z matką do Petersburga. W końcu przymuszony przez Natalię Nikolajewną pobiegł skrzypiącymi schodami na górę, do sypialni hrabiego. Wiedział, że *papa* jest chory i dlatego zostaje w Polsce, ale za nic nie chciał zrozumieć, że tak będzie lepiej. Wolałby się z nim nie rozstawać. „Musisz jak najszybciej wyzdrowieć, potrzebuję cię w Petersburgu” – oznajmił wtedy ojcu pełnym pretensji tonem, wciskając zaciśnięte w pięści dłonie głęboko do kieszeni spodenek. Miał nadzieję, że usłyszy reprimendę, że hrabia Konstantin pokaże w ten sposób, że już czuje się lepiej, ale on tylko się rozkaszał i opadł bezsilnie na poduszki. Aleksandr, choć ojciec poprosił go o to gestem, nie podszedł do jego łóżka i nawet tupnął gniewnie, bo tak łatwiej było mu powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Kilkanaście tygodni później, na pogrzebie, myślał jedynie o tym, że ojciec nie dotrzymał danego mu słowa i go opuścił. To budziło gniew i również pomogło mu się nie rozpląkać. Już wtedy nie miał zamiaru pokazywać innym swoich słabości.

Może dlatego do samego Przylesia nie udał się od razu i nawet list do starego rządcy, Józefa Borka, z poleceniem, aby przyszykował dworek na jego przyjazd, wysłał dopiero jakiś czas po przybyciu do Warszawy, do tego zaznaczając, że sprawa nie jest pilna. Sam przed sobą się tłumaczył, że chce dać niezbędny czas na zatrudnienie odpowiedniej służby i właściwe odnowienie wnętrza – co do tego przekazał szczegółowe instrukcje. W przyszłości oczywiście planował zastanowić się nad rozbudową siedliska, ale nie w tej chwili, nie wszystko naraz.

Nie tyle miasto go nudziło, co nużyły plotki i coraz mniej chętnie przyjmował zaproszenia na rozmaite wieczorki, obiady czy nawet śniadania od miejscowych Rosjan, zainteresowanych nie tyle nim samym, co jego koneksjami. Właściwie w stolicy Królestwa zatrzymał się głównie z dwóch powodów: miał nadzieję zdobyć odpowiednie rekomendacje, które ułatwiłyby mu objęcie posady architekta lub innej wpływowej funkcji w urzędzie powiatu błońskiego, któremu podlegała osada fabryczna Żyrardów, oraz ze względu na Ludwika Rybczyńskiego. Przyjaciół otrzymał stanowisko wykładowcy w niedawno otwartej Szkole Sztuk Pięknych i bardzo potrzebne były mu teraz znajomości, dlatego Sorokin zabierał go niekiedy na przyjęcia, na które sam chadzał. Ludwik szczególnie upodobał sobie różnego rodzaju okazje charytatywne, ponoć w nadziei znalezienia najlepszej żony, ale dlaczego akurat te wydarzenia jawiły mu się jako najbardziej obiecujące w celach matrymonialnych, tego Aleksandr nie wiedział i nie dopytywał. Sam wciąż nie mógł darować Lizawiecie odrzucenia, jeśli więc adorował którąś z pań, to jedynie w celu miłego spędzenia kilku wieczorów, nie w głowie mu były amory, a tym bardziej konkury. Oczywiście za jakiś czas i on powinien pomyśleć o ożenku, o czym matka przypominała mu już w pierwszym liście, który do niego wysłała, ale stanowczo jeszcze nie teraz.

– Ludwiku Filipowiczu, a cóż ci tak śpieszno w to małżeńskie jarzmo? – naigrawał się czasem z kolegi, gdy spotykali się w wynajętym przez Sorokina apartamencie w Hotelu Europejskim, aby odetchnąć przy cygarze i koniaku. – Na uczelni masz obowiązki i żeś się uparł, żeby i w domu mieć ich nadmiar? Spodobała ci się w końcu któraś?

– Być może... – Rybczyński z uśmiechem pogładził starannie przyciętą brodę. – Ale ci na razie nie zdradzę, żebyś panny pod moim nosem nie zbałamucił.

– Żebym to miał czas na to! – Sorokin rozluźnił nieco węzeł jedwabnej chustki i z upodobaniem poprawił wpiętą poniżej złotą szpilkę. Miała bogato i misternie zdobną główkę z wykończeniem z niewielkich diamentów, co wyjątkowo mu się podobało.

Lubił drobiazgi dyskretnie podkreślające jego status. Koszula czy marynarka z najlepszych materiałów lub buty z mięciutkiej skóry były oczywistością, podobnie jak wypielęgnowane dłonie albo modnie ułożona fryzura, ale o prawdziwym szyku zdaniem Aleksandra świadczył charakter dodatków.

– No raczej brak wolnego czasu ci nie doskwiera? Chyba że selekcja biletów wizytowych tak cię pochłania – zripostował Ludwik.

Aleksandr zaśmiał się w odpowiedzi.

– Dziś wieczorem mam inny pomysł na rozrywkę – mruknął. – Co powiesz na wizytę w przybytku pani Sawickiej albo Rosenowej?

– Hm... dziś? – Rybczyński się zawahał, zanim odmówił Aleksandrowi wspólnego wyjścia, bo nie chciał urazić przyjaciela. – Tym razem zmuszony jestem powiedzieć pas. Z samego rana obiecałem towarzyszyć pannie Celinie Starzyckiej...

– Dobrze, nic już nie mów! – Aleksandr nawet nie był ciekawy, gdzie się wybiera Ludwik. Uniósł dłonie w żartobliwym geście poddania. – To już wiadomo, żeś wpadł w sidła, i widzę w czyje, choć zeznać kto to się wzbraniałeś. Panna Celinka, no, no – zakpił, ale coś w tonie głosu Ludwika go zaalarmowało. Może to była tkliwość, może tęsknota, której echo wyraźnie usłyszał w sobie. Zakłutło.

– Zabraniam ci jakichkolwiek żartów na ten temat w jej obecności! – zaperzył się Rybczyński.

– Więc zakładasz, że w niedalekiej przyszłości będziemy mieli okazję się z panną Celiną spotkać? Może opowiem jej co nieco o tobie? – Aleksandr przekornie przez chwilę nie odpuszczał, ale widząc autentyczny niepokój w oczach Ludwika, pokręcił z rezygnacją głową. – No przecież nie mówię tego poważnie! – zapewnił.

Ulga wymalowana na twarzy Rybczyńskiego była aż nadto widoczna. Sorokin posmutniał, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo przyjaciel oznajmił, że czas już na niego. Aleksandr uznał, że nie będzie go zatrzymywał, zrezygnował też z wyjaśnień – jeżeli okazały się konieczne, to widocznie sam dał powody do takiego myślenia.

Zamówił dorożkę i kazał się zawieźć na Towarową. Na spacer zupełnie stracił ochotę, choć jak na marzec wieczór był ładny i ciepły. Zapłacił z nawiązką i zanurzył się w luksusowym wnętrzu domu schadzek pani Sawickiej. Bywał tu dość regularnie. Potrzebował towarzystwa kobiet, a nie chciał zwodzić zainteresowanych dobrym zamążpójściem panien ani ulegać znudzonym mężatkom, które spotykał na organizowanych wieczorkach, herbatkach czy koncertach. Niepotrzebne mu były kłopoty i niesnaski. Płatna wizyta u wyszkolonej do ofiarowywania swojego ciała mężczyznom damy nie pozostawiała złudzeń obu stronom i przez to wydawała się Aleksandrowi na wskroś uczciwa.

Usiadł w głównej sali i zamówił butelkę wina. Ciemnobordowy trunek rozlewał się na języku wytrawną owocową nutą. Aleksandr leniwie wodził spojrzeniem po uśmiechających się do niego damkach. Jedna ewidentnie była nowa. Młodziutka, z niewinnością w oczach. Nie znał oczywiście wszystkich, chodziło bardziej o zachowanie dziewczyny. Nerwowo zaciskała palce i przygryzała usta, a gdy tylko uświadamiała sobie, że to robi, natychmiast prostowała plecy, układała dłonie na podołku i przywoływała uśmiech. Ten miała naprawdę interesujący, jakby nieśmiały, ale z wyraźną obietnicą...

Kątem oka Aleksandr dostrzegł rotmistrza Korotkina, który najwyraźniej również upatrzył sobie tę młodkę i rozochocony – nie wiadomo, czy wypitym alkoholem, czy perspektywą cielesnej uciechy – zataczał się w jej kierunku. Oficer miał swoje lata, gęstą siwą brodę i wydatny brzuch, teraz wyraźnie widoczny spod rozchełstanej kurtki mundurowej. Aleksandr skrzywił się z niesmakiem i gestem przywołał młodą prostytutkę do siebie. Rotmistrz, widząc to, zaczął protestować, ale zaraz jedna z bardziej doświadczonych kobiet uspokoiła wojskowego, zarzucając mu ręce na szyję. Awantury tutaj nie były pożądane.

– Wina? – spytał uprzejmie, gdy usiadła obok niego na wykładanej pluszem kanapie.

Z bliska okazała się naprawdę śliczna, o delikatnej, niemal dziewczęcej urodzie. Spięte grzebieniami jasne włosy odsłaniały długą szyję i mlecznobiałe, pokryte drobnymi piegami ramiona. Gorset z głębokim dekoltem eksponował krągłe piersi. Aleksandr uśmiechnął się ukontentowany i przez dłuższą chwilę bez skrepowania podziwiał urodę swojej towarzyszk. Lubił piękno i, jak widać, można je było odnaleźć także tutaj.

– Dziękuję, po winie boli mnie głowa – odmówiła grzecznie, znowu z tym niepewnym uśmiechem. Do tego posłużyła się czystym rosyjskim.

Nie mógł się pomylić, to musiał być jej ojczysty język. Zdziwił się, ale nie pytał. Zamiast tego delikatnie musnął palcami jej ucho. Fascynowało go, że są takie delikatne, filigranowe jak u porcelanowej laleczki. Cała wydawała się wręcz krucha. I drżała pod jego dotykiem.

– *Nie pierżiwaj, wsie choroszo* – szepnął i zaraz zarządził, że zabiera ją na górę, do pokoju.

Poprosił o najlepszy, zwany Petersburskim. Znał ten gabinet, miał piękne złocenia na meblach, okazały kryształowy żyrandol, choć akurat dziś pomieszczenie oświetlono jedynie świecami, i miękki, wyściełający całą podłogę dywan. Aleksandr usiadł na łóżku i niedbale oparty o wezgłowie przyglądał się dziewczynie. Powoli, nie patrząc na swojego klienta, zaczęła rozpinąć suknię. Sorokin, bardziej wyczuwał, niż widział, że jest bliska płaczu. Nagle zatrzymała dłonie w pół gestu, jakby sobie o czymś przypomniała.

– Czego szanowny pan sobie życzy? – spytała.

Teraz już wyraźnie rozróżnił w tonie jej głosu wzbierające łzy.

– Usiądź ze mną. – Wskazał miejsce obok.

Posłuchała. Zsunęła buciki i umościła się na posłaniu, zabawnie podkulając nogi. Celowo lub – co bardziej prawdopodobne – przez nieuwagę podwinęta spódnica odsłoniła obleczoną w jasną pończochę łydkę. Aleksandr, skuszony widokiem, przełknął ślinę. Częściowo rozpięta suknia zachęcająco odsłaniała ramiona i dekolt.

– To pierwszy raz? – Właściwie nie musiał czekać na odpowiedź. Dziewczyna, zażenowana, pokiwała głową. Sztywno wyprostowana czekała na dalsze instrukcje. – Jak masz na imię?

– Sonia.

– Sonia... – powtórzył.

Mógł zapytać, jak tu trafiła, ale to nie była jego sprawa, a ciekawość nie była dobrym doradcą. Umilkł, nadal przyglądając się kobiecie. Pod jej oczami dostrzegł głębokie cienie, niemożliwe do zamaskowania choćby najlepszym pudrem. Musiała być bardzo zmęczona, może nie mogła spać, może miała za sobą długą podróż. Chora nie była, Sawicka dbała o reputację... Niecierpliwie odgonił pytania. Jutro mogło jej już tu nie być. Po co się mieszać w cudze interesy.

Poczuł znużenie. To nawet nie był brak chęci na miłość, bo na to miał ochotę coraz większą, ale delikatność tej dziewczuszki sprawiała, że bardziej pragnął się nią zaopiekować. „*Połnyj durak!*” – podsumował zaraz swoje myśli.

Przygarnął dziewczynę do siebie, pogładził lekko po policzku. Nadal drżała. Wciąż jej nie powiedział, czego sobie życzy. Przymknął oczy i siedział tak pogrążony w rozmyśleniach. Machinalnie głaskał Sonię po włosach. Uspokajała się powoli, aż w końcu usłyszał jej miarowy oddech. Zasnęła. Aleksandr skonstatował to z pewnym rozbawieniem i niespodziewaną czułością. Aż zaśmiał się cicho, pilnując jednak, żeby jej nie obudzić. Spodobał mu się pomysł, żeby zostać i pozwolić odpocząć tej małej. Patrzył na powoli dopalające się świece w bogato zdobionym lichterzu. Sam nie czuł senności, dziwna mieszanka podniecenia i zadowolenia z sytuacji, w której się znalazł, rozgrzewała mu krew, ale jednocześnie nie sprawiała, żeby musiał dziewczynę natychmiast wziąć i zaspokoić żądzę. Spokojny oddech śpiącej i ciepło jej ciała zapowiadały przyjemność, wprawdzie odsuniętą w czasie, ale przez to bardziej ekscytującą.

Płomień zamigotał i zgasł. Wprawdzie z ulicy dochodziło światło latarni, ale nikłe. Sonia mruknęła coś przez sen i z westchnieniem przytuliła się mocniej do Aleksa. Uśmiechnął się. Nigdy nie zdarzyło mu się zasnąć przy dziwce, a co dopiero pozwolić jej spać u swojego boku. Dziwka... To określenie nie pasowało do leżącej obok panny. Jeszcze nie. Jej zakłopotanie i niewinność nie były grą obliczoną na uwiedzenie naiwnego mężczyzny. Nie cierpiał cynizmu i takich *dames* szczególnie unikał. A ona był inna. „Pewnie po kilku tygodniach to się zmieni” – pomyślał z jakimś żalem. Nie chciałby jej wtedy spotkać. Czyżby skrupuły? Inni z pewnością nie będą mieli podobnego dylematu i zbrukają tę świeżość.

Ktoś na korytarzu zatoczył się na drzwi. Łomot i czyjeś stłumione przekleństwo poderwały Sonię. Zdezorientowana usiadła i przez chwilę rozglądała się nieprzytomnym wzrokiem. Szybko przypomniała sobie, gdzie jest i po co.

– Proszę mi wybaczyć – szepnęła. Nuty paniki rozszerzyły jej oczy. Była jak spłoszone zwierzątko.

Aleksandr przeciągnął się. Przyglądał się dziewczynie z uśmiechem. Zaciekawilo go, czy ma jeszcze złudzenia.

– Czemu tu jesteś? – spytał.

– *Wasze wysokobłagorodie* mnie zamówił...

– Wiesz, że nie o to pytam – przerwał jej z udawanym gniewem.

Spłoszyła się, zagryzła dolną wargę. Aleksandr westchnął i pokręcił głową.

– Jak tu trafiłaś? – powtórzył.

Sonia opuściła wzrok. Wyczuł, że nie chce tego mówić, wstydzi się rozmowy o swojej przeszłości czy wyborach. Zastanawiał się, na ile są świadome.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– A naprawdę?

Milczała. Ponowił pytanie, z naciskiem.

– Osiemnaście.

– Chcesz, żebym cię wykupił? – zaproponował nagle.

Zdziwił się nie mniej niż ona. „*Pońnyj durak!*” – wyrzucił sobie znowu. Ale wyglądało na to, że dziewczyna mu nie wierzy. Może się obawiała, że ją prowokuje, że poskarży się właścicielce.

– To ja tutaj mam spełniać życzenia.

Chciała to powiedzieć pewnie, wyszło żałośnie.

– Życzyłem sobie rozmowy – odparł gniewnie. – Ale chyba tego nie potrafisz.

– Proszę o wybaczenie.

– Dobrze. Chodź, rozbierz mnie – zażądał.

Nie zadawał już pytań, a nalegać nie miał zamiaru. Miała delikatne dłonie i szybko się uczyła. Dziewicą też nie była, ale to go już nie zdziwiło szczególnie, choć w jakiś sposób rozczarowało, że dał się nabrać na niewinność. Skupił się na tym, po co tu przyszedł i za co zapłacił: na własnym zaspokojeniu. Potem zostawił jej dodatkowo pięć rubli i wyszedł. Gdyby spojrzął za siebie, dostrzegłby łzy na policzkach pozostawionej na wielkim łóżku Soni. Może jeśliby poczekał, opowiedziałaby mu o wielkiej miłości, dla której uciekła z domu, zamiast wrócić z rodziną do Rosji, i o zawiedzionych nadziejach, bo mąż okazał się uzależnionym od hazardu i alkoholu oprawcą. O dziecku poronionym tej nocy, gdy pobił ją niemal do nieprzytomności, bo śmiała poprosić o pieniądze na prowadzenie domu. O tym, że sprzedał ją tu, by spłacić swoje długi, a ona nie miała jak uciec, przecież by ją znalazł. I bała się, tak bardzo się bała, co zrobią z nią klienci. Bo co innego dawać siebie z miłości, co innego za ruble.

Jednak Aleksandr się nie obejrzał.

Rozdział V

1905

Zapach środków odkażających stał się intensywniejszy. Paweł z trudem otworzył oczy, zastanawiając się, gdzie jest. Ostatnie tygodnie docierały do niego jak przez mgłę, jakby patrzył na karty albumu poprzekładane zniszczonym papierem. Ból i gorączka przechodziły w majaki i niespokojny sen, pamiętał drogę, stopniowo cichnące odgłosy wystrzałów i wybuchów, czyjeś głosy wykrzykujące rozkazy, kołysanie jakiegoś pojazdu, potem stukot kół pociągu...

Sala, w której leżał, była pogrążona w półmroku, z lewej strony miał okno, z prawej stały inne łóżka, na jednym z nich ktoś cicho pojękiwał.

Orłowski obliznął spierzchnięte wargi. Chętnie napiłby się wody, chociaż zwilżył gardło, ale przy próbie podniesienia głowy poczuł zawroty i z powrotem opadł na poduszkę.

– No już, już. Niech się pan porucznik nigdzie nie wybiera. – Usłyszał za sobą i czyjeś ręce łagodnie przytrzymały mu czoło. – Zaraz kogoś zawołam.

Po chwili w jego polu widzenia pojawiła się kobieta w pielęgniarskim czepku i fartuchu. Delikatnie przytknęła do jego ust obficie namoczony wodą bandaż. Chciwie wysysał krople.

– Jeszcze – poprosił po rosyjsku.

– Powoli. Gorączkę zmierzymy – skarciła go, ku jego zdziwieniu po polsku, ale podała kolejną porcję wody.

Paweł zauważył, że choć nie jest młoda, ma bardzo delikatne dłonie. Trudne do nazwania wyważenie w ruchach, podobnie jak misternie upięte włosy i nienaganny krój sukni pod fartuchem też sugerowały, że praca w szpitalu nie jest jej głównym zajęciem. Przez moment się zastanawiał, kim jest ta kobieta, nie wyglądała przecież na siostrę miłosierdzia, które najczęściej pełniły rolę pielęgniarek – nie miała habitu. Może żona jakiegoś lekarza lub wojskowego? Słyszał, że czasem nawet dobrze urodzone panie zgłaszały się do takiej służby, chcąc być bliżej wysłanych na front mężów.

– Dziękuję – odparł po polsku.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i włożyła mu pod pachę termometr.

– Już myśleliśmy, że porucznik nie dojdzie do siebie. Jedną nogą był pan porucznik na tamtym świecie. A tu, proszę, gorączka spadła, rany się goją.

– Gdzie jestem? – szepnął i gestem poprosił o picie.

Tym razem pielęgniarka przytknęła mu do ust blaszany kubek. Pomyślał, że woda nigdy nie była taka smaczna.

– W Irkucku. W szpitalu. Pociąg dowiózł rannych z Charbina.

– Niewiele pamiętam.

– Nasi chirurdzy uratowali pana rękę i nogę. Będzie dobrze.

Lekarz, który po pewnym czasie przyszedł go zbadać, również okazał się Polakiem, co w jakiś sposób Pawła pokrzepiło. Dowiedział się, że do Irkucka przybył cały oddział sanitarny z Warszawy, złożony z polskich ochotników. Chciał wypytać doktora, czy jest tu jeszcze ktoś z jego jednostki, ale zarządzono jego przeniesienie do innej sali i kazano mu odpoczywać.

– Przyjdzie czas na rozmowy. Teraz zmiana opatrunku, lekki posiłek i sen.

Trudno było mu dyskutować z takimi zaleceniami, zresztą doktor zaraz udał się do kolejnych chorych, a Orłowski zajęły się pielęgniarki. Po całej operacji zmieniania bandaży, myciu, zjedzeniu jakiegoś mdłego kleiku i napojeniu lekarskimi poczuł się na tyle zmęczony, że rzeczywiście zasnął, tym bardziej że rozrywający ból w biodrze i ramieniu po medykamentach nieco się wyciszył. Przez moment tylko pomyślał, że nikogo nie dopytał, co właściwie się stało.

Kolejne dni mijały Pawłowi równie sennie. Powoli poznawał niemal cały polski personel irkuckiego szpitala. Wypytywał, czy jest tu ktoś z jego oddziału i od kiedy tylko mógł wstawać, odwiedzał kolegów. Lżej ranni też często przychodzili do niego, porozmawiać czy pograć w karty. Opowiadali o Sandepu, o Mukdenie i o polach pełnych trupów. Nikt nie chciał wracać na front, choć nie każdemu to się udawało. Żegnali się wychylonym naprędcie strzemiennym, mocnym uściskiem i życzeniami, żeby jeszcze dane im było się zobaczyć.

Ból zniknął i wracał, ale mimo wszystko każdego poranka Paweł czuł się silniejszy i sprawniejszy, więcej chodził, coraz częściej żartował z pielęgniarkami. Brakowało mu jedynie wieści o najbliższych towarzyszach broni, zwłaszcza o Antoszy Makarowie, o którym jak dotąd nikt nie miał informacji. Brakowało mu tego, gnębiło jak puste miejsce po obrazie na ścianie, drażniło i szpeciło rzeczywistość. Nie pamiętał, co się działo tuż przed tym, gdy został raniony, i nie potrafił sobie z tym poradzić. Anton Wasiliewicz był tam z nim, on by mu pomógł...

Czytał codziennie gazety dostarczane rekonwalescentom do szpitala, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź na swoje pytania. Dawało mu to tyle, że znał ogólną – nie najlepszą dla imperium – sytuację na froncie, ale to w żaden sposób nie rozjaśniało jego wspomnień.

Po kilku tygodniach czuł się na tyle dobrze, że zaczął się zastanawiać, kiedy odeślą go z powrotem do Mandżurii i czy tym razem los będzie dla niego równie łaskawy. Tym bardziej się zdziwił, gdy w drzwiach salki, w której go umieszczono, stanął pułkownik Andriej Maksymowicz Lebidiew we własnej osobie. Niedawno Paweł się dowiedział, że dostał oddzielny pokój na osobiste polecenie przełożonego. Wtedy go to zastanowiło, ale nie dopytywał i dopiero pojawienie się dowódcy sprawiło, że dostrzegł jeszcze inne oznaki specjalnych względów, które okazywano mu w szpitalu.

– Pawle Konstantinowiczu! Jak zdrowie? – Drzwi, popchnięte z impetem, uderzyły o ścianę.

– Wszystko jak najlepiej, *wasze wysokobłagorodie!* – zameldował Paweł karnie.

Na widok pułkownika stanął na baczność, ale ten niecierpliwym gestem kazał mu siadać.

Lebidiew, znany ze swojej bezpośredniości wobec lubianych przez siebie podwładnych, bywał przy tym wyjątkowo małomówny. Żartowano, że w gawędziarza zmienia się jedynie w towarzystwie pań, czego on sam nigdy nie komentował, ale też nie zaprzeczał. Bez ceregieli ucisnął Orłowskiemu dłoń, a następnie skinął na przybocznego, który podał mu wyściełane aksamitem pudełko z pokrytym emalią białym krzyżem z wizerunkiem Świętego Jerzego pośrodku. Paweł z niedowierzaniem przyglądał się pomarańczowo-czarnej baretce. Order czwartej klasy! Order, nie krzyż! Zaczął dziękować, ale ponownie został uciszony.

Tymczasem pułkownik gestem odprawił swoją świtę i umościł się na stojącym pod oknem fotelu. Sięgnął po papierośnicę i poczęstował podkomendnego własnoręcznie skręcanymi cygaretami. Dobrej jakości tytoń przyjemnie łaskotał w gardle. Paweł przez moment delektował się smakiem – nie miał zbyt wielu okazji, żeby palić takie papierosy. Pułkownik tymczasem zaciągnął się krótko dymem i po dwóch wydechach zgasił niedopałek.

– Cieszę się, że czujecie się lepiej, rozmawiałem z lekarzem. W przyszłą środę wyjeżdżam do Wilna. Kilka tygodni urlopu. I wam, poruczniku, też się to przyda. Moja żona serdecznie zaprasza do naszego majątku. – Uśmiechnął się przyjaźnie.

Orłowski milczał, całkowicie zaskoczony słowami dowódcy. Nerwowym gestem potarł policzek. Lekko wyczuwalny pod skórą zarost zachrząścił pod dotykiem. „Muszę się ogolić!” – pomyślał w dziwnej panice. Zachowanie pułkownika niepokoiło go, nie przywykł do uprzejmości starszych oficerów, częściej rugali go na czym świat stoi i zarządzali dodatkowe godziny musztry.

– *Wasze wysokobłagorodie...* Ja... jestem zaszczycony, ale... nie rozumiem – odważył się powiedzieć.

– Wy i Makarow uratowaliście mi życie, poruczniku.

– Poruczniku?

– Niewyraźnie mówię, Pawle Konstantinowiczu?! Na swojego adiutanta przecież nie wezmę ledwie podporucznika! – huknął Lebidiew, nagle zniecierpliwiony tym, że podkomendny sam nie domyślił się awansu.

Wobec oficerów, których ceniał, zwykł nie zachowywać wszystkich elementów wojskowej etykiety, więc Paweł w końcu zrozumiał, że został wyróżniony. Mimowolnie przeniósł się myślami do dnia, w którym został ranny. W szpitalu powiedziano mu, że miał wiele szczęścia, bo rzucony przez japońskiego żołnierza granat omal nie urwał mu nogi i poważnie poranił rękę. Rzeczywiście przedarli się wtedy do dowództwa i pomogli zorganizować jego rozsypaną po ataku wroga obronę. A tamten Japończyk przecież nie miał na celu zwykłego podoficera, skoro już się znalazł w pobliżu kogoś o wyższej randze... Paweł przypomniał sobie, że udało mu się odepchnąć napastnika i uniemożliwić trafienie Lebidiewa. Tak, uratowali z Antoszą pułkownikowi życie. Nagle znowu usłyszał huk wystrzałów, świst szrapneli, krzyki, smak prochu i krwi wypełniający usta. Poczł rozrywający ból w udzie i zobaczył Antona biegnącego w jego kierunku. W uszach zabrzmiało tamto rozpaczliwe: „Paszka!”.

– Antosza? – jęknął. – Co z nim?

Andrzej Maksymowicz westchnął.

– Drugi granat go rozszarpał, nie było co zbierać – oznajmił wprost. Umilkł potem, jakby się zamyślił. – Ordery nadajemy też pośmiertnie. Rodzina Antona Wasiliewicza dostała wszystko, co trzeba – dodał, ale do Pawła niewiele już docierało.

Gniewnie zduślił w dłoni niedopałek papierosa, nie zważając na żar piekący skórę. Przypomniał sobie wszystko. Anton nie ratował pułkownika... Chciał uratować jego... Łzy, których nie zdołał powstrzymać, nikłymi strużkami naznaczyły mu policzki. „Paszka, Paszka!” – teraz ciągle to słyszał, wyraźnie, jakby znowu byli tam, pod Mukdenem.

Lebidiew nie skomentował nawet słowem. Wyszedł, by wrócić po chwili z butelką koniaku. Nalał niemal pełną szklankę i wcisnął Orłowskiemu w rękę.

– *Žizn – kopiejka, sudzba – indejka. Pij, malczik** – powiedział łagodnie, jakby dawał choremu lekarstwo, i poklepał Pawła po ramieniu.

* ros. dosł. Życie to grosz, los to indyk – powiedzenie używane, aby podkreślić nieuchronność losu, kruchość życia i bezsens śmierci. Wspomniane w książce W. Dal, *Przysłowia i powiedzenia narodu rosyjskiego*, 1853.

Niespodziewany gest nie pomógł porucznikowi uspokoić emocji. Wstrząsnął nim szloch. Pospiesznie łyknął alkohol, jak wodę, nie zauważył, że płyn palił mu gardło, że zabrakło mu tchu. Ukrył twarz w dłoniach, a kiedy z powrotem unióśł głowę, był już w sali sam. Tylko pozostawiona na stoliku srebrna papierośnica świadczyła o niedawnej obecności pułkownika.

Rozdział VI

1905

Wrzesień przyniósł światu traktat z Portsmouth oraz zakończenie wojny rosyjsko-japońskiej. Wiadomość ta – choć zelektryzowała całą krajową i zagraniczną prasę – pozostała zupełnie obojętna dla Eweliny Strojnowskiej, która w tym miesiącu żyła przygotowaniami do powrotu do Warszawy. Po kilkuletnim pobycie w Wilnie i ukończeniu tam renomowanej pensji dla panien nie mogła się doczekać wszystkich, jakże ekscytujących, możliwości i okazji, czekających na nią w stolicy: spotkań, przyjęć czy wieczorków, gdzie będzie przyjmowana jako dorosła panna. Wszak teraz najważniejszym jej zadaniem jest dobre zamążpójście. Konieczność ta równocześnie Lineczkę kusiała i przerażała. Zazdrościła trochę swojej najbliższej koleżance, Basieńce z Olęborskich, o której rękę od dawna zabiegał pan Edmund Liszewski – mężczyzna majątny i przystojny, o czym Ewelina przekonała się naocznie poprzez fotografię narzeczonego, którą pokazała jej przyjaciółka. Basia nie musiała się więc martwić o swoją przyszłość. „Ach, żeby i mnie trafił się taki uczciwy kawaler” – wzdychała, wspominając ostatnie chwile na pensji.

– Lineczko, upewnij się, czy twoje rzeczy są odpowiednio przygotowane do spakowania. Pojutrze wyjeżdżamy – napominała ją przy śniadaniu ciotka Leokadia.

Doprawdy nie musiała. Jej podopieczna o niczym innym nie myślała przez ostatnie tygodnie, ledwo złożyła końcowe egzaminy, zresztą uzyskując wyróżnienia we wszystkich przedmiotach.

– Oczywiście. Przygotowałam listę i wszystko z Czesią sprawdzimy. Powiem cioci, że ona chyba jeszcze bardziej czeka tego powrotu niż ja! – Zaśmiała się.

– Niemożliwe, *ma chère* – przekomarzała się z nią ciotka. – Czesia nie opowiada o tym od rana do nocy, tak jak ty.

– Ależ rozmawiamy o tym codziennie – przekonywała Ewelina.

Dopiero serdeczny śmiech Leokadii naprowadził dziewczynę na myśl, że pani Jarczycowa nie jest do końca poważna w tych zarzutach. Nieco skonfundowana zamilkła i lekko unosząc podbródek, skierowała spojrzenie na okno. Widząc czyste, rozświetlone słońcem niebo pożałowała, że zamiast pójść na przechadzkę, żeby skorzystać z pięknej pogody i właściwie pożegnać się z miastem, spędzi większość dzisiejszego dnia na pilnowaniu, czy Czeška pamięta, co powinna zabrać.

– No już, już, nie bocz się. Mam dla ciebie niespodziankę. Pójdziemy dziś do magazynu Hegenta, zamówiłam dla ciebie nową suknię podróżną, bardzo wygodną, z cienkiej wełnki. A w tajemnicy ci powiem, że w Warszawie pójdziemy do Hersego, będziesz potrzebowała odpowiedniego stroju na wizyty towarzyskie.

Ewelina pisnęła z radości, w sposób, który żadną miarą nie przystawał do statecznej panny na wydaniu, i uściskała ciocię, bo nowe suknie wręcz uwielbiała. Poza tym było naturalne, że zakupy koniecznie trzeba uzupełnić o niezbędne dodatki – rękawiczki, kapelusik i może nawet buciki.

Niespełna dwie godziny później Lineczka stała przed eleganckim tremo i podziwiała swoje odbicie. Suknia gołęmbim odcieniem idealnie podkreślała kolor jej oczu, a ciemnofioletowe hafty zdobiące brzeg spódnicy i rękawy żakietu dodawały całości charakteru. Dopasowany krój z minimalnymi draperiami z tyłu i po bokach eksponował nienaganną figurę dziewczyny, a wykończona delikatną stójką bluzeczka zgrabnie dopełniała wizerunku. Do tego Leokadia dobrała bardzo modny, zgrabny kapelusik i zapinane na dwa rzędy guziczków trzewiki.

– Przepięknie, *chère*! Zawsze powtarzam, że młodości potrzebny jest minimalizm.

Ewelina również była zachwycona, chociaż nie do końca zgadzała się z ideą, że im mniej, tym lepiej. Suknię na pierwszy bal zamierzała sobie sprawić z odpowiednio bogatym zestawem tiuli, falban i zdobień. Marzyły jej się drobno haftowane kwiatuszki, pokrywające całą tkaninę, i powłóczyste spódnice pięknie wirujące podczas tańca.

Bilety do przedziału pierwszej klasy miały wykupione już od kilku tygodni. Początkowo Lineczka miała wracać do rodzinnego miasta sama – oczywiście nie licząc Czesi – ale ciotka uznała, że chciałaby jeszcze ostatni raz wybrać się do stolicy i zobaczyć rodzinę. „Czuję, że lada moment zdrowie mi nie pozwoli na eskapady. A i czasy coraz to bardziej niespokojne” – tłumaczyła. Z tego obrotu sprawy najmniej zadowolona była Czesława, która – jeżeli nie musiała towarzyszyć panience – została skazana na podróż niższą klasą, ale ze zrozumiałych względów nie skomentowała ani słówkiem zmiany decyzji.

Pociąg pospieszny wyjeżdżał z Wilna w kierunku Warszawy o pierwszej piętnaście czasu petersburskiego, by po dziewiątej wieczorem być na miejscu. Oczywiście na stację udały się odpowiednio wcześniej, ciotka Leokadia nie cierpiała spóźnień i pośpiechu, dlatego zarządziła tak wczesne wyjście z domu, że w efekcie przybyły na stację grubo przed godziną odjazdu pociągu.

– Ciociu, może napijemy się herbaty? – zaproponowała zrezygnowana Ewelina.

Ona z kolei nie znosiła czekania, a już gwar na peronie, mieszanina języków i przypadkowość ludzi, których tam mogła spotkać, powodowały, że sama stawała się nerwowa.

– Oczywiście, moja droga, doskonały pomysł. Rozsiądziemy się w kawiarni, a zanim przyniosą nam tę herbatę, pociąg odjedzie – zirytowała się Leokadia Jarcycowa.

Również była podminowana sytuacją. Nie można przecież mieć do niej pretensji, bo się nie spodziewała, że Czeška tak szybko uwinie się ze wszystkimi obowiązkami! Poza tym lepiej być zbyt wcześnie niż zbyt późno, ot co! To pomyślawszy, dumnie uniosła podbródek, nie zamierzając już komentować pomysłów swojej podopiecznej.

– Zdążymy! Niemożliwe przecież, żeby nie mieli nastawionego samowara – zaprotestowała dziewczyna.

– Ewelino Klaro Strojnowska! – przerwała jej ciotka dobitnie. – Napijemy się herbaty już w pociągu.

Dziewczyna stłumiła westchnienie, ale odpuściła dalszą dyskusję. I tak ciocia pozwalała jej na więcej swobody niż kiedykolwiek rodzice, zwłaszcza *papa*...

Buchająca parą lokomotywa wtoczyła się na stację co do minuty zgodnie z rozkładem i wkrótce konduktor poprowadził Leokadię i Ewelinę na wykupione miejsca. Przedział pierwszej klasy okazał się komfortowy i obszerny, z siedzeniami wykładanymi miękkim pluszem i takimiż zasłonami w oknach. Miały do dyspozycji oprócz standardowej umywalni, stolików oraz lampek do czytania samowar i komplet filiżanek, a obiad miał być podany mniej więcej w połowie podróży.

Zanim pociąg był gotowy do odjazdu, bagaże umieszczono bezpiecznie w odpowiedniej sekcji wagonu, a obie panie umościły się wygodnie przy dużym oknie. Jako że nadal w przedziale pozostawały same, Ewelina wyraziła nadzieję, że nie zmieni się to w najbliższym czasie, ale zaledwie na minutę przed pierwszym gwizdkiem konduktor uchylił drzwi, w których zaraz pojawił się starszawy mężczyzna w ciemnogrnatowym mundurze oficerskim. Niebiesko-żółte wyłogi na kołnierzu kurtki i rękawach świadczyły, że należy do jednego z elitarnych pułków stacjonujących w Warszawie.

– Tutaj, *wasze wysokobłagorodie*, zapraszam.

Leokadia westchnęła w duchu na widok wchodzącego. Rosjanin, do tego – sądząc po insygniach na pagonach – pułkownik, nie wypadało prosić, aby poszukali innych miejsc. Zresztą najwyraźniej nikt nie zamierzał w tej kwestii pytać o opinię. Uprzejmie odpowiedziała na powitanie, nie dając po sobie poznać, że obecność obcego nie jest jej na rękę.

– Mam nadzieję, że nie będzie paniom przeszkadzało nasze towarzystwo? Proszę sobie wyobrazić, że to były ostatnie miejsca, a nabywaliśmy bilety w pośpiechu, bo przyspieszono moje wezwanie do Warszawy.

Na zewnątrz rozległy się gwizdki i wagon ruszył łagodnie, powoli nabierając prędkości.

Za pułkownikiem do przedziału wsunął się wyższy od niego i znacznie młodszy szatyn w podobnym mundurze, jednak o niższej szarży. Ukłonił się grzecznie i wyraźnie czekał na dyspozycje swojego przełożonego.

– Oczywiście, że nie, panie pułkowniku. – Leokadia uśmiechnęła się czarująco, a Ewelina skłoniła głowę, bardziej chyba, aby ukryć rozczarowanie, że nie będą same w podróży, niż dlatego, że tak wypadało.

– Andriej Maksymowicz Lebediew, niemiernie mi miło. I pozwolą panie, że mój adiutant, porucznik Paweł Konstantinowicz Orłowski, dotrzyma mi towarzystwa.

– Jak najbardziej nie mamy nic przeciwko – skłamała Leokadia i dokonała odpowiedniej prezentacji. Zauważyła przy tym, że młody porucznik nieco zbyt długo przypatrywał się Ewelinie, aż ta lekko się zarumieniła, czując na sobie jego spojrzenie.

Pułkownik opadł w końcu na siedzenie, ale adiutantowi wydał dyspozycję, by ten podał wszystkim herbatę. Paweł wykonał polecenie i usiadł dopiero, gdy zezwolił na to dowódca.

– Leokadio Stanisławowna, na długo panie się wybierają do Warszawy? Donoszą, że tam coraz niebezpieczniej. Te wszystkie ataki... – Lebediew nie dokończył, jedynie pokręcił głową.

– Czytałam w gazetach, ale mam szczerą nadzieję, że wkrótce zapanuje spokój, zwłaszcza że moja podopieczna wraca do stolicy na stałe.

– O, i ja na to liczę. Można powiedzieć, że w tym celu tam jedziemy. – Oficer uśmiechnął się z udawaną skromnością. – Panna Ewelina Adamowna pewnie studiowała w Wilnie?

Leokadia przytaknęła, ale nie chcąc krępować Lineczki zbyt dużym zainteresowaniem wojskowych, skierowała rozmowę na zakończenie wojny w Mandżurii, chwalać decyzję rosyjskiego dowództwa jako strategiczną i dyplomatycznie nie wspominając o porażkach, których doznało imperium.

– Doceniam, *gospoża*, waszą powściągliwość i dyplomację. Przyznaję, że różne są oceny tego, co się wydarzyło. Ja wróciłem z wojny szczęśliwie tylko dzięki Pawłowi Konstantinowiczowi. Gdyby nie on... – Pułkownik machnął ręką. – Taki to los nieprzewidywalny, ale każdy żołnierz musi się z tym mierzyć.

– Chętnie posłuchamy tej opowieści, Andrieju Maksymowiczu – zapewniła Leokadia.

Z ciekawością spojrzała na porucznika, który na wzmiankę o sobie nieznacznie zacisnął szczęki, wyraźnie rysujące się pod pozbawionymi zarostu policzkami, jakby sytuacja go zawstydziała. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Ewelina, która dotąd podziwiała przesuwający się za oknem dość monotony widok, postanowiła sięgnąć po kuferek, gdzie schowała lekturę przygotowaną na podróż. Zapowiadało się, że pułkownik jest gawędziarzem i postawił sobie za punkt honoru zabawiać ciotkę, miała tylko nadzieję, że nie będzie wciągana do tych rozmówek. Chociaż to, co opowiadał Rosjanin o tym, jak jego adiutant został ranny, bohatersko ratując mu życie, akurat wzbudziło zainteresowanie i podziw dziewczyny. Nie przypuszczała, że ktoś tak młody, jak ten siedzący niedaleko drzwi porucznik zdążył już tyle przeżyć. Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej, ale nie wypadało przecież dopytywać.

Ledwo się podniosła, Paweł znalazł się przy niej, oferując pomoc. Wskazała mu półkę i speszona wróciła na miejsce. Dostrzegła, że ciocia uśmiechnęła się lekko, widząc zaangażowanie porucznika.

– Dziękuję panu – odparła, ciszej niż zamierzała.

– Bardzo proszę. Czy coś jeszcze mogę dla panny zrobić? – spytał po polsku, a Ewelina zdziwiona odmówiła.

Zaskoczył ją, choć przecież nazwisko wyraźnie wskazywało na pochodzenie, jednak ten mundur... Poza tym nie spodziewała się, że będzie taki bezpośredni. Niepewnie zerknęła na ciotkę Leokadię, ale ona była już zwrócona w stronę rozmówcy.

Wydana przez firmę Gebethner i Wolff *Lalka* Bolesława Prusa wciągnęła Lineczkę od pierwszego tomu i teraz z przyjemnością kontynuowała lekturę, zaczynając już tom trzeci. Wkrótce poczynania Stanisława Wokulskiego tak ją zaabsorbowały, że przestała zwracać uwagę na otoczenie, tylko przewracała kolejne kartki powieści. Nie zdawała sobie sprawy, że minęli Grodno, ciocia Leokadia przymknęła oczy i zapadła w drzemkę, podobnie jak pułkownik Lebediew, tylko Paweł nie spał. Choć zdawał sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania, nie potrafił się oprzeć i przez cały czas ukradkiem przyglądał się czytającej Ewelinie. Wydawała mu się tak piękna, że aż nierzeczywista. Słońce wydobywało złote refleksy z jej popielatych włosów, długie rzęsy ocieniały delikatne policzki. Co jakiś czas – zatopiona w lekturze – nieświadomie przygryzała lekko wargę albo pocierała nos. Bardzo chciał z nią porozmawiać, jeszcze raz usłyszeć delikatny głos dziewczyny. Kiedy się wtedy odezwała,

nawet po rosyjsku, aż przeszył go dreszcz. Jeszcze żadna kobieta nie zrobiła na Orłowskim takiego wrażenia jak panna Strojnowska, nawet młoda siostra miłosierdzia Natasza, do której wzdychali wszyscy ranni żołnierze z irkuckiego szpitala, ani córka pułkownika Rostowa, która niesamowitą orientálną urodę odziedziczyła po swojej matce i czarowała uśmiechem tak umiejętnie, że niejedno męskie serce drgało gwałtowniej na jej widok...

Czas mijał, Ewelina przewracała stronę za stroną, a on nie mógł się napatrzeć. W pewnym momencie dziewczyna podniosła wzrok znad książki i spojrzała prosto na Pawła. Zamarł, nie śmiejąc nawet głębiej odetchnąć. Przyłapany na impertynencji, poczuł, że jego policzki okrywają się rumieńcem. Równocześnie chciał, żeby ta chwila trwała wiecznie, żeby spoglądała na niego swoimi stalowobłękitnymi oczami, ale dziewczyna, speszona intensywnością jego wzroku, zaraz odwróciła głowę.

– Proszę wybaczyć – szepnął, ale nie miał pewności, że usłyszała, bo naraz zdarzyło się kilka rzeczy.

Pociąg przyhamował tak nagle, że obudził chyba wszystkich śpiących pasażerów, Lebediew, wyrwany z drzemki, zażądał naparzenia herbaty, a odgłosy dochodzące z korytarza zapowiadały, że rychło zostanie podany obiad. Paweł zerwał się, gotowy usłużyć pułkownikowi, jednak na tyle niezgrabnie, że potknął się i o mało nie upadł, nie mogąc utrzymać równowagi na niedawno wygojonej nodze.

– Przepraszam – powtórzył, tym razem po rosyjsku.

Po posiłku i krótkiej grzecznościowej pogawędce Lebediew zapragnął wypalić nieco tytoniu, ale nie chcąc narażać towarzyszek podróży na niedogodność wdychania gryzącego dymu, zdecydował się na spacer po korytarzu. Orłowski podążył za dowódcą, ale nie miał ochoty na papierosa. W myślach i przed oczami wciąż miał zaczytaną Ewelinę.

– Ech, młodość – mruknął dobrotliwie pułkownik. – Widzę, że panna ci się spodobała.

Paweł nie odpowiedział. Patrzył w okno, za którym przesuwał się wciąż podobny krajobraz płaskich pól oddzielonych lasami. Uświadomił sobie nagle, że wraca do Polski. Do domu... Postanowił napisać do Józefa, gdy tylko zakwaterują się w nowym miejscu. Ostatnią kartkę wysłał Borkowi jeszcze z Irkucka, ze szpitala. Bardzo rzadko rządca odpisywał na te listy, ale Orłowski regularnie nadawał je na pocztę. Zwłaszcza gdy był młodszy, świadomość, że jest jakiś adres, pod który może przesłać kilka słów, nawet gdy nie miał odpowiedzi, była dla niego krzepiąca. Potem pozostało przyzwyczajenie, chociaż kiedy przebywał w majątku Lebediewa pod Wilnem, goszczony niczym bohater przez jego rodzinę – co Pawła niemiernie zawstydzalo, a pułkownika bawiło – jakoś nie pomyślał, żeby informować o tym Józefa. Jedynie wysłał list do rodziny Antona Makarowa, pisał go zresztą przez kilka dni, kreśląc i zaczynając od nowa, bo nie wiedział, jak wyrazić współczucie i żal, który go trawił po śmierci przyjaciela. Wyrzuty sumienia pozostały z nim do dziś i wielokrotnie powtarzał sobie, że to Antosza powinien być tutaj, na jego miejscu.

Dalsza podróż minęła dość leniwie i sennie. Leokadia gawędziła z Lebediewem, Ewelina czytała, a Paweł udawał, że nie patrzy w jej kierunku. Żałował, że jadą pospiesznym składem i czas, kiedy się rozstaną, nadejdzie nieubłaganie szybko, oraz że nie potrafi nawet porozmawiać z panną Strojnowską, a przecież tak bardzo ciekawiły go jej słowa. Zastanawiał się, jak zadać pytanie o książkę, którą Lineczka czyta, czy to w ogóle przystoi tak zaczepiać młodą pannę, i wszystko wydawało mu się nie na miejscu. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek dane jeszcze będzie im się spotkać. Bo że zapamięta tę podróż, nie miał wątpliwości.

Do Warszawy dojechali bez opóźnienia. Powitał ich gwar polskiej mowy, dominującej tutaj, w przeciwieństwie do dworca w Wilnie. Pani Jarcycowa odetchnęła jakby głębiej, swobodniej. Zawsze tak reagowała na powrót w rodzinne strony. Kochała Wilno, kojarzące jej się ze szczęśliwymi czasami małżeństwa, ale im była starsza, im więcej czasu mijało od śmierci Alfreda, tym większym sentymentem darzyła Polskę.

Ewelina rozglądała się niecierpliwie, wypatrując brata, który zapowiedział, że odbierze je z dworca, a ciotka Leokadia utyskiwała na Czesię, żeby ta szybciej zorganizowała bagażowego. Na to wszystko podszedł pułkownik, chcąc się pożegnać.

Huku, który dobiegł gdzieś od strony budynku dworca, nikt się nie spodziewał. Lineczka pisnęła, zawtórowała jej ciotka, tłum wokół zafalował, zewsząd dochodziły okrzyki przestrochu, ludzie się przepychali, jakby w ciżbie nie mogli zdecydować, czy lepiej być jak najdalej miejsca wybuchu, czy ulec ciekawości i biec w jego kierunku.

Orłowski i Lebediew osłonili obie panie, odgradzając je od spanikowanych ludzi. Paweł w ostatniej chwili podtrzymał bladą ze strachu Ewelinę, która o mało nie upadła. Wydawał się tym nagłym kontaktem równie mocno zmieszany jak ona.

– Poruczniku, sprawdźcie, którędy panie mogą jak najbezpieczniej opuścić peron.

– *Słuszajus!*

– Ciociu Leokadio! Lineczka! – Stanisław Strojnowski pojawił się niemal w tym samym momencie, w którym Orłowski ruszył wykonać rozkaz pułkownika. – Nic wam się nie stało? – zapytał z nadzieją.

– Staszek, jesteś! – Ewelina, nie zważając na konwenanse, zarzuciła bratu ręce na szyję i wtuliła się w niego wystraszona jak nigdy. – Tak dawno cię nie widziałam! Zabierzesz nas stąd, prawda?

– Wszystko gotowe, powóz na was czeka, tylko zabrać bagaże. No już, Lineczko, nie mazgaj się. Zobacz, jest wojsko, zaraz wszystko będzie pod kontrolą.

– Szanowny pan ma rację, *sudarnia* – wtrącił się pułkownik Lebediew, który najwyraźniej rozumiał nieco po polsku. – Za chwilę będzie spokój.

– Co tam się wydarzyło? Nie rozumiem... – Zdezorientowana Leokadia rozglądała się bezradnie.

Nikt jej nie odpowiedział.

– *Wasze wysokoblagorodie*, podłożono bombę, ale sytuacja opanowana. Kozacy kontrolują wyjścia z dworca, karetki zabierają właśnie rannych. Podobno dwóch zabitych żandarmów i dwoje cywilów. Na miejscu jest oddział generała majora Czerkasowa – zameldował Orłowski, stając na baczność przed pułkownikiem.

Ewelina poczuła, że wciąż obejmujący ją brat napiął mięśnie, słuchając słów porucznika, jakby coś go szczególnie zdenerwowało. Zaraz jednak się opanował i spytał grzecznie po rosyjsku, czy będą mogli opuścić dworzec, czy trzeba czekać.

– Eskortujemy państwa – zapewnił go uprzejmie Lebediew. – Podróż minęła nam w tak miłym towarzystwie, że nie zostawimy teraz pań bez opieki. Proszę pójść z nami, panie...

– Stanisław Strojnowski, jestem bratem Eweliny – przedstawił się.

Zmitrężyli chwilę na wzajemną prezentację, przy czym Leokadii nie umknął skrywany wyraz ulgi, który pojawił się na twarzy porucznika Orłowskiego, gdy Staszek powiedział, kim jest. I nerwowy grymas na twarzy tego drugiego... Przez ten czas i Czesia uspokoiła się na tyle, żeby wezwać bagażowego, więc mogli w asyście obu oficerów ruszyć do wyjścia. Przy opuszczaniu dworca rzeczywiście minęli oddział żandarmerii, kontrolujący wychodzących, jednak widząc Lebediewa, jedynie oddali honory. Nikt ich nie zatrzymywał. Tylko Ewelina, której Stanisław zaferował ramię, ponownie odnotowała to szczególne napięcie w postawie brata. Podobnie jak przed kilkoma minutami wrażenie szybko minęło i nawet zaczęła się zastanawiać, czy to nie złudzenie, wszak sama była zdenerwowana.

W powozie wiozącym ich do kamienicy wszyscy odetchnęli.

– Dobrze, że już jedziemy, rodzice na pewno się zamartwiają, co tak długo.

Ewelina, wciąż przejęta tym, co się stało, ostrożnie wyglądała przez okno. Nie tak wyobrażała sobie przyjazd do domu. Warszawa się zmieniała z każdym jej powrotem i nie chodziło nawet o nowe domy. Na ulicy Wileńskiej, prowadzącej od dworca Petersburskiego, była coraz lepiej oświetlona, ale też znacznie więcej żołnierzy carskich patrolowało okolicę. Jakaś nieuchwytna do końca nuta ekscytacji pomieszaną ze strachem dawała się wyczuć w spojrzeńcach mijających żandarmów ludzi.

– Może lepiej, że są te patrole – mruknęła ciotka Leokadia, gdy powóz musiał ustąpić miejsca kolejnemu oddziałowi kozaków. – Kto to widział, żeby detonować bomby wśród tylu niewinnych ludzi!

– Może jakby nie te patrole, to nikt by nie myślał o bombach – zripostował kwaśno Stanisław.

– Co też ty mówisz?! To już nie ma innych sposobów niż krzywdzenie rodaków?

– Słyszała ciocia, co mówił ten młodszy Moskal. Wynika z tego, że polowali na Czerkasowa. Wie ciocia, kto to jest? Ja wiem! Pomocnik generał-gubernatora do spraw policyjnych. Tajna policja! Dzięki nim wielu patriotów zostało osadzonych w Cytadeli, w Pawilonie Dziesiątym! – tłumaczył wzburzony, nie zważając na marsową minę Leokadii i zdeorientowane spojrzenie siostry.

– I to według ciebie usprawiedliwia dwie przypadkowe śmierci? Mało nam wojen, powstań, zamieszek, potrzebne jeszcze te demonstracje? Potrzebne zabijanie bombami kogo popadnie? Zamilcz, Stanisławie, nie chcę o tym słuchać!

Leokadia odchyliła głowę na oparcie i przymknęła oczy, a młody Strojnowski krzyknął, żeby zatrzymać powóz. Zanim Ewelina zdążyła cokolwiek powiedzieć, bez pożegnania wyskoczył na ulicę.

– Oburzające zachowanie – mruknęła ciotka i dała sygnał do dalszej jazdy.

Rozdział VII

1905

***Nie przypuszczałam, że zostaniemy tak powitane! – utyskiwała Leokadia. Zjadły już kolację i razem z rodzicami Eweliny siedziały przy herbacie, a ona wciąż rozpamiętywała zachowanie Stanisława. – Po prostu wysiadł! Co on sobie wyobrażał?

– Droga Leokadio, nasz syn sam za siebie odpowiada, myślę, że będzie miał okazję się wytłumaczyć. – Adam Strojnowski w końcu nie wytrzymał.

– Oczywiście, broń swojego syna! Słusznie zrobiłam, że postawiłam na Lineczkę, a nie na tego impertynenta! I że jeszcze popiera tych... terrorystów? Wydawał się zorientowany w ich poczynaniach!

– Nie bronię go, Leokadio. Po prostu mam już dość rozmowy o tym. Wolałbym się cieszyć z powrotu córki, niż zajmować niewłaściwym zachowaniem syna!

Po tym oświadczeniu zapadła wymowna cisza. W salonie dał się słyszeć tylko stukot kropeł deszczu uderzających o szyby. Cały dzień był słoneczny, dopiero noc przyniosła załamanie pogody, przypomnienie o nadchodzącej jesieni.

Leokadia Jarczykowa westchnęła głośno, ale już nie wróciła do tematu. Ewelina przyjęła to z ulgą, też miała dość narzekania na postępowanie brata, choć sama miała mu za złe tę dziwną ucieczkę – tyle czasu się nie widzieli, nawet listy przysyłał wyjątkowo rzadko. Wiele sobie obiecywała po tym, że zaoferował się odebrać je z dworca, i doznała zawodu. Liczyła, że porozmawiają, że opowie w końcu, co u niego. A tymczasem spotkała człowieka, który niezbyt interesował się jej losem, uwikłanego w coś, czego do końca nie rozumiała. Z taką nienawiścią mówił o tym... Czerkasowie. Skąd w ogóle go znał? Ewelina nie wiedziała nawet, kto to jest. Oczywiście, czytała w gazetach o zamieszkach, o buntach robotników, ale co miał z tym wszystkim wspólnego jej brat? Rozmyślała o tym jeszcze długo, zanim zasnęła.

Następnego dnia, ledwie wstała, ogarnęła ją radość. W końcu była w domu! W swoim pokoju, do którego sama doбираła meble i bibeloty. Oczywiście w luksusowym mieszkaniu Leokadii wcale nie było jej źle, wręcz przeciwnie, jednak to nie ona decydowała o wystroju, a gust cioci znacznie odbiegał od upodobań Lineczki.

Piękne słońce za oknem jakby na zamówienie potęgowało jej nastrój. Przypomniła sobie o prezentach, które przywozła dla rodziny, i gdy tylko w drzwiach jej sypialni pojawiła się Czesia, od razu nakazała jej wszystko przygotować.

– Panienska uważa, że zapomniałam? Po śniadaniu będą gotowe – fuknęła służąca.

– Czesława dziś nie w humorze...

– A jakże, bo w nocy nie spałam. Pan Stanisław się awanturował. Nie przywykłam. Kto to myślał, żeby w takim stanie wracać, jeszcze by go aresztowali!

– Stanisław wrócił pijany?

– No przecież mówię! – Czesia westchnęła teatralnie i zabrała się za przygotowywanie ubrania dla Eweliny. –

Nie dość, że w pociągu musiałam znosić impertynenckich kupców, którzy palili taki tytoń, że oddychać nie mogłam, to jeszcze to! – gderała pod nosem.

– Pomóż mi tylko z gorsetem – zdecydowała dziewczyna.

Nie chciała sobie psuć humoru wysłuchiwaniami narzekań służącej. Oczywiście mogła nakazać Czesławie, by zamilkła, ale kobieta znała ją już tyle lat, że Ewelina traktowała ją niemal jak członka rodziny. Nie wyobrażała sobie życia bez jej dobrotliwych reprimend, gdy zasłużyła na naganę, i ciepłych słów, a nawet opiekuńczych ramion, gdy potrzebowała pocieszenia. Ileż to razy Czesia ocierała jej łzy i wykradała dla niej w tajemnicy przed matką słodkie ciasteczka, żeby przestała się smuć.

Z zakładaniem pozostałej bielizny oraz codziennej sukienki poradziła sobie dość szybko. Wybrała prostą szarą spódnicę i białą bluzkę z koronkową stójką. Materiał był już nieco znoszony, więc miała nadzieję, że ciocia

dotrzyma obietnicy i zabierze ją na zakupy.

Ledwie wyszła ze swojej sypialni na korytarz, dobiegły ją podniesione głosy. Ku swojemu zdziwieniu rozpoznała głos tatki, a on przecież nigdy nie dopuszczał do awantur. Zaniepokojona przyspieszyła kroku.

– Dobrze więc, skoro nie ma tu dla mnie miejsca, wyprowadzę się! – Usłyszała wzburzonego Stanisława.

Brat stał przed ojcem z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, ale z zaciśniętymi pięściami. Ewelina z zażenowaniem odnotowała, że miał na sobie wczorajszą koszulę, nawet bez kamizelki, a jego policzki wymagały golenia.

– Dla ciebie jest miejsce, ale nie dla takiego zachowania i narażania nas! Nie możesz się włóczyć pijany po ulicy ani znosić tutaj... – Przerwał nagle, dostrzegłszy córkę. – Lineczko, idź, proszę, do jadalni, mama czeka – powiedział spokojnym głosem.

– *Papa*, co się dzieje?

– Nic się nie dzieje, *ma chère*. To sprawa między mną a Stachem.

– Ale...

– Żadnego „ale” – uciął ojciec i nie pozostało jej nic innego, tylko posłuchać.

Jednak w stronę jadalni szła jak najwolniej w nadziei, że wychwyci coś jeszcze z rozmowy, ale obaj panowie konsekwentnie milczeli, zanim nie zamknęła za sobą drzwi. Próbowała pozostawić je uchylone, ale doskonale znająca swoją córkę Barbara poleciła je domknąć.

– *Maman!* – Ewelina dopadła do matki. – Dlaczego tatko krzyczy na Staszka? Co tu się wydarzyło?

– Linusiu, będzie lepiej, jak nie będziesz się w to wtrącać.

– Ale ja już nie jestem dzieckiem! – zaprotestowała. – Mam prawo wiedzieć, co się dzieje w naszej rodzinie.

Miała na końcu języka wyznanie, co zdradziła jej Czesia, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Gdyby wypaplała, że służąca opowiada jej plotki, prawdopodobnie już żadnej by nie usłyszała.

– Tupnij jeszcze, Ewelinko, doda ci to powagi. Skoro ojciec zdecydował, że to nie jest twoja sprawa, to po prostu przyjmij, że tak ma być. – Pani Strojnowska pozostała spokojna, choć po jej ustach błąkał się nieco ironiczny uśmiezek. – Ciocia Leokadia zaraz zejdzie do nas na śniadanie i mam nadzieję, że oni przestaną już się kłócić, bo znowu tylko o tym będzie mówiła – dodała poważniej.

– Nie rozumiem... Tak się cieszyłam, że Staszek wrócił z Francji, a teraz...

– Lineczko! – upomniała ją matka, żeby nie wracała do tematu. – Ale może pocieszy cię moja niespodzianka dla ciebie.

– Niespodzianka?

– Wczoraj doszedł list od Marianny. Niedługo do nas zawita ze swoimi córeczkami! Nie mogła się doczekać twojego powrotu z Wilna.

– Cudownie! – Ewelina aż podskoczyła na krześle. – Mam nadzieję, że zostanie na dłużej i zdążę się nimi wszystkimi nacieszyć. A pan Seweryn także będzie?

– Chyba tylko na kilka dni. Ma obowiązki w szpitalu, odkąd został ordynatorem – westchnęła Barbara. – Marianka pisała, że mają teraz mniej czasu dla siebie.

Ewelina podała matce filiżankę herbaty i napełniła również swoją. Lubiła serwis, który najczęściej używano w rodzinnym domu – z cieniutkiej rosyjskiej porcelany malowanej w delikatne kwiatuszki, ze złoceniami na brzegach i uszkach.

Po kilku minutach do jadalni wkroczył pan Strojnowski. Bez słowa zajął miejsce obok żony.

– Wszedł – odparł na jej pytające spojrzenie.

Nic więcej nie dodał, bo w pomieszczeniu pojawiła się ciotka Leokadia i można było zacząć śniadanie. Nieobecności Stanisława nikt już nie komentował, a rozmowa – co równocześnie złościło i cieszyło Lineczkę – skupiła się na przyjeździe Marianny z dziećmi oraz na najbliższych planach, czyli spacerze po Warszawie.

– W Ogrodach Ujazdowskich są nowe rośliny, możemy też odwiedzić Łazienki – zaproponowała Barbara.

Tymczasem Leokadia domagała się, żeby sprawdzić repertuar teatrów.

– I koniecznie wyprawa na zakupy! – dodała, patrząc na swoją ulubioną podopieczną. – Nie pójdzie przecież do teatru w sukni z poprzedniego sezonu. Nie patrz tak na mnie, Basiu, to jest właśnie ten moment, kiedy będę ją rozpieszczać.

– Ależ Leosiu... – wtrącił się Adam, ale pani Jarcycowa przerwała mu tonem nieznośnym sprzeciwu.

– Powiedziałam i nie zamierzam tego zmieniać. Ewelinka tak pilnie się uczyła, że mało kiedy bywała w teatrze. Przyznam zresztą, że u nas, w Wilnie, trudno o spektakle odpowiednie dla młodych panien. Najwyższy czas to zmienić, przecież Lineczka teraz na wydaniu – oznajmiła.

Wśród miłego gwaru i żartów Ewelina niemal zapomniała o nieobecności Stanisława przy stole. Dopiero w momencie, gdy zadysponowała rozdanie swoich prezentów, na nowo uderzył ją smutek wywołany zachowaniem brata. Postanowiła mimo wszystko dostosować się do prośby matki i nie skomentowała tego ani słowem. Przeznaczony dla niego jedwabny szal z odpowiednim kompletem spinek mogła przecież wręczyć później.

– Czesiu, poproszę o moje zakupy! Były w walizce z bielizną! – zawołała, kiedy nie znalazła podarków na stoliku pod oknem, gdzie poleciła je wypakować. – Zapomniałaś, o co prosiłam?

– Nie zapomniałam, panienko. – Czesława z gradową miną wynurzyła się z garderoby.

Oburzenie Eweliny dziwną niesubordynacją pokojówki znacznie wzrosło, gdy zobaczyła jej puste ręce.

– To gdzie one są? – zapytała, siląc się na spokój.

– Właśnie miałam panience mówić. Mamy kłopot... – bąknęła niepewnie, zupełnie jak nie ona.

– Jaki kłopot, na litość, Czesiu! Powiesz w końcu?! – Zniecierpliwiona ciągłymi niedomówieniami dziewczyna aż podniosła głos. Szybko się zreflektowała, widząc, że Czesława tylko opuściła głowę, zamiast upomnieć ją, że dobrze wychowanej pannie krzyki nie przystają.

– Zdaje się, że z dworca przywieźliśmy nie panienki walizkę, tylko... no... jakąś inną.

– Inną? Bagażowy zamienił mój nowy skórzany kufer podróżny? Ale na pewno?

– Na pewno, na pewno – westchnęła Czesia. – No na zewnątrz to ona wygląda identycznie, ale panienka raczej męskich kalesonów i wojskowych koszul nie nosi...

Zażenowana dziewczyna przyłożyła dłonie do pokrywających się rumieńcem policzków. Co za wstyd! To oznaczało, że jakiś mężczyzna otworzył jej bagaż z halkami, gorsetami i pończochami. W tym strasznym momencie owinięte w elegancką bibułę prezenty okazały się już zupełnie nieważne. Zrobiło jej się słabo, gdy uświadomiła sobie, że bieliznę najpewniej ujrzy w całym bogactwie jeden z oficerów, którzy podróżowali z nimi z Wilna, a na myśl, że może to być ten młodszy, porucznik Paweł Orłowski, skóra zapiekła ją jeszcze mocniej.

Ewelina westchnęła przeciągle i zrezygnowana opadła na łóżko.

– I co teraz? – jęknęła z rozpaczą.

Rozdział VIII

1905

Aleksandr kazał zatrzymać powóz tuż za bramą majątku.

– Przejdę się, jedźcie – odprawił służącego, którego Józef Borek wysłał po niego na stację kolei. – No, już – ponaglił, bo woźnica najwyraźniej nie mógł zrozumieć jego decyzji.

Do Rudy Guzowskiej przyjechał przed południem, zwykłym pociągiem z Warszawy. Choć podróż trwała przeszło godzinę, to w pierwszej klasie nie miał powodów do narzekań na brak wygody. Woźnica czekał na niego, wysłany z wyprzedzeniem przez zarządcę. Aleksandr w drodze do Przylesia polecił zajechać do Żyrardowa, ciekawy, jak rozwija się osada, ale dłuższą wizytę tam odłożył na później. Jedynie rzucił okiem na zakłady fabryczne, schludne domy robotnicze przy Długiej, z przyjemnością obejrzał budynki resursy i kantoru oraz to, co go interesowało najbardziej, czyli niedawno wybudowany według projektu Józefa Piusa Dziekońskiego kościół farny. Potem już pojechali szosą Wiskicką do majątku Sorokinów.

Stanął u wlotu porośniętej grabami alei. Drzewa już nie wydawały mu się takie wysokie jak przed laty, za to tak samo, jak wtedy zachwycaly jesiennymi barwami. Zawsze lubił tę porę roku i w jego wspomnieniach grała feeria ciepłych barw i kojarzyła się z wyjazdami z Królestwa. Wrócił myślami do matki, zastanawiając się, czy ona czasem tęskni za tym miejscem, w którym przecież on sam się urodził, czy na tyle zniechęciła Przylesie, że nie poświęca mu już ani minuty swojego czasu.

Od momentu wyjazdu syna Natalia Nikolajewna przeciągała odpowiedzi na jego listy, jakby wciąż była obrażona na decyzję, którą podjął. Złościło to Aleksandra, bo choć u podstawy tego, co postanowił, były emocje, to jednak nie zamierzał trwonić majątku, wręcz przeciwnie – utrzymywał siebie i matkę nie tylko ze spadku po ojcu, zarówno w Rosji, jak i w Polsce, którym dysponował, a do tego miał widoki na dobrą posadę, jeśli nie w powiecie, to właśnie w Żyrardowie, który choć nie był siedzibą władz, to ze względu na swoje znaczenie dla przemysłu pozostawał wysoko w kręgu wpływów. Aleksandr przeprowadził już pierwsze rozmowy z Edwardem Herbstem, wiceprezesem Towarzystwa Akcyjnego Zakładów Żyrardowskich, w sprawie swojego udziału w przyszłych projektach rozbudowy osady fabrycznej i budynków miejskich. Sorokin zresztą sam posiadał akcje Towarzystwa, na mocy wkładu ojca w przedsiębiorstwo, wykupione jeszcze przed zawiązaniem nowej spółki władającej teraz zakładami. Pakiet ten ostatnimi czasy rozszerzył, zamierzając podjąć współpracę z zarządem.

Zamyślony nie zauważył biegnącego w stronę bramy psa, w typie ogara, i dopiero gdy usłyszał łagodne poszczekiwanie, zorientował się, że nie jest sam. Aleksandr lubił zwierzęta i umiał z nimi postępować, dlatego nie obawiał się szczególnie spotkania. W Petersburgu trzymał białego *samojedskaja* i czasem żałował, że nie przywiózł pupila do Polski.

Sorokin przykucnął, a pies zatrzymał się w pewnej odległości, najwidoczniej nieprzyzwyczajony, że obcy nie okazuje strachu. Z tej pozycji Aleksandr dostrzegł, że to suczka, o charakterystycznym podpalaniu i dość zadbanej sierści. Nie zauważył za to żadnej obroży, ale skoro przebywała na terenie majątku, przypuszczał, że nie znalazła się tu przypadkowo. Wprawdzie Józef nic o psach nie mówił, gdy podczas spotkania w Warszawie wymieniał inwentarz, ale rozmawiali zbyt krótko i Aleksandr skupił się wówczas na innych, istotniejszych dla niego sprawach. Zresztą akurat ten pies równie dobrze mógł należeć tylko do Borka.

– No, chodź tutaj, cudaczka, chodźże grzecznie. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy, chodź do mnie – przemawiał cicho, czekając cierpliwie, aż suka zdecyduje się podejść. Wkrótce zbliżyła się, dość ostrożnie, obwąchała otwarte dłonie Aleksandra i w końcu, jakby uznając, że to on tutaj jest panem, przypadła do ziemi, merdając ogonem. – No i widzisz, poznaliśmy się – zamruczał mężczyzna, głaszcząc łeb i zwieszona uszy zwierzęcia. – Jeszcze wybierzesz się ze mną na polowanie – obiecał. – A teraz prowadź do domu.

Suka jakby rozpoznała znane sobie hasło, poderwała się i odbiegła kilka kroków w stronę dworu, po czym zatrzymała się i obejrzała.

– *No ja idu, idu.* – Roześmiał się Sorokin i wstał.

Idąc za bieżącym przodem psem, pomyślał, że to całkiem miłe powitanie. Szedł niespiesznie, rozglądając się po okolicy. Z przyjemnością stwierdził, że nie widać żadnych śladów zaniedbania, nawet gazon przed wejściem został starannie wypielęgnowany, a dwór z daleka prezentował się naprawdę ładnie, dokładnie tak, jak zapamiętał z dzieciństwa – szeroko rozłożony, z białymi ścianami i staromodnymi alkierzami, obszernym gankiem z kolumnami oraz wysokim, czterospadowym dachem. Aleksandr odwykł od takiego widoku. Z jednej strony budynek był tak inny od tych, które dominowały w Rosji, z drugiej – nawet jak na Królestwo styl, w jakim został wzniesiony, wydawał się już archaiczny.

Pomyślał przelotnie, że wypada dokonać tu przebudowy, brakuje nowoczesności, choćby ryzalitów zamiast alkierzy czy dachówki zamiast gontów. O ile początkowo zamierzał jak najszybciej się tam przeprowadzić, teraz zdecydował, że do czasu zakończenia prac remontowych wynajmie jednak jakieś lokum w Warszawie. Mieszkanie w hotelu nieco mu się już znudziło.

Józef Borek czekał na dziedzicu. Sam, tak jak Sorokin go poinstruował. Nie życzył sobie gromadnego powitania przez służbę, wolał poznawać wszystkich stopniowo, w miarę jak będzie obchodził swoje włości. Na tle domu rządca wyglądał zupełnie inaczej niż w mieście, kiedy ostatnio się spotkali. Nie było po nim tak widać przeżytych lat, wydawał się pewniejszy, bardziej na swoim miejscu. Suczka, merdając ogonem, podskoczyła do Józefa, a on ze śmiechem potarł jej duże uszy.

– Witam w Przylesiu, panie hrabio! Czekamy niecierpliwie! – zawołał z uprzejmym ukłonem. – Stefka już szykuje herbatę i obiad zaraz będzie gotowy – zapewnił.

Aleksandr nie odpowiedział od razu, jedynie skinął głową.

– Ładny pies. – Uśmiechnął się. – Powitała mnie przy bramie.

– A taki z niej pies stróżujący, że łąsi się do każdego. – Borek machnął ręką. – Przygarnąłem, bo po lesie się błąkała. Nikt nie wiedział czyja ona, musiała przyjść z dalszej wsi, uciekła z któregoś folwarku albo i kto porzucił. Szukałem, pytałem i tak już drugi rok z nami jest.

– Jak na nią wołacie?

– Sońka.

Sorokin aż roześmiał się gorzko na dźwięk tego imienia, bo przypomniał sobie marcową noc, kiedy ostatni raz gościł u Sawickiej, tamtą delikatną dziewczynę i jej uszka jak u kruchej porcelanowej laleczki. Zapamiętał ją i wbrew sobie zdarzało mu się zastanawiać się nad dalszym losem swojej przypadkowej towarzyszkii kilku nocnych godzin. Potem chciał nawet iść, odwiedzić lupanar, dopytać, ale wyjątkowo się nie składało, a później... Aż skrzywił się na myśl o rzezi, którą podburzany przeciwko żydom i sutenerom plebs urządził w maju dziwkom i alfonsom. Ku zdziwieniu Aleksandra władze Warszawy nie wprowadziły wojska przez kilka tygodni, pozwalając, aby chaos i gwałt panowały się po ulicach, niczym niekontrolowane, terroryzując nie tylko tych, przeciwko którym wystąpili, ale i zwykłych mieszkańców. Próbował się wtedy dowiedzieć co z nią, ale nie zdołał, nikt mu nie był w stanie udzielić takiej informacji, a z *ochraną* nie miał zamiaru zadzierzgać bliższych stosunków, choć oni by pewnie się orientowali...

Może się jakoś uratowała, a może dawno jej u Sawickiej nie było. Miał świadomość, że raczej już nie pozna losów Soni. Nie dowie się nawet, jak naprawdę się nazywała. Dlaczego o niej teraz myślał? A tak, pies. Podobne imię... Dziewczyna też się łąsiła do każdego. Z musu, bo trudno było mu uwierzyć, że z wyboru.

– *Gospodin graf?* Aleksandrze Konstantinowiczu?

Sorokin się zorientował, że Józef o coś pytał.

– Powtórz, proszę.

– Czy przed obiadem ma pan hrabia życzenie się odświeżyć? Wszystko w sypialni jest przygotowane, a i woda na kąpiel szybko się zagrzeje, jeśli potrzeba.

– Nie, tylko nieco odpocznę. Potem oprowadzisz mnie po majątku – westchnął.

Nadal zadumany i dziwnie znużony spojrzął na siedzącą u jego stóp sukę, której łeb od pewnego czasu machinalnie głąskał. Jakby wyczuła, że o niej myśli, przekrzywiła głowę i spojrzała w górę, uderzając przy tym

ogonem o ziemię. Jej różowy język kilka razy oblizał palce mężczyzny. Aleksandr pomyślał, że mógłby Sońkę odkupić od zarządcy, ale pozwolił, żeby pomysł umknął tak szybko, jak się pojawił. I nie zapytał już o nic.

Rozdział IX

1905

Porucznik Orłowski miał kłopot. O zamianie bagaży dowiedział się dopiero następnego dnia po przyjeździe do stolicy Królestwa. Poprzedni wieczór spędził, towarzysząc Lebidiewowi w kantynie Lejb-Gwardyjskiego Keksholmskiego Pułku, gdzie świętowano przyjęcie pułkownika w szeregi oficerów pułku imienia Cesarza Austriackiego. Po powrocie z tego miłego przyjęcia miał siłę jedynie rozebrać się do bielizny i wsunąć pod koc. Nawet nie pamiętał, kiedy zasnął. Poranek nie należał do najłatwiejszych, a kiedy chciał przygotować się do golenia i założyć czystą bieliznę, sięgnął do kufra podróżnego i ze zdumieniem odkrył, że nie ma tam jego rzeczy. Zobaczył natomiast ogrom damskich fatałaszek i to z tego rodzaju, które panie nosiły pod sukniemi, więc w swoim dotychczasowym życiu nie miał zbyt wielu okazji, żeby podziwiać gorsety, hałeczki, koszulki, pantalone czy pończoszki. Do tego wszystkiego pomiędzy tymi zawstydzającymi częściami garderoby dostrzegł jakieś kolorowe paczki i paczuszki – najpewniej prezenty z podróży, które jakaś dama wiozła swojej rodzinie. Zażenowany tym bogactwem żeńskiego świata, które nagle znalazło się w jego posiadaniu, zatrzasnął jak najszybciej wieko walizy.

Kiedy ochłonął, odszukał przypiętą do bagażu kartę adresową, a wtedy zaczerwienił się na nowo. Że też los tak okrutnie z niego zakpił! To już nie chodziło o to, że powinien jak najpilniej zaopatrzyć się w nowy komplet bielizny i przybory do golenia, bo to było możliwe do załatwienia w jedno przedpołudnie, a galowy mundur i tak miał obstałować dopiero na miejscu, na kwaterze w Warszawie. Przed wizytą w łaźni wystąpił o przydział rzeczy na przebranie, a ogolić mógł się przecież u balwierza, co zresztą uczynił. W tym momencie bardziej zajmowała go konieczność zwrócenia zguby prawowitej właścicielce i nie wyobrażał sobie, by mógł to zrobić inaczej niż osobiście. Najpierw musiał zameldować Lebidiewowi, co się stało, i prosić o czas wolny, żeby oddać zamienioną walizę. Znał już swojego dowódcę, więc miał pewność, że nie obejdzie się bez żartów. Nie miał jednak wyjścia, jeśli chciał sprawę załatwić.

– I tak byście dostali wolne, Pawle Konstantinowiczu, na zagospodarowanie – przypomniał mu rozbawiony pułkownik. – Nie trzeba było od razu aranżować całej sytuacji z bagażem.

– Ale to naprawdę nieuwaga bagażowego, ja bym nie śmiał... – Paweł zaczerwienił się i umilkł pod kąpiącym spojrzeniem Andrieja Maksymowicza.

– Już ja wiem, że panna ci się podobała, nie zaprzeczaj. Inaczej byś odesłał kufer przez umyślnego – zauważył Lebidiew. – Ale to godne pochwały, że chcesz osobiście przeprosić *sudarnię* Ewelinę za niedogodność.

– Nie zaprzeczę i tym bardziej chcę walizkę jak najszybciej zwrócić. – Orłowski stanął na baczność i czekał na pozwolenie oddalenia się.

Uzyskał je szybko, bo pułkownik od czasu pamiętnej bitwy w okolicach Mukdenu traktował Pawła niemal jak syna. Dowiedział się nieco o pochodzeniu młodego porucznika i uznał, że warto dać mu szansę, zwłaszcza że zawdzięczał Orłowskiemu życie i nie zamierzał o tym zapominać.

Do kamienicy przy Wierzbowej dziewięć, niemal naprzeciwko Hotelu Angielskiego i niedaleko Zarządu Warszawskiego Telegrafu, gdzie według biletu załączonego do walizy zamieszkiwała panna Ewelina Klara Strojnowska – jak mniemał z rodziną – dotarł dorożką, nie chcąc ubłocić świeżo wyczyszczonych butów. Zanim stracił śmiałość, zapukał do drzwi. Po chwili opowiedział się starszawemu kamerdynerowi, prosząc o rozmowę z panem Adamem Józefem Strojnowskim – jak wyczytał na szyldzie – lekarzem. Służący niechętnym spojrzeniem obrzucił jego mundur, ale zaprosił do środka i kazał czekać.

– Nie wiem, czy pan doktor znajdzie dla szanownego pana chwilę – uprzedził, wychodząc.

Zaraz jednak wrócił, jakby sobie o czymś przypomniał, i zaproponował podanie herbaty. Paweł odmówił.

Jak się okazało, pan Strojnowski pojawił się po niecałym kwadransie. On również lekko się zawahał na widok carskiego munduru, ale zaraz pewnym krokiem podszedł do Orłowskiego, który zerwał się z krzesła na jego

widok.

– Dzień dobry – przywitał się po rosyjsku. – Czym mogę panu... porucznikowi służyć? Zapraszam do mojego gabinetu, będzie nam wygodniej porozmawiać.

Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, przyjemnie pachnącego dobrym tytoniem i urządzonego z wyjątkowym smakiem. Biurko i fotele, z prostymi zdobieniami w ciemnym drewnie, dobrano pod kolor w perfekcyjny sposób, a ciężkie zasłony oraz puszysty dywan potęgowały wrażenie miejsca odpowiedniego zarówno do pracy, jak i odpoczynku. Strojnowski zaproponował herbatę, ale Paweł ponownie odmówił.

– Porucznik Paweł Orłowski – przedstawił się po polsku i uklonił się uprzejmie, zanim przyjął zaproszenie, by usiąść.

Celowo zrezygnował z podawania otczestwa, chcąc zjednać sobie przychylność gospodarza, bo – jak zauważył – dom był na wskroś polski, nie dostrzegł ani jednego charakterystycznego dla Rosjan elementu wystroju. Nawet w gabinecie, gdzie najwyraźniej doktor Strojnowski czasem przyjmował pacjentów – na jednej z półek widoczne były utensylia lekarskie – ścian nie ozdobił żaden, choćby niewielki, wizerunek Jego Cesarskiej Mości Imperatora Nikołaja Aleksandrowicza Romanowa.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas. Przepraszam, że ośmieliłem się złożyć państwu wizytę bez stosownej zapowiedzi, nie chciałem jednak powierzać przypadkowej osobie walizki pańskiej córki, którą omyłkowo bagażowi zamienili na dworcu. Zapewniam, że to całkowity przypadek i zrządzenie losu.

– Ach tak! Jakże miło z pana strony. – Strojnowski wyraźnie się odprężył. – Ewelinka właśnie rozpacza nad tym wypadkiem. – Zaśmiał się cicho.

– Proszę uspokoić pannę Strojnowską, rękę honorem, że nic nie zginęło. – Orłowski, mówiąc to, zorientował się, że na policzki wypływa mu zdradziecki rumieniec, którego nie był w stanie żadnym sposobem powstrzymać.

– Nie wątpię, poruczniku. Zaraz zawołam naszą Czesię, przyniesie pana bagaż. I jeszcze raz dziękujemy za osobistą fatygę, nieczęsto w tych czasach spotykamy się z taką uprzejmością.

– Bardzo proszę. – Orłowski skłonił głowę, a tymczasem pan Strojnowski uchylił drzwi i zamienił z kimś kilka słów.

Paweł walczył z poczuciem zawodu, choć przecież nie powinien się spodziewać, że spotka pannę Ewelinę osobiście. Usilnie szukał w pamięci jakiegoś wydarzenia, na które mógłby przedstawić zaproszenie i zaproponować swoje towarzystwo, za krótko jednak był w Warszawie, a spiesząc się, by oddać zgubę, nie pomyślał choćby o kupieniu gazety. Przeklinał teraz w duchu własną bezmyślność.

– *Papa*, czy to prawda? Znalazła się moja walizka?

Panna Strojnowska, najwyraźniej zbyt podekscytowana, żeby zwracać uwagę na stosowne zachowanie, wpadła jak burza do gabinetu. Zaskoczona obecnością porucznika zatrzymała się w pół kroku, natomiast Paweł zerwał się z fotela jak oparzony i szybko uklonił.

– Lineczko, gdzież twoje maniery – napomniał córkę doktor, ale nie było w jego głosie surowości. – Całe szczęście, że wczoraj podróżowałaś w tak miłym towarzystwie i pan porucznik osobiście dostarczył twój bagaż.

Zapadła cisza, bo panienka Ewelina stała oniemiała, pąsowiejąc coraz wyraźniej. W końcu wyszeptała „dziękuję panu”, odwróciła się na pięcie i tak szybko, jak wbiegła, tak zniknęła z pomieszczenia.

– Proszę wybaczyć – westchnął Strojnowski. – Niech pan porucznik zrozumie, nerwy po podróży i przejęła się ogromnie całą sytuacją. O, jest Czesława z pana bagażem.

Orłowski z ukłonem przejął swoją walizkę i oświadczył, że nie będzie dłużej nadużywał gościnności.

– Jeszcze raz dziękuję, poruczniku. Uprzejmie proszę zostawić bilet wizytowy, Ewelina z pewnością zechce skreślić kilka słów podziękowania. Proszę mi wierzyć, że jest zawstydzona nie mniej niż ja swoim dzisiejszym zachowaniem.

Orłowski kilkakrotnie zapewnił, że nie czuje żadnej urazy, i wyraził swoje zrozumienie. Już niemal przy wyjściu przypomniał sobie o wystawie malarstwa, polecanej wczoraj przez jednego z oficerów.

– Panie Strojnowski, mam nadzieję, że nie uchybię państwu swoją śmiałością... – zaczął niepewnie. – Chciałbym poprosić o pozwolenie zaproszenia pańskiej córki na wystawę w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Dopiero przyjechałem do Warszawy, chętnie obejrzałbym płótna Matejki i byłbym zaszczycony, gdyby zechciała mi towarzyszyć.

– Znakomity pomysł, panie poruczniku. Lineczka z przyjemnością pana oprowadzi. Była już na tej wystawie, gdy podczas świąt gościła w domu – poinformował ściszym głosem, jakby zdradzał jakąś tajemnicę. – A i my wybierzemy się chętnie raz jeszcze. Proszę zjawić się za tydzień o tej samej porze lub dać znać przez umyślnego, w jakim terminie będzie pan wolny od obowiązków.

Orłowski przytaknął i podziękował uprzejmie. Jednak kiedy jechał z powrotem do koszar, jego początkowa ekscytacja rychłym spotkaniem z panną Ewelina zamieniła się w niepewność, czy zgoda pana Strojnowskiego nie była jedynie kurtuazyjna. Zdawał sobie sprawę, że jego mundur niekoniecznie zjednywał polskich patriotów, ale mimo wszystko wierzył, że zdoła pokazać, jakim jest człowiekiem. Bo bardzo chciał poznać ją bliżej.

– Co za ulga, już się obawiałam, że to carscy Staszka szukają.

Barbara Strojnowska opadła z powrotem na fotel, wygodnie ustawiony tuż przy kominku. Sięgnęła po leżący na gazetniku „Kurjer”, ale najwyraźniej nie zamierzała czytać, bo tylko machinalnie otworzyła dziennik na przypadkowej stronie i zaraz odłożyła z powrotem.

– *Maman?* Carscy, Stasia? Dlaczego mieliby go szukać? – Ewelina zaniepokojona spoglądała raz na ojca, raz na matkę. Nie rozumiała, co dzieje się w domu, od porannej awantury, aż do tej dziwnej uwagi teraz.

Adam Strojnowski uciszył córkę, zwracając uwagę, żeby nie wtrącała się do rozmowy, jednak tak naprawdę nie miał zamiaru tłumaczyć najmłodszej latorośli, w co zaangażował się jej brat i dlaczego może to przyciągnąć uwagę władzy. Nie dlatego, że wątpił, czyby rozumiała, po prostu nadal widział w swojej Linusi małą dziewczynkę i nie chciał zatruwać jej niewesołymi problemami dorosłych. Ewelina posłuchała i usiadła na taborecie, naprzeciwko matki, starając się nie okazywać niezadowolenia.

– O dziwo, to był Polak, chociaż w barwach austriackiego pułku. Wykształcony i uprzejmy młodzieniec. Przystałem na jego prośbę, żeby towarzyszył nam w Zachęcie, bo chciałby lepiej poznać Ewelinkę – zwrócił się do żony.

– Co, zgodziłeś się? – Barbara nie posiadała się z oburzenia. – Cóż to za pomysł? Tylko dlatego, że osobiście odniósł walizkę Lineczki? Co to za maniery, żeby od razu proponować spotkanie?

– Ależ *papa!* Jak ja mam z nim rozmawiać? On na pewno zajrzał do środka... – Ewelina na wspomnienie chwilowego spotkania z porucznikiem na powrót poczerwieniała.

Strojnowski krążył po pokoju, jak zawsze w chwilach, gdy się denerwował.

– Jest dobrze wychowany i nawet jeśli zerknął, to słowem się nie przyzna – oznajmiła ciotka Leokadia, wkraczając do pokoju. – Adam bardzo dobrze zrobił, skoro kawaler zainteresowany.

– Zainteresowany?

– A i owszem. Całą podróż ukradkiem zerkał na Lineczkę. Walizki pewnie sam nie podmienił, ale sprytnie zrządzenie losu wykorzystał, a inteligencję się ceni.

Pani Jarczycowa rozsiadła się w drugim fotelu i obdarzyła każdego z zebranych długim spojrzeniem.

– Linusiu, powiedz Antośce, żeby herbaty zaparzyła. Tylko koporskiego czaju, najbardziej mi smakuje. Lżejszy jest od tych chińskich mieszanek.

– Tylko że oprócz chwilowego i przypadkowego towarzystwa w podróży z Wilna nic ciocia o tym człowieku nie wie. – Strojnowska nie ustawała w wątpliwościach.

– Trochę wiem, Basiu. Pan pułkownik Lebediew, który tego młodego człowiek wziął na adiutanta, co nieco mi opowiedział, prawda, Lineczko? – Leokadia się uśmiechnęła.

– Tak, ciociu, pan pułkownik dużo opowiadał o wojnie z Japończykami, ale ja starałam się nie podsłuchiwać.

Ewelina nie zamierzała się przyznać, że akurat historii dotyczącej porucznika Orłowskiego wysłuchała z największą uwagą. Zaimponował jej wówczas odwagą, tym, że sam dowódca go tak chwalił. A potem jeszcze odezwał się po polsku, a jej, co z trudem przyznawała sama przed sobą, aż zmiękły kolana. I jak miała się teraz z nim spotkać?

– Akurat nie słuchałaś! A o tym, za co order Jerzego dostał, też nie? Paweł Konstantinowicz życie pułkownikowi uratował. – Leokadia zwróciła się z wyjaśnieniem do Strojnowskich.

– Na wojnie różne rzeczy się zdarzają. – Matka Eweliny skrzywiła się, słysząc otczestwo wskazujące na rosyjskie pochodzenie porucznika, i starała się zbagatelizować słowa ciotki, ale widać było, że informacja zrobiła wrażenie również na niej. – A poza tym nic o nim więcej nie wiadomo.

Weszła Antosia z tacą i rozmowa umilkła, bo Strojnowscy nie zwykli poruszać drażliwych tematów przy osobach, które najęli na służbę. Wyjątkiem była Czesia, która niemal wychowała Ewelinę – przy niej rozmawiano swobodnie, a i ona niejednokrotnie za pozwoleniem państwa włączała się w dyskusję, gdy omawiano sprawy dotyczące jej ulubionej podopiecznej. Antonina jednak została przyjęta zaledwie pół roku temu, na miejsce będącej już w podeszłym wieku Józefy, gdy ta ze względu na chorobę reumatyczną zdecydowała się wyjechać na wieś, do swojej siostry.

Dopiero kiedy na stole znalazły się cztery filiżanki i czajniczek ze świeżo zaparzonymi liśćmi wierzbowki, które tak lubiła Leokadia, a służąca opuściła salon, seniorka rodu dodała:

– Będzie trzeba, to się dowiemy. Zwróć uwagę, Basiu, że sam pułkownik może posiadać rozliczne koneksje.

– To Moskal. – Matka była nieprzejednana.

– Nie mów jak Stanisław. Pewne rzeczy już nie wrócą. Na razie i takie znajomości nam się przydadzą. Gdy już dobrze wydasz córkę za mąż, możesz zamknąć się w czterech ścianach i ignorować, że Rosjan w Warszawie coraz więcej. – Leokadia westchnęła. – Poza tym czy ja namawiam was do swatania Linusi z tym Orłowskim? Wypada zaproszenie przyjmując, i tyle. Zwłaszcza że Adam już zgodę wyraził.

– Przed chwilą zachwalałaś, ciociu, jaka to dobra partia – zauważyła spokojnie Barbara.

Nie dała po sobie znać, że słowa pani Jarcycowej sprawiły jej przykrość. Wprawdzie miała świadomość, że poglądy siostry jej ojca znacznie różnią się od tych, w których ona sama wzrastała, a Leokadia, zajęta artystycznym życiem w Wilnie, w przeciwieństwie do swojego brata nigdy zbyt mocno nie interesowała się sprawami politycznymi. Mimo tego jednak trudno było jej zrozumieć, że ciotka Leokadia tak lekko pogodziła się z tym, że Polską rządzą zaborcy, że trzeba walczyć, aby w szkołach pozwalano dzieciom mówić po polsku, że jej rodzinie zabrano majątek, a ojca za udział w powstaniu zesłano na Syberię, przez co ona z matką musiały prosić kuzynostwo o pomoc i możliwość zamieszkania u nich w Warszawie. Dopiero małżeństwo z Adamem Strojnowskim pozwoliło Barbarze powrócić do poziomu życia, jaki pamiętała z dzieciństwa, i czasem miała wrażenie, że Leokadia przez to lekceważy jej zdanie.

Ciotka może by coś odpowiedziała, ale w tym samym momencie z korytarza dał się słyszeć jakiś hałas, jakby kilku ludzi naraz pojawiło się w wejściu.

– Co tam się dzieje? – Strojnowski energicznie podszedł do drzwi. – Stanisław? Co to ma znaczyć?

– Nic, ojczu. Nająłem kilku tragarzy, którzy pomogą zabrać moje rzeczy. Skoro mam się wyprowadzić, to znalazłem sobie kwatere.

– Pozwól do mojego gabinetu.

Ewelina aż się wzdrygnęła na ostry ton ojca – dotąd się nie zdarzyło, żeby pozwolił sobie na takie zachowanie w jej obecności. Poczula nagle, że nie wróciła do domu, który znała i pamiętała sprzed wyjazdu do Wilna, że coś tutaj zmieniło się bezpowrotnie. Nie wiedziała tylko, jak nie dopuścić do tego, czego właśnie stała się mimowolnym świadkiem, i ogarnęła ją rozpacz. Przecież tak się cieszyła, że Staś jest w Warszawie, bo ostatni raz spotkała się z nim dwa lata temu podczas Bożego Narodzenia, i że ma przyjechać Marianna, której też niemal równie długo nie widziała. Tak bardzo chciała spędzić choć kilka dni w towarzystwie rodziców i rodzeństwa, a tymczasem wychodziło na to, że nie będzie to możliwe.

– *Papa*, a moje prezenty dla was? – Zerwała się i podbiegła do ojca, po dziecinnemu chwytając go za łokieć. – Poczekajcie, proszę. Tak się cieszyłam, że się odnalazła moja walizka i mogę wam je dać, a wy chcecie wyjść.

Adam Strojnowski zwrócił się do córki i spojrzenie mu złagodniało.

– Nie dramatyzuj, kochanie. To prawda, mamy teraz inne sprawy, ale przecież idziemy tylko porozmawiać, a Stanisław zostanie na obiedzie – odparł uspokajająco.

Lineczka zerknęła na brata. Z ulgą zanotowała, że wygląda lepiej niż rano, przede wszystkim jest ogolony, być może w mieście odwiedził balwierza. Przyjęła to z zadowoleniem, niczym znak, że jeszcze nie zmienił się aż tak bardzo, jak wskazywałoby jego dziwne zachowanie na dworcu czy pijaństwo, któremu podobno wczoraj uległ. Dotąd uważała starszego brata za kogoś, na kim mogła bezwzględnie polegać, i nie potrafiła wyobrazić sobie, że mogłoby być inaczej. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Staszek, którego pamiętała, zniknął. Skończenie przez nią osiemnastu lat nie sprawiło, że zaczęła odmiennie patrzeć na wszystko.

Stanisław pokręcił głową, zdezorientowany nie mniej niż ojciec. Jego siostra nigdy się tak nie zachowywała i nie wtrącała się w sprawy dorosłych, a teraz wyglądała jednocześnie na wzburzoną i bliską płaczu. Ona jednak nie zamierzała ustąpić i zamiast po słowach reprimendy grzecznie wrócić do pokoju i zapewne odebrać jeszcze burę od matki i ciotki, to wyraźnie na coś czekała.

– Zostanę – potwierdził słowa ojca, żeby już nie zadrażniać sytuacji i nie gniewać siostry.

Rozdział X

1905

Mimo początkowych obaw spotkanie z porucznikiem Orłowskim wypadło niezmiernie interesująco. Młodzieniec w istocie był ujmujący i skupiał całą swoją uwagę na Ewelinie, co bardzo jej się podobało, bo nie nawykła do męskiego zainteresowania. Po wizycie w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych rodzina Strojnowskich zdecydowała się jeszcze na przechadzkę wokół gmachu, a podczas spaceru mieli okazję porozmawiać. Okazało się, że Paweł spędził kilka lat w Wilnie, pobierając naukę w wojskowej szkole junkrów piechoty, połączyły ich więc wspomnienia, a Orłowski tak ciekawie opowiadał o czasie, który tam spędził, że panna Strojnowska żałowała, gdy nadszedł moment pożegnania.

Tym chętniej przyjęła zaproszenie na kolejne spotkanie, tym razem Paweł zaproponował wizytę w Łazienkach. Tutaj rodzice Eweliny uznali, że wystarczającym towarzystwem dla młodych będzie Marianna, która z córkami nadal bawiła w Warszawie oraz, oczywiście, Czesława. Rozmowa była równie zajmująca, poza tym panna Strojnowska otrzymała w prezencie piękne kwiaty i bombonierkę i skłamałaby, gdyby nie przyznała, że bardzo jej to zaangażowanie oficera pochlebiało. Za zgodą siostry umówili się za tydzień w Ogrodzie Saskim.

Lineczka z niecierpliwością czekała na wyznaczony dzień, zaklinając pogodę, żeby nie padał deszcz. Nie spodziewała się, że będzie się aż tak denerwowała, przecież porucznik nie był żadnym oficjalnym kandydatem do jej ręki, nie miała pojęcia, czy w ogóle nim zostanie, ale jego obecność powodowała odczucia, jakich dotąd nie doświadczała. Wszystko było takie nowe! Chciała, żeby mówił jak najdłużej, bo miło słuchało się jego głosu, z przyjemnością też obserwowała przystojną twarz i oczy z fascynującymi złotawymi plamkami na brązowych tęczęwkach. Obecność przy niej oficera w mundurze elitarniej lejbgwardii sprawiała, że czuła się wyróżniona, a poza tym podobało jej się także, jak Paweł na nią patrzy, choć domyślała się, że jej *maman* niekoniecznie by pochwaliła akurat taką fascynację.

– Czesiu, jak myślisz, czy wypada mi założyć tę nową, zieloną spódnicę? – pytała, obracając się przed lustrem. – Ona ma taką falbankę na dole, jeśli będzie padać, to szybko się ubłoci. A z kolei w tej szarej byłam w Zachęcie.

– Niech panienka w takim razie założy brązową. – Czesława, przyzwyczajona do grymaszenia swojej Lineczki, wzruszyła ramionami. – Poza tym jeżeli będzie deszcz, to przecież spacer się nie odbędzie.

– Ale może padać na przykład rano i wtedy będzie błoto. A ta brązowa pasuje na zimniejsze dni. Założę zieloną – zdecydowała.

Czesia przewróciła oczami, wcale się z tym nie kryjąc przed Eweliną. Wiedziała, że tak się skończy cała rozmowa. Panienka uwielbiała spędzać godziny na wybieraniu strojów, a jej ulubionym czasopismem od najmłodszych lat pozostawał „Tygodnik Mód” i nic tu nie pomagała krytyka ani reprimendy matki. Lineczka podczas pobytu na pensji musiała chodzić w szkolnym uniformie, więc w domu przy każdej okazji rekompensowała sobie tamte niedogodności. Decyzja co do sukni wcale nie była ostatnią, jaką miały tego popołudnia podjąć. Przecież pozostał jeszcze dobór kapelusza. Służąca z rozbawieniem pomyślała, że byłoby lepiej dla nich wszystkich, żeby jutro nie padało.

Niestety, jej westchnienia nie zostały wysłuchane. Mżyło od rana i nie zanośiło się na przejaśnienie. Wręcz przeciwnie, najwyraźniej jesień zdecydowała się pokazać swoje mniej pogodne oblicze, przypomnieć, że słoneczne dni to już przeszłość, że od teraz z każdym dniem będzie bliżej do zimy, ale najpierw ulice i chodniki muszą zostać udekorowane zdradliwymi kałużami, zasłane butwiejącymi, mokrymi liśćmi, zmieszanymi z nieprzyjemnie śliskim błotem, które dopiero całun śniegu zdoła choć na chwilę zakryć.

– I co teraz będzie? Przecież nie pojedziemy spacerować po Ogrodzie Saskim w strugach deszczu? – jęczała Ewelina tym częściej, im bardziej zbliżała się godzina wyznaczonego spotkania. – I co ja mam teraz zrobić, *maman*? – spytała w końcu bezradnie.

Barbara Strojnowska popatrzyła na Leokadię i starszą córkę, a potem na męża, wyraźnie oczekując, że to on zażegna nadchodzący kryzys. Adam westchnął wymownie, widział zaangażowanie Lineczki, zdawał sobie sprawę, że zainteresowanie porucznika Orłowskiego nie wynika ze zwykłej kurtuazji, ale nie był pewien, czy to jest odpowiedni kandydat na narzeczonego dla Eweliny. Tym bardziej że bal charytatywny, na którym zamierzał przedstawić swoją córkę kilku wpływowym znajomym, miał dopiero nadejść. A zaproszenie młodzieńca do domu może dać mu niepotrzebnie do zrozumienia, że być może zostanie przyjęty, jeśli wystosuje prośbę o pozwolenie starania się o rękę Lineczki. Tymczasem nie wiedzieli o Orłowskim niemal nic. Wprawdzie pewną rekomendacją była ukończona przez niego szkoła oraz pozycja w armii imperium, ale poza tym nic nie wskazywało, że posiada odpowiednie koneksje.

– Zaprosimy porucznika na herbatę – oznajmił po dłuższym namyśle. – Nadarza się okazja, żeby opowiedział nam coś więcej o sobie.

Zaskoczona Barbara aż przyłożyła dłoń do ust, jednak nie skomentowała słów męża. Skoro uznał, że to najlepsze rozwiązanie, nie zamierzała otwarcie protestować i głośno wyrażać wątpliwości, zwłaszcza przy córkach.

– Linusiu, w takim razie powiedz Anieli, żeby nakryła odpowiednio stół na przyjęcie gościa. I niech da znać kucharce, żeby przygotowała dodatkową porcję kremu kawowego – zadysponowała.

– Do niczego nas to nie zobowiązuje – dodał Adam, gdy tylko córka zamknęła za sobą drzwi. – A Lineczka tak się cieszyła na to spotkanie...

– Może nie powinna robić sobie nadziei? To rosyjski oficer.

– To Polak, Barbaro. Uważam, że nie powinniśmy o tym zapominać. Jeśli rzeczywiście okaże się oddany carowi ponad przyzwoitość... – Przerwał, bo wróciła Ewelina, ale sens jego słów był oczywisty.

Porucznik Orłowski przybył punktualnie z kwiatami, które, dowiedziawszy się, że jest zaproszony na herbatę, wręczył z kurtuazją pani domu, Ewelinie przekazując czekoladki od Wedla. Widać jednak było jego zażenowanie z powodu nieprzygotowania do wizyty.

– Pogoda dziś nie sprzyja spacerowaniu, ale myślę, że chętnie pan porucznik napije się z nami herbaty – zapraszał Strojnowski, bacznie obserwując reakcje Orłowskiego.

– Nie chciałem pannie Ewelinie uchybić, nie pojawiając się o umówionej godzinie, ale nie chcę się państwu narzucać – tłumaczył się, grzecznie witając ciotkę Leokadię i Mariannę, która zaraz wymówiła się obowiązkami przy córkach.

– Moje dziewczynki też miały nadzieję na spacer, ale co zrobić, kiedy się rozpadało... – westchnęła.

– Proszę siadać, zaraz Aniela poda herbatę – stanowczo zarządziła matka Eweliny.

Rozmowa na lekkie tematy toczyła się gładko. Paweł opowiadał o przygotowaniach pułku do świętowania rocznicy wstąpienia na tron cara Nikołaja II i paradzie, która miała się odbyć z tej okazji dwudziestego pierwszego października. Dyskutowano również o atrakcjach dostępnych w Ogrodach Saskich.

– Wybacz pan porucznik śmiałość, ale wspominał pan, że krótko mieszkał dotąd w Warszawie. Zanim pan wstąpił do wileńskiej szkoły junkrów, gdzie pan mieszkał? – Strojnowski wykorzystał okazję, gdy Orłowski przyznał, że dopiero poznaje miasto, bo podczas niezbyt długiej nauki w tutejszym gimnazjum nie zdołał wiele zwiedzić ani zapamiętać.

– Urodziłem się w Rudzie Guzowskiej, właściwie w pobliskim majątku. Pierwsze nauki odebrałem w szkole w osadzie Żyrardów, potem w gimnazjum gubernialnym i w końcu wysłano mnie do Wilna. – Uśmiechnął się.

– To całkiem niedaleko, bardzo szczęśliwie pan trafił, że po wojnie w Mandżurii pułkownika przydzielono, jak pan mówił, do lejbgwardii. Znalazł już pan czas, by odwiedzić rodzinę?

Orłowski uciekł wzrokiem, nagle na nowo skrępowany.

– Czekam na urlop, żeby się wybrać. Wychował mnie rządca przy dworze, a swoich rodziców nie poznałem. Ojciec zostawił mi w spadku pieniądze na wykształcenie. Moja matka była Polką, ale i jej nie było mi dane poznać – dodał.

W ciszy, która zapadła po tym oświadczeniu, wyraźnie rozległ się brzęk filiżanki, którą ciotka Leokadia zbyt gwałtownie odstawiła na spodeczek.

– To się chwali, że do wszystkiego sam pan doszedł – oznajmiła.

Nikt nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi salonu otworzyły się z impetem.

– Daj spokój, Anieli, przecież nie będziesz mnie zapowiadać jak obcego – rozległ się głos Stanisława.

Brat Eweliny energicznie wkroczył do środka, ale zatrzymał się jak wryty na widok Orłowskiego. Najwyraźniej nadal padało, bo krople deszczu pozostawiły na jego surducie wyraźne ślady. Można też było przypuszczać, że pokonał część drogi piechotą, jedynie pod parasolem – nogawki spodni niemal do kolan miał mokre. Za to jego mina mówiła wyraźnie, że nie akceptuje obecności rosyjskiego oficera.

– My się już poznaliśmy. – Porucznik się uklonił, wstając, ale młodszy Strojnowski jedynie skinął mu głową, nie kryjąc niechęci.

– Ojczy, proszę o chwilę rozmowy – odezwał się grzecznie.

Czekał w napięciu, co rusz zerkając na Moskala – jak nazywał w myślach Orłowskiego. Nie podobała mu się jego obecność tutaj, w salonie jego rodzinnego domu, spokojnie popijającego herbatkę. Do tego jego siostra zdawała się wpatrzona w tego człowieka z nadmierną fascynacją. Pamiętał, że spotkali się na Dworcu Petersburskim, ten młody porucznik i drugi gwardzista, znacznie starszy rangą... Stach nie mógł sobie przypomnieć... Pułkownik? Jechali razem z Eweliną i ciotką Leokadią w przedziale. Oczywiście to był szczęśliwy traf, że ich spotkał, bo pomogli mu wydostać się z dworca po tym, jak razem z Antonim i Józinem podłożyli bombę w dworcowej kawiarni. Miał świadomość, że gdyby nie ta nieoczekiwana asysta rosyjskich oficerów, być może i jego by złapali. Czerkasow przeżył niestety, czego Stanisław nie mógł sobie wybaczyć. Ale jak doszło do tego, że jeden z tych oficerów gościł teraz w mieszkaniu Strojnowskich? Przez chwilę zdjął go strach, że wiedzą o wszystkim, a ta wizyta to pułapka. Ale po chwili się uspokoił. Nikt przecież nie znał jego dzisiejszych planów. Nawet on sam na wizytę u rodziców zdecydował się dopiero godzinę temu.

– Przepraszam, to pilna sprawa.

Adam Strojnowski z westchnieniem wstał z fotela. Przeszli do gabinetu, gdzie nerwowym ruchem wyciągnął papierośnicę. Nie częstując syna, zaciągnął się dymem.

– Gdzie twoje maniery, Stanisławie?

– Nie spodziewałem się tutaj Moskala. Czy on spotyka się z moją siostrą?

– Byli na dwóch spacerach. – Ojciec wzruszył ramionami. – Dziś też mieli pójść, ale jak się orientujesz, pada. – Zmierzył ubranie Stacha wymownym spojrzeniem.

– Dobrze wiesz, ojczy, że nie o to pytam.

– Z czym przychodzisz? – Strojnowski zignorował wypowiedź syna. Nie podobał mu się ton, jakim ten się do niego zwracał, i jasno to okazywał.

– Chciałem was przeprosić za tę moją burzliwą wypowiedź. Byłem w nerwach, nie wiedziałem, czy przyjmą mnie na posadę, na którą aplikowałem – zaczął.

Nagle stracił pewność siebie. Ojciec niekoniecznie wspomógł go pieniędzmi, a przecież tak były potrzebne w organizacji. Jeśli mieli osiągnąć cokolwiek, muszą zdobyć niezbędne fundusze. Prasa, druk, kolportaż – to wszystko kosztowało. A jeśli mieli do tego gromadzić broń...

– Dostałeś tę pracę? – przerwał te rozmyślenia ojciec.

– Tak. W redakcji „Gazety Warszawskiej”. Tylko...

– Jeśli chcesz zamieszkać tutaj, nie będę ci robił przeszkód. Tyle że nie ma w moim mieszkaniu miejsca na te twoje ulotki partyjne czy artykuły do „Robotnika”. Nie wolno narażać matki i siostry, rozumiesz?

– Tak, ojczy. Nie będę was narażał – odparł Stanisław kwaśno. – O wiele bezpieczniej jest przyjmować rosyjskich oficerów na herbacie.

Nie wytrzymał. Po twarzy ojca widział, że przesadził. Prośbienie w tej chwili o wsparcie nie mogło mieć szans na powodzenie. Ale... do stracenia też miał już niewiele.

– Czy po to prosiłeś mnie o rozmowę?

Strojnowski zgasił papierosa i pozostawił niedopałek w popielnicy. Rósł w nim gniew. Od kiedy Stanisław podczas pobytu na studiach we Francji wdał się w działalność partii socjalistycznej i zaczął popierać nawet najbardziej radykalne formy walki z zaborcami, coraz bardziej obawiał się o jego życie oraz – co tu dużo mówić – o spokój swojej żony i córek. Represje wobec bliskich schwytych rewolucjonistów nie były niczym nowym. Rodzina jego żony straciła majątek po sześćdziesiątym trzecim roku, a Stach, który przecież doskonale znał tę historię, mimo to najwyraźniej wolał głosić wyzwolenicze hasła, niż dbać choćby o siostry czy matkę. Czuł, że na rzecz tej według niego mającej niewielkie szanse powodzenia rewolucji traci syna, że znika jakiegokolwiek porozumienie między nimi. Doskonale zdawał sobie sprawę, po co przyszedł dziś Staszek. Łączyły ich już tylko pieniądze, co napawało Adama coraz większym smutkiem. Barbara uważała, że powinni go wspierać, dla niej działalność syna była jakimś rodzajem bohaterstwa, nawiązaniem do tego, za co ucierpiał jej ojciec. I nie rozumiała, że w ten sposób tylko sprowadza na nich wszystkich niebezpieczeństwo.

– Potrzebuję pożyczki.

– Ile? – spytał sucho.

Rozdział XI

1905

Paweł Orłowski przepisowo zameldował się w gabinecie Lebediewa, który wrócił właśnie z odprawy i kazał mu stawić się u niego natychmiast. Od razu zauważył generalskie szlify zdobiące mundur jego przełożonego, już generała majora.

– Siadajcie, poruczniku. Za dwa tygodnie wyjeżdżamy – usłyszał.

– Tak jest, *wasze priewoschoditelstwo!*

Orłowski zamiast od razu usiąść, jeszcze raz stanął na baczność, trzasnął obcasami i oddał honory.

– I to w tobie lubię, Paszka. – Lebediew się roześmiał. – Ale jak mówię „siadaj”, to siadaj. I bez żadnego *śluszajus*. Zostałem delegowany na rok w funkcji attaché wojskowego do placówki konsularnej w Wiedniu. Jego ekscelencja ambasador Lew Pawłowicz Urusow poparł moją kandydaturę. Mój poprzednik rozchorował się poważnie, stąd ten przyśpieszony termin objęcia obowiązków. Czasem mam wrażenie, że ledwo gdzieś się zadomowię, to nasze *prewazodstwo* rzuca mnie gdzie indziej... – westchnął i kazał Orłowskiemu nalać sobie koniaku.

– Moje gratulacje, *wasze priewoschoditelstwo!*

Andriej Maksymowicz podziękował uśmiechem i zabrał się do przekazywania Orłowskiemu oficjalnych instrukcji. Było tego bardzo dużo i pod koniec porucznik nabrał pewności, że dni pozostałe do wyjazdu spędzi na wypełnianiu poleceń pułkownika. Za to stało się jasne, że mógł zapomnieć o spotkaniu z panną Ewelina Strojnowską.

Wspomnienie dziewczyny przemknęło przez jego myśli, skutecznie je chwytając. Ostatnie zaproszenie na herbatę zupełnie go zaskoczyło. Był pewien, że z powodu deszczu umówiony spacer zostanie przełożony. Planował nawet – chociaż zastanawiał się, czy to wypada – zaproponować koncert lub wyjście do teatru. Wprawdzie jego fundusze kurczyły się w tempie, do jakiego nie przywykł, ale nie zamierzał z tego powodu rezygnować z towarzystwa Lineczki, jak ją nazywano w domu. Lebediew obiecał mu wkrótce wzrost uposażenia, dlatego miał nadzieję, że będzie go stać na kolejne spotkania. O ile w ogóle by do nich doszło. Po zadanyim wprost pytaniu ojca panny Strojnowskiej o rodzinę i pochodzenie Pawła Orłowski domyślił się, że nie został uplasowany wysoko pośród ewentualnych kandydatów do ręki Eweliny. Wyjazd jednak kompletnie pokrzyżował mu plany i możliwości wykazania się przed jej rodziną. I przed nią samą, bo na tym mu najbardziej zależało.

Spodobała mu się dosłownie od pierwszego wejrzenia, a spacer i rozmowy, które odbyli, tylko potęgowały jego zauroczenie. Jego wybranka nie mówiła dużo, wołała go słuchać, ale jeśli już zdecydowała się odezwać, wypowiadała się śmiało, czasem zadając bardzo intrygujące pytania. Do tego Pawła zachwycała delikatność dziewczyny, urocze rumieńce, które czasem wykwitwały na jej policzkach, łagodna linia ramion, drobne rączki. Samo patrzenie na nią – czy to obserwowanie profilu, czy spoglądanie w oczy, czy dyskretna obserwacja jej subtelnych ruchów – przysparzało porucznikowi czystej satysfakcji. Godzinami wspominał dotyk wąskiej dłoni Eweliny na swoim ramieniu, gdy zaferowana rozmową na moment musnęła jego rękaw. A chwilę na dworcu, kiedy podtrzymał dziewczynę przed upadkiem... cóż, to zdarzało mu się przywoływać tuż przed zaśnięciem. Wiele by dał, żeby ponownie mieć okazję, by objąć tę wąską talię. Gdyby tak mogli kiedyś zatańczyć...

Mimowolnie westchnął i dotarło do niego, że zbyt się zamyslił.

– Pawle Konstantinowiczu, nie słuchacie – napomniał go generał, wyjątkowo łagodnie, ale mimo tego Orłowski zerwał się z krzesła i stanął na baczność.

– Proszę o wybaczenie, *wasze priewoschoditelstwo!*

– Siadaj, mówiłem. – Lebediew machnął ręką. – Pytałem, czy chcesz się przed wyjazdem wybrać do Borków, do Rudy, bo jeśli tak, to dostaniesz urlop na dziś. Potem, sam widzisz, nie będzie już czasu.

Andriej Maksimowicz tuż po tym, jak Paweł podjął u niego służbę, wypytał go dokładnie o jego sytuację rodzinną i w przeciwieństwie do pana Adama Strojnowskiego nie widział złych stron w pochodzeniu swojego

adiutanta, jedyne, co mu nakazał, to częstsze wizyty w cerkwi.

Orłowski się wahał. Wolałby odwiedzić pannę Strojnowską, pożegnać się i poprosić o pozwolenie wysyłania listów. Jednak tego nie wypadało mu zrobić, przecież nie zjawi się tam bez zapowiedzi. Mógł tylko napisać i liczyć na wzajemność.

– Posłałem im depeszę niedługo po przyjeździe do Warszawy, ale nie mam odpowiedzi. Proszę o pozwolenie na wizytę – zdecydował.

Pojechał do Rudy Guzowskiej najbliższym pociągiem i żeby nie tracić czasu, wziął dorożkę, aby dotrzeć do majątku. Na miejscu zastał wielkie zamieszanie i niemalże plac budowy. Nie znał się na tym zbytnio, ale trudno było nie zauważyć, że po przeprowadzonym remoncie dworek zyska nowocześniejszy wygląd. Przebudowywano fasadę, na dachu zamiast gontu pojawiły się dachówki. Orłowski przyglądał się dobrą chwilę, dopóki ktoś nie zauważył jego przybycia i nie dał znać zarządcy.

– Paweł! Kogo moje oczy widzą! Toś ty teraz prawdziwy gwardzista! – Józef Borek wyściskał go serdecznie, jak nigdy mu się to nie zdarzało. – Chodź, chłopaku, Stefa się ucieszy. Tylko robotnikom strawę zarządzi, ale powiem jej, żeś przyjechał.

Budynek, w którym mieszkał rządca, stał nieco w bok od głównej drogi prowadzącej do dworu. Tutaj otoczenie wyglądało tak jak kilkanaście lat temu. Nawet malwy zasadzone za płotkiem pod oknami zdawały się te same. Paweł z pewnym wzruszeniem, którego się po sobie nie spodziewał, rozsiadł się w kuchni, w której spędził dzieciństwo. Miał wrażenie, że pomieszczenia się skurczyły, a meble zmalały. Wszystko było dokładnie takie, jak zapamiętał sprzed lat, a jednocześnie inne od tego, co znał teraz, obce. Przywykł już do odmiennych widoków i wnętrza, dlatego patrzył z perspektywy tego, co widział i przeżył.

Tak naprawdę niewiele miał wspomnień związanych z tym miejscem. Ledwo podrośł, Józef albo Stefania angażowali go do różnych prac, tak że całe dni miał zajęte, a bawić się z innymi dziećmi mógł najwyżej przy niedzieli. A później była już szkoła, zaraz potem Wilno. Kontakt z Borkami był coraz rzadszy, przecież nawet na jego ostatni list nie doczekał się od Józefa odpowiedzi – ponoć z braku czasu, jak mruknął, zanim wyszedł po Stefę. A jednak cieszyli się na jego widok, chwalili mundur i awans, który dostał.

– Święci pańscy, tak bez zapowiedzi? No co za niespodzianka! Pawełek! – Borkowa mocno ucałowała jego policzki. – Zaraz ci pierogów nałożę, czekaj!

Przy posiłku opowiedział, gdzie teraz służy, wspominał o wyjeździe do Wiednia. Józef wypytywał o wojnę i choć Paweł nie miał ochoty wracać do tamtych wspomnień, pogadali i o tym. Powiedział im, jak było z Makarowem i w jakiś sposób poczuł ulgę, jakby zwierzenie się z tego w domu, w którym się wychował, pozwoliło mu zdjąć z siebie chociaż część nękającego go ciężaru.

– To wypijmy za niego, tak trzeba.

Borek wyjął butelkę samogonu i trzy kieliszki. Wychylili bez słowa. Paweł milczał jeszcze przez chwilę, alkohol powoli rozgrzewał przełyk i żołądek. Myślał o Antonie.

– A u was co się dzieje? Co to za zmiany? – zapytał w końcu, bo uznał, że już omówili wszystko, czego ciekawi byli Stefa i Józef.

– Ech, młody hrabia Sorokin przypomniał sobie o majątku, z Rosji zjechał i porządki swoje zaprowadza. A tak spokojnie przez te wszystkie lata żyło nam się bez niego – westchnął Borek. – On kształcony artysta, w Petersburgu architektury wyuczony, uznał, że nasze Przylesie mało nowoczesne. No ale jego, to niech robi, co chce. My tylko pilnujemy. – Machnął ręką.

Orłowski nie ciągnął tematu. Wiedział, oczywiście, o istnieniu prawowitego syna hrabiego Sorokina, tak samo jak tamten zapewne zdawał sobie sprawę, komu jego ojciec zapisał pieniądze na kształcenie. Ale nigdy go nie poznał i nie sądził, że to nastąpi. Bo kim był dla dziedzica? Z pewnością nikim znaczącym, a kojarzyć mógł się jedynie ze śmiercią hrabiego, choć przecież wpływu na to żadnego nie miał.

– Na ostatni pociąg muszę zdążyć, a i na cmentarz, grób matki odwiedzić, bym chętnie zaszedł.

W młodości nie bywał tam często, ale od czasu, gdy wyjechał, przy każdych – nieczęstych przecież – odwiedzinach bywał również na przykościelnym cmentarzu, gdzie leżała Helena Orłowska. Może nie czuł z nią zbyt wielkiej więzi, ale przynajmniej większą niż z ojcem, pochowanym pewnie gdzieś w Petersburgu. Kiedy patrzył na przytwierdzoną na drewnianym krzyżu prostą tabliczkę ze swoim nazwiskiem, przynajmniej wiedział, że stąd pochodzi.

Józef go podwiózł, ale po drodze już niewiele mówili. Ot, nieco o zmianach w osadzie, o strajkach robotniczych, wzmożonych ruchach wojska i ogólnie o polityce. Borek narzekał, że czasy coraz bardziej niespokojne, a przecież można by już żyć w jakiejś tam zgodzie i zabierać korzyści do siebie, a tak znowu prawa Polaków zaczynają ograniczać. Paweł nie do końca się z nim zgadzał, ale też nie widział alternatywnego rozwiązania. Rosjanie nie zrezygnują z Królestwa, zdawał sobie sprawę, że nie ma co na to liczyć, ale nie był przekonany, czy zaniechanie pamięci o ojczyźnie wyszłoby Polakom na dobre.

Do Warszawy wrócił pod wieczór, nie kładł się jednak od razu spać. Postanowił jeszcze napisać list do panny Eweliny, a właściwie dwa, bo najpierw do jej ojca, który dopiero mógł zdecydować, czy córka otrzyma pismo. Brudnopis kreślił kilka razy, zanim uznał, że jest wystarczająco dobry, by go przepisać na czystą kartkę. Skończył grubo po północy, ale koperta z wypisanym starannie adresem leżała na sekretarzyku, gotowa do wysłania.

– List? – zdziwiła się Ewelina, zjawiając się w gabinecie ojca. – A ja miałam nadzieję, że porozmawiamy o balu charytatywnym, który odbędzie w hotelu Bristol w ostatnią sobotę przed rozpoczęciem adwentu.

Mówiąc to, zakreśliła się wokół własnej osi, jakby już była na sali balowej, ale zaraz też z ciekawością podeszła do witryny, gdzie leżały instrumenty ojca. Uwielbiała przebywać w tym miejscu, gdzie jej ukochany *papa* pracował i czasem spędzał całe wieczory. Pachniało tu tajemniczo tytoniem, a szuflady wypełniały intrygujące dokumenty związane z jego pracą, książki i periodyki medyczne, a nawet listy w obcych językach. I te wszystkie lekarskie przybory! Gdyby tylko ojciec nie zamykał wszystkiego na klucz, mogłaby pobuszować wśród tych skarbów. Jeden, jedyny raz, kiedy miała niecałe sześć lat, zakradła się tutaj, gdy nikogo nie było. W szafce natrafiła na ludzką czaszkę. I choć narobiła wówczas krzyku na całe mieszkanie, to nadal zasoby ojcowego królestwa ją pociągały. Niestety, nigdy więcej nie udało jej się do nich dostać, bo od tamtego wypadku szczególnie pilnowano zamykania drzwi, a ona nie wypatrzyła już, gdzie schowano owo fascynujące znalezisko.

– Siadaj, moja rozpieszczona panno.

Adam Strojnowski był w doskonałym humorze. Właśnie mu doniesiono, że w jego stadninie, którą odziedziczył z rodzinnego majątku pod Leszmem, zamówiono w bardzo dobrej cenie tuzin dwulatków na potrzeby wojska. To była świetna wiadomość, bo w ubiegłym roku nie dość, że sprzedaż nie szła, to jeszcze dwie kłaczki nie przetrzymały porodu. Wyglądało na to, że dobra passa wróciła, co w obliczu wydatków, które w związku z zamążpójściem – miał nadzieję rychłym – najmłodszej córki, nie było bez znaczenia. Oczywiście praktyka lekarska przynosiła mu oczekiwane dochody i dzięki temu poziom życia rodziny nie uległ zmianie, jednak pieniądze, które dawała hodowla, znacznie ten komfort poprawiały i pozwalały też na odkładanie sporych oszczędności.

– Od kogo ten list? – dopytywała się tymczasem dziewczyna.

Strojnowski zauważył, że znowu ma na sobie nową suknię. Wprawdzie niezbyt strojną, ale na ile mógł to ocenić, skrojoną podług najnowszej mody.

– Ciotka Leokadia znowu zabrała cię na zakupy – zauważył.

– *Maman* nie miała nic przeciwko, zwłaszcza że była z nami – zripostowała błyskawicznie Ewelina. – Nie widziałeś jej nowego kapelusza?

– A weksle będę musiał płacić ja – westchnął, chociaż bez złości. I bardziej na pokaz, bo takie zakupy Leokadia finansowała ze swoich zasobów. – Na bal charytatywny też pewnie życzyłybyś sobie nowy strój?

– Oczywiście, *papa!* Jak to sobie inaczej wyobrażasz? – Pokręciła głową z udawaną rezygnacją.

– Podczas balu zaplanowano licytację fantów przekazanych przez uczestników. Dochód zostanie przeznaczony na wsparcie ochronki Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Najlepiej, żeby to były dzieła rąk własnych. Co mogłabyś przygotować, Lineczko? – Ojciec zmienił temat, jakby sprawa listu przestała go już interesować.

Ewelina zastanawiała się przez chwilę.

– Kończę dziergać długi i piękny szal z delikatnego jak mgiełka moheru. Mogę go przekazać na potrzeby aukcji – zdecydowała.

– Idealnie, córeczko. Jestem pewien, że osiągnie dobrą cenę. – Uśmiechnął się.

– A list? – przypomniała sobie. – Mówiłeś, że przyszedł do mnie list.

– Porucznik Orłowski napisał do mnie. Wyjeżdża na dniach ze swoim generałem do Wiednia. Prosi o pozwolenie korespondowania z tobą – wyjaśnił.

Ewelina najpierw pokraśniała, a za chwilę zbladła rozczarowana, że w najbliższym czasie nie będzie miała okazji do spotkania z Pawłem. Skrycie marzyła, że zjawi się on na balu i poprosi ją do tańca. Przecież nawet wspominał, że chętnie by to uczynił.

– Szkoda, że wyjeżdża – bąknęła.

– Wiesz, córeczko, to dla pana porucznika wielka szansa. Pewnie wróci z kolejnym awansem, bo jego przełożony został delegowany na stanowisko attaché wojskowego. Z tego względu to jest dobra wiadomość.

– Dostanę ten list? Zgodzisz się, żeby do mnie pisał?

– Lineczko... – Ojciec obszedł biurko i ujął córkę za ręce. – Przypadł ci do gustu ten młodzieniec?

Dziewczyna opuściła oczy i wpatrywała się w swoje dłonie. Co miała odpowiedzieć? Tato pytał z troski, ale czy powinna mu się przyznać, jak bardzo pochlebiało jej zainteresowanie oficera?

– Ledwo co się poznaliśmy, *papa*. Na pewno jestem go ciekawa – odparła ostrożnie.

– Twojej mamie się nie podoba, że służy w carskiej armii. Natomiast cioteczka Leosia podkreśla, że Paweł uważa się za Polaka.

– A ty co sądzisz, *papa*?

– Ja? – Strojnowski zaśmiał się krótko. – Ja, podobnie jak ty, chciałbym go lepiej poznać, zanim zacznę oceniać. Na pewno nie brakuje mu ogłady, skoro poinformował nas o swoim wyjeździe i pyta o pozwolenie na dalszą korespondencję. Ale musisz wziąć pod uwagę, córeczko, że to świadczy o poważnych zamiarach, jakie ma wobec ciebie.

Ewelina ponownie oblała się rumieńcem. Nie była przygotowana do takiej rozmowy z ojcem. Zresztą jeśli miałyby być ze sobą szczerą, to i z matką nigdy nie rozmawiała w ten sposób. A jeśli chodzi o Pawła, nie zwierzała się jeszcze nikomu. Wczoraj chciała pomówić o tych sprawach z Czesławą, która czasem była jej bliższa niż starsza siostra, ale służąca poprosiła o wolny wieczór, mówiąc, że bardzo źle się czuje.

– A jeśli chciałabym otrzymywać od niego listy? – odważyła się zapytać.

– Wyrażę zgodę, ale nie rób ani sobie, ani jemu nadziei. Na razie to tylko porucznik, niechby i lejbgwardii, ale bez majątku i zbytich koneksji.

Wyszła z gabinetu z kopertą przyciśniętą do piersi. To był pierwszy list, który otrzymała od mężczyzny, i była ogromnie ciekawa, co w nim znajdzie. Wbrew temu, co mówił ojciec, miała wiele oczekiwań...

Rozdział XII

1905

Aleksandr początkowo nie wybierał się na bal charytatywny Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Decyzję podjął z powodu Ludmiły Piotrowny Kriwenko, pochodzącej z Kijowa pianistki, której grę – a bardziej jeszcze nietuzinkową urodę – podziwiał przez kilka wieczorów w kawiarni Telimena na Krakowskim Przedmieściu. Utalentowana wirtuozka grała tak, że jej palce zdawały się frunąć po klawiszach fortepianu, wydobywając dźwięki subtelne jak wiosenny wiatr, a gdy nuty tego wymagały – mocne niczym uderzenie burzy. Sorokin słuchał jej z niekłamaną przyjemnością, dlatego kiedy się dowiedział, że wystąpi w hotelu Bristol, żeby wesprzeć Towarzystwo, uznał, że będzie to znakomita okazja, żeby poznać bliżej uroczą pianistkę.

Zjawił się punktualnie, wbrew zwyczajowi. Chciał mieć okazję do obserwowania przybywających gości, a poza tym liczył, że zamieni kilka zdań z Ludmiłą Piotrowną, zanim rozpocznie się otwierająca zabawę licytacja charytatywna. Frak, który miał na sobie, kazał uszyć niedawno, według najnowszych trendów, ale spinki do mankietów, złote i bogato zdobione, z szykownie wprawionymi rubinami, dostał od matki po powrocie ze służby wojskowej. Lubił takie błyskotki, a poza tym pasowały idealnie. Dyskretnie przyglądał się rzęsiście oświetlonej kryształowymi żyrandolami sali. Świetlne błyski zdawały się odbijać od parkietu, rozmieszczone tu i ówdzie ogromne lustra w złożonych ramach jeszcze wzmacniały to wrażenie. Aleksandr musiał przyznać, że hotel urządzony jest ze smakiem i nie ustępuje tym znanym mu z Petersburga czy Moskwy. Solidne meble wyściełane miękkim aksamitem zachęcały do odpoczynku, a w pomieszczeniu obok zorganizowano bufet. Pod jednym z okien stanął podest z fortepianem koncertowym. Wyobraził sobie smukłą pannę Kriwenko zasiadającą przed tym imponującym instrumentem i ogarnęło go miłe ciepło. Nie mógł się wprost doczekać jej występu, a świadomość, że przed nim zapowiedziano aukcję ofiarowanych przez uczestników balu fantów, tylko wzmacniała jego niecierpliwość. Rozglądał się, ale pięknej pianistki nigdzie nie było widać. Pomyślał, że mogłaby mu pomóc zapomnieć o Lizawiecie Fiodorownie, i uśmiechnął się sam do siebie.

Kelner w liberii podsunął Sorokinowi tacę z szampanem. Hrabia wziął kieliszek i kontynuował swoje obserwacje. Przed balem poczytał nieco o tym na wskroś polskim Towarzystwie. Jego działalność istotnie budziła podziw. Matka Aleksandra udzielała się w podobnym towarzystwie w Rosji, ale nie był pewien, czy to polskie nie przewyższa tamtego rozmachem i zaangażowaniem członków. Nie dziwił się też, że większość gości to byli Polacy, choć gdzieniegdzie migał oficerski czy urzędniczy mundur, a akcent zdradzał Rosjanina. Sorokin nie mówił po polsku, nigdy nie miał potrzeby, żeby uczyć się tego języka, ale miesiące przebywania w Warszawie i częstość kontaktów choćby z inżynierami zatrudnionymi do przebudowy dworku w Przylesiu, zrobiły swoje. Rozumiał większość i pewnie gdyby się skupił, umiałby wypowiedzieć całkiem poprawnie kilka zdań. Pozostawała kwestia tego, czy miał na to ochotę – a zazwyczaj nie miał.

Gwar rozmów narastał. Muzycy mający akompaniować Ludmile Kriwenko, a później grać do tańca, stroili instrumenty. Ktoś się zbyt głośno zaśmiał, jakaś dama nieopodal zastanawiała się półgłosem, czy pan Prus zaszczyca bal swoją obecnością. O tym, że pisarz należy do Towarzystwa, Aleksandr również dowiedział się wcześniej, nie był go jednak ciekawy bardziej niż pięknej pianistki.

Zapowiedziano, że licytację poprowadzi wiceprezes Towarzystwa, pan Zdzisław Lubomirski. Towarzyszyć mu mieli Włodzimierz Czetwertyński-Światopełk, zasłużony członek stowarzyszenia, oraz pani Anna z Tomaszewiczów Dobrska, znana lekarka.

Licytowane fanty, umiejętnie zachwalane przez gospodarzy balu, szybko zyskiwały wysokie ceny i zadowolonych właścicieli. Czego tam nie było: srebrne papierośnice, eleganckie chusty, rzeźbione laski, a nawet obrazy czy ręcznie malowane talerze. Jeden z nich, z wyjątkowo udanym widokiem Soboru Aleksandra Newskiego, Sorokin wylicytował za niezłą cenę, żeby posłać matce w prezencie.

– Ostatni fant, szal własnoręcznie zrobiony z najdelikatniejszej moherowej włóczki, ofiarowała debiutująca dziś panna Ewelina Klara Strojnowska, córka jednego z zasłużonych członków naszego Towarzystwa

i znakomitego lekarza, pana Adama Józefa Strojnowskiego – oznajmił księżę Lubomirski, wskazując przy tym miejsce, gdzie przedstawiana panna stała wraz z rodzicami. Tak jak pozostali ofiarodawcy w momencie prezentacji i ona ukloniła się zgromadzonym.

Aleksandr odruchowo zerknął w tamtą stronę i zamarł. Dziewczyna przewyższała urodą i świeżością nie tylko zmanierowaną Lizawietę, ale i zapatrzoną w siebie Ludmiłę. Upięte wysoko fale jasnopopielatych włosów odsłaniały długą szyję i łagodną linię ramion. Podkreślająca urodę panny Strojnowskiej bladobłękitna suknia nie pokazywała ani skrawka dekoltu, co momentalnie rozpaliło wyobraźnię młodego hrabiego. Za to, jak z ukontentowaniem zauważył, toaleta była wykonana zgodnie z najnowszą linią mody i z wybornego gatunkowo materiału, pięknie opinała wąską kibić dziewczyny i fałdami spływała wokół bioder. Jeszcze bardziej zaintrygowało Aleksandra bystre wejrzenie szarobłękitnych oczu debiutantki.

Tymczasem licytacja trwała, ale podbijano o niewielkie stawki. Sorokin nie zastanawiał się długo. Rzucił po rosyjsku kwotę kilkukrotnie przebijającą aktualną wartość szala. Zapadła cisza i niemal wszyscy zebrani zwrócili się do niego. Księżę Czetyrtyński-Światopełk wolno powtórzył po polsku zaoferowaną cenę. Sorokin potwierdził uprzejmym skinieniem głowy.

– Przebijam o sto rubli – odezwała się nagle stojąca niedaleko panny Eweliny starsza dama w granatowej sukni.

– Dodam tysiąc – odpowiedział jej spokojnie.

Po sali przeszedł szmer. Aleksandr nie zwrócił na to uwagi. Patrzył na dziewczynę. Dostrzegł na jej policzkach rumieniec. W tym samym momencie do sali wsunęła się dyskretnie Ludmiła Piotrowna i z zainteresowaniem przyglądała się hrabiemu, ale Sorokin nie poświęcił jej więcej niż jedno spojrzenie.

– Po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci! – oznajmiła pani Anna Dobrska i dodała po rosyjsku, co Sorokin docenił jako ukłon w jego stronę: – Gratuluję, panie hrabio! To najwyższej sprzedany fant dzisiejszego wieczoru i zasilili kasę naszego Towarzystwa Dobroczynności znaczną kwotą.

Rozległy się brawa. Niemał ich nie słyszał. Czekał momentu, gdy będzie mógł podejść do panny Strojnowskiej. Przedstawić się, ująć jej dłoń... Pomyślał, że powinien ochłonać, bo wyjdzie na dumnia. Ledwie zanotował, że zapowiedziano koncert i goście udali się w stronę podestu z fortepianem, przed którym zasiadali na krzesłach ustawionych przez służbę podczas licytacji. Śledził wzrokiem Ewelinę, ale nie chciał się przepychać wśród ludzi. Przeczekał i ruszył w jej stronę, gdy tylko dopatrzył się okazji. Rozmawiała z towarzyszącą jej parą, zapewne rodzicami. Aleksandr nie zdziwił się też obecnością damy, która symbolicznie próbowała przebić jego stawkę. Zauważyli go, gdy się zbliżył, i przerwali rozmowę.

– Chciałbym się przedstawić, Aleksandr Konstantinowicz Sorokin. – Skłonił się przed Eweliną. – Mam nadzieję, że poświęci mi panna najbliższy taniec.

„Połnyj durak!” – przeklął w myślach, gdy się zorientował, że popełnił gafę. Nigdy wcześniej mu się coś takiego nie przydarzyło.

Sploniona Ewelina tylko kiwnęła głową, niepewnie popatrując na ojca.

– Proszę o wybaczenie, mam nadzieję, że nie będą państwo mieli nic przeciwko. – Sorokin zwrócił się do niego, równocześnie kłaniając się pozostałym paniom.

Nastąpiła prezentacja, krótka ze względu na okoliczności. Sorokin zauważył, że starsza dama, przedstawiona jako Leokadia z Ostaszewskich Jarczycowa, w momencie prezentacji obserwowała go bacznie, jakby szukając konkretnej reakcji. Rozpoznania? Nie rozumiał, ale nie zaprzętał sobie teraz tym głowy.

– Bardzo hojny datek ofiarował pan hrabia Towarzystwu – nadmienił Strojnowski. – Jesteśmy wdzięczni.

– Czyż nie po to tutaj przybyłem? – odparł Aleksandr lekko, z uśmiechem. Zdołał już się opanować i trzeźwość myślenia powróciła. Zawsze tak się działo, kiedy popełnił błąd, jakby jego umysł starał się w dwójnasób powetować stracone zyski. – To przyjemność licytować takie piękne przedmioty w szczytnym celu. W Petersburgu moja matka nader chętnie bierze udział w podobnych przedsięwzięciach, dlatego postanowiłem sprawić jej prezent na dzień urodzin, które obchodzi w tym miesiącu.

– Ufam, że tak właśnie było – odezwała się matka Eweliny, ale nie miał wątpliwości, że mu nie wierzy. W jej głosie wyraźnie usłyszał niechęć. Mówiła po rosyjsku z silnym akcentem, sprawiało to wrażenie, jakby celowo nie dbała o poprawność języka. – Siadajmy, koncert zaraz się zacznie.

Zrozumiał, że nie życzy sobie, aby poszedł za nimi. Został więc i zajął miejsce tak, żeby móc z ukosa obserwować profil dziewczyny. Był nią absolutnie zafascynowany. Dźwięki fortepianu ledwo do niego docierały. Choć przecież tak podobała mu się muzyka Chopina, to dziś nie mógł się skupić ani delektować koncertem. Nie pomagało nawet to, że panna Kriwenko grała fenomenalnie, z właściwą sobie lekkością i wprawą. Ale dla Aleksandra o wiele ciekawsze było to, jak Ewelina reagowała na kolejne utwory. Widział, że słuchała całą sobą, chwilami wzruszenie unosiło jej piersi, czasem zaciskała dłonie na wachlarzu, jakby w ten sposób starała się opanować targające nią emocje. Innym razem przymykała oczy i chłonęła muzykę z lekko rozchylonymi ustami. Tak, przyciągała go jak płomień świecy ćmę. I w tym momencie gotów był nawet skoczyć w ogień, byle tylko bliżej ją poznać.

Na szczęście dla jego niecierplivej natury do tańców było coraz bliżej – jeszcze w trakcie koncertu zaczęto roznosić przekąski, po których program przewidywał uroczyste rozpoczęcie balu, oczywiście, jak to u Polaków, polonezem. Sorokin wychylił kolejny kieliszek szampana, nie miał ochoty na jedzenie, choć tartinki przygotowano z dużym smakiem i dbałością.

Kiedy w końcu zagrali pierwszego walca, piękną melodię Straussa, śmiało podszedł do panny Strojnowskiej. Nie zważając na nieco marsowe miny jej rodziców, uklonił się przepisowo i ujął jej dłoń, żeby poprowadzić dziewczynę na parkiet.

Ewelina również zauważyła niezadowolenie matki i ojca, ale nie zamierzała odmówić tańca temu przystojnemu mężczyźnie. Gdy na nią spojrział podczas licytacji, nie mogła powstrzymać westchnienia. Zresztą zwróciła uwagę na jego wysoką posturę już wcześniej, z daleka wydało jej się, że to Paweł Orłowski zrzucił mundur i przybył dla niej na bal. Ale po chwili zrozumiała, że to tylko przypadkowe podobieństwo, bo porucznik przecież wyjechał do Wiednia. A jednak jej serce zatrzepotało mocniej, zwłaszcza gdy się okazało, że i tajemniczy mężczyzna zwrócił na nią uwagę.

Hrabia objął ją pewnie i przez moment była tak blisko, że poczuła zapach jego wody kolońskiej o ciężkiej egzotycznej nucie. A potem popłynęli w tańcu. Aleksandr prowadził tak, jakby nic innego w życiu nie robił, z przyjemnością przechodziła z figury w figurę, z obrotu w obrót, od jednego dotknięcia dłoni do uścisku w tali. Do tego jego orzechowe oczy, lekko zmrużone pod nisko osadzonymi prostymi brwiami, wpatrzone w nią przez cały czas, i błędzący po pełnych wargach uśmiech, jakby znał tajemnicę, którą wkrótce się z nią podzieli...

Nie rozmawiali. Była zbyt zawstydzona, by podtrzymać konwersację. A jemu słowa chyba zdawały się niepotrzebne, jakby wystarczyło samo spojrzenie.

Żal jej było wracać na miejsce, gdy melodia wybrzmiała.

– Wyznam, że gdybym tylko mógł, tańczyłbym jedynie z panną, Ewelino Adamowna, przez cały wieczór – odezwał się hrabia niezbyt głośno, ale nie zdążyła odpowiedzieć.

Później wypadało jej zatańczyć z ojcem. Kątem oka szukała Aleksandra, ale nie poprosił żadnej z pań. Wypatrzyła go stojącego pod oknem z kieliszkiem wina w dłoni. Był sam i Ewelinie się zdawało, że patrzył prosto na nią. Aż zgubiła krok.

– Córeczko? – zaniepokoił się Strojnowski, ale nic nie powiedziała.

Wpatrywała hrabiego Sorokina przez resztę balu. Nawet gdy tańczyła z kolejnymi przedstawianymi jej mężczyznami. Zdawała sobie sprawę, że po to tutaj przyszła, że rodzice starają się zapewnić jej odpowiedniego kandydata na męża, ale nie umiała się skupić na konwersacji i nie zdołała zapamiętać nawet jednego imienia, oprócz tego wypowiedzianego z charakterystycznym miękkim zaśpiewem.

Aleksandr nie tańczył. Chwilę porozmawiał z dwoma rosyjskimi oficerami, którzy zjawili się tutaj za namową swoich polskich żon. W Warszawie mieszkali od kilku lat i byli zorientowani w tutejszym towarzystwie. Wypytał dyskretnie o Strojnowskich. Obaj Rosjanie pogratulowali mu zachowania na aukcji i zauważyli w ich głosach

uznanie, choć niewiele go to obeszło. Pieniądze miał zawsze i nie wyobrażał sobie, jak mógłby oszczędzać i ich nie wydawać, ale nie rozumiał, jak można podziwiać kogoś za posiadanie czy to dóbr, czy pieniędzy. Dla niego ważniejsze było, co człowiek robi z majątkiem i jak go zdobywa. On zamierzał pozostawić po sobie kilka ładnych budowli, marzyło mu się zaprojektowanie cerkwi, która ozdobiłaby główny rynek któregoś z polskich miast, tak jak Sobór Aleksandra Newskiego królował na placu Saskim. A teraz, obserwując tamtą zjawiskową dziewczynę, czuł, że ma po co zostać w Przywiślańskim Kraju. Bo właściwie czemu nie, przecież i tutaj była Rosja.

Wypił jeszcze nieco wina, ale nie zamierzał przesadzać. Był zirytowany. Rodzice panny Eweliny dbali o to, żeby zająć jej każdą chwilę balu, który zbyt szybko zbliżał się do końca. Jeden z oficerów przedstawił mu swoją żonę, która serdecznie zaprosiła go w odwiedziny. Podziękował z uśmiechem, nie trudząc się nawet zapamiętaniem ich nazwiska.

Zapowiedziano ostatni taniec. Znowu walc, tym razem jedna z lekkich kompozycji Czajkowskiego. Aleksandr nie namyślał się długo i uznał, że zaryzykuje bezczelność. Znalazł się przy panie Ewelinie równocześnie z jakimś młodym mężczyzną, nieco podobnym do pana Adama Strojnowskiego. Brat? Sorokin nie kojarzył, żeby go wcześniej widział, zresztą świeża wilgoć na jego włosach wskazywała, że musiał przybyć niedawno – za oknami szalała zadyмка śnieżna. Ukłonili się Ewelinie równocześnie.

– Panna zarezerwowała mi taniec – odezwał się hrabia, uprzedzając tamtego.

– A ja myślę, że zarezerwowała go dla swojego brata – odpowiedział mu przybysz niegrzecznie, po polsku, zupełnie nie kryjąc swojej niechęci.

– Stanisławie! Chyba się zapominasz! To mnie obiecałeś walca. Kolejnej okazji dziś nie będzie. – Rozległ się głos pani Leokadii. Karcący i nieznoszący sprzeciwu.

Aleksandr, nie czekając na ewentualną reakcję pana Strojnowskiego, ujął dłoń Eweliny. Poszła z nim bez protestu i uroczo zapłoniona złożyła ukłon. Mignęło mu kolejne zafrasowane spojrzenie matki dziewczyny, nic jednak nie było w stanie mu teraz przeszkodzić.

– Cały wieczór czekałem, by ponownie z panną zatańczyć, Ewelino Adamowna. Proszę wierzyć, że minuty dłużyły mi się jak godziny.

– Nie dał pan żadnego znaku, Aleksandrze Konstantinowiczu. – Roześmiała się. Wyznanie hrabiego sprawiło jej nieklamana przyjemność.

– Następnym razem nie zrobię tego błędu. Bo zobaczymy się jeszcze, prawda? – szepnął.

Nie odpowiedziała na to, ale jej rozbłyśnięte oczy powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Rozdział XIII

1905

Powóz włókł się w sznurze innych odjeżdżających sprzed hotelu. Wszyscy czuli już zmęczenie i chcieli jak najszybciej wrócić do domu, zwłaszcza ciotka Leokadia, wszak dzień był niezmiernie intensywny. Ewelina, zamysłona i rozmarzona, odchyliła głowę na oparcie i przymknęła oczy. Nie zwracała uwagi na prowadzoną półgłosem rozmowę rodziców, ciotki i brata. Nawet ich podminowany nastrój podczas wymiany zdań nie ściągnął jej myśli, zajętych ciągle walcem przetańczonym z hrabią Aleksandrem.

– Spóźniłeś się, a tak liczyłam na twoją obecność! – Barbara czyniła wymówki Stanisławowi.

– Przybyłem najszybciej jak mogłem. Co to był za człowiek, który tańczył z Lineczką? Polskiego zapomniał?

– To Rosjanin – prychnęła pani Strojnowska. – Wyobraża sobie, że wszystko tutaj może sobie kupić.

– To znaczy?

– Wylicytował fant przygotowany przez twoją siostrę na loterię dobroczynną – wyjaśniła mu Leokadia i podała kwotę, na co Stach aż gwizdnął, czym zaskarbił sobie kolejną reprimendę, tym razem od ojca.

– Teraz rozumiem, dlaczego cioci tak zależało, żeby zatańczył z Ewelinką. – Stanisław pokiwał głową. – Ładna sumka za szal.

– Towarzystwo na pewno dobrze wykorzysta te pieniądze. A ten człowiek to impertynent, nie potrafi się zachować na salonach – fuknęła Strojnowska.

– Basiu, oceniasz go zbyt surowo. Po prostu był zaaferowany – wtrąciła się Leokadia pojednawczo.

– A ciocia czemu go tak broni? Ma ciocia może zamiar swatać moją córkę z kolejnym zaborcą? – uniosła się Barbara.

– Basieńko... – Adam uspokajająco położył rękę na ramieniu żony.

– Zdaje się, że żadne z was nie zwróciło należytej uwagi na nazwisko tego młodego człowieka – zauważyła Leokadia z poważną miną.

– Sorokin? I cóż z tego? – Tym razem zdziwił się Strojnowski.

– Majątek rodzinny Ostaszewskich, gdy ojca Barbary, a mojego brata zesłano, przypadł hrabiemu Konstantinowi Aleksandrowiczowi Sorokinowi. Ten Aleksandr to najpewniej jego syn, otczestwo się zgadza – wyjaśniła. – Trzeba się dowiedzieć...

– Nawet jeśli ma Przylesie, to nie znaczy, że mamy zabiegać o jego uwagę! A wręcz nie powinniśmy! – Barbara podniosła głos, wytrącając tym Ewelinę z zamyślenia.

– *Maman?* Coś się stało?

– Nic, córeczko. Rozmawialiśmy o niestosownym zachowaniu hrabiego Aleksandra.

Dziewczyna, która w tym momencie nabrała przekonania, że wszyscy poznali jej myśli, oblała się rumieńcem. Wiele by dała, żeby nie reagować tak na jakiegokolwiek wspomnienie o mężczyźnie, zwłaszcza takim, który jej się podobał.

– No i masz – skomentował to Stanisław, a potem dał znać, żeby zatrzymano dorożkę. – Czas na mnie – rzucił jedynie i tyle go widzieli.

– A ty, Basiu, narzekasz na zachowanie hrabiego – obruszyła się Leokadia.

Ojciec mruknął coś niewyraźnie.

Dalszą, niedługą już, na szczęście, drogę, przejechali w milczeniu. Ewelina pomyślała, że to dziwne. Bal był taki elegancki, zaproszona pianistka pięknie grała i wszyscy wokół mówili, że licytacja wyjątkowo się udała, a ona poznała kilku młodzieńców, więc rodzice powinni być zadowoleni. Może zauważyli, że żaden nie zrobił na niej takiego wrażenia, jak ten Rosjanin o chmurnym spojrzeniu? Szczególnie nie mogło się to podobać jej matce, która nie powiedziała nigdy dobrego słowa na temat żadnego z przedstawicieli tego narodu, nawet gdy któryś z nich zrobił coś dobrego, choćby dla rozwoju Warszawy. Najwyższą pochwałą z jej strony był wówczas brak komentarza.

Ponownie zaczęła wspominać dwa przetańczone z Aleksandrem walce. Silny dotyk jego dłoni, pewne ruchy. Traktował ją tak, jakby była najcenniejszą osobą na sali, tak przynajmniej się czuła, gdy na nią patrzył. Przelotnie pomyślała o Orłowskim. Tamtemu brakowało tej stanowczości, która cechowała Rosjanina, a jednak było w nim coś ujmującego, przy nim ogarniał ją spokój. Może to mundur przydawał tego poczucia bezpieczeństwa? Czy w ogóle mogła tego wszystkiego doświadczyć w tak krótkim czasie? Porucznik ledwie napisał pierwszy list. Musiał go wysłać niedługo po przyjeździe, a nawet pisać w podróży, bo sporo o tym wspominał. Nagle posmutniała. *Papa* ją przestrzegał, aby nie robiła ani jemu, ani sobie nadziei. O Sorokinie pewnie nie powinna w ogóle myśleć, a jednak nie była w stanie przestać.

– Czesiu, ja chyba dziś nie zasnę! – zwierzyła się pokojówce podczas przebierania, a ona roześmiała się tylko serdecznie i pokręciła głową, jakby doskonale wiedziała, że będzie odwrotnie.

I miała rację – Ewelinę zmorzył sen, ledwo przyłożyła policzek do poduszki. Następnego dnia Czesława musiała budzić ją kilka razy.

– Jak ci się podobało, córeczko, na balu? – zagadnął Adam Strojnowski podczas śniadania.

– Podobało mi się bardzo, *papa!* Wszystko było takie piękne. Szkoda, że na kolejny muszę czekać tak długo, aż do Bożego Narodzenia – westchnęła.

– Bardzo się cieszę. A kto wie, może zaowocuje to ciekawymi znajomościami. Z samego rana pan Witold Leszczyński zostawił bilet wizytowy. Pamiętasz go? To syn mojego przyjaciela, Jana Konstantego, który, jak wiesz, jest znanym mecenasem, a i Witold stawia pierwsze, udane kroki w tym zawodzie. Towarzyszył ci w...

– W menuecie – dopowiedziała szybko dziewczyna.

Na wzmiankę o bilecie na chwilę zapało jej dech, ale szybko uświadomiła sobie, że to w żadnym wypadku nie mógł być hrabia Sorokin. Pamiętała, że rodzice rozmawiali z Leszczyńskimi, i zapewne wszystko zostało już umówione.

– Myślę, że zorganizujemy w niedługim czasie wieczorek towarzyski, będziemy mogli państwa Leszczyńskich podjąć. Zagrasz coś ładnego na pianinie – odezwała się matka. – I nie przerywaj, Lineczko, ojcu – napomniała.

Ewelina grzecznie skłoniła głowę i wybąkała przeprosiny.

– Nie szkodzi, widzę, że jeszcze jesteś w emocjach po pierwszym balu. – Strojnowski uśmiechnął się dobrotliwie. – To naprawdę znakomity pomysł, moja droga, z urządzeniem takiego wieczorku – zwrócił się do żony.

Tematu Aleksandra nikt już nie poruszał i dziewczyna żałowała teraz, że nie słuchała toczącej się w drodze powrotnej rozmowy. Nie wypadało jednak pytać. Zwłaszcza że sama wiedziała, jak bardzo Sorokin naruszył zasady etykiety i, co gorsza, jej się to podobało, bo zrobił to dla niej.

– A dlaczego Staszek tak szybko się pożegnał? – spytała, żeby zmienić temat, jednak i tu nie doczekała się wyjaśnień.

Tylko milcząca dotąd ciotka Leokadia mruknęła coś o zepsutych manierach „tego chłopaka”. Nie było tajemnicą, że nie pozostawał jej ulubieńcem.

To tylko dwa tańce, ale nie mógł jej wyrzucić z pamięci. Więcej – nie miał zamiaru tego robić. Natomiast pragnął się dowiedzieć, gdzie mieszka, i uczynić wszystko, żeby poznać pannę Ewelinę bliżej. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że trudno mu będzie znaleźć akceptację u pielęgnujących patriotyczne sentymenty rodziców, ale nie powstrzymywało go to przed spróbowaniem. Tym bardziej że w samej dziewczynie nie wyczuł niechęci. A jak oszałamiająco pachniały jej włosy...

W tym tygodniu musiał doglądać postępów robót w Przylesiu. Kazał pracować mimo zimy, zwłaszcza że teraz większość prac odbywała się wewnątrz dworu. A płacił dobrze. Nikt nie protestował, choć żartowano, jak to w tej okolicy nietrudno o strajki i protesty. Ripostował, że nie otworzył fabryki, ale sam wiedział, jak wygląda

sytuacja w osadzie Żyrardów. Ze względu na podburzenie robotników zorganizowano i skoszarowano tam dodatkowy oddział piechoty, a i kozacy stacjonujący niedaleko, w Mszczonowie, często patrolowali okolice.

Przed wyjazdem polecił swojemu lokajowi zakupić wszelkie czasopisma, w których napisano o balu dobroczynnym. Miał nadzieję, że wspomniano coś o Strojnowskich, przecież to fant ich córki zdobył najwyższą cenę, a chciał się dowiedzieć czegoś, co pomogłoby mu ustalić adres panny Eweliny. Uśmiechnął się na wspomnienie pełnej zaskoczenia nagłej ciszy, która zapadła, gdy złożył swoją ofertę. Te zatrzymane w pół gestu dłonie panów, rozchylone usta pań, znieruchomiałe wachlarze. Dziś rano oglądał wylicytowany szal. Natalia Nikolajewna, która bardzo lubiła w domowym zaciszu, siedząc przy kominku, otulać ramiona czymś miłym, na pewno doceni misterną robotę. Wykonany był z cieniutkiej włóczki, lekki jak mgiełka i zapewne kosztował pannę Strojnowską długie godziny pracy. Wyobrazził sobie jej drobne palce trzymające szydełko, kształtną głowę pochyloną nad robótką. Westchnął.

– Tylko pamiętaj, wszystkie gazety. Nie będzie mnie kilka dni, masz codziennie sprawdzać. A ten malowany talerz i szal każ zapakować i poślij do mojej matki, pismo do niej już skreśliłem, leży na biurku w gabinecie. Niech mi tylko nic się nie zniszczy w podróży, bo ubiję! – przestrzegł, ale Igor Iwanowicz, którego zabrał ze sobą z Rosji, niewiele sobie robił z tych gróźb i tylko potakiwał na znak, że wszystko będzie, jak hrabia rozkazał.

– Poczta do pana hrabiego rano przysła – zauważył.

– Jakby to jakaś nowość była – mruknął Sorokin. – Ale daj, przejrzyć przed śniadaniem.

Wśród korespondencji znalazł bilet od Ludwika Rybczyńskiego. Zapowiadał się, żeby przekazać mu zaproszenie na swoje przyjęcie zaręczynowe z panną Celiną Starzycką. Aleksandr odczytał datę planowanej uroczystości i bez zdziwienia stwierdził, że to pierwszy dzień Bożego Narodzenia w obrządku katolickim. W takim razie bez żadnego problemu zdąży do Petersburga na *Rozdiestwo Christowo*. Może nie był zbyt religijny, ale przecież matce zależało na jego obecności, dwukrotnie o tym pisała w listach. Już i tak wystarczająco cierpiała z powodu jego wyjazdu do Polski i zupełnie nie potrafiła zrozumieć decyzji syna o pozostawaniu w Królestwie, dlatego nie zamierzał przysparzać jej dodatkowego bólu. Chociaż stokroć bardziej wolałby, żeby popierała jego pomysły, zamiast je torpedować.

Przywołał Igora.

– Wyjadę jednak jutro po południu, na śniadaniu będę miał gości. – Przekazał mu bilet od Rybczyńskiego z nakazem, żeby jak najszybciej odpowiedział.

Przyjaciel przybył punktualnie, wyjątkowo zaaferowany, co z jednej strony Sorokina rozbawiło, z drugiej – wyzwoliło dręczącą go co jakiś czas nutę nostalgii.

– Jakże dawno się nie widzieliśmy! – powitał Ludwika. – No to kiedy ślub?

– W Wielkanoc. Rodzinie Celinki zależało, są bardzo religijni. Wprawdzie na wesele w końcu będziemy prosić więcej osób, niż w ogóle sobie wyobrażałem, ale niech już będzie, byle tylko moja narzeczona była szczęśliwa. – Uśmiechnął się. – A potem wyjeżdżamy na miesiąc do wód.

– Winszuję – pogratulował szczerze Aleksandr. – W końcu poznam pannę Celinę.

– Tego się obawiam. – Rybczyński się zaśmiał, z przyjemnością zasiadając za stołem, który, jak to u hrabiego, zastawiony był bogato i wykwinicie.

Ludwik szybko naliczył cztery sposoby podania samych jaj i kilka rodzajów pieczywa, nie mówiąc o zachęcających plastrach szynki i bekonu.

– Daj spokój, nie rób mi takiej reputacji bawidamka – oburzył się Sorokin, ale kąciki ust drgały mu od powstrzymanego śmiechu.

– No nie wiem, czy nie jest to zasłużona opinia, panie hrabio...

– W ustach takich zazdrośników jak ty – odparował, już nie hamując rozbawienia.

– Przecież ty nawet na balu charytatywnym zapewnisz sobie rozgłos. Wczoraj w „Dzienniku” czytałem o wyjątkowo hojnym darczyńcy, który nawet datki księcia Lubomirskiego przebił. Przyznaj, która panna ci się tak

podoba, że postanowiłeś zrobić na niej wrażenie.

– To była po prostu okazja, żeby wesprzeć Towarzystwo Dobroczynności. – Sorokin wzruszył ramionami. – Wiesz doskonale, że co jakiś czas tak robię. A gdyby to była panna, na której wrażenie robią tylko pieniądze, nie zawracałbym sobie głowy. Ale masz rację, aukcja była doskonałą okazją, żeby przyciągnąć jej uwagę. – Aleksandr spochmurniał. – Myślisz, że mogła zrozumieć, że chodzi o imponowanie majątkiem?

– Skąd mam wiedzieć? Nie przyzwyczyłeś się jeszcze, że wszystko, co robisz, to imponowanie pieniędzmi?

– Nie – odparł krótko, ze złością.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że tak to dla większości wygląda, ale nie wiedzieć czemu im był starszy, tym bardziej go to denerwowało. Wiadomość, że Lizawieta wybrała bogatszego od niego kandydata, a wyrzucane mu brak uwagi i nieobecność były tylko marnym pretekstem, jeszcze nasiliły niechęć do ludzi oceniających go przez pryzmat pieniędzy. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że nie potrafiłby żyć na innym poziomie i nie korzystać z majątku.

Odstawił filiżankę z kawą na spodek nieco za mocno i odszedł od stołu bez słowa przeprosin. Stał przy oknie i wyjrzał na ulicę, a potem niespiesznie sięgnął po papierosy i zapalił. Nadal milcząc, wyciągnął papierosnicę w stronę Rybczyńskiego, ale ten pokręcił odmownie głową.

– Nie chciałem cię urazić, Sasza – przerwał ciszę Ludwik.

– W porządku.

Napięcie minęło. Sorokin uznał, że niepotrzebnie tak się uniósł, przyjaciel nie zamierzał mu sprawiać przykrości.

– To która panna tak zwróciła twoją uwagę? – Rybczyński wrócił do tematu.

– Ewelina Klara Strojnowska – przyznał Aleksandr.

– Polka?

– Coś w tym dziwnego? Na tym balu nie było zbyt wielu moich rodaków.

– Twojej matce to się niekoniecznie spodoba – zauważył przyjaciel.

– Wiem. Ale nie żyję dla mojej matki. Wiesz coś o tej rodzinie? – Przeszedł do tematu, który go nurtował.

– Strojnowski jest dobrym lekarzem. Leczył mojego ojca.

Aleksandr się ucieszył, że informacja, której szukał, przyszła właściwie do niego sama i zaczął wypytywać o szczegóły. Rybczyński obiecał, że dowie się adresu.

– Tylko wiesz, Sasza... To patriotyczna rodzina. – Ludwik ważył słowa, żeby znowu nie uchybić czymś Sorokinowi.

– Zdążyłem się zorientować. Ale i tak spróbuję.

Rybczyński już nie komentował. Zbyt dobrze znał Aleksandra, żeby nie wiedzieć, że jak ten coś sobie umyśli, to niezmiernie trudno jest go odwieść od raz powziętego zamiaru, więc nawet nie zamierzał zaczynać dyskusji na ten temat.

– A jak ty właściwie trafiłeś na ten bal? – zapytał za to, bo dotąd hrabia nie wykazywał zainteresowania uroczystościami organizowanymi przez Polaków.

Sorokin przyglądał mu się przez moment z nieodgadnioną miną, jakby coś rozważał w myślach.

– Interesował mnie występ pianistki Ludmiły Piotrowny Kriwenko.

– I jak grała?

Uśmiechnął się i odparł:

– Nie słuchałem.

Rozdział XIV

1905

Listy od Pawła Orłowskiego przychodziły dość regularnie i Ewelina czytała je chętnie, bo bardzo ciekawie opisywał Wiedeń i różne wojskowe wydarzenia, a nawet anegdotki związane z licznymi przyjęciami, na których musiał towarzyszyć generałowi Lebidiewowi. Odwdzięczała się wzmiankami o życiu w stolicy i relacjami z lektur, bo porucznik narzekał, że brak mu polskich książek, a niemieckiego, jak przyznał, nie znał na tyle, żeby czytać coś więcej niż gazety. Musiał więc posiłkować się literaturą wydawaną po rosyjsku, choć i ona nie była aż tak łatwo dostępna. Początkowo dziewczynę dziwiło zainteresowanie Pawła książkami, ale szybko się przekonała, że nie jest to poza. Przeczytał nawet kupioną jeszcze w Warszawie *Lalkę* Bolesława Prusa, żeby móc z nią porozmawiać na temat tej powieści. Ewelinę ujęło to, że zapamiętał, co czytała w pociągu podczas ich pierwszego, przypadkowego spotkania. Czasem z pocztą przysyłał wiedeńskie czekoladki albo karmelki, a zawsze piękne karty pocztowe z widokami różnych zabytków miasta.

Napisała mu o balu charytatywnym i aukcji, ale nie wspomniała o Aleksandrze. Podobnie jak pominęła fakt, że za przyzwoleniem rodziców pan Witold Leszczyński coraz częściej gościł w ich domu. Nie przepadała za tym człowiekiem, wydawał jej się wyjątkowo mało zajmujący. Jeśli mówił cokolwiek, to o sobie, nigdy nie zainteresował się, jakie zdanie ma ona. Choć był nawet przystojny, nie podobał jej się. Do tego nosił jasne, krótko przycięte włosy, czego nie lubiła u mężczyzn, i miał ciągle spocone dłonie. Większość spotkań milczeli, wymieniając skąpe uwagi o pogodzie czy jedzeniu. Niestety aura nie sprzyjała spacerom, bo Ewelina wolałaby przynajmniej odnieść korzyść z przebywania na świeżym powietrzu, gdyż w towarzystwie Witolda nudziła się niemilosiernie.

Na szczęście było jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek deklaracje i święta Strojnowscy spędzili w swoim towarzystwie, co Ewelina bardzo sobie ceniła. Brakowało jedynie Marianny, która z rodziną gościła w Warszawie w poprzednie Boże Narodzenie, dlatego w tym roku postanowiła zostać w Poznaniu u swoich teściów. Za to był Stanisław, ale na szczęście nie prowadzono żadnych rozmów o polityce. Dziewczyna pomyślała, że kiedy ona wyjdzie za mąż, takiego kameralnego świętowania, tylko w gronie rodzinnym, będzie jej brakować.

Dostała piękne prezenty, w tym nową suknię od cioci Leokadii, która podjęła decyzję, żeby nie wracać do Wilna, tylko przeprowadzić się do Warszawy. Za zgodą Adama i ku radości swojej bratanicy zamieszkała w mieszkaniu Strojnowskich, w zamian zapisując Ewelinie wileński majątek.

– *Maman*, czy pan Leszczyński przypadł *papie* do gustu? – spytała matkę po któregoś wizycie młodzieńca.

– To bardzo miły młody człowiek i mam nadzieję, że i ty go polubiłaś. – Barbara się ożywiła, błędnie interpretując pytanie córki. – Zauważyłam, jak ładnie na ciebie patrzy, gdy grasz na pianinie – dodała z uśmiechem.

– Tak, żeby potem opowiadać o koncertach, na których był – burknęła dziewczyna.

– Lineczko, nie marudź, przecież obiecał zabrać cię na koncert noworoczny. – Strojnowska pogłaskała córkę po włosach.

– Nie wiem, czy mam ochotę.

– Ale co to za pomysł? Córeczko, przecież w towarzystwie Witolda mówiłaś co innego.

– Bo tak wypadło.

– I wypada też pójść, skoro kawaler zadał sobie trud, żeby cię zaprosić.

Ewelina nic już nie odpowiedziała. Nie było sensu. Postanowiła, że później spróbuje porozmawiać z ojcem, przecież to i tak on decydował o wszystkim. Jednakże Strojnowski bywał ostatnio bardzo zajęty i nie miał dla córki zbyt wiele czasu. Nie wiedziała, co powoduje, że czasem nie bywał nawet na rodzinnym obiedzie, ale nie wypadało jej dopytywać.

– Boli mnie głowa, może jednak zostanę w łóżku? – marudziła Czesławie przed kolejną wizytą Leszczyńskiego.

– Niech panienka nie wymyśla. Zapowiedział się dwa dni temu, trzeba było wtedy odmówić.

– Skąd mogłam wiedzieć, że głowa mnie rozboli – burknęła dziewczyna.

– Ziółek panience przyniosę – westchnęła pokojówka. – A nie iść nie wypada.

– Znów przyniesie te miętowe karmelki i będzie mi niedobrze. – Ewelina jakby jej nie słyszała.

– Coś mi się wydaje, że panienka nie przepada za tym kawalerem. A tymczasem to poważny kandydat, skoro pan Strojnowski zgadza się na jego wizyty. – Czesia pokręciła głową. – Ale to nie panience decydować o tym.

– Uważa Czesława, że powinnam go poślubić, nawet jeśli go nie lubię?

– Nie nam o tym decydować, panienko – powtórzyła służąca.

– A Czesława dlaczego nie zdecydowała się pójść za mąż, tylko pozostać na służbie u nas? Anielka już zapowiedziała, że w przyszłym roku odchodzi, bo znalazła męża. Słyszałam, kiedy rozmawiała z *papą*.

Czesia uciekła spojrzeniem. Znała swoją podopieczną od lat, a ta nigdy nie interesowała się jej życiem osobistym, jakby normalne dla niej było, że służąca takiego mieć nie może albo nie wypada jej o nim mówić. A w tym przypadku ona sama nie chciała o tym rozmawiać. Zresztą jak mogła obarczać tę młodziutką pannę zwierzeniami, że jej pierwszy pracodawca, rosyjski oficer, gwałcił ją po pijanemu niemal każdego dnia? Mogłaby uciec, ale dokąd, jak? Bała się, bo zapowiedział, że znajdzie ją i wsadzi do więzienia. Nie przestał nawet wtedy, gdy zaszła z nim w ciążę. Któregoś razu dostała krwotoku i tylko dzięki kamerdynerowi kapitana trafiła do szpitala. Tak poznała doktora Strojnowskiego, który nie tylko ją uratował, ale poruszony przykrą historią zaproponował Czesi pracę guwernantki swojej najmłodszej córki. Niestety uświadomił ją też, że już nigdy nie zajdzie w ciążę. Jeszcze długo nie mogła opanować strachu na widok rosyjskiego munduru...

– Nie mogę mieć dzieci, to kto by mnie chciał za żonę? A przy panience mi dobrze – odparła, żeby nie przeciągać milczenia. Jednak nieświadomie obudzone niewinnym pytaniem Eweliny wspomnienia jeszcze długo tłukły jej się w głowie, wydobywając zapomniane już lęk i ból.

Ewelina wypila przygotowane przez pokojówkę ziółka i już bez protestu udała się, żeby przyjąć na herbacie pana Witolda. Jedynym pocieszeniem była dla niej informacja, że otrzymała kolejne listy i nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła zasiąść w swoim saloniku i je przeczytać. Zdarzało się, że Paweł wysyłał korespondencję dzień po dniu, a poczta i tak dostarczała wszystko razem. Nie narzekała, bardzo lubiła, gdy do niej pisał i smutek ogarnął ją na myśl, że jeżeli rzeczywiście poczyniono jakieś plany wobec Leszczyńskiego, to pewnie ojciec niedługo nakaże zakończyć to pisanie. Koniecznie musiała porozmawiać z rodzicami, zanim będzie zbyt późno.

Dotrwała do końca spotkania, usiłując nie okazywać znudzenia, za to dyskretnie dała znać, że się źle czuje. Wspomniała więc o wypitych ziółkach i odmówiła ciasta, bo cukier wzmoże tylko ból głowy. Na szczęście Witold zrozumiał aluzję i pożegnał się szybciej.

– Pójdę się położyć – oznajmiła, kiedy tylko gość wyszedł.

– Pierwsze słyszę, Linusiu, żeby słodkości źle na ciebie wpływały. W dzieciństwie twierdziłaś coś wręcz przeciwnego. – Barbara Strojnowska najwyraźniej nie dała się nabrać na jej pokaz.

– Oj, *maman*. Dziś po prostu jakoś rozmowa nam się nie kleiła.

– Jak się niemal nie odzywałaś, to się nie kleiła. Musisz się bardziej starać, jeśli nie chcesz zniechęcić kawalera – skarciła ją matka.

Ledwie znalazła się sama, natychmiast sięgnęła po listy. Były dwa, ale od razu zauważyła, że jeden z nich został zaadresowany inną ręką. Ojciec musiał nie zwrócić uwagi, przecież inaczej by go otworzył. Ewelina wahała się przez moment, ale ciekawość zwyciężyła. Ostrożnie rozcięła nożykiem kopertę i wtedy uderzył w nią zapach wody kolońskiej, który przecież tak dobrze pamiętała. Od razu poczuła, że czerwień maluje jej policzki. Na przesyłce nie wypisano adresata, ale doskonale wiedziała, od kogo jest wiadomość.

Drżącymi dłońmi wydobyla pismo. Równe, lekko pochylone litery, oczywiście w cyrylicy, układały się w zdumiewającą treść. Na początku Aleksandr przeproszał, że zdecydował się na tak bezpośredni kontakt, ale ma nadzieję, że list trafi do jej rąk, gdyż bardzo mu zależy, aby to ona osobiście zdecydowała, czy ma ochotę mu odpowiedzieć. Potem pisał, że szal, który zakupił, wart jest każdej ceny, tak pięknie został wykonany, i na pewno sprawi wielką radość jego matce. A potem nastąpiło coś, na co Ewelina podświadomie czekała od pierwszego zdania – wyznał, że nie może zapomnieć tych dwóch tańców, które mu poświęciła, że nie ma dnia, żeby nie wspominał jej głosu i uśmiechu, że chciałby ją jeszcze kiedyś zobaczyć, dlatego prosi ją, by wskazała, gdzie w najbliższym czasie będzie mógł ją spotkać.

Dziewczyna aż przycisnęła list do serca. Zapach perfum hrabiego otulił ją raz jeszcze. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę to przeczytała. Przecież i ona myślała o nim niemal codziennie i marzyła, że jeszcze kiedyś się zobaczą, tym intensywniej, im dobitniej uświadamiała sobie, jak bardzo jest to niemożliwe. Jedyną osobą w rodzinie, która była skłonna zaakceptować Rosjanina, była ciotka Leokadia, ale Ewelina wątpiła, że będzie mieć aż taki wpływ na ojca. Ale teraz, w momencie gdy się przekonała, że jej osoba zainteresowała Aleksandra Konstantinowicza, gotowa była zrobić wszystko, żeby jednak go spotkać. Na początek postanowiła odpisać i wysłać list razem z tym do Pawła Orłowskiego. Na chwilę zakłuły ją wyrzuty sumienia, ale zniknęły szybko, gdy jeszcze raz odczytała pismo od Sorokina. Witoldowi nie poświęciła nawet jednej myśli.

Miała tylko dylemat, jak nadać korespondencję, żeby nikt nie zauważył innego adresu na jednej z kopert. Była pewna, że każdy ze służby natychmiast poinformuje o tym ojca lub matkę, a samej na pocztę nie pozwalano jej chodzić w obawie przed kolejnymi zamachami lub obcesowym zachowaniem patroli kozaków, którzy często nie zwracali uwagi, kogo biją, byle użyć nahajek. Jedynym wyjściem była ciotka Leokadia. Oczywiście nie zamierzała jej się od razu zwierzać, że otrzymała list od Aleksandra. Jeszcze nie. Miała inny pomysł...

Okoliczności jej sprzyjały, bo ciocia postanowiła ją zabrać na zakupy. Ze względu na zimową porę potrzebowała ciepłej wełnianej bluzeczki i uznała, że nikt tak jak Lineczka jej nie doradzi w wyborze. Wizyta w pracowni Riedla przy Trębackiej udała się znakomicie. Dopiero przy wyjściu humory zepsuła im scena przemocy w wykonaniu oddziału kozaków, którzy bez powodu pogonili kilku Żydków. Ewelina odwróciła wzrok. Widziała co jakiś czas wojsko brutalnie traktujące podejrzanych – według nich – przechodniów. Wiedziała też o rozruchach robotniczych i terrorystach polujących na rosyjskich oficjeli, bo ojciec mimo napomnień matki niekiedy mówił o tym przy posiłkach. Ale w żaden sposób nie chciała do tej przemocy przywyknąć i wciąż w jej sercu wzbierało to samo oburzenie. Dlaczego nie mogli żyć spokojnie? Po co te prześladowania, po co zamachy? Bała się czasem, jak to się skończy.

- Ciociu, a możemy jeszcze zajechać na pocztę? List bym chciała nadać.
 - Nadal korespondujesz z tym Orłowskim? – zdziwiła się Leokadia.
 - Tak, pisze do mnie regularnie, *papa* pozwala – odparła, starając się nie zaczerwienić.
- Ciotka przyjrzała jej się uważnie.
- Pokaż – zażądała.

Ewelina z ociąganiem wyjęła obie koperty. Wiedziała, że nie ma sensu nic ukrywać. Sama na pocztę nie pójdzie, a przy przekazywaniu do wysłania kłamstwo i tak wyjdzie na jaw. Leokadia mimo podeszłego wieku miała bystre oczy.

– Aleksandr Konstantinowicz Sorokin – przeczytała ciotka z westchnieniem. – Tak myślałam, że nie odpuści. Napisał do ciebie w tajemnicy przed ojcem?

Dziewczyna nie odpowiedziała, przecież wszystko było jasne. Zachciało jej się płakać. Przecież jej zależało. Co w tym złego?

– Anielka, idź zanieś oba listy – zadysponowała Leokadia po dłuższym milczeniu, a serce Eweliny zabiło tak mocno, że aż wstrzymała oddech.

Rozdział XV

1906

Aleksandr wracał do Warszawy z pewną ulgą. W Petersburgu spędził jedynie tydzień, a i tak matka dała mu w kość, głównie wypytyując, kiedy wróci na stałe do Rosji i w końcu znajdzie sobie żonę. Miała przy tym całą listę panien godnych uwagi, dysponujących odpowiednim posagiem. Oczywiście Natalia Nikołajewna nie była zachwycona, że syn opuszcza ją tak szybko, ale nie zamierzał się z niczego tłumaczyć.

– Zostawiasz mnie tutaj samą – wyrzucała mu.

– Nie jesteś sama. Masz wiele przyjaciółek, nie mówiąc o kuzynkach, a i mój stryj na pewno dba o ciebie – tłumaczył po raz kolejny.

– Jakbyś nie rozumiał, Aleksandrze, że obecność ukochanego syna jest mi droższa ponad inne – odparła z westchnieniem, poprawiając szal, który jej podarował.

– Mam tam interesy, których chcę doglądać – oznajmił krótko. – Mówiłem ci też, że przebudowuję Przylesie. Mam nadzieję, że latem zechcesz odwiedzić majątek. Wszystko już będzie gotowe.

– Wiesz, że nie lubię tego miejsca. – Matka posmutniała. – Twój ojciec...

– A ja lubię – uciał niegrzecznie, ale zaraz przeprosił. Nie chciał sprawiać rodzicielce przykrości. Nic nie mógł jednak poradzić na to, że i tak obraziła się za zbyt krótki w jej mniemaniu pobyt.

Poza tym w Rosji było równie niespokojnie jak w Królestwie. Rewolucjoniści wszczynali awantury i strajki, już nie miał cierpliwości czytać o tym w prasie codziennej. Może rozumiałby i przychylniej traktował robotników walczących o zwiększenie praw, gdyby nie towarzyszyły temu przemoc i terror. A tymczasem nawet tu policjanci chodzili z karabinami, utrudniony był ruch pociągów i co raz donoszono o podłożonych ładunkach wybuchowych. Do wielu powiatów wysłane zostało wojsko, w celu stłumienia rozruchów. I to miało kogokolwiek przekonać, że robotnicy powinni mieć jakieś prawa?

Kolejnym powodem, dla którego chciał jak najszybciej wrócić do Polski, była Ewelina. Rybczyński przed zaręczynami był tak zajęty, że prywatny adres Strojnowskich przekazał mu dopiero na przyjęciu, wraz z dobrą informacją, że panna Strojnowska regularnie odbiera korespondencję, więc istniała szansa, że pismo dotrze bezpośrednio do niej. Aleksandr czym prędzej wysłał list i pozostało mu mieć nadzieję, że rzeczywiście trafi on prosto do rąk panny Strojnowskiej. Teraz niecierpliwie czekał odpowiedzi. Jeśliby nie nadeszła, gotów był w inny sposób zaaranżować spotkanie, na razie jednak ufał, że plan się powiedzie.

Kolej linii Petersburg–Warszawa kursowała na szczęście bez zakłóceń, a salonka okazała się wygodna. Ledwo przybył do mieszkania, które wynajmował, zażądał, aby Igor Iwanowicz przygotował kąpiel, i zamknął się w gabinecie, żeby przejrzeć korespondencję. Pospiesznie przerzucał bilety i koperty w poszukiwaniu tej jednej konkretnej. Była! Chwilę krążył zdenerwowany po pokoju, bo nie mógł znaleźć nożyka do papieru i już miał zrobić awanturę służącej, kiedy dostrzegł go pod stosem książek. Z bijącym mocno sercem odczytał krótkie pismo. Ewelina donosiła, że wybiera się szesnastego stycznia na operę Ermanno Wolfa-Ferrariego *Le donne curiose*, ponoć dość nowe, znakomite dzieło komiczne.

Sorokin odruchowo spojrzął na kalendarz, choć przecież wiedział, że zdążył. Gdyby opóźnił swój wyjazd z Petersburga, jak sugerowała to matka, przepadałaby szansa na szybkie spotkanie z panną Eweliną. Pozostało mu tylko przejrzeć gazety i znaleźć coś odpowiedniego, żeby móc zaprosić Strojnowskich. Może gdy uda mu się bliżej im przedstawić, nie będą robić przeszkód.

Następnego dnia wybrał się do filharmonii osobiście. Podobał mu się ten gmach, wyraźnie wzorowany na budynku Opery Paryskiej, ale naznaczony indywidualnym rytmem swojego twórcy – zmarłego przed czterema laty Karola Kozłowskiego, którego prace tak cenił Ludwik. Sorokin również podziwiał dzieła tego architekta, pojechali nawet z Rybczyńskim do Mińska, obejrzeć budynek tamtejszego teatru, również przez niego zaprojektowany.

Kupił bilet na *Ciekawe kobiety* i przejrzał program, chcąc znaleźć odpowiednią okazję. Najbardziej zależało mu na czymś wyjątkowym, najchętniej widziałby premierę, nic jednak nie przykuło jego uwagi, dopóki nie natrafił na wzmiankę o koncercie w sobotę, dwudziestego siódmego stycznia, organizowanym z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy narodzin Wolfganga Amadeusza Mozarta i złożonym wyłącznie z dzieł wybitnego kompozytora. Czym prędzej zapytał o rezerwację łóż. I tu dopisało mu szczęście, wykupił ostatnie miejsca, choć do wydarzenia pozostały tylko niecałe dwa tygodnie.

Zadowolony wrócił do siebie. Nie mógł się już doczekać jutrzejszego wieczoru.

Nazajutrz stawiał się jeszcze przed czasem, żeby zająć dogodne miejsce, z dobrym widokiem na wejście. Wyglądający znajomo oficer w galowym mundurze ukłonił mu się z daleka, ale Aleksandrowi zajęło chwilę przypomnienie sobie, skąd zna tego człowieka. Nie miał ochoty na konwersację ze znajomymi, ale musiał przecierpieć kilka przelotnych spotkań z osobami, które zdarzyło mu się poznać na rozmaitych przyjęciach czy wieczorkach organizowanych przez znudzone żony wyższych urzędników i wojskowych.

W końcu dostrzegł rodzinę Strojnowskich. Ewelinie towarzyszyli rodzice, jakiś młodzieniec w nieco niemodnym już surducie oraz zapewne jego matka, bo trudno było nie zauważyć podobieństwa. Jednak uwagę Sorokina niemal całkowicie zaprzętała ta zjawiskowa dziewczyna, dla której tu przybył. Szybkim spojrzeniem obrzucił jej wiotką sylwetkę, od skromnie upiętych włosów, przez prostą, ale elegancką suknię w odcieniu przyjemnie korespondującym z kolorem jej oczu, po zgrabne buciki zapinane na guziczki. Ramiona miała okryte szalem, który lekko się zsunął, odsłaniając nieco dekolt, tym razem znacznie śmielszy niż na balu. Zaraz jednak jej matka dostrzegła ten defekt i poprawiła córce okrycie.

Ewelina zauważyła jego spojrzenie, więc uśmiechnął się, pochylił głowę w grzecznym ukłonie i ruszył w jej stronę. Już idąc, po minie pani Strojnowskiej się zorientował, że nie jest zadowolona ze spotkania, ale w żaden sposób nie skłoniło go to do rezygnacji. Mimo iż tym razem zachował się zgodnie ze wszystkimi zasadami etykiety, nie złagodziło to niechęci matki Eweliny.

– Niezmiernie miło mi państwa spotkać – zapewnił po koniecznej prezentacji, choć akurat obecność źle ubranego Witolda Leszczyńskiego niekoniecznie mu się podobała.

– Mam nadzieję, że pańskiej matce przypadł do gustu szal. – Strojnowski, w przeciwieństwie do żony, mówił po rosyjsku gładko i nie okazywał Sorokinowi niechęci.

– Zapewniam, że była zachwycona. Natalia Nikolajewna potrafi docenić kunsztowne wykonanie.

Porozmawiali jeszcze przez kilka minut, nie wychodząc poza zwyczajowe grzeczności, głównie o czekającym ich przedstawieniu. Ewelina nic się nie odzywała, złowił jednak kilkukrotnie jej wzrok, a wtedy uroczy rumieniec pojawiał się na jej policzkach. Ponieważ do rozpoczęcia sztuki pozostało już niewiele czasu, Aleksandr postanowił, że o zaproszeniu na koncert lepiej powiedzieć podczas antraktu. Rzeczywiście niebawem rozległ się pierwszy dzwonek i zmuszony był opuścić towarzystwo – niestety jego miejsce znajdowało się w zupełnie innej części widowni. Jak się potem przekonał, nie mógł z niego nawet dostrzec Eweliny, co go bardzo złościło. Próbował skupić się na sztuce, ale głos jednej z solistek, pani Boguckiej, był w jego ocenie niezbyt dobrze zsynchronizowany z pozostałymi i zbyt wysoki.

W przerwie oczywiście postarał się podejść do Strojnowskich. Już z daleka dostrzegł i ucieszył się, że panna Ewelina go wypatruje. Wprawdzie gdy tylko spotkały się ich spojrzenia, udała, że patrzyła w inną stronę, ale Aleksandr wiedział, że jego afekt jest odwzajemniony.

– Jak państwo znajdują występ? – zagadnął.

– Wprawdzie nie przepadam za komicznymi przedstawieniami, ale tutaj muszę przyznać, że artyści śpiewają na najwyższym poziomie i dawno nie widziałem tak dobrej gry scenicznej, zwłaszcza panie Tracewska i Verolli są znakomite w swoich rolach – odezwał się na to dotąd małomówny Leszczyński. Sorokina rozbawiło, że chwalać śpiewaczki, zerknął dość trwożliwie nie w stronę Eweliny, ale matki, jakby bał się jej reakcji na zachwyt nad innymi kobietami. – Nie wiem, czy pan hrabia wie, ale w poprzednim sezonie rolę Eleonory grała pani Piryńska i niestety nie dorównywała swojej następczyni.

Aleksandr nie miał pojęcia i niewiele go ta sprawa obchodziła, ale nie dał po sobie poznać braku zainteresowania wywodem młodzieńca. Potaknął uprzejmie, nie patrząc na rozmówcę. Szukał spojrzenia tej, dla której przyszedł oglądać operę. Potem jeszcze matka Leszczyńskiego wtrąciła coś o głosach męskich, które jej zdaniem bardzo dobrze harmonizowały z damskimi, a Strojnowski ponarzekał na nierówną dyrygenturę Podestiego. Pani Barbara i Ewelina nic mówiły, ta pierwsza nadal niezbyt zadowolona z obecności Sorokina i wymuszonej przez niego konwersacji po rosyjsku, ta druga bała się narazić rodzicom.

– A panna Ewelina Adamowna dobrze się bawi? – spytał, mimowolnie zniżając głos, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest tutaj głównie dla niej. Skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się jej raz jeszcze i ponownie zachwyliło go subtelne i niewinne piękno dziewczyny. Szał znowu odkrył jej ramię, tym razem poprawiła go sama, ale Sorokin zdążył musnąć spojrzeniem mleczną jak porcelana skórę. – Gdy wybierałem się dziś do filharmonii, nie spodziewałem się tego jakże miłego spotkania – dodał głośniej.

– Bardzo dobrze, panie hrabio – odparł Ewelina cicho. – Ja w przeciwieństwie do pana Leszczyńskiego gustuję w komediach muzycznych i nie mogę się doczekać drugiego aktu.

– Widzę, że lubi panna muzykę – zauważył z uśmiechem.

Potaknęła.

– Dzięki moim rodzicom, którzy dbali, bym poznawała zarówno klasyczne dzieła, jak i nowości.

– To może zainteresuje państwa koncert z okazji stu pięćdziesięciolecia urodzin wielkiego Mozarta, zaplanowany na dwudziestego siódmego? – zwrócił się do starszych. – Byłbym zaszczycony, gdyby państwo przyjęli ode mnie zaproszenie.

Ewelinie rozbłysły oczy, ale riposta matki szybko zgasła jej entuzjazm.

– Bardzo to miło z pańskiej strony, Aleksandrze Konstantinowiczu, jednak zmuszeni będziemy odmówić, mamy już zobowiązania na ten dzień – odparła chłodno, nie czekając na reakcję męża.

Strojnowski, który najwyraźniej zamierzał coś odpowiedzieć, gdy uprzedziła go żona, tylko westchnął. Leszczyńscy milczeli, równie zaskoczeni jak Aleksandr.

– Cóż, żałuję. Zapowiada się wyjątkowy koncert i miałem nadzieję...

– Proszę wybaczyć, panie hrabio. Panowie... – przerwała mu Barbara, zwracając się do wszystkich już po polsku. – ...pozwolicie, że zostawimy ich we własnym towarzystwie. Antrakt za chwilę dobiegnie końca.

To powiedziawszy, nieco zbyt mocno chwyciła córkę pod ramię, a zdeorientowana Leszczyńska podreptała za nimi. Aleksandr odprowadził pannę wzrokiem, z trudem tłumiąc w sobie gniew i rozczarowanie. Strojnowski odchrząknął, wyraźnie zdenerwowany, nie spodziewał się takiego obcesowego zachowania małżonki. I to ona krytykowała brak manier hrabiego! Chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie Sorokin uznał, że on ma już dość i musi stąd wyjść.

– Rzeczywiście zaraz rozpocznie się drugi akt. Panowie wybaczą – pożegnał się i oddalił, jednak w kierunku zupełnie przeciwnym niż wejście na widownię. Przez moment nie widział nawet drogi przed sobą i niegrzecznie kogoś potrącił.

Mróz na zewnątrz i przejmujące poddmuchy wiatru trochę go otrzeźwiły. Stał dłuższą chwilę przed wejściem, wdychając zimne powietrze. Ależ był wściekły. Wiedział też, że nie odpuści, a zachowanie pani Strojnowskiej tylko podsyciło w nim chęć walki. Kazał służącemu podstawić powóz, żeby wrócić do mieszkania. Plan co dalej obmyśli jutro. Teraz miał ochotę jedynie na cygaro i kilka kieliszków koniaku.

Rozdział XVI

1906

Ewelina nie powiedziała już słowa przez resztę wieczoru. Nie patrzyła na matkę. Miała do niej ogromny żal. Dlaczego skłamała? Nie zważyła, że Witold coś do niej mówił, pokręciła tylko głową. Umilkł.

W powozie nikt się nie odezwał, jakby nastrój dziewczyny wpływał na wszystkich. W domu nadal bez słowa pomaszzerowała do swojego pokoju.

– Lineczka!

Barbara Strojnowska nie była zadowolona z zachowania córki. Irytowało ją i to jej milczenie w drodze powrotnej, i jawne zainteresowanie, które okazała temu okropnemu Rosjaninowi, i jeszcze to, że teraz zupełnie jej nie posłuchała, tylko wyszła z salonu.

– Nie tak ją wychowałam – szepnęła.

Nadal w minorowym nastroju opadła na swój ulubiony fotel i kazała Anielce podać herbatę. Służąca chciała zapalić lampę, ale Strojnowski dał znać, że wystarczy poblask ognia z kominka.

– Basiu, może za surowo zareagowałaś...

– Słucham, Adamie? Zbyt surowo? Co chcesz przez to powiedzieć? – zwróciła się do niego ze złością.

– To było uprzejme zaproszenie, nic zobowiązującego.

– Skoro nic zobowiązującego, to nic się nie stało, że odmówiłam. Mam wrażenie, że ten... człowiek nie pojawił się w filharmonii przypadkiem – oznajmiła sucho.

– A skąd niby miał wiedzieć, że tam będziemy? – spytał zdziwiony.

– Nieważne. Widzę, że mnie nie rozumiesz.

Strojnowski z westchnieniem podszedł do żony i wyciągnął do niej dłoń. Poprosił, żeby się uspokoiła, a kiedy to nie odniosło skutku, zmusił ją do wstania i objął. Zaczęła coś mówić, nadal wzburzona, ale poprosił, żeby ucichła.

– No już... – Ucałował jej włosy. – Rozumiem.

Stali tak dłuższy czas. Barbara pozwoliła, żeby lzy bezsilnej złości potoczyły się po jej policzkach. Za oknem płatki śniegu wirowały w świetle latarni, odgłosy ulicy zdawały się niknąć w pokrywanej miasto bieli. Nawet kozackich patroli, zwykle bezczelnie głośnych, teraz nie słyszeli.

– Porozmawiam z nią jutro – dodał Adam. – A teraz chodź spać.

Ewelina tymczasem, nadal nieprzebrana, siedziała pośrodku łóżka i bezgłośnie szlochała. Nad nią stała Czesława i załamywała ręce, bo nic nie mogła ze swojej panienki wydobyć. Na to wszystko do pokoju wkroczyła ciotka Leokadia. Rozejrzała się, dłuższą chwilę zatrzymując spojrzenie na Lineczce, i gestem nakazała pokojówce, żeby je zostawiła.

– Co się tu dzieje?

Dziewczyna nie odpowiedziała, dalej skrywała twarz w dłoniach i rozpaczała.

– Lineczko, jeśli mam ci pomóc, to porozmawiaj ze mną. Inaczej nie ma sensu, bym traciła czas. – Ciotka nigdy nie grzeszyła cierpliwością.

Ewelina podniosła głowę, ale musiała przestać płakać, żeby się odezwać.

– Aleksandr był w filharmonii – szepnęła. – Zaprosił nas wszystkich na koncert, ale *maman* odmówiła.

Leokadia, która widziała, w jakim nastroju wróciła do domu Barbara, teraz w jednej chwili wszystko zrozumiała. Z pełnym znużenia westchnieniem usiadła obok Lineczki na łóżku.

– I w czym problem? – spytała rzeczowo.

– Pewnie się obraził. Po co mu pisałam, że tam będę? – Rozplakała się na nowo.

– Przynajmniej go zobaczyłaś, czyż nie? Poza tym jeśli to wartościowy mężczyzna, to o takie głupstwo się nie obrazi – tłumaczyła ciotka spokojnie.

– Ale co z tego... *Maman* jest do niego uprzedzona. – Ewelina nadal pochlipywała.

– Linusiu, nie wszystko zawsze układa się gładko i pięknie. Lepiej zapamiętaj moje słowa, a oszczędzisz sobie wielu łez w przyszłości.

– Ale co mamusi szkodziło się zgodzić na to zaproszenie? To tylko koncert w filharmonii, nawet nie spacer. – Pociągnęła nosem, ale szybko sięgnęła po chusteczkę.

Leokadia przyglądała się dziewczynie przez chwilę, jakby ważyła słowa, zanim się odezwie.

– Chciałabyś poznać bliżej tego mężczyznę, dobrze myśle? Przekonać się, jaki jest naprawdę. Czy piękne spojrzenie to wszystko, co potrafi zaoferować. A może imponuje ci gest, z jakim wydaje pieniądze? – spytała cicho.

– Jestem go ciekawa. Jest inny niż Witold. Inny niż porucznik Orłowski – wyznała. – Ale rodzice nigdy się nie zgodzą, bo to Rosjanin.

– Ja, *ma toute belle*, byłam młoda w czasach, w których kobiety mogły o wiele mniej niż teraz, a i tak wyszłam za mąż z miłości.

Ewelina przytaknęła. Znała tę historię, a teraz jeszcze bardziej podziwiała odwagę Leokadii, która dla swojego ukochanego Alfreda porzuciła rodzinę. Czy i ona by tak potrafiła? Czy rodzice naprawdę by się jej wyrzekli, gdyby Aleksandr się jej oświadczył? Zaraz ogarnęły ją wątpliwości, czy w ogóle mogłoby do tego dojść. A może to jedynie chwilowy kaprys i jutro o niej zapomni?

– Porozmawia ciocia z *papaq*? – spytała dziewczyna z nadzieją, ale kobieta pokręciła głową.

– Teraz to nie ma najmniejszego sensu. Poczekajmy. Jeżeli *graf* Sorokin rzeczywiście jest warty uwagi, znajdzie sposób, żeby do ciebie napisać.

– Ale ciociu, przecież teraz *papa* na pewno będzie sprawdzał dokładnie moją korespondencję.

– Poczekaj, powiedziałam. – Leokadia pogroziła jej palcem. – Ty pierwsza pisać nie będziesz. Jeśli ojciec przejmie list, przecież się o tym dowiem i wtedy ci pomogę. Ale na razie masz być cierpliwa.

Ewelina nie bardzo wierzyła w powodzenie planu ciotki Leokadii. Obawiała się, że Aleksandr, zrażony sytuacją w filharmonii, już nie będzie skłonny okazać jej najmniejszego zainteresowania. Z rezygnacją pokręciła głową.

– Linusiu, posłuchaj mnie i poczekaj na list. Myślę, że zdołam znaleźć wam okazję do spotkania. Ale najpierw – zastrzegła – niech *gospodin graf* wykaże się determinacją. A teraz marsz do łóżka! – Ponownie pogroziła Ewelinie palcem i z poczuciem, że mimo coraz bardziej dokuczającej jej starości ma w tej rodzinie jeszcze coś do powiedzenia, wymaszerowała z sypialni dziewczyny.

Co tu dużo mówić – Aleksandr Sorokin zaskarbił sobie jej sympatię od samego początku. No i był poważnym mężczyzną, w odpowiednich latach, nie chłystkiem jak ten, pozał się Boże, Witold czy już nieco konkretniejszy Orłowski. Przez moment i jej się wydało, że pomiędzy Pawłem a Aleksandrem jest jakieś nie do końca zrozumiałe podobieństwo. Jakby spajała ich niewidzialna nić. Szybko jednak porzuciła tę myśl. Zajął ją wspomnienia o Alfredzie i ich potajemnych spotkaniach.

– Bardzo hojnie z twojej strony, przyjacielu, ale może jednak wybierzesz się z nami na ten koncert?

Rybczyński oglądał bilety, które wręczył mu Sorokin, oświadczając, że on sam z nich nie skorzysta. Ludwik podejrzewał, że to nie chęć obdarowania go sprawiła, że hrabia zjawił się bez zapowiedzi.

– Nie wybiorę się – odparł Aleksandr krótko. – Zaprosisz narzeczoną z rodziną, przecież się ucieszą.

– Oczywiście. Po prostu w żaden sposób się nie spodziewałem takiego prezentu...

– Wybacz, że odwiedzam cię tak bez uprzedzenia, od razu wyznam, że to nie chodzi o koncert, potrzebuję z kimś porozmawiać. – Aleksandr nie zwrócił uwagi na obiekcje Rybczyńskiego.

– Wiesz, że zawsze możesz przyjść do mojego domu bez uprzedniej zapowiedzi. Mów, co cię trapi. Zadzysponować herbatę? Czy może wino? – Ludwik gestem zachęcił Sorokina, żeby usiadł, ale ten jakby tego nie widział. Zaaferowany krążył po pokoju.

– Może być wino.

– No to mów, dlaczego jesteś taki wściekły – zachęcił, gdy już służąca podała im butelkę tokaju.

Sorokin najpierw wychylił kieliszek trunku, potem dopiero w krótkich słowach opowiedział o swojej porażce. Nadal czuł, że ogarnia go gniew na samo wspomnienie stanowczego „nie” pani Strojnowskiej.

– Cóż, Sasza... – zaczął Rybczyński ostrożnie, nalewając mu przy tym kolejną porcję wina do kieliszka. – Rozumiem, przyzwyczałeś się, że twoje nazwisko otwiera wszystkie drzwi, ale tutaj widocznie będziesz musiał dołożyć większych starań.

– Do niczego się nie przyzwyczailem – zachnął się, ale wiedział, że kolega ma rację.

Dotąd nie miał szczególnych trudności, żeby zdobyć zaproszenie czy poznać kogoś, na kim mu zależało. A z taką bezpośrednią odmową spotkał się po raz pierwszy i pewnie dlatego tak trudno było mu to znieść. Nawet brat Lizawiey nie odważył się wyrazić aż tak wprost.

– Nie unos się, przecież mam słuszość. – Ludwik się uśmiechnął. – Poza tym to tylko koncert. Nie znajdziesz kolejnej okazji? Przecież na twój list panna Ewelina odpowiedziała...

– Podejrzewam, że może to już nie być takie łatwe. – Sorokin wzruszył ramionami.

– I ja tak podejrzewam – zgodził się przyjaciel. – Ale spróbować możesz.

– Mówiłeś, że znasz Strojnowskiego. Nie udałoby ci się zaprosić ich na jakiś wieczorek?

Rybczyński pokręcił głową.

– Nie łączą nas aż tak zażyłe stosunki. Oczywiście spróbuję coś zaaranżować, ale obiecać nic ci teraz nie mogę. Wybacz, ślub i to wszystko...

– Rozumiem – przerwał mu Aleksandr niecierpliwie. – Wymyślę coś.

– W to nie wątpię. Skoro zagiąłeś parol, to nie odpuścisz. – Przyjaciel zaśmiał się cicho.

Sorokin zacisnął pięści. Nie, tym razem nie zamierzał się poddać. W przypadku Lizawiey urażona duma sprawiła, że jednak zrezygnował. Zresztą czy miał inne wyjście? Nawet on zmuszony był przyznać, że w tamtej sytuacji wytrącono mu z rąk wszelki oręż. Teraz było inaczej. Gniewał go – bezsensowny w jego ocenie – opór rodziców Eweliny. Jej matka nie miała nawet zamiaru kryć swojej niechęci. Mimo trawiącej go złości w jakiś sposób podziwiał tę szczerość. Pomyślał, że postawa pani Barbary Strojnowskiej ma coś wspólnego z postępowaniem Natalii Nikołajewny. Tyle że jedna nienawidziła Rosjan, druga – Polaków. On zaś zżymał się na takie zachowanie. Przecież żyli w jednym państwie! Gdyby odrzucił przyjaźń Ludwika tylko ze względu na jego pochodzenie, dużo by stracił.

– Nie odpuszczę – powtórzył. – Czuję, że ta dziewczyna jest tego warta.

– Poślij pismo. Bezpośrednio do niej.

Aleksandr się zamyślił. Przyjaciel miał rację. A jemu pozostało wymyślić, jakim fortem ma tego dokonać.

– Pójdę już. – Dopił wino. – Życzę wam dobrej zabawy na koncercie.

Rybczyński uściaskał go serdecznie, życząc powodzenia. Nigdy jeszcze nie widział Sorokina tak poruszonego. Nawet gdy starał się o rękę córki hrabiego Lewaszowa, nie mówił o niej aż z takim zaangażowaniem. A dziś oczy błyszczały mu jak w gorączce.

– Żeby z tego kłopotów nie było – westchnął, gdy za Aleksandrem zamknęły się drzwi.

Witold przysłał czekoladki. Wyjechał z ojcem na kilka dni, co panny Strojnowskiej szczególnie nie zmartwiło, i w ten sposób zapewne dawał znać, że wciąż o niej myśli i pamięta o swoich obowiązkach pretendenta do ręki. Rodzice w każdej chwili spodziewali się jego oświadczenia, nie zważając na niechęć córki. Zawiedziona Ewelina odebrała pudełko od Czesi. Czekala na inną przesyłkę. Codziennie pytała ciotkę Leokadię, czy rodzice nie odesłali korespondencji od Aleksandra, ale wyglądało na to, że jej przewidywania się sprawdziły i hrabia przestał się interesować spotkaniem z nią. Im mocniej to do niej docierało, tym bardziej jej myśli wypełniały wspomnienia. Była zachwycona, gdy tańczyli, nie mogła tego zapomnieć. Jego dotyk, spojrzenie, bliskość... To wszystko sprawiało, że mocniej biło jej serce, a gdy zamykała oczy i przywoływała w myślach sylwetkę czy twarz Sorokina, to aż się zdawało, że dociera do niej jego zapach.

Westchnęła. Pachniał tak oszałamiająco. Inaczej niż Leszczyński, od którego czuła głównie zapach mięty. Wszystko było nim przesycone – ubranie, włosy, nawet karty czy pudełka, które jej przysyłał. Jeśli tym miał woiąć jej przyszy dom... Uch! Aż się wzdrygnęła.

Żeby czymś się zająć, postanowiła odpisać porucznikowi Orłowskiemu. Tak długo czekał na odpowiedź, zdążył przysłać już dwie przesyłki, dalsze zwlekanie byłoby niegrzeczne, a rozmowa z nim, nawet na odległość, była stokróć ciekawsza niż nudzenie Witolda. Zasiadła do biurczka, które niedawno otrzymała w prezencie od ojca. Mebelek zdobił ślicznie wyrzeźbiony subtelny motyw róż, wijących się wokół nóg. Lubiła wodzić palcami po ich delikatnie falowanej powierzchni. Podobnie zdobione były inne meble w jej pokojach: wezłowie łóżka, toaletka z lustrem czy obszerna komoda.

Z szuflady wyjęła przybory do pisania i ozdobne karty, ale nie mogła się skupić na liście. Perfumy Aleksandra wciąż drażniły jej pamięć. Pomyślała, że to aż nieprawdopodobne. Czuła je tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Przymknęła oczy i sięgnęła w stronę wyimaginowanego mężczyzny. Drgnęła zaskoczona, gdy jej dłoń trafiła na opakowanie czekoladek. Przecież jeżeli przysłał je pan Leszczyński, powinna to być mięta! Nie przypuszczała, żeby zmienił upodobania. Zaintrygowana otworzyła pudełko. Zapach uderzył w nią na nowo, mocniej. Przyglądała się pralinkom, jakby w nich miała znaleźć odpowiedź na tę niecodzienną zagadkę. Wprawdzie prezentowały się pięknie, ale nic poza tym.

W końcu dostrzegła... Spod papieru, na którym ułożone były słodkości, wystawał jakby rąbek wstążki. Z bijącym mocno sercem sprawdziła co to takiego i po chwili w drżących dłoniach trzymała obwiązaną czerwoną tasiemką kopertę. To ona roztaczała ten zapach. Oszałamiający zapach Aleksandra. Ewelina nie wiedziała, czy woli napawać się nim, czy jak najszybciej otworzyć list. Po kilku chwilach rozterek w końcu wybrała to drugie – zwyciężyła ciekawość.

Droga mi Ewelino!

Po raz drugi upraszam o wybaczenie mojej śmiałości i tej mistyfikacji, do której zmusiła mnie sytuacja. Ufam, że pozwolisz mi się wytłumaczyć i nie uznasz tego małego oszustwa za zbytnią impertynencję. Po tak stanowczej odmowie Twojej szanownej matki na moje niewinne zaproszenie na koncert, obawiałem się, że korespondencja ode mnie mogłaby do rąk Twoich nie dotrzeć, a wyznać muszę, że niezmiernie mi zależy, abyś przeczytała moje słowa.

Widzieliśmy się ledwie dwukrotnie, a ja zapomnieć tych spotkań nie jestem w stanie i czekam następnych, niczym spragnione drzewo ożywczej wody. Wypełniasz wszystkie moje myśli, zawładnęłaś mną całkowicie, dlatego błagam o choć cień nadziei, że dane mi jeszcze będzie Cię zobaczyć. Proszę, powiedz tylko, gdzie będziesz bywać, a zrobię wszystko, żeby tam się znaleźć. Wierzę, że z czasem zdołam przekonać szanownych Twoich rodziców, że mam jak najlepsze zamiary i w żaden sposób nie umiałbym skrzywdzić ich ukochanej córki.

Jeżeli masz życzenie dowiedzieć się o mnie więcej, zapewniam, że odpowiem na każde Tve pytanie.

Błagając o odpowiedź, pozostaję Twój,

Aleksandr Konstantinowicz Sorokin

Ewelina wiedziała jedno – musi teraz jak najszybciej skłonić ciocię Leokadię, żeby jej pomogła spotkać się z hrabią Aleksandrem. Ale najpierw jeszcze raz przeczyta ten list. Albo sto razy...

Rozdział XVII

1906

Paweł Orłowski przez cały dzień nie mógł znaleźć sobie miejsca i zdarzało się, że Lebediew musiał dwa razy powtarzać, czego od niego chce. Uwaga wracała na kilka minut, potem znowu odpływał myślami.

Dziś była rocznica śmierci Antona. Nawet nie mógł pojechać na jego grób, nie pozwalały mu obowiązki. Kiedy zniecierpliwiony jego rozkojarzeniem generał kazał mu iść precz, tylko podziękował i wyszedł na miasto. Pogoda była marna, siąpił deszcz ze śniegiem, ale porucznika to nie obeszło, tylko odruchowo owinął się mocniej płaszczem. Powlókł się do pierwszej lepszej świątyni i siedząc w bocznej nawie, oparty plecami o zimną kamienną ścianę, wspominał przyjaciela. Nikt mu nie przeszkadzał. Raz tylko jakiś duchowny czy może organista spytał, czy czegoś mu nie potrzeba, ale Paweł nawet nie odpowiedział. Odegnął go machnięciem ręki. Wyszedł, kiedy rozpoczęło się nabożeństwo. Nie umiał się już modlić. Ani w cerkwi, ani w kościele. Nie chciał powierzać swoich myśli Bogu, który dopuszcza do takich bezsensownych śmierci. Tysiące zginęły w nie swojej wojnie. A teraz w imię jakiejś rewolucji ginęli kolejni niewinni. Jak miał to powstrzymać? Czy ktokolwiek był w stanie?

Nie spiesząc się, wrócił do koszar i zamknął się w pokoju, który mu przydzielono. Nie miał ochoty widzieć nikogo, zresztą nie zawarł tu zbyt wielu znajomości. Usiadł przy biurku. Nadał był jak ogłuszony, spacer w żaden sposób mu nie ulżył. Musiał się czymś zająć. Odruchowo rozłożył na blacie papier, atrament i pióro. To był jego wieczorny rytuał: pisanie listu do Eweliny Strojnowskiej. Dziś chciał jej opowiedzieć o Antonie Makarowie. Opisać najlepsze żarty, jakie razem robili kolegom, najśmieszniejsze dowcipy, które od niego usłyszał. O tym, jak zawsze mógł na niego liczyć, jak bez słów rozumieli się w walce. Ale nie umiał nawet zacząć. Kreślił kilkakrotnie pierwsze zdanie, każde było zbyt banalne, a w głowie tłukł mu się jedynie tamten ostatni krzyk Antoszy, gdy biegł do niego wśród huku wybuchów.

Zagniewany na własną niemoc, podparł głowę rękami. Zmusił się, żeby nie myśleć o Mukdenie, tylko o Warszawie. Panna Ewelina pisała coraz rzadziej, ostatnie pismo otrzymał ponad trzy tygodnie temu. Pomyślał, że jej się znudził, i ból w piersi, męczący go od rana, od momentu, gdy zobaczył tę piekielną datę w kalendarzu, wzmógł się. Poczul, jakby utracił wszystko, jakby nie było już nadziei. Jęknął, a potem zaklął. Po polsku. Lineczka sprawiała, że miał miejsce, do którego chciał wrócić. Nie miał rodziny – Borkowie oddali go do gimnazjum i szybko zapomnieli o kłopotcie. Nie miał już przyjaciela. Nie miał nawet ojczyzny, bo choć ze względu na matkę czuł się Polakiem, rodacy, widząc jego mundur, często z pogardą odwracali głowy. To od ojca miał ten mundur i oficerskie wykształcenie. I cóż to wszystko było? Nic.

Na alkohol pozwalał sobie rzadko, zresztą nie przepadał za wódką. Teraz jednak chciał zrobić wyjątek. Pomyślał, że albo się napije, albo tego dłużej nie zniesie i strzeli sobie w łeb. Na szczęście wiedział, gdzie pójść. Od podporucznika Schwartza odkupił flaszkę samogonu. W smaku trunek był okropny, palił gardło i przełyk, ale za to był wystarczająco mocny, żeby szybko uderzyć mu do głowy, zatrzeć choć trochę nieznośne poczucie samotności i straty, które tak go dziś docisnęło do ziemi.

Im mniej bimbrowo w butelce, tym więcej Paweł rozmyślał o Ewelinie. O tych kilku zbyt krótkich spotkaniach, o listach, które przysyłała. Były coraz oszczędniejsze w słowach i coraz dłużej kazała mu czekać na kolejne. A może ten sprzed trzech tygodni miał być ostatni? Mimo że dziewczyna nic takiego tam nie napisała, raz obudzony niepokój już nie dawał o sobie zapomnieć. Orłowski uświadomił sobie, jak bardzo za Lineczką tęsknił i nie mogły tego zatrzeć nawet wychylane jeden za drugim kieliszki.

Ktoś załomotał do drzwi. Porucznik najpierw zignorował natręta, ale kiedy się powtórzyło, uznał, że pora dosadnie powiedzieć hałasującemu śmiałkowi, co o nim myśli. Podniósł się z trudem, zatoczył i musiał chwycić krzesła, żeby nie upaść.

– *Wasze priew... wasze priewoscho... wasze ...ditielstwo!* – wybełkotał na widok generała Lebediewa.

Trzasnął obcasami, wyprężył ciało w pozycji na baczność. A przynajmniej chciał to zrobić. Szybko stracił pion i omal nie zwałił się na podłogę. Mocne uderzenie w policzek nieco go otrzeźwiło. Dowódca patrzył bez

słowa, jak Orłowski melduje się ponownie, tym razem już poprawnie.

– *Winowat!*

– Oduść już, Paszka – mruknął Andriej Maksymowicz. Podszedł do stołu, wypił ostatni łyk bimbrowo z butelki. – *Suka bljiat'!* – zaklął. – Ależ to świństwo.

Paweł usiadł na łóżku. Szumiało mu w głowie i coraz mniej pojmował, co się dzieje. Czy czegoś nie dopatrywał, że Lebediew tu przyszedł? Nie miał pojęcia.

– Prezent ci przyniosłem – odezwał się generał łagodnie, jakby odgadując jego myśli. – Też wiem, jaki dziś dzień w kalendarzu. Proszę.

Orłowski podziękował. Otworzył zdobione lakowane pudełko. W środku znalazł najnowsze patentowane wieczne pióro Parkera, zdobione złotem, z pięknie wyprofilowaną stalówką. Patrzył oniemiały. Nigdy nie miał na własność tak pięknego i drogiego przedmiotu.

– *Wasze priewoschoditelstwo!* To za dużo, ja... ja nie wiem... – Język odmawiał mu posłuszeństwa, umysł także, bo już nie wiedział, co właściwie chciał powiedzieć. – To Antosza powinien tu być – dokończył nieskładnie. Czuł się zagubiony, pijany i nieszczęśliwy. A ponadto było mu wstyd, że Lebediew widzi go w takim stanie.

Andriej Maksymowicz z westchnieniem pokręcił głową.

– Nie, Paszka. Wszystko jest tak, jak potrzeba. Połóż się spać – polecił stanowczo.

Rozdział XVIII

1906

Leokadia dotrzymała danego Ewelinie słowa. Zrobiła to z satysfakcją, że nie pomyliła się co do hrabiego Sorokina. Poleciała odpisać Aleksandrowi, podając konkretną datę i kawiarnię przy Krakowskim Przedmieściu, i tego dnia zabrała Lineczkę na zakupy do domu mody Hersego. Nie obyło się, oczywiście, bez narzekania Barbary, że kupowanie nowej sukni zamiast przerobienia poprzedniej to zbyt duża rozrzutność dla tak młodej pani. Tym razem jednak jej protesty na nic się zdały – ciotka uprzejmie poprosiła, żeby nie nakazywano jej, jak ma dysponować swoimi pieniędzmi. Poza tym przypomniała, że obie rodziny, Strojnowskich i Leszczyńskich, wybierają się razem na bal karnawałowy na zaproszenie księcia Zdzisława Lubomirskiego.

– Nie chcesz chyba, Basiu, żeby twoja córka zrobiła złe wrażenie w towarzystwie – ucięła dyskusję.

Po raz pierwszy Ewelina nie mogła się skupić na wybieraniu sukni i dodatków, wciąż jej myśli zaprzętały pytanie, czy Aleksandr pojawi się w kawiarni. Leokadia jednak była nieugięta i nie zamierzała zrezygnować z przymiarki. Tym razem kazała obstałować jej suknię o wiele strojniejszą, z bordową spódnicą zdobioną różowymi tiulami udrapowanymi na kształt kwiatuszków, prostym stanikiem i haftowanym w kwiaty dekoltem. W każdej innej sytuacji pani Strojnowska sama nastawiałaby na drobniawego ustalanie odcienia guziczków przy pantofelkach, ale jednak się okazało, że jest coś, co potrafi zająć jej myśli o wiele skuteczniej.

– Będziesz pięknie wyglądać, Lineczko! Zachwycająco! Aż żałuję, że nie dam rady wybrać się z wami i zobaczyć, jak cudownie te jedwabne pliski układają się w tańcu – westchnęła.

Na wspomnienie tańca Ewelina pokraśniała. Najchętniej przetańczyłaby cały bal z jednym, jedynym mężczyzną. Tymczasem nie miała pewności, czy w ogóle go dziś zobaczy i czy on na wspomnianym balu się zjawi. Napisałaby o tym w liście, ale informacja o zaproszeniu przyszła już po wysłaniu pisma. Jedynym pocieszeniem było, że mogła o planowanej zabawie opowiedzieć Pawłowi.

Ciotka przyglądała jej się z uśmiechem.

– Dobrze, na dziś koniec. Za tydzień, podczas ostatecznej przymiarki, wybierzemy bieliznę i dodatki – zdecydowała.

W eleganckiej kawiarnianej sali w dzień powszedni nie było zbyt wielu gości. Na prośbę Leokadii zaprowadzono je do stolika umieszczonego w dającej intymność łoży. Zamówiły herbatę i ciastka francuskie z białym kremem.

– Nie ma go – szepnęła Ewelina, która w drodze na miejsce dyskretnie się rozglądała.

– Cierpliwości, *ma chère* – upomniała ją ciotka. – Ledwie nam przyniesiono czaj i deser.

Dziewczyna umilkła, ale cały jej entuzjazm prysł niczym rozbity o podłogę kryształ, a jej głowę opanowały najczarniejsze przypuszczenia.

– A jeśli hrabia tu był, tylko nie doczekał się nas, bo zbyt dużo czasu zmitrężyliśmy u Hersego? – rozpaczła.

– Cóż to za mężczyzna, który nie poczeka kilku chwil na kobietę? – Leokadia uśmiechnęła się spokojnie. –

Czy chciałabyś się z kimś takim zadawać?

– Ale ciociu...

Nie dokończyła, bo w tym momencie Sorokin podszedł do ich stolika. W nienagannym wełnianym garniturze, skrojonym według najnowszej mody, i zawiązanym pod szyją granatowo-złotym jedwabnym krawacie wyglądał nadzwyczaj korzystnie i wyróżniał się spośród innych mężczyzn niewymuszoną elegancją. Ukłonił się grzecznie i przywitał najpierw panią Jarcycową, potem ujął dłoń Eweliny. Dziewczyna miała wrażenie, że świat razem z nią wstrzymał oddech i zatrzymał się na moment. Zadrzała.

– Niezmiernie jestem szczęśliwy, spotykając panie tutaj – odezwał się hrabia półgłosem, patrząc prosto na nią.

– Usiądzie pan z nami? – zaproponowała Leokadia, z uśmiechem obserwując ukradkowe spojrzenia, które Aleksandr i Ewelina wymieniali między sobą.

Ledwie Sorokin odsunął krzesło, kelner zaproponował, że przyniesie trzecią filiżankę do herbaty, ale hrabia poprosił o zaparzenie mocnej kawy. Rozmawiali chwilę o pogodzie i o rodzajach podawanych tutaj deserów.

– A koncert się panu hrabiemu podobał? – zapytała Lineczka nieśmiało.

Sorokin wyraźnie się zmieszał.

– Wyznam panie Ewelinie, że nie wybrałem się w końcu na tę okazję. Mój przyjaciel Ludwik Rybczyński z narzeczoną skorzystali z biletów. Ja nie czułem się dobrze. Ale słyszałem, że orkiestra była znakomita – odpowiedział.

– Szkoda zatem, że nie mógł pan hrabia osobiście uczestniczyć...

– Bez pani to i tak nie byłaby przyjemność. Żałuję niezmiernie, że nie mogli państwo przyjąć mojego zaproszenia. – Uśmiechnął się.

– Ja również.

Ewelina walczyła, żeby się nie zaczerwienić i nie okazać, jak bardzo uradowały ją te słowa. Do tego Aleksandr siedział tak blisko i zapach używanych przez niego perfum, który tak jej się podobał, pomieszany z aromatem kawy zdawał się oszalać.

– Aleksandrze Konstantinowiczu... – wtrąciła się Leokadia. – Proszę mi wybaczyć bezpośredniość, ale nie jestem już najmłodsza i nie zostało mi dużo czasu na podchody. Nie, nie zaprzeczajcie. Sam pan zauważył, że rodzice Lineczki nie są zbyt przychylni do pana nastawieni. Proszę mi pod słowem honoru odpowiedzieć, czy ma pan wobec Ewelinki uczciwe zamiary.

Dziewczyna zakryła usta dłonią, jakby powstrzymując okrzyk. Nie mieściło jej się w głowie, że ciotka tak obcesowo potraktowała hrabiego. Ten jednak nie wydawał się w żadnym stopniu urażony jej słowami.

– Jak najuczciwsze, Leokadio Stanisławowna – zapewnił. – Odkąd ujrzałem pannę Ewelinę na balu Towarzystwa Dobroczynności, zapewniam, że myślę jedynie o niej. Nie jest dla mnie tajemnicą, że nie jestem w państwa rodzinie dobrze widziany ze względu na moje pochodzenie. Boli mnie to, ale chętnie własnymi czynami udowodnię, jak bardzo niesprawiedliwe są te uprzedzenia.

Ciotka pokiwała głową, jakby taką właśnie deklarację oczekiwała usłyszeć.

– Ja mogę ułatwić wam kilka spotkań, ale czy to ma przyszłość? Co dalej? Musi pan hrabia wiedzieć, że ojciec Ewelinki znalazł już poważnego kandydata do ręki swojej córki, ale na wasze szczęście, Aleksandrze Konstantinowiczu, ona nie podziela tego wyboru.

– Ośmielię się więc poprosić panią o radę. – Sorokin ukłonił się lekko.

– Słusznie. Proszę przekazać mi pana bilet wizytowy, przekonam męża mojej bratanicy, żeby zechciał się z panem zobaczyć. Proszę wówczas przedstawić... – Zastanowiła się. – ...wszelkie argumenty za tym, żeby pozwolono panu odwiedzać Lineczkę w domu.

– Stokrotnie dziękuję, Leokadio Stanisławowna. Za szczerą i życzliwą. – Aleksandr skłonił głowę.

– Ciociu... – szepnęła Ewelina, zażenowana wzmianką o Leszczyńskim. – A jeśli *papa*...

– Wówczas, kochanie, wymyślimy coś innego. Ale najprostsze rozwiązania bywają najlepsze – uspokoiła ją Leokadia. – Wejść teraz do tego sklepu z materiałami po drugiej stronie ulicy i będę czekać na ciebie w powozie.

Kiedy się podniosła, Sorokin w tym samym momencie zerwał się z krzesła, gotów jej usłużyć.

Zostali sami. W to również Ewelina nie mogła uwierzyć, że ciocia pozwoliła na tak wiele. Nagle nie wiedziała, jak się powinna zachować, o czym rozmawiać, jakby pozbawiona ciągłego nadzoru kogoś starszego zupełnie się pogubiła. Zapominając o manierach, wpatrywała się w hrabiego, który zajął miejsce obok niej.

– Panno Ewelino, dziękuję, że nie skreśliła mnie pani ze względu na moje dotychczasowe nieudolne próby zaskarżenia sobie pani względów – odezwał się cicho.

Kiedy mówił tylko do niej, zniżał głos i szukał wzrokiem jej spojrzenia. To, co wtedy czuła, było całkowicie nowe i fascynujące.

– Ja nie zwykłam skreślać kogoś tylko dlatego, że nie jest Polakiem. W instytucie w Wilnie miałam wiele koleżanek, również z Rosji. Proszę wybaczyć mojej *maman*, ona... – Urwała, bo Aleksandr ujął jej dłoń i lekko

ścisnął.

– Nie musi mi panna tego tłumaczyć. Ja to jestem w stanie zrozumieć, ale też, tak jak pisałem, ufam, że zdołam to nastawienie zmienić. Teraz jestem po prostu szczęśliwy, że jestem tutaj, że rozmawiamy. – Nadal nie puszczał jej ręki, choć zdecydowanie przekroczył dopuszczalne maniery. Ewelina nie śmiała się poruszyć, ale też nie chciała, żeby ta chwila minęła. – Ewelino Adamowna, proszę mi zdradzić, czy pani choć odrobinę czekała na to spotkanie...

– Tak, Aleksandrze Konstantinowiczu – szepnęła. Wymówienie na głos jego imienia sprawiło jej nieoczekiwaną przyjemność. – I mam nadzieję, że nie widzimy się ostatni raz – dodała odważnie, chociaż głos jej drżał.

– Właśnie pomnożyła pani moje szczęście – wyznał poufale. – Wiem, że muszę już panią odprowadzić, ale zrobię to z największym żalem. Marzę o dniu, gdy usiądziemy i będziemy mogli rozmawiać do woli.

Pomógł Ewelinie wsiąść do powozu i uprzejmie pożegnał się z ciotką Leokadią.

– Aleksandrze Konstantinowiczu? – zagadnęła go jeszcze pani Jarcycowa. – Słyszał pan, że ksiądz Lubomirski organizuje bal karnawałowy?

– Nie, Leokadio Stanisławowna.

– Proszę się zatem zainteresować – poradziła.

Kiedy odjeżdżały, stał na chodniku, odprowadzając powóz wzrokiem i nie zważając na coraz silniej padający śnieg. Obok niego przemknął patrol kozaków, ale Sorokin nawet nie spojrzął w ich stronę.

– Leokadio, naprawdę uważasz, że to ma jakikolwiek sens?

Adam Strojnowski był wyraźnie zdenerwowany propozycją ciotki Jarcycowej.

– Tak właśnie. Daj temu człowiekowi chociaż jedną szansę, żeby mógł ci się przedstawić, zanim go odrzucisz – odrzekła spokojnie.

– Ale Basia... Przecież ona gotowa dostać apopleksji.

– Nie zasłaniaj się moją bratanicą, Adamie. To twoja żona i jeśli ty uznasz, że znajomość z Sorokinem wyjdzie Lineczce na dobre, to będzie zmuszona się z tym zgodzić, prawda? – oznajmiła pani Jarcycowa wprost.

Strojnowski ze znużeniem przetarł oczy. Wrócił dziś wyjątkowo późno do domu, zmęczony obowiązkami, bo do szpitala znowu trafili jacyś nieszczęśnicy z urazami od bomb i strzałów, a zamiast odpocząć, został zmuszony do wysłuchania wykładu Leokadii na temat niepotrzebnych uprzedzeń.

– Dlaczego w ogóle mnie o to prosisz? Kim jest ten cały Sorokin, że tak ci zależy?

Milczała dość długo, zanim odpowiedziała.

– Mam dwa powody i nie umiem zdecydować, który jest ważniejszy. Z praktycznego punktu widzenia to znakomita partia i tak naprawdę to łut szczęścia, że ktoś taki zainteresował się waszą córką. Nie do przecenienia jest też fakt, że to w jego rękach znajduje się Przylesie. A druga sprawa, że widzę, jak hrabiemu naprawdę na Lineczce zależy. Od czasu tego balu w Towarzystwie Dobroczyńności jest w nią wpatrzony jak w obraz.

– Leokadio, znowu bawisz się w swatkę.

– O nie, mój drogi. Ja jestem bardzo poważna – zaprotestowała.

– A Leszczyński? Za chwilę będziemy po słowie.

– To zanim on się zdąży oświadczyć, przyjmij hrabiego Sorokina na rozmowę. I zapewniam cię, że Lineczka ani razu nie popatrzyła na Witolda tak, jak spoglądała na Aleksandra. A na tym akurat się znam – dodała.

Strojnowski westchnął.

– Dobrze, przemyślę to, co powiedziałaś. Już jak zobaczyłem go na tamtym balu, to wiedziałem, że z tego będą kłopoty. A teraz bardzo cię proszę, moja droga Leokadio, pozwól, że udam się odpocząć. Padam z nóg.

– Dobrze, Adamie. Dziękuję, że rozważysz tę sprawę. – Ciotka pozwoliła się ucałować w policzek i opuściła gabinet.

Rozdział XIX

1906

Hrabia Sorokin na spotkanie ze Strojnowskim w jego gabinecie, który doktor wynajmował w niedalekim sąsiedztwie szpitala, zjawił się punktualnie. Oczywiście, mógł zaprosić ojca Eweliny do siebie, ale uznał, że będzie ukłonem w stronę doktora, jeśli to on pofatyguje się z wizytą. Aleksandr doskonale rozumiał, że bez wątplenia w tej sytuacji to on był petentem, niezależnie od statusu, który ich różnił. Lekarz po przywitaniu wskazał mu miejsce w wygodnym fotelu, kazał podać kawę i koniak. Aleksandr z niejakim zdziwieniem skonstatował, że jednak się denerwuje, mimo rzetelnego przygotowania, które poczynił przed wizytą. Cóż, wiele zależało od tej rozmowy. Przyjrzał się siedzącemu naprzeciw w – wydawałoby się – swobodnej pozie mężczyźnie. Strojnowski odwzajemnił spojrzenie, z lekkim uśmiechem, który uniósł nieco jego starannie wypielęgnowane wąsy.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

– Będę szczerzy, gdyby nie wstawiennictwo pani Jarcycowej, niekoniecznie bym się na to zdecydował – przyznał doktor. – Najwyraźniej przypadł pan do gustu naszej cioci Leokadii. Poprosiła mnie, żebym osobiście przekonał się co do pańskich zamiarów.

– W takim razie pozwoli pan, że będę mówił wprost?

– Liczę na to, Aleksandrze Konstantinowiczu, i cieszy mnie, że ma hrabia podobne podejście. Proszę mówić – zachęcił.

– Przede wszystkim chcę podkreślić, że mam poważne zamiary wobec Eweliny Klary Adamowny. Jestem w stanie zapewnić pańskiej córce godziwe życie i jeśli pan tego zażąda, mogę przedstawić na to dowody choćby teraz. Oczywiście zdaję sobie sprawę, jak wielką przeszkodę w oczach pańskich oraz pana szanownej małżonki stanowi fakt, że nie jestem Polakiem – zaczął Sorokin ostrożnie. – Gotów jestem jednak zrobić wszystko, żeby zmienili państwo zdanie.

– Wszystko, czyli co? – zapytał zdziwiony tak mocną deklaracją Strojnowski.

– To zależy też od państwa, czego będą oczekiwali. Wiem jedno – w żaden sposób nie zamierzam zaprzeczać, że panna Ewelina jest Polką, nie chcę, by dla mnie porzuciła język czy religię. Jestem gotów zamieszkać w Królestwie, jeśli taki będzie jej wybór. A w przypadku naszych dzieci...

– Może niech pan hrabia nie zapędza się aż tak daleko – mruknął Adam. – Choć, oczywiście, doceniam pana chęci, ale przyznam, że to dość niepopularne podejście wśród pańskich rodaków, a już zupełnie niezgodne z zaleceniami *Gosudara Imperatora*. Interesuje mnie jednak coś innego...

– Pan, zdaje się, nie daje wiary tym zapewnieniom? – wtrącił Aleksandr, gotów bronić swojego stanowiska.

– Panie hrabio, powiedziałem, że to doceniam – podkreślił doktor. – Natomiast nie rozumiem, dlaczego ktoś z pana pozycją prosi o zainteresowanie córki zwykłego doktora, wprawdzie z rodziny z tradycjami, ziemiańskiej, jednak nieutyłowanej oraz...

– Oraz Barbary Ewy z Ostaszewskich herbu Gawron, który to został odebrany jej ojcu razem z majątkiem Przylesie w Rudzie Guzowskiej, za poparcie powstania w sześćdziesiątym trzecim roku – dokończył spokojnie Sorokin. – Dodam, że majątek Przylesie zakupił mój świętej pamięci ojciec, wyjątkowo zakochany w pańskim kraju, i przyznam, że zaczynam go rozumieć.

Adam Strojnowski milczał przez moment, jakby słowa Aleksandra docierały do niego stopniowo.

– Przyznam, jestem pod wrażeniem. – Skłonił głowę. – Ale moje pytanie pozostaje w mocy.

– Jedynym powodem są zalety panny Eweliny Adamowny. – Sorokin rozłożył ręce, chcąc podkreślić swoje szczerze intencje. – Nie dbam o pieniądze, być może dlatego, że nigdy mi ich nie brakowało, ale jak pan być może zdążył się zorientować, umiem je utrzymać przy sobie i pomnożyć. Nie dbam też o tytuły.

– Łatwo panu mówić...

– Zapewne – przyznał. – Robotnikowi czy szeregowemu żołnierzowi pewnie takie deklaracje przysłyby z trudnością. Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

– A pańska rodzina? Nie wierzę, że pańskiej matce będzie wszystko jedno, że...

– Proszę nie umniejszać tak gorliwie pochodzenia panny Eweliny. To nie jest konieczne i za każdym razem zaprzeczę – przerwał mu Sorokin. – Mój ojciec w testamencie zapisał mi między innymi właśnie Przylesie, nie wspominając kilku innych dóbr w Rosji, i sam decyduję o sobie. Oczywiście, zdanie mojej drogiej matki, Natalii Nikołajewny, jest dla mnie ważne, jednak nie rozstrzygające.

– Trudny z pana przeciwnik, Aleksandrze Konstantinowiczu. – Strojnowski zaśmiał się z sympatią i uniósł kieliszek koniaku w pełnym uznania toaście. – I nie będę ukrywał, że jestem skłonny uwierzyć w pana intencje – westchnął. – Proszę mi jeszcze powiedzieć jedno... Nie przeszkadza panu, że być może wsparciem Leokadii Stanisławowny kieruje chęć, żeby w jakiś sposób odzyskać majątek Przylesie?

– Nie podejrzewam pani Jarczycowej o coś takiego.

– Ale pytałem nie o podejrzenia pana hrabiego, tylko o to, czy panu taka ewentualność nie przeszkadza – sprecyzował.

– Nie. – Mina Aleksandra jasno mówiła, że po prostu o to nie dba.

Strojnowski zastanawiał się usilnie, co odpowiedzieć temu pewnemu swej racji młodemu hrabiemu. Nawet gdyby miał pominąć to, czego dowiedział się od ciotki Leokadii o nastawieniu córki do Aleksandra, to jeśli rozpatrzyć jedynie kwestie majątkowe, Sorokin bił na głowę ofertę Leszczyńskiego. Daleki jednak był od tego, żeby patrzeć na zamążpójście Ewelinki tylko przez pryzmat finansów. Do niedawna mu się wydawało, że dziewczyna chętnie przyjmuje wizyty Witolda, dopiero rozmowa z panią Jarczycową otworzyła mu oczy, ale nie oznaczało to natychmiastowej akceptacji propozycji Rosjanina. Musiał wziąć pod uwagę poglądy i przekonania swojej żony.

– Jeszcze koniaku? – spytał, żeby zamaskować swoje przedłużające się milczenie.

– Dziękuję.

Aleksandr odmówił mu spokojnie i wydawałoby się, że z niczym niezmaconą pewnością przychylnego dla siebie werdyktu czekał na odpowiedź. Wprawne oko lekarza dostrzegło jednak oznaki, że Sorokin wcale nie lekceważył tej rozmowy. Nieświadomie zagryzał dolną wargę i nieco zbyt nerwowo gładził ozdobną szpilę przy krawacie.

– Zwracam się oficjalnie o zgodę na bywanie w państwa domu, Adamie Aleksandrowiczu. – Hrabia wstał i przerwał ciszę. – Będę zaszczycony, mogąc się starać o rękę pańskiej córki.

Nie siadał. Czekał.

– Nie odpowiem już dziś, zdaje sobie pan z tego sprawę, prawda?

– Tak. Rozumiem.

Głos hrabiego nawet nie drgnął, chociaż jego napięcie było wyraźnie odczuwalne.

– Ale mogę obiecać, że się postaram, aby nie czekał pan na moją decyzję zbyt długo. W zamian proszę o jedno...

– Oczywiście. – Aleksandr skinął głową.

– Do czasu wiadomości ode mnie proszę nie pisać ani w inny sposób nie kontaktować się z Ewelina. Nie chcę, żeby moja córka nabrała nadziei, w razie gdyby...

– Ja się nie wycofam, panie Strojnowski – zapewnił stanowczo Sorokin. – Ale dostosuję się do tego warunku.

Pożegnali się. Adam długo jeszcze siedział w fotelu, popijając koniak, zanim wybrał się do domu. Tego dnia nie przyjmował pacjentów i czas najwyższy, by wracać, wszak pora kolacji dawno minęła. Jadąc dorożką, zastanawiał się, kiedy odbyć rozmowę z Basią i nie potrafił wymyślić dobrej pory. Spodziewał się jej oporu, uprzedzenia z samych tylko przyczyn narodowościowych. Rozumiał, że dla jego żony zgoda dla Rosjanina była niemal tożsama z akceptacją, że Polska ma nigdy nie wrócić na mapy świata. On natomiast przyznawał przed

sobą, że Aleksandr Konstantinowicz zrobił na nim jak najlepsze wrażenie i nie umiał się w nim doszukać żadnej nieszczerej nuty.

Do tego Ewelina... Ten człowiek wyraźnie urzekł jego córkę, która przecież nie miała pojęcia, kim jest, a – co do tego miał pewność – to nie kwota, za jaką hrabia wylicytował jej szal, zrobiła na niej wrażenie, ale gorliwe zainteresowanie mężczyzny, z którym przecież tamten się nie krył.

Zaklął cicho. To był twardy orzech do zgryzienia.

Barbara nie spała, choć ostatnio kładła się wyjątkowo wcześniej. Wyszła do męża, gdy z pomocą służącego zdejmował wilgotny od mżawki płaszcz. W mieszkaniu panowała już cisza, tylko Anielka pojawiła się w korytarzu, żeby przyjąć ewentualne dyspozycje co do kolacji.

– Zjesz coś? – Żona uprzedziła pytanie służącej, ale Adam pokręcił głową. Nie czuł głodu, za to chciałby już mieć za sobą dyskusję o Sorokinie.

– Zmęczony jestem. Ale napiłbym się herbaty – dodał w nadziei, że Barbara zechce mu dotrzymać towarzystwa.

Nie pomylił się. Żona usiadła nieopodal i uważnie mu się przyglądała. Nic jednak nie mówiła, więc i on milczał. Dopiero kiedy wypił dobre pół filiżanki swojego ulubionego naparu z dzikiej róży, zdecydowała się odezwać.

– Późno wracasz ostatnio – zauważyła.

– Dużo mam pracy. Też mi brakuje naszych wspólnych wieczorów. – Uśmiechnął się.

Znowu ucichła i tym razem zapatrzyła się w ogień z kominka. Wydało mu się, że posmutniała, że mu nie wierzy. Nagle zrozumiał... Podejrzewała, że ma kochankę? On? W tym wieku?

– Co się dzieje, Basiu? Czym się martwisz?

– Niczym.

– Przecież widzę.

– Późno wracasz – powtórzyła. – Może nie chcesz, żebym o czymś wiedziała...

Zdenerwował się. Przez tyle lat małżeństwa nie zarzucała mu takich rzeczy. Nawet kiedy dziesięć lat temu rzeczywiście zadurzył się jak ostatni idiota w młodszej siostrze swojego serdecznego kolegi, doktora Kronenberga, albo naprawdę nic nie zauważyła, albo duma nie pozwoliła jej robić mężowi wyrzutów. Urwał wtedy radykalnie tamtą znajomość. Nie godziło się. A teraz... Teraz takie pomysły...

– Tak, nie chcę – odparł, nieco głośniejszym głosem niż zamierzał. – Nie chcę, żebyś się bała. Gazety już i tak wystarczająco podsycają strach przez te wieści o terrorystach, o strzelaninach, o napadach. Nie chcę ci mówić, ile przypadkowych ofiar tej walki trafia do szpitala, ile nie przeżywa. Wiesz, jak to się nasiliło od tamtej dużej demonstracji w listopadzie ubiegłego roku? – Wstał, ale zaraz usiadł. Jednym haustem dopił herbatę. Już mu nie smakowała tak jak przed chwilą. – Basiu... Wybacz. – Ujął jej dłoń i ucałował. – Nie powinienem sobie pozwolić na taki wybuch. Ale jest jeszcze coś...

Jej czujność, uśpiona przeprosinami, wzmożła się na nowo. Poprosiła, by napełnił jej filiżankę. Kiedy się nachylił, by to zrobić, pociągnęła nosem.

– Piłeś.

– Był u mnie hrabia Aleksandr Sorokin. – Zignorował jej wyrzut.

Może wstrzymałby się z tą rewelacją, gdyby nie niedawne wzburzenie. Teraz i tak już było za późno. Barbara omal nie wylała herbaty.

– Bezczelność – syknęła.

– Chciał ze mną porozmawiać o swoich zamiarach wobec naszej córki i prosić o zgodę na odwiedzinę w niedzielę – kontynuował, niezrażony taką reakcją.

– Rozumiem, że odmówiłeś – stwierdziła, już spokojniej.

– Powiedziałem, że dam odpowiedź w najbliższych dniach.

– Zamierzasz w ogóle się nad tym zastanawiać?

Przytaknął, poprosił, żeby go wysłuchała, i w skrócie przedstawił treść swojej rozmowy z Sorokinem. Barbara milczała, ale po jej zaciśniętych w wąską kreskę ustach poznawał, że jej nastawienie nie uległo zmianie nawet na jotę.

– Nie zgadzam się – oznajmiła, gdy skończył, jakby w ogóle nic nie tłumaczył. Rozgniewało go to.

– A ja wręcz przeciwnie. Jeżeli rzeczywiście nasza córka byłaby nim zainteresowana...

– Czyli zamierzasz ją sprzedać? – oskarżyła go.

Widział, że zbiera jej się na płacz. Że za chwilę już nie powstrzyma łez, a wtedy cała rozmowa pójdzie na marne. Ale to, co powiedziała, zabolalo jak policzek.

– Nigdy tak nie mów – warknął. – Aleksandr Konstantinowicz odwiedzi nas w najbliższą niedzielę.

– Dobrze więc. – Barbara wstała. – W takim razie chętnie zaproszę na herbatę naszego syna. W najbliższą niedzielę – oznajmiła.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła. Adam usłyszał jeszcze trzaśnięcie drzwi do sypialni.

– Zaprosi Stacha... Cóż to za znakomity przepis na katastrofę. Żal tylko, że Staszek nie będzie miał czasu na wizytę – mruknął do siebie.

Rozdział XX

1906

***Siadajcie, poruczniku.

Lebiediew odwołał go z ćwiczeń. Orłowski przypuszczał, że coś się wydarzyło, bo generał był wyjątkowo ponury. Nie zadał sobie jednak trudu, żeby dociękać, co mu tym razem zepsuło humor. Jego przełożony ostatnio głównie brał udział w rozmaitych naradach, każda niezmiernie go złościła. Do tego – jak się kiedyś zwierzył Pawłowi w chwili słabości – jego żona nie chciała przyjechać do Wiednia, bowiem podróże pociągami napawały ją lękiem. Ale teraz raczej nie chciał narzekać na swoją małżonkę. Zaproponował wódkę, ale porucznik odmówił. Za to generał nalał sobie pokąsną porcję i szybko przełknął.

– Zmarł Józef Borek – oświadczył mu. – Przyszła depesza z Rudy.

Orłowski się domyślił, że to nie ta wiadomość tak zachmurzyła dowódcę, ale nie śmiał dopytywać. Sam przez dłuższą chwilę nic nie powiedział, jakby potrzebował czasu, żeby informacja o śmierci człowieka, który go wychował, do niego dotarła. Poczł smutek, ale czy stratę? Z zarządcą w gruncie rzeczy niewiele go łączyło, od małego wiedział, że nie jest jego ojcem, a sam Józef traktował go zazwyczaj dość szorstko. Co innego Borkowa. Na pewno było jej teraz ciężko...

– Przykro mi. Doceniam, że mnie powiadomiono, Borkowie mnie wychowali – odezwał się w końcu.

– Chcesz jechać na pogrzeb – bardziej stwierdził, niż zapytał Lebiediew.

– Jeżeli by to było możliwe, panie generale.

Pomyślał, że może jego obecność będzie miła Stefie. Może tylko jej. A gdyby znalazł nieco czasu, mógłby też spróbować zobaczyć pannę Strojnowską. Ile to już tygodni nie pisała do niego? Ostatni list przyszedł na początku marca, a teraz kończył się kwiecień. Westchnął.

Lebiediew dotrzymał słowa i zwolnił go na trzy tygodnie. Tym razem porucznik zmuszony był podróżować drugą klasą, ze swojej pensji nie mógł sobie pozwolić na luksusy. Ścierpiał więc całą gamę dziwnych towarzyszy, od krzyczących zbyt głośno po niemiecku dzieci czy Żydów szwargocących w jidysz, po ludzi konsumujących jajka, rzadziej kiełbasę albo roztaczających woń niemytych ciał, konkurującą z tymi wiktuałami. Na jednej ze stacji, już w Królestwie, wsiadło też kilku podpitych szeregowych, którzy może i mieli ochotę na niewielką awanturę, ale ucichli na widok jego munduru i szarży, grzecznie siedząc przez resztę drogi, zapewne w obawie, żeby nie doniósł ich oficerowi.

Pociąg dojechał na stację punktualnie, co Orłowski przyjął z wielką ulgą, bo zbieranina w wagonie działała mu już na nerwy. Część podróży, zwłaszcza przed przesiadką na granicy, udało mu się przespać, ale potem rozbudził się zupełnie. Wysiadł w Rudzie Guzowskiej, pogrzeb miał się odbyć już nazajutrz, wołał więc nie tracić czasu.

Mógł pojechać do dworu, zapewne dostałby nocleg, ale nie chciał robić kłopotu Borkowej, a ponadto był zbyt zmęczony, żeby szukać o tej porze dorożki. Marzył, żeby się położyć w jakimkolwiek łóżku, nie wymagał już nawet pościeli. Nie miał zresztą zbyt wielkiego wyboru. Wynajął pokój w zajeździe i, nie dbając o kolację, położył się spać.

Następnego dnia doprowadził się do porządku i po śniadaniu udał się prosto do Przylesia, żeby razem ze wszystkimi żałobnikami pojechać do kościoła, a później na cmentarz. Stefania, choć zapłakana, uściskała go serdecznie. Wzruszony takim powitaniem, wyszeptał kilka niezgrabnych zdań pocieszenia i poszedł się pożegnać ze zmarłym. Józef leżał w prostej sosnowej trumnie i wyglądał, jakby spał. Paweł, który przywykł do widoku trupów, ale na polu walki, z pewnym zdziwieniem patrzył na jego czyste ubranie i spokojną twarz. Paradoksalnie ten widok wstrząsnął nim bardziej, niż przypuszczał. Wróciły wspomnienia, głównie z dzieciństwa, z chwil kiedy był najbardziej beztroski i szczęśliwy. Przypomniał sobie drewnianego konika. Małą zabawkę na podstawie z kółeczkami. Borek przyniósł mu ją z dworu...

Zarządcę odprowadzała cała służba z majątku, a kiedy byli już w kościele, pojawił się nawet obecny właściciel Przylesia, co Orłowskiego ogromnie zdziwiło, bo nie spodziewał się tutaj hrabiego Sorokina. Nie było wyjścia, powinien po mszy iść się przywitać, choć chwilę bił się z myślami, czy w ogóle to robić. Ich wspólne otczystwo zawsze zdawało mu się krępujące.

Może by i odpuścił, nie bacząc na grzeczność, ale Sorokin po wyjściu ze świątyni, oczekując na wyprowadzenie trumny, stał osamotniony, a widząc rosyjski mundur, skinął głową. Paweł podszedł i oddał ukłon.

– Zaszczyczony jestem móc poznać pana hrabiego osobiście. Paweł Orłowski – przedstawił się, celowo pomijając otczystwo.

Mężczyzna przyglądał mu się przez jakiś czas. Orłowski wytrzymał spojrzenie.

– Miło mi, Pawle Konstantinowiczu – odparł Aleksandr w końcu.

Znowu mierzyli się wzrokiem. Sorokin pozornie rozluźniony, ale wprawne oko porucznika rozróżniło nieznacznie spięte mięśnie, jakby przyrodni brat utrzymywał czujność w razie konieczności walki. Pawła z jednej strony to rozbawiło, z drugiej odniósł wrażenie, że hrabia szacuje w jakiś sposób jego osobę, i wszystko się w nim buntowało. Przecież on nic od tego człowieka nie chciał. Ale podjął tę dziwną grę i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie trzeba było iść na cmentarz.

Przyszło sporo ludzi, nie tylko służba z majątku, ale i robotnicy z miasta i chłopci z okolicznych wsi, bo Borek był szanowanym w okolicy człowiekiem. Orłowski został z tyłu, niedaleko wejścia, nie chciał się przepychać. Obserwował. Widać było, że wdowa po Józefie docenia obecność Sorokina, że to dla niej znaczna nobilitacja. Zapewne hrabia zapłacił za wszystko, ale przecież tak powinno być. A potem Paweł gorzko pomyślał, że nawet tutaj nic na niego nie czeka. Oprócz grobu matki...

Ktoś go potrącił, przechodząc obok. Orłowski odruchowo obejrzał się za intruzem. Nieznajomy wyglądał na robotnika, miał na sobie znoszoną marynarkę i niemodny kapelusz. Zmierzył porucznika wzrokiem i splunął mu pod nogi.

– Carski pies! – syknął jeszcze z pogardą, zanim rzucił się do ucieczki.

Nie zamierzał za nim gonić, ale za bramą cmentarza tamten sam wpadł na dwóch patrolujących okolicę kozaków. Jeden z nich zamachnął się z wysokości konia i zdzielił biegnącego nahajką przez plecy. Robotnik upadł z jękiem. Drugi bat również poszedł w ruch. Żołdacy nie mogli widzieć incydentu. Bili, bo Polak biegł. Bili, bo mogli to robić.

– Zostawcie! – krzyknął na nich Orłowski.

Kozacy spięli konie, odwracając je w kierunku głosu, gotowi dalej wymierzać sprawiedliwość, ale widząc mundur oficera lejbgwardii, odpuścili, oddali porucznikowi honory i śmiejąc się do siebie, odjechali. Ktoś podniósł poszkodowanego, ktoś szeptem komentował całe zajście. Wokół Pawła zrobiło się luźno, ludzie odstąpili, część pewnie uważała, że to przez niego skatowano tamtego nieszczęśnika. Wiedział, że nie przekona tu nikogo, iż było zupełnie inaczej. Widziano jego mundur, dystynkcje podobne do tych, które nosili tamci. Nic więcej. Nawet Sorokin był im bliższy, bo pan na majątku dla chłopca czy robotnika był kimś naturalnym i nawet jak zdzielił batem, to widocznie się należało.

– Co tu się wydarzyło?

Zamyślony nawet nie zauważył, że pogrzeb dobiegł końca. Żałobnicy musieli opuścić cmentarz. Obecność Sorokina też go zaskoczyła.

– Kozacy pobili robotnika, *gospodin graf*. Już go ludzie poprowadzili do felczera – wyjaśnił krótko. Nie miał ochoty na rozmowę z hrabią i nieco zdziwiło go, że zainteresował się sytuacją.

– Mieli powód?

Orłowskiego zniecierpliwiło to dociekanie.

– Czy kozacy muszą mieć powód? – odpowiedział pytaniem.

– Ale powstrzymał ich pan – zauważył Aleksandr.

– Ja inaczej niż oni podchodzę do swoich obowiązków. Nie będę pana hrabiego zatrzymywał. – Ukłonił się.

Chciał już stąd iść, to wszystko okazało się dziwnie męczące. O ile prościej było po prostu służyć Lebediewowi, niż zmagać się z niechęcią własnych rodaków i znosić towarzystwo swojego przyrodniego brata, którego nigdy wcześniej nie widział.

– Zapraszam na obiad do Przylesia, Pawle Konstantinowiczu.

– Proszę mi wybaczyć i nie mieć za złe, ale spieszę się na pociąg do Warszawy – odparł.

– Może więc następnym razem. – Hrabia uśmiechnął się uprzejmie i odszedł w stronę czekającego na niego powozu.

Orłowski spoglądał za nim przez chwilę i nagle Aleksandr Konstantinowicz wydał mu się równie samotny jak on. Wrażenie jednak minęło tak szybko, jak się pojawiło, zastąpione gorzką refleksją. Przecież tamten był tutaj u siebie, to Paweł był obcy.

Ruszył na stację kolei i kupił bilet powrotny do Warszawy. Tam przynajmniej było miejsce, do którego zawsze mógł się udać i gdzie nie będzie niemile widziany: koszary Lejb-Gwardyjskiego Keksholmskiego Pułku na Polu Mokotowskim. „Cóż, może i jestem carskim psem – pomyślał gorzko, zajmując miejsce w przedziale, który, o dziwo, był pusty. – Ale car nie pluje mi pod nogi”.

Sorokin także najchętniej od razu pojechałby do stolicy, ale nie pozwalały mu obowiązki. Musiał dopilnować, żeby zatrudniono porządnego zarządcę, skontrolować prace kończące remont dworku, przejrzeć księgi rachunkowe i przyjąć na śniadaniu Edwarda Herbsta z małżonką, bo czas był najwyższy porozmawiać o projekcie cerkwi. W okolicy była jedynie mała prawosławna świątynia garnizonowa, a Aleksandr bardzo chciałby to zmienić.

Bardziej niż przypuszczał poruszyło go spotkanie z przyrodnim bratem. Doceniał wyjątkową dumę Pawła, który przedstawiając się mu, celowo pominął otczestwo, choć przecież jako porucznik w carskiej gwardii musiał go używać na co dzień. Było w tym sześć lat od niego młodszym mężczyźnie coś chmurnego, niepokojącego. Jego oczy nie pasowały do gładkiej twarzy, zdawały się krzyżeć, że widział już więcej niż niejeden w sile wieku. Aleksandr wiedział, że porucznik walczył w Mandżurii, zauważył Order Świętego Jerzego przy galowym mundurze, który Orłowski założył na okoliczność pogrzebu. Nawet przez moment pożałował, że jednak się w przeszłości nie poznali, ale szybko dotarło do niego, że Paweł niekoniecznie by tego chciał. Westchnął do swoich myśli. Ojciec, choć od tak dawna nieobecny, miał nadal wpływ na jego życie, czy Sorokin sobie tego życzył, czy nie.

Zastanawiał się chwilę, co się mogło wydarzyć przy bramie cmentarza, ale nie znalazł odpowiedzi. Porucznik z jednej strony wzbudził w ludziach niechęć, był jedynym żałobnikiem w carskim mundurze, z drugiej – Sorokin zauważył kilka wdzięcznych czy pełnych podziwu spojrzeń, gdy Orłowski odegnał kozaków.

W domu Aleksandr, zanim udał się na obiad, zamknął się w gabinecie i skreślił kilka słów do Eweliny. Nie mógł się doczekać spotkania. Odkąd dostał oficjalną zgodę od Strojnowskiego, wizyty były o wiele prostsze i widywali się regularnie, czy to w domu, czy na spacerach – pogoda temu coraz bardziej sprzyjała. Czasem też zapraszał pannę Strojnowską, oczywiście z rodziną, na koncerty czy do teatru, bywali u znajomych, ale jednak on wolał kameralne wyjścia, kiedy mógł w pełni poświęcać uwagę swojej wybrance. Nieco martwił go brak akceptacji ze strony Barbary Andriejewny, nie miał już pomysłu, jak zmiękczyć tę niechęć, a przecież chciał się niedługo oświadczać. Dopóki nie mieli oficjalnego statusu narzeczonych, nie wypadało mu na przykład zjawić się z Eweliną na ślubie Ludwika, czego bardzo żałował. Pomyślał, że niedługo będzie mógł zorganizować coś w majątku i zaprosić Strojnowskich. Może pani Leokadia doceni zmiany, które tutaj wprowadził. A może przeciwnie, kto wie. W każdym razie postanowił zaryzykować.

Dni mu się dłużyły, a wciąż nie mógł znaleźć następcy Józefa Borka. Do tego musiał zadbać o Borkową, zapewnić jej miejsce we dworze, bo w dotychczasowym domu zostać nie mogła, jeśli miał kogoś nająć, a przecież nadal była tu kucharką. Pod jej jurysdykcją nie narzekał na posiłki, uważał, że gotuje smaczniej niż wielu

uznawanych w mieście kucharzy. Spytał ją któregoś dnia o ulubioną potrawę ojca, był ciekaw, czy pamiętała to samo co Natalia Nikolajewna, która przy każdej okazji lubiła wspominać zwyczaj swojego zmarłego męża. Ku jego zaskoczeniu Stefa wymieniła bliny. Poprosił, żeby mu je przygotowała, i musiał zgodzić się z ojcem – lepszych nie jadł nigdy.

Herbst budowę cerkwi uznał za znakomity pomysł, był tylko problem, że naczelnik powiatu błońskiego z sobie tylko znanych powodów koniecznie chciał zatrudnić architekta Fijałkowskiego, o którym Aleksandr niewiele wiedział. zaproponował, żeby rozważyli współpracę przy projekcie, gotów był wówczas wyłożyć sporą sumę na dofinansowanie budowy, nad czym wiceprezes Towarzystwa Akcyjnego obiecał się zastanowić. Rozmawiali też o potrzebie zaprojektowania nowych budynków przyfabrycznych, co w tej chwili nie do końca było po myśli Sorokina. Ale uznał, że może i tym się zająć.

W końcu zjawił się odpowiedni kandydat na zarządcę i Aleksandr przyjął go na czas próbny. Przed wyjazdem zawołał do siebie Stefanię Borkową i nakazał jej, by miała oko na pracę nowo zatrudnionego człowieka.

Rozdział XXI

1906

Orłowski niecierpliwie oczekiwał na odpowiedź na swój bilet wizytowy, który złożył następnego dnia po przybyciu do stolicy. Dni jednak mijały bez żadnego znaku od panny Strojnowskiej i porucznik nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić i czy powinien się narzucać, pisząc raz jeszcze. Trochę włóczył się po mieście bez większego celu, w nadziei, że ją gdzieś przypadkiem spotka, trochę spędzał czas z kolegami z pułku i brał udział w ćwiczeniach. Bał się, że nadejdzie dzień wyjazdu, a on nie zdoła się z nią zobaczyć. Nie wypadało mu jednak złożyć wizyty bez zapowiedzi.

Nie miał pojęcia, że Ewelina nie wie, jak ma mu odpowiedzieć. Było jej wstyd, bo długo nie odpisywała Pawłowi na listy, zajęta spotkaniami z Aleksandrem. Nawet próbowała usiąść do korespondencji, ale kończyło się to bezwiednym kreśleniem esów-floresów po papierze, podczas gdy ona pogrążała się w marzeniach o Sorokinie. W końcu po ostrej reprymendzie Leokadii, której zwierzyła się ze swojej rozterki, posłała do porucznika liścik. Przepraszyła za brak odpowiedzi, wymawiając się niedyspozycją i zaprosiła go na popołudniową herbatę. Wprawdzie ciotka zasugerowała, żeby dziewczyna rozmówiła się z Orłowskim i postawiła sprawę jasno, skoro dotąd oficjalnie nie zakończyła korespondencji z nim, ale Ewelina usiłowała o tym nie myśleć.

Zjawił się punktualnie, z kwiatami dla wszystkich pań i butelką wiedeńskiego koniaku dla pana Strojnowskiego. Usiedli w salonie, rozmowa toczyła się wartkim strumieniem, bo wypytywano Pawła o wieści z zagranicy. Tylko panna Ewelina milczała, wyraźnie zakłopotana, a kiedy ją zagadywał, odpowiadała krótkimi zdaniem. Wyczuł, że nie jest już tak mile widziany jak niegdyś, coś się zmieniło w jej nastawieniu i zastanawiał się, czym mógł dziewczynę urazić. Nie wiedział tylko, jak o to spytać, nie przy wszystkich. Lepiej było zrobić to na intymnych kartach listu, ale czy mógł w ogóle liczyć na odpowiedź? Dla odmiany pani Barbara, wcześniej okazująca mu dość chłodne podejście, dziś była wyjątkowo serdeczna, chętnie z nim rozmawiała, podejmowała wciąż nowe tematy, wyraźnie pragnąc, żeby gość czuł się dobrze. To było coś nowego i porucznik nie bardzo wiedział, jak interpretować takie zachowanie pani Strojnowskiej.

Służąca weszła z ciastem i cicho poinformowała pana domu, że przyszedł gość.

– Ale nie spodziewamy się nikogo – zdziwił się Adam. – Któż to taki?

– Pan hrabia Aleksandr Konstantinowicz – odparła Kasia, którą przyjęli niedawno na miejsce Anieli.

Leokadia i Barbara wymieniły spojrzenia. Ewelina poczerwieniała. Spłoszona zerknęła najpierw na ojca, potem na Orłowskiego, który słysząc znajome nazwisko, aż drgnął. Nie mógł uwierzyć, że właśnie Sorokina spotka po raz drugi w tak krótkim czasie. I to tutaj. Do tego od razu zrozumiał, że skoro hrabia przychodzi do domu Strojnowskich bez wcześniejszej zapowiedzi, zapewne bywa tu często i za przyzwoleniem gospodarzy. Zacisnął szczękę, przywołując całe swoje opanowanie.

– Proś – zdecydował Strojnowski z rezygnacją.

Aleksandr wkroczył do salonu z bukietem kwiatów i uśmiechem, który na chwilę zniknął na widok Pawła. Był tak samo zaskoczony jak porucznik.

– Co za spotkanie, Pawle Konstantinowiczu – przywitał się, gdy nadeszła pora na prezentację i Orłowski wstał, żeby ucisnąć mu dłoń. – Kto by pomyślał, że tak szybko zobaczymy się ponownie.

– Panowie się znają? – zdziwiła się Leokadia. – Co za zbieg okoliczności.

– Majątek, przy którym spędziłem dzieciństwo u zarządcy dworu, to rodzinny majątek pana hrabiego. Widzieliśmy się na pogrzebie świętej pamięci pana Józefa Borka – wyjaśnił Paweł.

Nie chciał mówić więcej i miał nadzieję, że dla Sorokina również ich pokrewieństwo nie będzie tematem, na który chętnie podejmie rozmowę. Po minie pani Jarcycowej widział, że wymienione przez Aleksandra otczestwo i informacja o Przylesiu wiele jej powiedziały. Na szczęście i ona milczała.

– Co za zbieg okoliczności, aż nie do uwierzenia – powtórzyła za ciotką Barbara.

Ewelina nic nie mówiła. Porucznik spojrział na nią. Była zmieszana i siedziała ze wzrokiem wbitym w swoje splecione dłonie. Raz tylko rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę Sorokina.

– Czas na mnie. – Orłowski zdecydował się nie siadać. – Niedługo wracam do Wiednia, a przed wyjazdem mam do załatwienia kilka spraw. Bardzo miło było u państwa dziś gościć. – Skłonił się.

– Och, szkoda, że pan już musi nas opuścić – zaprotestowała Barbara Strojnowska. – Jeszcze pan hrabia gotów pomyśleć, że to z powodu jego niezapowiedzianej wizyty. – Wyraźnie podkreśliła „niezapowiedzianej”.

– Również żałuję, ale wzywają mnie obowiązki. – Wskazał na mundur. Chciał uciąć tę rozmowę, ale nie zamierzał być niegrzeczny.

– Ewelino, odprowadź gościa – zarządził Strojnowski. W jego głosie słychać było przyganę.

Dziewczyna podniosła się niepewnie, ale poszła z Pawłem do korytarza. Nadal bez słowa czekała, aż odbierze czapkę od służącego. Porucznik się skłonił.

– Ogromnie się cieszę, że zdołałem pannę Ewelinę zobaczyć przed moim powrotem na placówkę, jak zawsze towarzystwo pani sprawiło mi dużo radości. – Ucałował podaną mu dłoń. Może nieco zbyt długo, ale chciał zapamiętać tę chwilę. Był pewien, że widzą się po raz ostatni. – Panno Ewelino... – Nie wiedział, jak o to zapytać, ale przecież lepiej będzie, jak wszystko stanie się jasne.

– Tak? – wyszeptła, skrzepowana ich niespodziewanym sam na sam.

W każdej innej sytuacji Orłowski dziękowałby losowi za ten niezwykły przywilej. Teraz jedynie docenił gest Strojnowskiego, który zezwolił mu na pożegnanie.

– Rozumiem, że nie życzy już sobie panna listów ode mnie? – Głos mu zadrżał, co go zirytowało.

Zaczerwieniła się i wyraźnie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Niech pani będzie ze mną szczerą – poprosił.

Ewelina pokręciła głową, nadal nie mogła wykrztusić słowa. Ganiła się w myślach, że w ogóle dała porucznikowi nadzieję, nie pisząc mu od razu o staraniach Aleksandra, które przyjmowała przecież z zadowoleniem. Ba, nie wspomniała mu nawet o Witoldzie, o którym sama zapomniała, ledwo ojciec posłał mu odmowne pismo. Nie zrobiła tego, bo Paweł pisał tak ciekawie. Lubiła też mu się zwierzać z różnych rozterek, opowiadać o literaturze i muzyce. Pominęła jednak to, co najważniejsze. A teraz stał przed nią, tak mocno strapiony tym, co tutaj zastał. I patrzył z takim napięciem, że aż czuła je całą sobą. Znowu jej się wydało, że Paweł jest do Aleksandra podobny, tylko nie wiedziała dlaczego, nie mogła uchwycić, co sprawia, że obaj potrafią samym spojrzeniem wywołać drżenie jej serca.

– Proszę nie pisać – odparła ledwo słyszalnie. – Przepraszam, Pawle Konstantinowiczu.

Nie tytułowała go nigdy z odczestwa, ale teraz samo jej przyszło, bo wciąż miała w uszach słowa hrabiego. I zrozumiała, z czego wynika to podobieństwo. Ale za porucznikiem już się zamknęły drzwi.

Orłowski nie zawołał dorożki. Szedł chodnikiem, zaciskając do bólu pięści, z taką miną, że przechodnie, a nawet policjanci bez słowa ustępowali mu drogi. Nie był pewien, co czuje. Raz była to wściekłość, raz zupełna pustka, jakby tonął i nie miał się czego złapać. Nie potrafił uspokoić myśli. Szalały w nim jak karabinowa palba, i tak samo ogłuszały. Tak naprawdę ledwie widział gdzie idzie, ale nie dbał o to. Wszystkie te ulice wydawały mu się takie same, budynki zlewały się w jedno pasmo, ludzi nie zauważał.

Myślał o Ewelinie i tylko o niej. Zwodziła go przynajmniej przez kilka miesięcy. Był dla niej nikim, kimś, z kim nawet nie warto uczciwie rozmawiać. Pisał – dobrze. Nie będzie pisać – równie dobrze. A poza tym, gdy przyszło co do czego, to nagle Strojnowskim przestała przeszkadzać rosyjskość. Wystarczyło mieć odpowiedni majątek i koneksje. A potem przypominał sobie roześmiane oczy Aleksandra, gdy skierował je na Ewelinę, i jej rozmarzone spojrzenie. I na nowo szalał z zazdrości. Sorokin miał nad nim niezaprzeczalną przewagę na każdym polu, a on nie umiał się z tym pogodzić.

Otrzeźwił go stukot końskich kopyt, rzenie wystraszonych zwierząt i wystrzał. W jednym momencie wróciła czujność. Gotowość do walki, podsycona gniewem, który nim targał, pozwoliła na błyskawiczną ocenę sytuacji: wyszedł z bocznej uliczki prosto na miejsce napadu. Nie wiedział, gdzie dokładnie jest, ale było jasne, że pustawa

okolica z szeregami na wpół rozwalonych niskich zabudowań wydawała się dobrym miejscem na zasadzkę. W polu widzenia nie było w tej chwili żadnego patrolu. Dwóch uzbrojonych cywilów atakowało powóz, jeden z nich musiał wcześniej postrzelić woźnicę i porwać pojazd, bo jakiś człowiek leżał bezwładnie na koźle. Napastnik zatrzymał konie, podbiegł drugi i strzelał raz po raz do kogoś siedzącego wewnątrz powozu, raczej niecelnie.

Paweł odruchowo wyciągnął broń, złożył się do strzału, myśląc, jak bardzo tamci są nieudolni, że on by otworzył drzwi, wdarł się do środka i dopiero zabijał. Ale teraz nie chciał zabić, celował w nogi i trafił, bo napastnik padł, krzycząc z bólu. Wymierzył w tego drugiego, który rzucił się do ucieczki, porzucając rewolwer. Musiał nie wytrzymać napięcia. Orłowski strzelił ponownie, nie chybił.

Dopiero w tej chwili nadjechali kozacy, otoczyli powóz, któryś zawrócił, żeby zawołać karetkę. Na rozkaz dowódcy pojмали rannych terrorystów, nawet nie bardzo ich bijąc nahajkami. Porucznik schował pistolet. Czuł dziwną ulgę, choć równocześnie jeszcze buzowała w nim niedawna walka. Ale to było coś, co znał, tego mógł się chwycić. Przynajmniej tego... Wolno podszedł do powozu, bardziej z ciekawości, na kogo zorganizowano zamach, niż z innych pobudek. Napadniętemu pasażerowi, po dystynkcjach sądząc, wysokiej rangi komisarzowi cyrkulowemu, nic się nie stało. Obok niego siedziała jakaś dama, wyraźnie przerażona. „Może żona, a może kochanka” – zastanowił się Paweł przez moment, ale odgonił te myśli, nic go to nie interesowało.

Sotnik dowodzący kozakami zeskoczył z konia i stanął obok Orłowskiego. Zameldował się karnie nadal siedzącemu w środku urzędnikowi i zapewnił, że zaraz będą mogli kontynuować jazdę. Oficjel zaczął go rugać w najgorszych słowach, że dali się podejść jak uczniaki, że żadna z nich ochrona i gdyby nie wsparcie, napad by się powiódł. Nagle ucichł w pół zdania i uprzejmie zwrócił się do Orłowskiego, w milczeniu przyglądającemu się zajściu.

– Pańska godność, poruczniku?

Paweł się przedstawił, nie meldował. Uciszył podziękowania. Nie chciał ich. Powiedział, że to jego obowiązek. Patrzył, jak zabierają postrzelonego w brzuch woźnicę do karetki pogotowia. Ten spośród sprawców zamachu i jego niedoszłych ofiar mógł umrzeć najszybciej. Potem zaproponowano mu podwiezienie do koszar, na co przystał. Wiedział, że najdalej jutro będzie musiał złożyć meldunek z wydarzeń, w które się przypadkowo wplątał, i uznał, że to mu przynajmniej zajmie czas do wyjazdu z Warszawy. Chciał jak najszybciej uciec z tego miasta, jak najdalej od Eweliny, żeby nic mu jej nie przypominało, a równocześnie pragnął tu zostać, żeby oglądać ją choć z daleka, chodzić tymi samymi ulicami.

Rozdział XXII

1906

Nikołaj Aleksandrowicz Sorokin odczekał, aż pokojówka poda filiżanki z herbatą i opuści salon wynajmowanego przez Aleksandra mieszkania. Dopiero wówczas odchylił się na oparcie fotela, nogi oparł wygodnie na podnóżku, objął wzrokiem gustownie, choć nieco staroświecko urządzone wnętrze z masywnymi mahoniowymi meblami zdobnymi w roślinne rzeźbienia, i w końcu zmierzył groźnym spojrzeniem bratanka.

– Domyślasz się powodu mojej wizyty, prawda?

– Oczywiście, stryju. Ale jeżeli oczekujesz, że twój przyjazd w jakikolwiek sposób zmieni moje plany, to muszę cię zmartwić, tak się nie stanie – odparł Aleksandr z uprzejmym uśmiechem.

– To nie chodzi o mnie, ale o twoją matkę. Biedaczka odchodzi od zmysłów od dnia, w którym otrzymała twój ostatni list – uściślił Nikołaj.

– W którym wyjaśniłem, co zamierzam – uzupełnił, nadal zachowując spokój.

– Aleksandrze, bądź, proszę cię, poważny.

– Jestem poważny, stryju.

Trzymanie nerwów na wodzy przychodziło Aleksandrowi z najwyższym trudem, ale postanowił nie okazywać irytacji. Spodziewał się, że kiedy poinformuje rodzinę o swoich zamiarach oświadczenia się pannie Strojnowskiej, matka natychmiast wyśle do Warszawy Nikołaja, żeby przemówił mu do rozsądku. Trudno jej było pogodzić się z faktem, że syn planował poślubić Polkę, niekoniecznie biorąc pod uwagę zdanie swojej matki.

– Posłuchaj...

– Jeżeli zamierzasz mi tłumaczyć, dlaczego Ewelina Adamowna nie powinna zostać moją żoną, to daruj sobie. Ja już podjąłem decyzję. Ze smutkiem przyznaję, że wasza reakcja mnie zupełnie nie dziwi – oznajmił i z filiżanką w dłoni wygodnie rozsiadł się w fotelu.

Naprawdę nie miał zamiaru być niegrzeczny, ale też nie zważał zbyt na pełne przygany spojrzenia, jakimi obrzucał go stryj. To już dawno nie robiło na nim wrażenia. Poza tym nie miał teraz ani ochoty, ani czasu na wysłuchiwanie reprimend wygłaszanych przez Nikołaja w imieniu matki – a miał pewność, że nie skończy się na jednej. Tymczasem zajmowały go projekt cerkwi, przygotowania do oświadczeń oraz spotkania z wybranką. Ta ostatnia sprawa zazwyczaj wysforowywała się na czoło jego priorytetów.

Uwielbiał przebywać z Ewelina. Oczywiście nadal niepomnie zachwycała go jej uroda, ale z radością odkrył, że rozmowy z panną Strojnowską są więcej niż ciekawe. Tak jak i on lubił muzykę i niekiedy spędzali długie chwile, omawiając koncerty czy opery. Potrafiła go słuchać z zainteresowaniem, gdy opowiadał o sztuce i architekturze, albo tłumaczył szczegóły projektu, nad którym pracował. Oboje chętnie czytali i okazało się, że mogą nawzajem polecać sobie książki albo wspólnie czytać poezje, szczególnie Puszkina czy Lermontowa. Aleksandr zaczął nawet – wyłącznie aby sprawić przyjemność swojej przyszłej narzeczonej – uczyć się mówić po polsku, bo zauważył, jak bardzo podoba się jej, gdy słyszy ojczysty język z jego ust. Przy tym wszystkim najbardziej inspirująca była dla niego szczerość, z jaką Ewelina reagowała na rzeczy, które odkrywała. Nie tak jak jego matka, interesująca się głównie tym, co akurat modne w towarzystwie, i żyjąca przeszłością. Nie, Lineczka miała swoje zdanie na temat tego, co jej się podoba, a co niekoniecznie.

Tak, bez wątplenia panna Strojnowska wniosła do życia Aleksandra świeżość i radość. Dawno już nie czuł takiego bicia serca, gdy myślał o spotkaniu, dawno nie pragnął zrobić wszystkiego, co mogło wywołać uśmiech na twarzy Eweliny czy błysk zachwyty w jej oczach. Zdarzało się, że w powozie ścisnął ukradkiem jej dłoń lub przy pożegnaniu dotknął policzka. Potem, kiedy leżał już w łóżku i wspominał te subtelne muśnięcia, brakowało mu bardzo obecności kobiety. Lecz tej konkretnej, nie przypadkowej dziewczki czy chętnej służącej, które mógł mieć w każdej chwili. Tyle że nie chciał. Czekanie i tęsknota w sposób, jakiego się nie spodziewał, również przynosiły mu satysfakcję.

Oddzielną kategorią były prezenty, które sprawiał Ewelinie. Z ukontentowaniem obmyślał, co mogłoby sprawić jej przyjemność, a potem obserwował, jak się cieszyła, gdy spełniał te zachcianki. Jakiś czas temu w Ogrodzie Saskim widzieli niemłodą już damę, prowadzącą na smyczy kota, który, o dziwo, szedł z nią karnie, zupełnie jakby był psem. Ponieważ pannie Strojnowskiej niezmiernie się ten koncept spodobał, on w ciągu dwóch tygodni postarał się sprowadzić dla niej z Anglii piękną perską kotkę o długim białym futrze i imponującym ogonie. Podejrzywał, że młode zwierzątko łatwiej przywyknie do takiego sposobu spacerowania, i nie pomylił się w ocenie. Od tego momentu Niewa – bo tak Ewelina nazwała kocicę, zauroczona tym, co jej Aleksandr opowiadał o Newskim Prospekcie, głównej ulicy jego ukochanego Petersburga – towarzyszyła im na przechadzkach, oczywiście wzbudzając sensację wśród przechodniów.

– Nie słuchasz mnie, Aleksandrze Konstantinowiczu! – Cierpliwość stryja właśnie się wyczerpała.

Pomimo deklaracji bratanka, że tłumaczenie mu czegokolwiek jest niepotrzebne, rozpoczął tyradę na temat różnic dzielących oboje młodych, skupiając się na tych stanowiących oczywistą przeszkodę, głównie na narodowości i majątku. Aleksandr w tym czasie myślał o pannie Strojnowskiej i nie poświęcał przemowie Nikołaja żadnej uwagi, co do starszego z Sorokinów w końcu dotarło.

– Owszem, przecież uprzedziłem cię, stryju, że przekonywanie mnie jest daremne. Podjąłem już decyzję – powtórzył Aleksandr z całym spokojem, na jaki było go stać.

– Twoja matka...

– Moja matka niech się lepiej z tym pogodzi. – Sorokin wstał i odstawił filiżankę. – Czym mi zagrozi? Odebraniem majątku? To może przypomnę, że większość z tego, z czego korzysta, na mocy testamentu ojca należy do mnie. – Zaczął krążyć po pokoju, jak zwykle, gdy był zdenerwowany, nie podniósł jednak głosu.

– Jesteś arogancki – obruszył się Nikołaj. Ale już się nie odezwał, za to długo milczał, jakby dając Aleksandrowi czas na zastanowienie się nad swoim słowami i przeprosiny. Sorokin jednak wytrzymał jego wymowne spojrzenie.

– To fakty, stryju. Radzę tobie, a przede wszystkim mojej matce, żebyście najpierw poznali moją przyszłą narzeczoną i żonę, a dopiero później ją oceniali. Byłbym również rad, gdyby moja najbliższa rodzina okazała zaufanie co do rzetelności moich wyborów. A teraz wydaje mi się, że powinienes już iść, Nikołaju Aleksandrowiczu, nie jestem w stanie poświęcić więcej czasu tej rozmowie, ponieważ czekają na mnie obowiązki. – Wymownym gestem wskazał na drzwi.

Stryj podniósł się powoli z fotela i bez słowa ruszył w kierunku wyjścia. Jego twarz pokrywały nieestetyczne czerwone plamy. Był wściekły na bratanka, który w jego ocenie przez pobyt w Polsce nabrał okropnych manier. Jak mógł nie okazać szacunku i go tak po prostu wyprosić!

– Weź, mój drogi Aleksandrze, pod uwagę, że dopiero planujesz oświadczyć, nikt nie powiedział, że zostaniesz przyjęty. Żeby nie było jak z Lizawietą Fiodorowną, obecnie szczęśliwą małżonką księcia Kurakina – dopiekl mu. Celnie.

Sorokin zmilczał, ale gdy tylko zyskał pewność, że stryj wyszedł z kamienicy, a nawet wsiadł do powozu, więc go nie słyszy, z impetem, podburzonym wstrzymywaną złością, cisnął filiżanką o ścianę. Porcelana rozprysła się po pokoju, pokryte złotem uszko brzęknęło o struny fortepianu. Aleksandr z rozmachem otworzył drzwi salonu.

– Igor! – wrzasnął.

Służący pojawił się tak szybko jak mógł, ale i tak zebrał reprimendę od swojego chlebodawcy.

– Słucham, panie hrabio.

– Natychmiast poślij po nowy serwis do herbaty – rozkazał. – I sprowadź mi balwierza, za dwie godziny wychodzę – dorzucił, zerkając na swoje odbicie w lustrze.

Z salonu dobiegały dźwięki fortepianu. Tym razem za klawiaturą zasiadł Aleksandr. Barbara, zmierzająca do gabinetu męża, przystanęła przy drzwiach i słuchała przez chwilę granej przez niego tęsknej melodii. Nie znała tej

pieśni i pomyślała, że zapyta o to później córkę. Z hrabią Sorokinem nie miała ochoty rozmawiać, nawet gdy odwiedzał Ewelinę w mieszkaniu, raczej unikała przebywania z młodymi, pozostawiając ten obowiązek ciotce, która zdawała się przepadać za tym człowiekiem, jak go w myślach nazywała pani Strojnowska. Entuzjazmu Leokadii nie zgasiła nawet informacja, że nie zobaczy już w Przylesiu starego dworku, który pamiętała sprzed lat, bo hrabia zarządził tam gruntowną przebudowę. Przeciwnie, gdy pokazał wykonane własnoręcznie szkice budynku, pochwaliła go za nowoczesne podejście.

Tydzień temu gościli w majątku na zorganizowanym przez Sorokina przyjęciu. Dla samej Barbary wizyta była raczej bolesna. Wróciły wspomnienia o ojcu, o przymusowej przeprowadzce do Warszawy, i jej dziecinnu rozpacz, że musi zostawić swojego ukochanego kuczka i króliki. Ale żeby być ze sobą szczerą, oceniła, że wprowadzone zmiany są korzystne, a Aleksandr ugościł ich wzorowo, tak że jedyne, co mogła skrytykować, to fakt, że nie był on Polakiem.

*Misjac na nebi, zirońki sjajut,
tycho po moriu czowen plywe,
w czowni diwczyna pisniu spiwaje,
a kozak czuje, serdeńko mre.
Pisnia ta myła, pisnia ta ljuba,
wce pro kochania, wse pro ljubow,
jak my ljubyłys, taj rozijszłysja,
teper zijszłysja nawiky znow.
Jak my sydiły myło z toboju,
a misjac jasnyj switiw do nih,
ja wce dywywsa u twoji oczu
i nadywytys nijak ne mih.
Oj, oczu, oczu, oczu diwoczi
temni jak niczka, jasny jak deń
wy ż meni, oczu, wik wkorotyły
de ż wy nawczyłys zwodyt ljudej?*

Niespodziewanie Sorokin zaczął śpiewać. Głos miał przyjemny, o niskim tembrze, łagodnie niosący melodię. Mimo woli Strojnowska się zaskuchała, tym bardziej że ku jej zdziwieniu nie była to pieśń w języku rosyjskim, ale – o ile mogła się zorientować – w ukraińskim, tęskna i bardzo romantyczna. Poczekała do końca, zanim poszła do pokoju męża.

– Moja niania pochodziła spod Krzemieńca, śpiewała mi tak do snu. – Usłyszała jeszcze wyjaśnienie Sorokina na cicho zadane pytanie Eweliny.

Westchnęła. A jednak ten człowiek potrafił ją zaskoczyć również pozytywnie. Kłóciło się to z obrazem, który zdążyła już sobie utrwalić.

Adam czekał w gabinecie. Poprosił ją o rozmowę, zanim zasiądą wszyscy do obiadu, na który zaproszony był dziś również Aleksandr. Domyślała się, o co może chodzić, bo od czasu kłótni o zgodę na widywanie się Sorokina z ich córką nie poruszali tego tematu, a przecież nie ulegało wątpliwości, że kiedyś będą zmuszeni omówić co dalej. Strojnowska bardzo doceniała fakt, że mąż jak dotąd nigdy nie podejmował decyzji wbrew niej. Inna sprawa, że zazwyczaj się zgadzali, poróżniła ich dopiero sprawa tego Rosjanina. Pozostawało jej mieć nadzieję, że i tym razem cokolwiek będzie od niej zależało.

– Jestem.

Ledwo Barbara zamknęła za sobą drzwi, małżonek podszedł do niej i mocno ją objął. Nie była na to przygotowana. Zaskoczona roześmiała się cicho, pytając, co też mu przyszło do głowy.

– Pamiętasz, jak cię pierwszy raz pocałowałem? – szepnął, muskając ustami płatek jej ucha. Jego ciepły oddech przyjemnie załaskotał skórę.

– Oczywiście, mężu. Omal nie zemdlalam.

Wspomnienie przywołało uśmiech. Jakaż ona była wtedy młoda i naiwna, zupełnie jak teraz Lineczka, zawsze bardziej płocha od swojej starszej siostry.

– Wiesz, Basiu, my mieliśmy to szczęście, że nasi rodzice nie byli nam przeciwni. Nie wiem, jakbym to zniósł, gdybym nie został przyjęty – westchnął tymczasem Strojnowski, przytulając żonę. – Jesteś całym moim życiem – wyznał, kolejny raz zadziwiając żonę, bo nieczęsto mówił podobne rzeczy tak wprost.

– Uciekłabym z tobą. – Roześmiała się i nagle zamilkła, uświadamiając sobie, do czego zmierza Adam.

Przyglądał jej się uważnie, jakby wyczekiwał takiej reakcji.

– Widziałaś, jakie kwiaty przyniósł dziś Ewelince hrabia? Mam podstawy przypuszczać, że Aleksandr Konstantinowicz poprosi mnie dziś o rękę naszej córki. Właściwie poprosi nas, bo wbrew temu, co o nim myślisz, jest dobrze wychowany. Może nie zauważyłaś, ale zależy mu także na twojej akceptacji, Barbaro. A na pewno jest to ważne dla Lineczki – wolno powiedział Adam.

– Oczekujesz, że też się zgodzę? – odpowiedziała pytaniem.

– Tak, Basieńko. Chciałbym, żebyś nie stawała na drodze szczęściu Eweliny.

– Przed momentem zasugerowałeś, że ona... że i tak zrobicie, co chcecie. A znasz moje podejście do hrabiego Sorokina. – Odwróciła głowę, bo chciał ją pocałować.

– On jej nie skrzywdzi. A chcesz, żeby szła do ślubu z ciężkim sercem? Ze świadomością, że nie ma wsparcia w najdroższej osobie, w matce, którą kocha całą istotą? – Delikatnie ujął jej twarz i skłonił, by spojrzała mu w oczy.

– Skąd aż taka twoja pewność, że on ma dobre zamiary? – broniła się Barbara.

– A dlaczego tak się stara? Wybacz, żono, ale dla kogoś z jego pozycją Ewelina nie jest wymarzoną partią, gdyby rozpatrywał to na chłodno – zauważył.

– Tego się właśnie boję. Że będzie ją umniejszał, a nawet jeśli nie on, to jego rodzina. Że będzie dla nich nikim, zabaweczką Aleksandra. Ty mi nigdy nie dałeś odczuć, że znaczę mniej od ciebie, co do niego nie mam takiej pewności.

Barbara zagryzła wargi, nie chciała się rozplakać, nie wtedy kiedy za chwilę ma jeść posiłek ze swoim najprawdopodobniej przyszłym zięciem.

– Nawet jakby tak było, nie sądzę, żeby hrabia Sorokin na to pozwolił – mówił tymczasem Strojnowski. –

Obiecał mi, że nie będzie naszej córce nic narzucał, nie chce z niej robić Rosjanki. On ją kocha, Basiu. Nie widzisz tego? Naprawdę nie widzisz?

– Dziwi mnie twoja przychylność.

Barbara wyswobodziła się z objęć męża i odeszła o kilka kroków. Stała przy biurku i w zamyśleniu pogładziła lakierowany blat. Potem odwróciła się do Adama. Czekala, co jej odpowie.

– Po prostu mnie przekonał do siebie. Rozmawialiśmy wiele razy i to naprawdę nie jest zły człowiek. Jest wykształcony i ocytany. Inteligentny. Zależy mu na naszej córce. Będzie jej przy nim dobrze.

– Za chwilę się dowiem, że nie ma żadnych wad – parsknęła.

– Rozmowa o jego wadach nie zapewni mu twojej przychylności. – Strojnowski się roześmiał i ponownie przyciągnął żonę do siebie. – Chcę cię jedynie poprosić, żebyś dała Aleksandrowi Konstantinowiczowi szansę.

Tym razem ją pocałował. Długo i mocno. Tak jak niegdyś, kiedy nie było minuty, by o nim nie myślała. I chociaż miała już trójkę dorosłych dzieci i swoje lata, poczuła, że uginają się pod nią nogi. Adam już dawno nie całował jej tak poza ich sypialnią, jakby nic się nie liczyło i nic poza nimi nie istniało.

Westchnęła, kiedy mąż wypuścił ją z objęć. Rozumiała, że posłużył się fortelem, przywołując wspomnienia, ale przyznała mu rację. Wtedy nie widziała żadnych przeszkód dla ich miłości. A Lineczka... była zapatrzona w tego Sorokina chyba jeszcze bardziej niż ona w Adama, gdy się o nią starał, temu Barbara nie mogła zaprzeczyć.

– Mnie również zależy na szczęściu naszej córki – przyznała. – Bądź spokojny, mężu. Dam także swoją zgodę.

Aleksandr Konstantinowicz rzeczywiście oświadczył się panie Strojnowskiej tego popołudnia. Barbara zdziwiła się, widząc jego nieudawane zdenerwowanie, gdy prosił ich oboje o zgodę, i wypisane na twarzy ulgę i radość, gdy potem zwracał się do Eweliny. Gdy Sorokin wsuwał na palec dziewczyny pierścionek zaręczynowy, wzruszona Strojnowska poczuła, że po jej policzkach spłynęło kilka łez. Bo w oczach córki dostrzegła czystą i niczym niezmaconą pewność, że właśnie spełniło się jej największe marzenie.

Pozostało im więc wyznaczyć datę ślubu...

Rozdział XXIII

1906

***Poruczniku! Zostańcie jeszcze. – Lebediew zatrzymał Orłowskiego po ostatnim meldunku. – Co się z tobą dzieje, Pasza? – rzucił, patrząc mu prosto w oczy.

Paweł szybko w myślach zrobił przegląd swoich obowiązków, bojąc się, że coś zaniedbał. Wszystko jednak wydawało się w porządku. Nie rozumiał, o co przełożony wypytuje.

– Czy w czymś uchybiłem, panie generale? – spytał jednak.

– Wtedy nie siedziałbyś tak spokojnie – zauważył Lebediew i gestem powstrzymał porucznika przed zerwaniem się z krzesła. – Mów, co z tobą.

– Ja naprawdę nie rozumiem, panie generale – odważył się przyznać Orłowski.

– Powiedz, co robisz w czasie wolnym. – Generał pokręcił głową, z miną, jakby musiał tłumaczyć dziecku, co ma na myśli.

– Czytam, spaceruję. Piszę listy.

Nie dodał, że tych napisanych nie wysyłał. Ich adresatka nie była zainteresowana ani ich treścią, ani jego osobą. Dostał wprawdzie od niej jeszcze jedno, ostatnie pismo, ale nie znalazł w nim nic poza zdawkowymi przeprosinami i podziękowaniem za dotychczasową korespondencję. Okrągłe litery i formalne zdania, które zabolowały jeszcze bardziej niż cisza. Schował ten list wraz z innymi na dno komody. Nie był w stanie ich czytać ani nawet patrzeć na zapisane równym pismem karty, choć treść znał niemal na pamięć. Właściwie powinien jej wszystkie zwrócić, ale nie umiał się zdobyć na taki gest.

– Uciekasz przed ludźmi. Nie chodzisz do miasta. Jeśli nie rozkażę ci towarzyszyć mi przy jakiejś okazji, to unikasz spotkań – wyliczał tymczasem Lebediew. – Co to jest, Pasza?

Orłowski miał ochotę wzruszyć ramionami, tymczasem Andriej Maksymowicz wyraźnie czekał na odpowiedź.

– Natychmiast to zmienię, panie generale – zapewnił.

– Masz mnie za durnia?

– Absolutnie nie, *wasze priewoschoditelstwo!* – Porucznik tym razem wyprężył się w pozycji na baczność.

– *Job twoju mać!* Siadaj! – huknął Lebediew.

Nalał wódki do dwóch szklanek, wypił i nakazał zrobić to samo Pawłowi. Ten już nie śmiał odmówić.

– Miałem brata – odezwał się cicho generał, ocierając usta rękawem. – On tak samo jak ty, ciągle z boku, pogrążony w swoim świecie. Jakby go nic nie porывało, nic nie cieszyło. Nawet żadna kobieta nie była w stanie mu wzburzyć krwi w żyłach. Nic... Zachowujesz się tak samo, do diaska! Nie chcę, żebyś skończył jak on! – warknął.

Porucznik nie odważył się zapytać, co się stało ze wspomnianym przez dowódcę bratem, ale i tak się domyślał, że to raczej nie było nic dobrego. Milczał więc.

Generał wychylił jeszcze porcję alkoholu i spojrzał wyczekująco na Orłowskiego. Lubił tego młodego oficera, nawet nie tylko za to, co wydarzyło się w Mandżurii. Traktował chłopaka jak swojego syna. Jego własny syn nie chciał wojskowej kariery, poszedł na duchownego, co czasami Andrieja Maksymowicza gryzło, bo nie tak go wychował, nie o takiej przyszłości dla niego marzył. Wybór cerkwi zamiast munduru cieszył za to żonę Lebediewa, który mając to na względzie, w żaden sposób nie komentował decyzji pierworodnego.

– Mów, co się dzieje, bo wywalę na zbity pysk ze służby – zagroził Orłowskiemu, ale już bez gniewu.

– Panie generale, zapewniam, że ta moja niedyspozycja się nie powtórzy.

Lebediew pokręcił głową i mruknął, że Paszka ma szczęście, bo on go lubi. Nie miał wątpliwości, że coś porucznika trapiło, i nie był to raczej pogrzeb zarządcy, u którego się wychował, bo Paweł nigdy nie mówił o nim inaczej niż po nazwisku, więcej ciepłych uczuć mając jedynie dla żony Borka, nazywanej „ciocia”. Orłowski wrócił z Królestwa jak struty, chociaż wykazał się tam, udaremniając zamach na komisarza piątego cyrkuła,

a depesza z pochwałą trafiła na biurko generała, zanim jeszcze porucznik zameldował się w jego gabinecie po urlopie. „Ma młody szczęście w boju” – pomyślał, śmiejąc się w duchu. „Ale wygląda na to, że nie w miłości” – dopowiedział sobie zaraz.

– Z Warszawy medal przywiozłeś – zauważył.

– Przypadkowa sprawa, panie generale.

– Skromność to dobra cecha, Paszka, ale nie w armii. To co cię tak martwi? Kobieta?

– Tak – przyznał.

Dziwiło go, że dowódca tak go przesłuchuje. Był tylko adiutantem, wypełniał rozkazy, wprawdzie najlepiej jak umiał, ale nie był przecież nikim ważnym. Użytecznym – oczywiście, ale zastąpienie go kimś innym nie stanowiło wyzwania nie do przebycia. W tydzień znalazłoby się tuzin chętnych na jego miejsce, kto wie, czy nie lepszych.

– Z Królestwa? Polka? – chciał wiedzieć Lebediew.

– Tak, Andrieju Maksymowiczu – potaknął Orłowski, ale nie dodał nic więcej.

Wstydił się tego niespełnionego zauroczenia i rozpaczy, z którą nie potrafił sobie poradzić. Przeszło mu przez myśl, że poddał się bez walki, ustąpił pola silniejszemu przeciwnikowi. A potem przypomniał sobie, jak Ewelina patrzyła na hrabiego Sorokina, i na nowo zrozumiał, że nie miał najmniejszych szans, zresztą nie chciały w żaden sposób stawać na drodze szczęściu swojej wybranki. Pozostało mu przełknąć gorycz porażki.

Lebediew z niedowierzaniem pokręcił głową i zaśmiał się, ale wyraźne nuty smutku urwały ten śmiech w połowie. Z marsową miną sięgnął po papierośnicę, wyjął cygarete i obracał ją w palcach. Paweł tkwił bez słowa na swoim krześle, coraz bardziej zaniepokojony całą sytuacją i zachowaniem generała. Był on dziś niespotykane poruszony i pełen sentymentów. W ciągu dnia kilkakrotnie wspominał o rodzinie, ale zaraz porzucał temat. Orłowski nie odważył się pytać. Za to pytanie generała sprawiło, że zapragnął wrócić do Królestwa.

Służba w Polsce oznaczała bycie bliżej Eweliny. A przecież kilkanaście tygodni temu uciekał z Warszawy, a tak naprawdę przed nią. Przebywanie w tym samym mieście wydawało mu się torturą, czymś, co tylko będzie podsycać żal i tęsknotę, które nim targały od momentu pożegnania. Wystarczyło, że przymknął oczy, wracał do niego zapach jej delikatnych dłoni, kiedy ucałował je po raz pierwszy i ostatni, widok jej zakłopotanych, a przez to jeszcze większych i niemal błękitnych oczu, gdy prosiła, by więcej nie pisał, i równocześnie tak bardzo pragnął o tym wszystkim zapomnieć. Z ulgą wsiadał do pociągu, ale ledwo przebył kilkanaście wiorst, już żałował, że opuszcza ulice, na których mógłby Lineczkę spotkać i choć z daleka zobaczyć. I od powrotu do Wiednia nie mógł sobie znaleźć miejsca. Generał miał we wszystkim rację, a takie roztkliwianie się nad sobą nie przystoi oficerowi lejbgwardii.

Lebediew zapalił, podsuwając papierośnicę Pawłowi. Porucznik odmówił grzecznie. Pomyślał jednak, że jeśli zada generałowi jedno pytanie, ten nie urwie mu głowy. Nie dziś. Uznał, że spróbuje. Wstał, wyprężył się przepisowo na baczność.

– *Wasze priewoschoditelstwo...* – zaczął oficjalnie. – Upraszam o wybaczenie, ale chciałbym o coś poprosić. Zapewniam, że służba u pana generała jest dla mnie wielkim zaszczytem. Nie znajduję słów, żeby podziękować za waszą życzliwość, i jeszcze raz podkreślam, że moja niedyspozycja się nie powtórzy. Jednak ośmielam się powiedzieć, że byłbym niezmiernie rad, gdybym mógł wrócić do Królestwa i...

– Zamilcz, zanim stracę cierpliwość! – wycedził Lebediew.

Orłowski w mig pojął, że popełnił błąd.

– Posłuchaj, Paszka – zaczął spokojnie generał po przedłużającym się milczeniu. – Jesteś dobrym adiutantem i dlatego puszcza w niepamięć tę twoją... przemowę. Służba na placówce dyplomatycznej to wyróżnienie, a nie propozycja, z której możesz ot tak zrezygnować. Nie zapominaj o tym. To jest wojsko, a nie bal towarzyski!

– Tak jest!

– Żadna kobieta nie jest ważniejsza niż rozkazy. Twoim zadaniem jest służyć carowi. Rozumiesz?

– Tak jest!

Lebiediew namyślał się przez chwilę, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Kazał Orłowskiemu się odmeldować i pognął z gabinetu.

Odtąd Paweł, nie chcąc zasłużyć na gniew swojego przełożonego, nie zamykał się w swojej kwaterze, ale bywał częstszym gościem kantyny, nie unikał okazji do kart czy tańca i z pozoru chętnie wybierał się z innymi oficerami za miasto, gdy mieli w niedzielę czas wolny. Przebywanie z kolegami w przedziwny sposób sprawiało, że tym mocniej odczuwał samotność, ale zaciskał zęby i przywoływał na twarz uśmiech, opowiadał żarty albo śmiał się z dowcipów innych.

Czasem kładł się do łóżka obcej kobiety, jednym musiał zapłacić, inne szły z nim z własnej woli. Ich twarze i ciała umykały z jego pamięci, ledwo zamknął drzwi wynajętego pokoju. Nigdy z nimi nie rozmawiał, nie miał po co, żadna z nich nie mówiła dobrze po rosyjsku, a on niemieckiego nie lubił. Zresztą wybierał tylko te, które ani trochę nie były podobne do panny Strojnowskiej.

Zdarzało się, że pił zbyt dużo, ale zawsze w towarzystwie. Odwiedzał nawet cerkiew, choć się nie modlił. Wszystko po to, żeby pokazać generałowi jak wiernym jest sługą cara. Czasem myślał, że już tylko to mu pozostało – walka za nie swoją sprawę i mundur, który przywykł nosić. Znowu czuł się, jakby wszedł do pociągu wiozącego go na front, nie znał tylko celu tej podróży i tym razem nie miał u boku Antoszy.

Nocami nie mógł spać. Już nawet o Ewelinie nie myślał, po prostu pustka, którą po sobie zostawiła, była niemal nie do zniesienia. Zdarzało się, że leżał, wpatrując się w ciemność, i walczył, by go całkowicie nie pochłonęła.

Rozdział XXIV

1906

Ewelina była szczęśliwa jak nigdy dotąd. Odkąd Aleksandr Konstantinowicz oświadczył się i został zaakceptowany nie tylko przez jej ojca, ale też matkę, dziewczyna chodziła z głową w chmurach. Ślub miał się odbyć pierwszego dnia tysiąc dziewięćset siódmego roku, mieli więc ledwie kilka miesięcy na przygotowania, a ona już teraz się bała, że nie zdążą ze wszystkim. Narzeczony bez oporu przystał na wyprawienie przyjęcia w Warszawie i zaproponował Salę Aleksandryjską w ratuszu, zapewniając, że zajmie się wszystkim, od zatrudnienia niezbędnej obsługi po ustalenie odpowiedniego menu. Wyznaczenie czasu i miejsca to były dwie najłatwiejsze decyzje, a pozostawał jeszcze ogrom innych – od wyboru gości po ustalenie ślubnego kontraktu i niezbędnych formalności. Najprzyjemniejszy miał być, oczywiście, wybór strojów i choć na to Lineczka musiała poczekać, już wieczorami niecierpliwie przeglądała zamówione przez narzeczonego pisma i katalogi z Paryża i Wiednia, z nowinkami ze świata mody, co chwila zmieniając zdanie, jak powinna wyglądać jej idealna suknia.

Wszystko, co się wokół niej działo, było jak sen, jedynie fakt, że nie знаła jeszcze matki Aleksandra, stanowił rysę na tym idealnym obrazie.

– Pojadę do Petersburga, do matki – oznajmił któregoś dnia hrabia, delikatnie gładząc jej dłoń. – Chcę porozmawiać z Natalią Nikolajewną, zanim się poznacie.

Byli już po słowie, więc pozwalano im spędzać więcej czasu w tylko swoim towarzystwie. Mogli choćby usiąść bliżej siebie i trzymać się za ręce czy wybrać się razem na spacer. Sorokin zaprosił też Lineczkę na wieczorek do państwa Rybczyńskich, swoich przyjaciół, gdzie po raz pierwszy wystąpiła jako jego narzeczona. W planach mieli szereg innych wizyt, a ponieważ większość rodziny Aleksandra mieszkała w Rosji, musieli przeznaczyć czas również na podróż.

– Pojedziesz sam?

Zmartwiło ją to. Zaniepokojona patrzyła ukochanemu w oczy, usiłując znaleźć tam pocieszenie. Co, jeśli jego rodzina kategorycznie nie zgodzi się na ich ślub? Czy mogli o tym decydować, a jeśli nawet nie – jak zapewniał wielokrotnie Aleksandr – to czy on się nie wycofa, żeby nie ryzykować zerwania rodzinnych więzi?

– Teraz pojedę sam – potaknął. – Ale później wybierzemy się tam razem, tak jak ci obiecałem. Moja matka jest osobą specyficznego charakteru i muszę ją uprzedzić, zanim złożymy jej wizytę wspólnie – tłumaczył.

– A jeśli twoja rodzina...

– Ty jesteś dla mnie najważniejsza – przerwał natychmiast jej wątpliwości. – I nawet jeżeli moja matka i stryj nie będą chcieli przyjechać do Królestwa na nasz ślub, nie powstrzyma mnie to przed uczynieniem cię moją małżonką. Ile razy mam to jeszcze powtórzyć, żebyś uwierzyła, że nie łamię danego raz słowa? – Uśmiechnął się.

– I wyjeżdżasz już w tym tygodniu? – dopytywała, zgnębiona wizją rozłąki.

– Przywiozę prezenty – obiecał. – Poza tym to zajmie najwyżej kilka dni.

– Nie chodzi o prezenty, ale o tęsknotę – szepnęła, nawet nie wiedząc, jak ujęła takim wyznaniem Sorokina.

– Jak to robisz, że jednym słowem potrafisz mnie obezwładnić? – mruknął. Musnął ustami wierzch jej dłoni.

Ewelina westchnęła cicho. Jego dotyk za każdym razem wywoływał w niej drżenie, takie wibrujące tuż pod skórą, rozlewające się ciepłem po całym ciele. To było zupełnie nowe i nieznanne, ale nie napawało jej lękiem, przeciwnie: pragnęła, by trwało i trwało. Chciała, żeby Aleksandr całował ją wszędzie i jednocześnie tak bardzo wstydziała się tych myśli, nawet sama przed sobą. Uwielbiała, gdy patrzył na nią, jakby była jedyna i najważniejsza na świecie. Tak jak teraz, gdy uniósł głowę i spotkały się ich spojrzenia. Jego oczy pociemniały i nieco zbyt długo nie wypuszczał jej ręki. Zrobiło się tak cicho, że aż dzwoniło w uszach. A może po prostu przestały docierać do niej inne dźwięki?

Pochylił się ku niej. Czowała na wargach jego oddech.

– Aleksandr... – wyszeptwała, nie bardzo już wiedząc, co miała powiedzieć.

Sorokin ostrożnie położył palce na jej policzkach i opuszkami delikatnie pogładził skórę, jak ślepiec, który po raz pierwszy poznaje rozmówcę. Przymknęła oczy, przyjmując pieśczętę. A on się nie spieszył, jakby chciał zapamiętać każdą sekundę z tej chwili. Musnął płatki jej uszu, szyję, żeby przesunąć dłonie na kark i lekko pociągnąć Ewelinę ku sobie. Pocałunek, choć nie był niespodziewany, sprawił, że jej świat się zatrzymał. Nie musiała oddychać, nie potrzebowała niczego oprócz tego wspaniałego odczucia bliskości i czułości, zniewalającego naporu raz miękkiego, za chwilę pełnego pasji, obezwładniającej świadomości władzy, którą w tym momencie miał nad nią i której się z lubością poddawała.

Ile to trwało? Sekundy czy lata? Zegar w salonie wybił pełną godzinę. Odsunęli się od siebie pospiesznie. Ewelina miała wrażenie, że powróciła z jakiejś dalekiej podróży, w ciemność pełną gwiazd i szaleństwa, aż kręciło jej się w głowie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinna mu aż na tyle pozwolić, a równocześnie była pewna, że zrobiłaby to samo jeszcze raz. I jeszcze raz...

Aleksandr oddychał ciężko i patrzył tak rozognionym wzrokiem, że aż pokraśniała.

– Kocham cię – wyznał po polsku. – Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Ze wzruszenia nie umiała mu odpowiedzieć, tylko ze łzami potakiwała. Sorokin zdezorientowany wycierał jej policzki chusteczką i prosił, żeby przestała, że przecież to tylko kilka dni, a ona zaprzeczała, kręcąc głową.

– Nie płaczę dlatego, że wyjeżdżasz – wykrztusiła w końcu.

– To co się stało?

– Przez to, co powiedziałaś. *Ja liubliu tiebia.*

Roześmiał się z ulgą i pocałował ją znowu, choć już krócej, bo z korytarza dobiegło ich dyskretne kasznięcie ciotki Leokadii, która po chwili zajrzała do salonu, upominając Lineczkę, że nie podała gościowi herbaty.

Ewelina nie mogła się doczekać powrotu narzeczonego. Petersburg wydawał się jej tak odległy, a jego nieobecność dłużyła się niemiłosiernie. Martwiła się też o wynik rozmowy z Natalią Nikołajewną. Nie mówił o tym wprost, ale zrozumiała dobrze, że dla hrabiny Sorokiny tak samo jak dla jej matki pochodzenie stanowiło przeszkodę, wydawałoby się, nie do zaakceptowania. Choć Aleksandr zapewniał, że wszystko się ułoży, ona wcale nie miała tej pewności.

Hrabia wspominał, że matka przestała bywać w Polsce po śmierci męża i od tej pory jej stosunek do Przywiślańskiego Kraju uległ znacznemu ochłodzeniu. Przy tej okazji opowiedział jej sporo o majątku Przylesie, który pamiętał z lat dziecińczych, a pewnego dnia odważyła się nawet spytać, czy narzeczony znał wcześniej Pawła.

– Nie, o jego istnieniu dowiedziałem się dopiero, gdy dorosłem i zapoznałem się z dokumentami ojca, bo zapisał mu pieniądze na wykształcenie – wyjaśnił. – Ale to nie miało większego znaczenia. Kiedy zmarł ten zarządca, Józef Borek, jego żona poprosiła, żeby zawiadomić Orłowskiego. Powiedziała, że służy w pułku austriackim, więc wysłałem tam depezę. – Wzruszył ramionami. – Dopiero wtedy poznałem go osobiście. I nie sądziłem, że spotkam go w twoim mieszkaniu.

Nie pytała już więcej, choć czasami nie dawało jej spokoju wspomnienie pełnego bólu zrozumienia w oczach porucznika, kiedy poprosiła, żeby do niej nie pisał. Żle się zachowała, to pewne. Nie powinna go zwozić tylko dlatego, że lubiła z nim korespondować. Myśli te jednak szybko czmychały, gdy tylko w pobliżu pojawiał się Aleksandr Sorokin.

– *Maman*, pojedź z Czesią na zakupy, a potem na spacer do ogrodów.

Barbara podniosła wzrok znad robótki. Zauważyła już, że córka od kilku dni chodziła rozkojarzona. Wiedziała doskonale, że to zwykła tęsknota za narzeczonym. Miała jednak obiekcje, żeby pozwalać córce na samotne wycieczki, kiedy wciąż słyszano o kolejnych zamachach na ulicach. Bomby rzucane przez bojowców w carskich urzędników niejednokrotnie raniły przypadkowych przechodniów, jak się można było przed tym uchronić? Ale czy mogła wiecznie trzymać Ewelinę pod kloszem? Niedługo będzie żoną, powinna się nauczyć samodzielnych zakupów...

Spojrzała za okno. Był środek sierpnia, ale upał jeszcze panoszył się w najlepsze, rozleniwiał i miało się wrażenie, że unoszące się w suchym powietrzu drobinki kurzu zawłaszczają każdy promień światła. Miasto straciło swój zwykły, pospieszny rytm, nikt nie miał ochoty bez potrzeby wystawiać się na palące słońce, każdy wyczekiwał nocy, aby przyniosła ochłodę i wytchnienie.

– Aleksandr wraca pojutrze, chcę mu kupić prezent. Pojedziemy z Czesią tylko na Trębacką i potem może do ogrodów na krótki spacer – prosiła Ewelina.

– Dobrze, Linusiu. Idź. I przy okazji weź mi kilka łokci tasiemek koronkowych do obszycia chusteczek – zgodziła się w końcu matka.

Ucieszona dziewczyna pobiegła przyszykować się do wyjścia. Pani Strojnowska tymczasem zawołała Czesławę i przekazała służącej bardziej szczegółowe instrukcje, bo przypomniało jej się, że nie ma też szpilek i kilku innych utensyliów do szycia.

Podeksytowana Ewelina długo wybierała odpowiedni podarek dla narzeczonego. Zastanawiała się już w powozie, co byłoby najlepsze, ale w sklepie ciągle zmieniała zdanie. W końcu zdecydowała się na jedwabny fular z atlasowym splotem, w kolorze głębokiej winnej czerwieni – Aleksandrowi wyjątkowo pasował ten odcień. W tym czasie Czesia załatwiła pozostałe sprawunki i z ulgą przyjęła koniec zakupów. Było coraz duszniej i nawet zbliżający się wieczór nie przynosił spodziewanej ulgi. Burza wisiała gdzieś na skrajach nieba.

– Nie mam już chyba ochoty na spacer. – Lineczka też była zmęczona. – Zawołaj powóz i pojedziemy prosto do domu – zadysponowała.

Przystanęła w cieniu przy ścianie budynku i oglądała jeszcze wystawę. Zastanawiała się, czy prezent nie będzie zbyt skromny dla hrabiego Sorokina. Może kazać jechać jeszcze do jubilera? Ojciec na pewno zgodziłby się zapłacić rachunek, przecież naręczony niemal bez przerwy obdarowywał ją różnymi podarkami – od zwykłych po bardzo wyszukane i z pewnością drogą.

Czesława dała znać, że jest ich podwoda, ale Ewelina nie zdążyła zrobić nawet jednego kroku... Nagły huk sprawił, że wrzasnęła. W pobliskiej kawiarni wyleciały szyby. Pękła w drobny mak witryna sklepu Riedla. Spłoszone konie dorożkarskie rżały i targały się na uwięzi. Ktoś krzychał. Obok nich przebiegł jakiś człowiek w pomiętym i obsypanym gruzem garniturze, z zalanymi krwią policzkami. Z drugiej strony ulicy dały się słyszeć strzały. Ewelina poczuła szarpnięcie, to służąca popchnęła ją bliżej ściany, krzyżąc, by wracała do sklepu. Dziewczyna, sparaliżowana strachem, nie była w stanie się ruszyć, jedynie kucnęła i skuliła się, zakrywając głowę rękoma.

Tętent koni zapowiedział kozaków. I znowu huk. Ktoś strzelał do żołnierzy, ktoś biegł. Wrzask rozkazów i uderzenia kopyt, kiedy pognali za uciekającymi. A potem cisza i z oddali dzwonek karetki pogotowia.

– Czesiu – szepnęła Ewelina.

– Nic się panience nie stało? – To subiekt Riedla dopiero teraz do nich wybiegł i pomógł jej wstać. – Proszę nie patrzeć – ostrzegł, ciągnąc ją w stronę wejścia.

Jednak nie posłuchała, wyrwała się i obejrzała, szukając Czesi. Na bruku leżało dwóch żołnierzy w nienaturalnych pozach, trzeci, jęcząc, usiłował wstać, nie zważając na krew zalewającą mu lewe oko i wykwitającą czerwienią z boku. Z kawiarni wyprowadzano rannych. Jakaś kobieta słała się na nogach, mężczyzna obok niej, równie oszołomiony, niezgrabnie usiłował jej pomóc.

– Czesiu! – krzyknęła, widząc służącą rozciągniętą na chodniku. Nad nią stał oszołomiony dorożkarz, mnąc w dłoniach kapelusz. Ewelina dopadła tam, nie patrząc, ukłękła wprost na ziemi, pochylając się nad Czesławą. Widziała krew na staniku jej sukni, szklane niewidzące oczy, ale jeszcze się łudziła. – Czesiu, wstawaj – łkała.

Gwar wokoło narastał, ale ona nic nie słyszała i nie dawała się zabrać od ciała służącej. Otrzeźwił ją dopiero znajomy głos.

– Linusiu, chodź. Zabiorę cię do domu.

– Staszek! – Nie mogła uwierzyć, że widzi brata. – Zrób coś, proszę cię... – Bezradnie wskazała na służącą.

Pozwoliła mu się podnieść. Odnalazł jej porzucony kapelusz.

– Chodź do powozu – powtórzył z naciskiem.

– A co z Czesią?

– Zabiorą ją do szpitala. – Próbował uspokajać siostrę, ale rozszlochała się na nowo, dała się jednak doprowadzić do dorożki.

– Dokumenty.

Żandarm, który pojawił się jakby spod ziemi, zagroził im drogę. Stanisław obrzucił go niechętnym spojrzeniem, ale sięgnął do kieszeni i podał paszport. Oszołomiona Ewelina zrobiła to samo. Chciała się oburzyć na takie traktowanie, ale nie była w stanie nic powiedzieć.

– Siostra jest wystraszona, powinna jak najszybciej znaleźć się w domu. – Stach ściszył głos, jakby mówił tylko do oglądającego dokumenty policjanta.

– Jest pani ranna? – zainteresował się tamten. – Może trzeba doktora?

– To tylko draśnięcie od szkła z witryny. Nasz ojciec jest lekarzem.

Ewelina dopiero gdy Stach wytarł jej policzek chusteczką, poczuła piekący ból. Funkcjonariusz nadal oglądał ich dokumenty. Patrzyła na jego mundur z niechęcią, zastanawiając się, jak to jest, że dystynkcje porucznika Orłowskiego nie budziły w niej żadnej odrazy, a teraz czuje lęk.

– Proszę jechać. – Puścił ich w końcu.

Schowali się w powozie, na chwilę ulegając złudnemu poczuciu bezpieczeństwa. Staszek dał sygnał woźnicy i mimo woli odetchnął z ulgą. Znow mu się udało. Ewelina przyjrzała się bratu, zaniepokojona tym zachowaniem, przecież to tylko rutynowa kontrola, na pewno nikt nie podejrzewał ich o udział w tym szaleństwie. Surdut Stacha też był poplamiony krwią. Spojrzała na swoją brudną suknię i się rozplakała, gdy uświadomiła sobie, że już nigdy nie zobaczy Czesi.

– Piekielni bojowcy – łkała, uderzając piąstkami w ramiona obejmującego ją brata.

Stach milczał.

Gdy dojechali na miejsce, nadal bez słowa zapłacił woźnicy, następnie wziął osłabioną strachem i płaczem siostrę na rękę, żeby wnieść ją po schodach. Nie bronila się, nie miała już siły. Stróż wpuścił ich szybko, obrzucając Ewelinę chciwym spojrzeniem, w poszukiwaniu powodów niedyspozycji panny Strojnowskiej. Zapytać, co się wydarzyło, jednak się nie odważył, widząc zacięty wzrok Stanisława.

W mieszkaniu zaraz powstał rwetes. Poblada Barbara dopypywała, co się stało i gdzie jest Czesia, równocześnie wyrzekając, że nie powinna Lineczki samej na miasto puszczać. Strojnowski, który dziś miał być w domu, ale zaalarmowany przez posłańca o atakach i rannych wybierał się właśnie do szpitala, nakazał Stachowi wnieść córkę do swojego gabinetu.

– Zostań tu – powstrzymał syna, gdy ten chciał wyjść. – Mów, co się stało. Wiem, że w całym mieście rwetes.

– Był napad na... Był napad na Trębackiej. Wybuch w kawiarni, strzelanina. – Stanisław w porę ugryzł się w język, ale ojciec i tak posłał mu ponure spojrzenie.

– Zabili Czesię – zaszlochała w odpowiedzi Ewelina.

Od drzwi dobiegł płacz Barbary, a ciotka Leokadia, nie mogąc uwierzyć w tak okropną wiadomość, zaczęła dociekać, czy to prawda.

– Cicho bądźcie! – zirytował się Strojnowski. – Linusiu, pokaż no ten policzek, zaraz to opatrzymy i do wesela się zagoi. Czy coś cię jeszcze boli?

Ewelina pokręciła głową.

– Całe szczęście. A ty, Stach?

– Mnie nic nie jest, ojczu. Ja w takim razie pójdę, nie...

– Siadaj, nigdzie nie idziesz – przerwał mu ojciec. – Musimy porozmawiać.

Stanisław przez moment wyglądał, jakby się zastanawiał, czy posłuchać, został jednak bez dalszego protestu. Strojnowski po przemyciu rany na policzku Eweliny zaordynował jej jeszcze krople uspokajające.

– Basiu, niech ona się teraz położy i spójrz, czy na pewno nie ma innych zranień. Najlepiej, żeby zasnęła – dodał, głaszcząc nadal pochlipującą córkę po włosach.

Szybko zostali sami w gabinecie. Adam schował butelkę z medykamentem do przeszklonej szafki i zapakował na nowo torbę lekarską.

– Teraz mi powiedz, skąd się tam wziąłeś. – Popatrzył surowo na syna. Nie siadał, oparł się o biurko i z założonymi na piersiach rękoma czekał na odpowiedź.

Stanisław pokręcił głową.

– Przypadkiem – mruknął niechętnie. – Przynajmniej mogłem pomóc Lineczce.

– Nie wierzę ci – odparł zimno Strojnowski. – Nie byłeś tam przypadkiem. Dobrze wiedziałeś, na kogo był ten zamach i że w całej Warszawie wybuchają dziś bomby. Czyją krew masz na ubraniu?

– Towarzysza. Moskale go trafili, kiedy podbiegłem, to już nic nie mogłem zrobić. Mnie nie widzieli. Było zamieszanie, zobaczyłem siostrę klęczącą przy Czesi. Poleciałem do nich i udało mi się wydostać. – W jego głosie słychać było ulgę, że mimo nieodpowiedzialnego zachowania wyszedł z opresji cało. – Nie powinienem się Ewelinie pokazywać, ale nie mogłem jej zostawić – dodał, jakby potrzebował się wytłumaczyć.

– Strzelacie do niewinnych – oskarżył go ojciec.

– Czesławę zabili carscy! Nikt z nas! – Stach zerwał się z krzesła. – Nikt z nas, rozumiesz?

Adam pokręcił głową i wyrażającym zmęczenie gestem potarł policzki. Pod palcami poczuł, że ogolił się dziś nierówno. Nic dziwnego, nie zamierzał nigdzie wychodzić, dlatego rano nie poświęcił tej czynności należytej uwagi. Teraz nie było już czasu na poprawki.

Zmierzył syna zimnym wzrokiem. Nie było w nim zrozumienia, jedynie potępienie.

– A żołnierze skąd się tam wzięli? Czemu strzelali? Naprawdę tego nie widzisz? Przez takich jak ty zginęła. Przez takich jak ty może pewnego dnia zginąć twoja siostra albo matka. Wiesz, do czego doprowadzacie? Do większych represji. Do tego, że zaraz wszędzie będzie więcej wojska niż przechodniów. Nic dobrego z tego nie będzie. Nic. Żadnej wolności. Żadnej Polski. Rozumiesz?

Ojciec mówił spokojnie, jednak każde gorzkie słowo celnie trafiało Stanisława, bolało niczym uderzenie. Nie rozumieli, nic nie rozumieli... Jak miał im wytłumaczyć, że gdyby nie zaborcy, gdyby nie carat, to ta sytuacja nie miałaby miejsca? Nic nie odrzekł. Chciał wyjść, ale Strojnowski zaszedł mu drogę.

– Przebierzesz się, a potem pojedziesz ze mną powozem do szpitala – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Rozdział XXV

1906

Spotkanie z matką przebiegło tak, jak Aleksandr się spodziewał, czyli nie najlepiej, a żeby być szczerym – wprost fatalnie. Nie zdążyli nawet wypić herbaty, kłótnia zaczęła się niemal od pierwszych słów.

– Już się obawiałam, że ją tutaj zwieziesz – przywitała go, nadstawiając policzek do pocałunku.

– Mówisz o mojej narzeczonej? – Nachylił się do niej.

– A o kim, Aleksandrze Konstantinowiczu? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak mi jest ciężko, gdy się dowiaduję o twoich kolejnych wybrykach? Nikołaj opowiedział mi, że okropnie go potraktowałeś w Warszawie. A potem przysłałeś to... zawiadomienie o niedorzecznych zaręczynach! – Natalia ze zgrozą pokręciła głową i na powrót zasiadła w ulubionym fotelu. – Nadal się łudzę, że poinformujesz mnie teraz o swojej pomyłce. Powinieneś również przeprosić stryja.

Aleksandr omal nie zazgrzytał ze złości zębami. Matka się upierała, by traktować go jak niedorostka, jakby nie zauważyła, że jej syn już dawno nie jest młodzieńcem. W takich momentach jak ten widział doskonale, że to nie troska nią kieruje, że w ten sposób Natalia Nikołajewna pokazuje mu, jak nieodpowiedzialne jest takie zachowanie.

– Nie. Natomiast mam zamiar przyjechać niebawem z Eweliną Adamowną do Petersburga, żeby pokazać jej miasto i abyś miała okazję lepiej ją poznać. Ufam również, że przyjmiesz zaproszenie na nasz ślub – odparł spokojnie, choć wiele go kosztowało powstrzymanie wybuchu.

– Nie mam najmniejszego zamiaru, synu – oznajmiła chłodno i choć nie podniosła głosu, to, co usłyszał, spadło na niego jak policzek. – Nie poprę twojego związku z tą Polką. Nigdy, rozumiesz? A sprosić ją tutaj możesz, gdy ja zamknę oczy.

Aleksandrowi na moment zabrakło słów. Mimo wszystko nie spodziewał się po matce aż takiej niechęci, żeby nie powiedzieć wrogości. Nerwowo przecesał włosy palcami. Był przygotowany na narzekanie i próby przekonania go, że źle robi, ale tak kategoryczne postawienie sprawy całkowicie go zaskoczyło.

Uważnym spojrzeniem obrzucił matkę. Siedziała wyprostowana, złożony wachlarz leżał na jej kolanach. Jak zawsze wszystko, co nosiła, było perfekcyjne: starannie ułożona fryzura, biżuteria bez jednego zbędnego akcentu, idealna suknia zachwycająca harmonią barw. Mimo upływu lat cera hrabiny Sorokiny, choć pokryta delikatnymi jak pajęcza sieć zmarszczkami, nadal wydawała się nieskazitelna.

– Mamo... – Podszedł do niej i przyklęknął przy fotelu. – Co mówisz, mamo?

Chciał ucałować jej dłoń, ale nie pozwoliła.

– Nie zmienię zdania, synu. Kocham cię, ale nie zamierzam udawać, że to, co wyprawiasz, jest mi miłe – westchnęła. – I jeśli nie mogę zapobiec temu skandalowi, to nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Skandalowi? Mamo, ty nawet nie znasz Eweliny! Nic o niej nie wiesz! – Wbrew temu, co sobie przyrzekł, nie zdołał powstrzymać wzburzenia.

– A czyż muszę? To Polka i do tego katoliczka, wystarczy mi to wiedzieć. Nic dobrego nie wyniknie z takiego małżeństwa – obruszyła się. – A na domiar złego z relacji Nikołaja zrozumiałam, że ta panna ma jedynie jakieś nikłe arystokratyczne korzenie i żalosny posag. Żadna z niej partia dla ciebie, Aleksandrze. Zasługujesz na lepszą żonę, a ja na lepszą synową. Taką, która nie zmarnuje twojego majątku i nie ośmieszy naszego pochodzenia, naszej rodziny. Na Rosjankę – powtórzyła dobitnie.

– Aż nie wierzę... – Zrezygnowany Aleksandr wstał. Długimi krokami przemierzył pokój do okna i z powrotem. – Naprawdę nie interesuje cię, co takiego ja w niej zobaczyłem? Nie jesteś ciekawa, jaka jest? Tylko dlatego, że to Polka? Uważasz, że muszę polować na posag? Doskonale wiesz, że stać mnie na utrzymanie żony.

– Tak, dokładnie tak uważam. I nie zamierzam ci się tłumaczyć. Masz tutaj wiele lepszych kandydatek, z porządnymi prawosławnymi i tradycyjnymi rodzinami. Twoja sprawa, jeśli wolisz byle przybłądę. – Odwróciła

wzrok.

– Mówisz o mojej narzeczonej! – Tym razem warknął, rozeźlony jej uporem.

– Twoje maniery, synu! Nie podnoś na mnie głosu – upomniała go ze spokojem.

Zamiast odpowiedzieć, trzasnęła drzwiami. Schronił się w sypialni, zastanawiając się, jakim sposobem matka sprowadziła go tak szybko do roli chłopczyka, którego trzeba ukarać reprimendą i brakiem kolacji. Gniewnie rzucił się na łóżko. Leżąc na plecach, z rękoma podłożonymi pod głowę, wpatrywał się w ozdobiony wymyślnymi stiukami sufit i rozmyślał, czy zapraszanie Eweliny do domu hrabiny Sorokiny ma sens, bo szans powodzenia nie ma na pewno. Co tym udowodni? Że może zrobić, co zechce? To przecież wiedział bez wystawiania narzeczonej na kpiny i jawnie okazywaną niechęć. Natalia Nikołajewna potrafiła kogoś, za kim nie przepadała, zmieszać z błotem niemalże bez wysiłku i zawsze w białych rękawiczkach, pod pozorem uprzejmości. Tak, żeby obrazić, ale wytrącić przeciwnikowi z rąk wszelki oręż, aby pozostała mu w odwecie jedynie jawna impertynencja.

Nie, nie chciał narażać Lineczki na coś takiego. Oczywiście nie czuł się komfortowo, napotyając aż taki brak akceptacji w rodzinie, ale był gotów zapłacić i tę cenę. Uznał, że warto. Dla niej warto.

Pozostałe dni spędził, przechadzając się nad Newą i kupując prezenty dla panny Strojnowskiej i pozostałych domowników. Zastanawiał się nad Stachem. Brat narzeczonej okazywał mu wrogość, zupełnie nie przejmując się decyzjami rodziny. Kim był ten człowiek? Przeciwnikiem caratu, to pewne, ale czy działał aktywnie w którejś z frakcji rewolucyjnych? Sorokinowi wydawało się to możliwe. Dla kogoś takiego Aleksandr był wręcz modelowym przykładem zaborcy i pewnie bolał go fakt, że Strojnowscy zdecydowali się oddać komuś takiemu córkę.

Porzucił rozważania i również Stanisławowi zdecydował się coś przywieźć w podarku. Postawił na drobiazgi – złote spinki do mankietów, z modnymi rubinowymi zdobieniami, dla panów, ozdobne brosze z drobnymi szafirami dla pani Barbary i ciotki Leokadii oraz pasujący do zaręczynowego pierścionka diamentowy naszyjnik i także kolczyki dla Eweliny. Te wybierał szczególnie długo – chciał, żeby wszystko dobrano idealnie do szkicu, który specjalnie w tym celu wziął ze sobą.

Odwiedził też stryja, kilku przyjaciół i członków dalszej rodziny, zarówno ze strony matki, jak i ojca. O ile poglądy stryja Nikołaja znał doskonale, o tyle miał nadzieję, że pozostali wykażą się mniejszymi uprzedzeniami. Wprawdzie nawet Ruminowie zapewniali, że może liczyć na ich przyjazd do Królestwa, ale wyczuł, że bardzo obawiali się reakcji Natalii Nikołajewny, i Sorokin był pewien, że jeżeli tylko jego matka zagrozi ochłodzeniem stosunków, to on na swoim ślubie ich nie ugości. Cóż, wiedział, że w Warszawie zbierze tylu chętnych, ilu tylko zapragnie, a nawet jakby na przyjęciu miała być jedynie rodzina Strojnowskich, jemu i to by wystarczyło.

Wracał do Polski poirytowany i niespokojny. Wykupił salonkę, nie miał ochoty na rozmowy z przypadkowymi osobami. Gazety, które przed podróżą kazał dostarczyć do przedziału, donosiły o wielkiej liczbie zamachów dokonanych przez polskich bojowników w ciągu ostatnich dni. Poczul dziwny niepokój, że zostawił Ewelinę w środku tego... piekła. Warszawa go zachwycała, ale i przerażała zaciętością tej nierównej walki, która sprowadzała tylko coraz więcej wojska na ulice. Wierzył, że w Przylesiu będą mieli spokój. Najchętniej zabrałby tam dziewczynę już teraz i żałował, że nie jest to możliwe. Irytował się, że będzie na miejscu wieczorem, najchętniej od razu udałby się do narzeczonej, a nie bardzo wypadało, poza tym po podróży potrzebował kąpieli i świeżego ubrania.

Na dworcu dostrzegł o wiele więcej patroli wojska i policji niż w dniu wyjazdu do Petersburga. Wszystkich bez wyjątku legitymowano przy wyjściu. Oczywiście on nie miał żadnego kłopotu z przejściem, jego rosyjski paszport zapewnił mu też odpowiednią uprzejmość żołnierzy, ale i tak cała sytuacja go zniesmaczyła. Pomyślał, że mogliby przyspieszyć ślub i wyjechać z Warszawy, ale zaraz porzucił ten pomysł. Na to pani Barbara Strojnowska nie zgodzi się na pewno. A poza tym miał wciąż nadzieję, że jego własna matka jednak do końca roku zmieni zdanie.

Na Wierzbową pojechał zaraz po śniadaniu. Nie zapowiedział się wcześniej, liczył, że zrobi niespodziankę Ewelinie. Kasia wpuściła go do korytarza i odebrawszy palto i kapelusz, zaprowadziła do salonu. W mieszkaniu panowała dziwna cisza, a w pokoju zastał jedynie panią Leokadię Jarczycową. Ukłonił się uprzejmie, niepewny, co oznacza to wszystko.

– O, jak miło, *gospodin graf* – powitała go z bladym uśmiechem. – Jak się udała hrabiemu wizyta w Petersburgu?

– Dziękuję, zawsze miło jest odwiedzić rodzinne strony. Przywiozłem drobne upominki dla państwa – odparł. Znowu poczuł niepokój, który dokuczał mu podczas podróży. – Leokadio Stanisławowna...

Weszła Kasia, niosąc tacę z filiżankami, więc przerwał.

– Ewelina zaniemogła. Basia jest w jej pokoju – bez ogródek odpowiedziała mu Leokadia na niezadane pytanie.

– Jak to?! – Sorokin poderwał się z fotela. Potrzącił przy tym stolik, omal nie wylewając herbaty. – Co się wydarzyło?

– Spokojnie, Aleksandrze Konstantinowiczu. Adam się zarzeka, że to tylko rozstrojenie nerwowe i powinno niedługo ustąpić. – Próbowala go uspokoić, ale on ledwie ją słuchał.

– Czy mogę ją zobaczyć? – spytał niecierpliwie.

– Hrabia Sorokin! Dobrze pana widzieć!

Tak ciepłego powitania od pani Strojnowskiej zupełnie się nie spodziewał. Aż się zatrzymał w pół kroku, zaskoczony, bo Barbara dotąd raczej nie okazywała mu względów. Natychmiast doszedł do wniosku, że choroba narzeczonej jest o wiele poważniejsza, niż przedstawiła mu to ciocia Leokadia, i aż pobladł ze zdenerwowania.

– Mnie również niezmiernie miło panią widzieć, Barbaro Andriejewna. – Podszedł szybko, żeby ucałować jej dłoń. – Proszę powiedzieć, jak się czuje Lineczka.

Polubił to zdrobnienie, jakim nazywano Ewelinę w domu rodzinnym, a będąc częstym tutaj gościem, sam przyzwyczyił się do jego używania.

– Mam nadzieję, że pana wizyta poprawi jej humor – westchnęła Strojnowska.

– Ale proszę powiedzieć, co się stało.

– Pokojówka Ewelinki została postrzelona. Były wtedy na zakupach. – Barbara przyłożyła do oczu chusteczkę. – Nie powinnam jej pozwolić na wyjście...

Sorokin zacisnął pięści. Jego przecucia nie były bezpodstawne. Szalał z niepokoju, ale usiłował myśleć racjonalnie. Trzymał się myśli, że ani pani Jarczycowa, ani pani Strojnowska nie wspomniały, że jego narzeczonej jest choćby ranna.

– Proszę opowiedzieć. – Podprowadził Barbarę do fotela i sam podszedł do stojącego pod oknem białego samowara i nalał herbatę do filiżanki. Chciał jak najszybciej poznać szczegóły i nie miał teraz cierpliwości na wołanie służby. – Kiedy to było?

Zanim sam usiadł, podał jeszcze czaj pani Leokadii. Opowiedziały mu całą sytuację, tak jak ją znały z relacji Eweliny i tego, co przekazał Stanisław. Aleksandr uświadomił sobie, że o tym zamachu również wspomniano w dzienniku, który czytał wczoraj. Niewiarygodne, że Lineczka była tak blisko! Oblało go gorąco. Gdyby coś jej się stało! Wstał na powrót.

– Muszę ją zobaczyć – oznajmił.

– Pójdę...

– Nie, muszę ją zobaczyć teraz. – Sorokin nie zamierzał rezygnować ani czekać. Gotów był iść do niej natychmiast, nie zważając na nic.

Pani Strojnowska wyraźnie się zmieszała.

– Aleksandrze, pozwól chociaż uprzedzić narzeczoną – wtrąciła się Leokadia i dopiero do hrabiego dotarło, jak się zachowuje.

– Najmocniej przepraszam, poniosły mnie emocje. – Skłonił się i usiadł w fotelu. – Poczekam, ile będzie trzeba, ale bardzo chciałbym osobiście się upewnić, że jest cała.

Na to matka Eweliny mogła przystać.

Rozdział XXVI

1907

Ślub mieli piękny, ale Ewelina była tak przejęta, że niewiele z samej ceremonii pamiętała. Pobrali się w cerkwi, choć w obecności również katolickiego księdza. O zgodę na to postarał się oczywiście Aleksandr Konstantinowicz Sorokin. Jej od dziś prawowity małżonek. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, gdy patrzyła na niego podczas przyjęcia weselnego. Zdawał jej się jeszcze przystojniejszy niż na co dzień, w eleganckim czarnym fraku uszytym z najlepszych materiałów, według paryskiej mody. A to, co widziała w jego oczach, rozwiewało wszystkie obawy i wątpliwości, choć tych przed ślubem pojawiło się naprawdę sporo. Największa zgryzota dotyczyła Natalii Nikolajewny. Hrabina nie zmieniła zdania i nie zaszczyciła ich uroczystości nawet telegramem. Do Warszawy przybył za to stryj Aleksandra, chyba tylko po to, żeby prezentować obecnym swoją nachmurzoną minę. Zabrakło również Stanisława, który – jak oznajmił – nie zamierzał brać udziału w farsie. Gdy tylko się dowiedział, kim jest narzeczony jego siostry, nie ukrywał, jak bardzo mu się ta sytuacja nie podoba. Ewelina nie rozumiała tej niechęci, ani ze strony matki Sorokina, ani swojego brata, a fakt, że nie była w stanie uczynić nic, aby ten stan rzeczy zmienić, napawał ją smutkiem.

– Nie przejmuj się tym zupełnie. Mamy swoje życie, a ja zrobię wszystko, żeby nie zawieść zaufania twojego i twoich rodziców – powtarzał jej mąż i w końcu postanowiła już o tym nie myśleć. A kiedy wirowali razem po parkiecie Sali Aleksandryjskiej, zapominała o jakichkolwiek troskach.

Jednak im bliżej było zakończenia wesela, tym mocniej dawał o sobie znać kolejny dylemat... Noc poślubna... Oprócz świadomości, że z całą pewnością spędzi ją sam na sam z mężem, nie miała pojęcia, czego się spodziewać, a wstydziła się zapytać o cokolwiek siostrę czy matkę. Wprawdzie przy kompletowaniu wyprawy coś jej wspomniały, że niby ta, a nie inna koszulka będzie najodpowiedniejsza na taką okazję, i nakazały, aby założyła ją bezpośrednio pod ślubny gorset, ale Ewelina nie podjęła tematu, zbyt zażenowana, żeby cokolwiek wykrztusić. Potem w zaciszu sypialni oglądała ten element garderoby, z półprzezroczystego muslinu, ozdobiony delikatną koronką, i zastanawiała się, jak ma się w tym pokazać Aleksandrowi. Czy powinna włożyć pod spód bieliznę? A może dodatkowo lekki gorset? A może... może nie powinna nic zakładać? Ta myśl nieodmiennie powodowała, że gorąco oblewało ją od stóp do głów.

Tymczasem północ zbliżała się nieuchronnie. Po wspólnym przywitaniu Nowego Roku państwo Sorokinowie mieli pożegnać gości i udać się do warszawskiego mieszkania hrabiego. Aleksandr uznał, że jazda po nocy do Przylesia nie będzie bezpieczna i wybiorą się tam kolejnego dnia.

Odliczanie, szampan, oklaski i okrzyki zlewały się oszołomionej Ewelinie w jedną całość. Ledwo zarejestrowała pożegnanie z rodziną, a już siedziała w powozie wiozącym ją ku nieuchronnemu przeznaczeniu. Z emocji nie mogła wykrztusić słowa. Mąż siedział tuż przy niej, tak blisko, że gdyby nie rozkloszowana spódnica jej ślubnego stroju oraz obsyty białym futerkiem płaszczyk, nic by ich nie dzieliło. Poza tym po raz pierwszy, nie licząc krótkich chwil, gdy Aleksandrowi udawało się skraść jej pocałunek, nikt im nie towarzyszył. Sorokin zdawał się równie onieśmielony chwilą, bo przez całą drogę tylko ścisnął dłoń Eweliny i, nic nie mówiąc, wpatrywał się w nią rozognionymi oczami.

Podróż była krótka, szybko znaleźli się na miejscu i Aleksandr wprowadził żonę do środka. Zdziwiła się, gdy lokaj jedynie otworzył im drzwi, pomógł zdjąć wierzchnie okrycia, a następnie pożegnał się uprzejmie i wyszedł z mieszkania. To było coś nowego. Zdezorientowana zastanawiała się, kto jej pomoże się przebrać, ale wszędzie panowała cisza.

Sorokin uśmiechnął się tajemniczo i podał Ewelinie kieliszek z szampanem.

– Jesteśmy zupełnie sami – wyjaśnił, całując jej dłoń. – Chodź.

– Jak to... sami? – Nie mogła tego zrozumieć.

– Pomyślałem, że chętnie odpoczniesz od hałasu i zamieszania. Jutro znowu będzie tego aż nadto, więc poleciłem służbie przygotować wszystko na nasze przybycie i nas zostawić.

Nie odpowiedziała, nadal zadziwiona jego pomysłem, ale pozwoliła się zaprowadzić w głąb mieszkania. Spodziewała się, że najpierw wejdą do salonu, ewentualnie bawialni, ale nie tego, że pokój, do którego wprowadzi ją mąż, okaże się jego sypialnią, urządzoną zresztą bardzo oszczędnie, a głównym meblem – na który od razu skierowała całą swoją uwagę – pozostawało niezaprzeczalnie łóżko. Duże, z pięknie rzeźbionym wezłowiem oraz bielutką pościelą. Jak we wszystkich pomieszczeniach i tutaj pozostawiono zapalone światło.

– Zaniemówiłaś – zauważył Sorokin, śmiejąc się cicho. Zatrzymał się tuż za nią. – Chcesz, żebym zgasił lampę?

– Tak – szepnęła, a kiedy poszedł to zrobić, jednym haustem wypła resztę trunku. – Aleksandrze...

Urwała zażenowana, bo jak go miała zapytać, kto jej pomoże zdjąć suknię, skoro nie było tu nigdzie Kasi, pomagającej Ewelinie w miejsce nieodżałowanej Czesławy? Przecież to implikowało ciąg dalszy, o którym nadal nie miała pojęcia, za to denerwowała się coraz bardziej. Nachylił się do niej.

– Ja ci się pomogę rozebrać – powiedział, muskając wargami jej ucho i odgadując bezbłędnie, o czym myślała. Delikatnie odebrał jej pusty kieliszek. – Jeszcze szampana?

Pokręciła głową. Poczula, że Aleksandr zaczął rozpinać jej suknię, zaczynając od rzędu zapinek na karku. Nie spieszył się, ale też nie wahał, a gdy czasem nie od razu mógł znaleźć odpowiednią tasiemkę czy guzik, metodycznie szukał do skutku. Wkrótce piękna i strojna suknia Eweliny wraz ze wszystkimi wyszukanymi koronkowymi i tiulowymi halkami została rzucona na wezłowie łóżka, za chwilę znalazły się tam – ku ogromnemu zawstydzeniu dziewczyny – nawet pantalony, a jej nowo poślubiony małżonek zabrał się za rozsznurowywanie gorsetu. Młoda żona poddawała się tym zabiegom w milczeniu, nie śmiejąc się poruszyć, w ciszy słychać było jedynie przyspieszony oddech Sorokina. Poczula dotyk u nasady włosów. Dłonie, a może usta? Na pewno usta, przecież właśnie rozpinął brykle stanika i rozwiązywał tasiemki pończoch.

Gorset spadł na podłogę, Aleksandr przyklęknął, żeby zdjąć Ewelinie buciki i pończochy. Czula jego palce sunące po skórze ud i łydek. Zrobiło jej się gorąco, a on wcale się nie spieszył. Wstał też wolno, nie odrywając rąk od jej ciała, muskając biodra i przesuwając pieśczętę w górę po plecach. Stał tuż za nią, a po chwili znalazł się jeszcze bliżej i ciasno otoczył ją ramionami. Zamruczał coś, ale nie rozróżniła słów, a może zbyt była zajęta przeżywaniem, że właśnie odnalazł dostęp do jej piersi i gładził je przez muślin koszulki, budząc w Ewelinie nieznośne napięcie, aż miała ochotę się wygiąć i poddać mu je bardziej, ale wtedy Aleksandr nagle przerwał.

– Moja śliczna – wyszeptał tkliwie, odwracając ją ku sobie.

Stała przed nim już tylko w ostatniej koszulce i czula się, jakby była już całkowicie naga. Zadrżała pod kolejnym dotykiem jego rąk. Obwiodł opuszkami palców owal twarzy Eweliny, przeniósł dłonie niżej, poprzez szyję, na ramiona i cofnął się o krok, jakby z tej odległości postanowił ją podziwiać. Umilkł i patrzył, a dziewczyna miała wrażenie, że uczy się jej na pamięć. Potem podszedł znów i od nowa zaczął poznawać dłońmi jej ciało, tym razem zawłaszczając jej usta zaborczym pocałunkiem. Nigdy jeszcze nie całował jej z taką pasją i gwałtownością, aż westchnęła zaskoczona, jak bardzo to okazało się przyjemne.

Nieco zdyszany ponownie odstąpił o krok. W jego oczach czułość mieszała się z pożądaniem, aż zdawały się błyszczeć. Wzrok dziewczyny przyzwyczaił się już do mroku wypełniającego sypialnię, więc widziała Aleksandra całkiem dobrze. Szybko zrzucił marynarkę i kamizelę, rozwiązał muszkę. Poczula, że się czerwieni, gdy pomyślała, że bezwstydnie zdejmie przed nią resztę ubrania. Czy powinna zamknąć oczy?

Sorokin, jakby kolejny raz odgadł, co ją trapi, podprowadził Ewelinę w stronę łóżka i pomógł jej się ułożyć na poduszkach. Miała nadzieję, że okryje ją kołdrą, ale on zamiast tego zrzucił swoją koszulę oraz resztę garderoby i znalazł się tuż obok. Siedział chwilę bez ruchu, napawając się widokiem leżącej obok małżonki.

– Moja piękna – powtórzył.

Zamknęła oczy, gdy się nachylił do jej ust. Czula jego dłonie, wędrujące po skórze, coraz bardziej natarczywie, w miarę jak pocałunki stawały się dłuższe i mocniejsze. Poddawała się temu, znajdując dziwną ekscytację pomieszaną ze strachem i błogim odczuciem szczęścia. Byli sami i nic ich nie dzieliło. Nawet koszulkę Aleksandr w końcu z niej ściągnął, odsłaniając brzuch i piersi. Wodził po nich wargami, coś mruzcąc, ale nie

rozumiała słów, za to miała wrażenie, że każde miejsce, które całował, okrywało się żarem. Zadrżała, kiedy dotknął wnętrza jej ud i przesunął palce wyżej, aż ogarnęło ją nieznane do tej pory ciepło, rozlewające się jak ukrop w podbrzuszu. Jęknęła, ale on wcale nie cofnął dłoni, tylko głaskał pokryte gęstymi włoskami łono, co jakiś czas zanurzając palce głębiej pomiędzy jej uda. Za każdym razem wydawały się poruszać coraz łatwiej i coraz szybciej, a ją wciąż na nowo ogarniało jakieś obezwładniające uczucie oddania i rozkoszy.

Potem nagle mąż znalazł się nad nią. Oddychał szybko, niecierpliwie. Wpatrzyła się w jego twarz, lekko rozchylone usta, oczy błyszczące jak w gorączce. Delikatnie, ale stanowczo rozsunął jej nogi.

– Nie bój się – poprosił.

Nie spodziewała się tego, co nastąpiło. Aleksandr stłumił okrzyk Eweliny pocałunkiem. Miała wrażenie, że wypełnił ją całą, zawładnął jej ciałem, przywłaszczył sobie wszystko natarczywymi, coraz gwałtowniejszymi ruchami, wbijając się w jej wnętrze. Raz po raz, jakby nigdy nie zamierzał przerwać.

– Obejmij mnie – wykrztusił, a ona posłusznie to zrobiła.

Mięśnie Aleksander miał do granic napięte, a ciało pokryte lekką warstwą potu. Czowała też jego zapach, przyjemnie zmieszany z wonią perfum, niemal ją odurzał, ale bardziej oszałamiająca była siła, z jaką przygwałdził ją do łóżka, poruszając się coraz szybciej i coraz głośniejszymi oddechami.

Nie była w stanie się ruszyć, nawet nie była pewna, czy nadal czuje ból, czy może już tylko odrętwienie. Chciała zapytać, co on robi, ale nie mogła wykrztusić słowa, a Sorokin nagle znieruchomiał, drżąc. Patrząc jej prosto w oczy, chrapliwie wciągnął powietrze. Znowu rozlało się w niej gorąco, ale inne, obce. Mąż jakby bez sił opadł na nią i przygniótł ją całym swoim ciężarem. Zdawało się jej, że w tym momencie zrobił się zupełnie bezbronny oraz że należy tylko do niej i nikt inny nie może dać mu tego, co właśnie dała mu ona. A może raczej sam wziął? Ale z pewnym zdziwieniem odkryła, że bardzo jej się to podobało.

– Jesteś najcudowniejsza. Bardzo bolało? – dopytał, ale pokręciła głową.

Uwolnił ją, kładąc się tuż obok, i oparty na łokciu, patrzył z góry. Ewelina, na nowo zawstydzona, przypomniała sobie, że jest naga.

– Zimno mi – szepnęła.

Aleksandr natychmiast okrył ją kołdrą.

– Nauczę cię wszystkiego – zapewnił, gładząc jej policzek wierzchem dłoni.

Nie odpowiedziała, nie wiedząc, co miał na myśli. Tymczasem jej mąż zaległ przy niej na plecach i poprosił, żeby przytuliła się do jego boku. Z pewnym wahaniem przyłgnęła do niego, by po chwili uznać, że to niezmiernie przyjemne mieć go tak blisko. Wsłuchiwała się w coraz spokojniejszy oddech Aleksandra i nawet nie zauważyła, jak sama zasnęła.

Aleksandr Konstantinowicz pozostawił dobór części służby do majątku w gestii swojej małżonki, stawiając jedynie warunek, żeby były to osoby znające dobrze język rosyjski. Mimo że władał polskim coraz lepiej, to jednak wolał na co dzień posługiwać się mową ojczystą, a ponieważ był zmuszony z tego względu wymienić część personelu w Przylesiu, gdy sprowadził się tutaj na dobre, nie chciał więc, żeby żona popełniła taki błąd. Poza tym Ewelina wciąż nie miała osobistej pokojówki, bo po śmierci Czesławy długo nie mogła się zdecydować na przyjęcie kogokolwiek na stałe. Dopóki mieszkała z rodzicami, wysługiwała się Kasią, jednak po przeprowadzce do domu męża musiało się to zmienić.

Najpierw jednak wyjechali razem do Petersburga, ale nie zatrzymali się u hrabiny Sorokiny, tylko w innym mieszkaniu, ponieważ hrabia nie chciał mieć styczności z matką.

– Skoro Natalia Nikołajewna zignorowała mój ślub, nie zamierzam jej narzucać naszego towarzystwa – tłumaczył Ewelinie któregoś dnia, gdy jedli późne śniadanie. – A już na pewno nie chcę cię narażać na jej złośliwe uwagi.

– Ale nie zamierzasz w ogóle odwiedzić swojej matki, nawet sam? – dopytywała, przekładając sytuację na swoje odczucia. Sama nie wyobrażała sobie, żeby tak ostentacyjnie ignorować swoich rodziców.

– Wolę spędzać czas z tobą. – Zaśmiał się. – Mam ci tyle do... pokazania.

Spojrzał na nią znacząco, a ona jak na zawołanie się zarumieniła. Uwielbiał to. Była taka niewinna, a zarazem – jak już się do czegoś przekonała – pełna pasji, co z kolei zaskakiwało jego. Tak jak obiecał za pierwszym razem, z przyjemnością podjął się roli nauczyciela, a Ewelina okazała się wyjątkowo pojętną uczennicą. Ufała mu. Widział każdej nocy, że staje się coraz śmielsza i że bardzo chce mu sprawiać przyjemność, a przy tym nie traciła tej niemal dziewczęcej niewinności. Nie miał pojęcia, jak jej się to udawało, ale wciąż na nowo zaskarbiała tym sobie jego serce.

Za dnia oprowadzał żonę po swoim ukochanym mieście, pokazywał rzekę Newę i Pałac Zimowy, opowiadał, jak powstawał Sobór Świętego Izaaka z jego imponującą kopułą, zabierał na spacer do Ogrodu Letniego, a nocami był dla niej przewodnikiem w sztuce miłości. I mimo że spędzali razem niemal każdą chwilę, nie miał tego dość. Podobała mu się nieustannie, zarówno gdy zakładała nowe stroje, na które nie szczędził pieniędzy, widząc, jak wielką sprawą tym żonie radość, jak i wtedy, gdy te suknie z niej osobiście zdejmował.

Byli również na kilku przyjęciach i balach na zaproszenie przyjaciół Sorokina, ale tego akurat nie wspominał najlepiej. Bardzo się starał, żeby Ewelina nie zauważyła wyniosłości, z którą traktowali ją niektórzy, wiedział jednak, że jest ona dobrą obserwatorką i ma świadomość, jak może być postrzegana.

– Nie oszukuj mnie, Aleksandrze – prosiła, gdy usiłował złagodzić jej spostrzeżenia. – Ty jesteś dla mnie najważniejszy i cenię, że dostrzegasz to, kim jestem, a nie skąd pochodzę. Ciocia Leokadia zawsze mi powtarzała, że najlepiej zostawić ludzi z ich własnymi wyborami, żeby na swojej skórze się przekonali, na ile są słuszne.

– Nie jestem pewien, czy wszyscy potrafią wyciągnąć z tego naukę – zauważył.

– To w takim razie pozostaną tam, gdzie stoją, a my pójdziemy swoją drogą – odpowiadała rozbawiona, choć widział, że niekoniecznie było jej do śmiechu.

Zostawił ją samą jedynie na kilka dni, kiedy pojechał skontrolować majątki pozostawione mu przez ojca, żonie polecając w tym czasie wizyty w domach towarowych. Do folwarków nie chciał jej zabierać, podróż zimą nie była zbyt komfortowa. Sam nie zrezygnował z obowiązku, choć mógł posłać po zarządców i zebrać sprawozdania, to wolał wybrać się osobiście. Już kilka razy się przekonał, że niezapowiedziane wizyty powiedzą mu najwięcej o kondycji folwarków. Ku jego zadowoleniu nic na miejscu nie wzbudziło podejrzeń, a wgląd w księgi rachunkowe tylko utwierdził go w przekonaniu, że wszystko funkcjonuje jak należy.

Z jednej strony z ulgą wracał z Eweliną do Królestwa, z drugiej żałował, bo zbyt mało jeszcze jej pokazał, zbyt mało zobaczyła. Zimą szybko robiło się ciemno, nie mieli więc za wiele czasu na wycieczki po mieście. Obiecał, że przyjadą tu jeszcze latem, kiedy rozbujana zieleń pokaże jej zupełnie inne oblicze miasta, a kwiaty w Ogrodzie Letnim będą zachwycać bogactwem.

– Chyba że będziesz miała życzenie odwiedzić Paryż albo Londyn, albo Wiedeń – wyliczał, gotów zabrać żonę, gdzie tylko będzie chciała.

Na razie wolała pojechać do Polski i w końcu zostać pełnoprawną panią domu. Przystał na to z radością, bo też nie mógł się doczekać tego nowego życia. Poza tym miał projekty, nad którymi pracował, oraz kilka pomysłów na wykupienie okolicznych lasów, żeby poszukać nowych zysków. Z utęsknieniem czekał też dnia, w którym ukochana oznajmi mu, że jest przy nadziei. Był pewien, że musi to nastąpić niebawem – tak przecież zaplanował. Dlatego też zawczasu chciał się nasycić ciałem Eweliny, bliskością, której może zabraknąć, gdy znajdzie się w stanie odmiennym.

– Znalazłaś w końcu odpowiednią kandydatkę na pokojówkę? – spytał, całując Ewelinę na powitanie. Wróciła tego ranka z Warszawy, gdzie miała z pomocą matki nająć kilka osób do służby. Nie było jej zaledwie dzień, a zdążył się stęsknić. – Łóżko bez ciebie jest duże i puste – dodał szeptem, z uśmiechem zadowolenia obserwując zdradziecki rumieniec różowiący jej policzki.

– Tak, myślę, że się sprawdzi. Znakomicie mówi po rosyjsku i ma doświadczenie.

– To świetnie. Wybieram się na przejażdżkę, kazałem już osiodłać Zorzę, ale mogę chwilę poczekać na ciebie – zaproponował.

– Jutro. Dziś odpocznę, no i chcę zaznajomić nową służbę z obowiązkami – wymówiła się.

Aleksandr ze śmiechem pokręcił głową, bo doskonale wiedział, że żona nie przepada za końmi.

– To bądź tak miła i przy okazji powiedz Stefie, żeby przygotowała dziś barszcz – poprosił, zanim wyszedł.

Cieszył się na jazdę. Wiosna już nieśmiało pokazywała pierwsze pączki, a w powietrzu czuć było wyraźnie zapach budzącej się ziemi. Lubił obserwować przyrodę, a do tego poranki były wprost idealne.

Zauważył ją, kiedy wyszedł na podwórze. Pilnowała, żeby Jasiek wypakował wszystkie pakunki, które Ewelina przywiozła z miasta. Aż się zatrzymał, aby sprawdzić, czy to nie złudzenie, ale w tym momencie kobieta odwróciła się do niego i przepisowo dygnęła. Pokręcił głową. Od czasu spotkania z Orłowskim w salonie Strojnowskich nie przepadał za zbiegami okoliczności.

„Czyli przeżyła i do tego nie wróciła już do lupanaru” – pomyślał, dziwnie uspokojony.

Widząc przestrach malujący się na twarzy służącej, podszedł do niej. Ukłoniła się raz jeszcze.

– A więc zostałaś pokojówką, Soniu – zauważył z życzliwym uśmiechem, przyglądając się dziewczynie. Nadal zadziwiała go te małe uszka, teraz zaczerwienione od mroźnego powietrza.

– *Gospodin graf*, błagam... – wyszeptała spanikowana. – Proszę dać mi szansę, proszę nie mówić pani hrabinie.

Wzdrygnął się, słysząc desperację w głosie służącej, i gestem dał znać, by była cicho. Nawet miała zamiar przyklęknąć przed nim w niemej prośbie, ale ją powstrzymał. Nie znosił tego.

– Sonia to twoje prawdziwe imię? – dopytał. Wolał uniknąć zdziwienia.

– Tak, panie hrabio. Sofija Włodimirowna Strielcowa. – Dygnęła.

– Witaj w Przylesiu, Soniu.

Nie czekał na jej reakcję. Przywołał koniuszego z Zorzą. Myślał już tylko o przejażdżce.

Rozdział XXVII

1907

Pożegnanie z Lebidiewem przebiegło na tyle hucznie, że Orłowskiego głowa bolała jeszcze wtedy, gdy dojeżdżał do stolicy. Generał najpierw go zrugął jak psa, potem wręczył mu rozkaz z nominacją na kapitana i przydził do służby w Królestwie, a na koniec zdecydował, że przed wyjazdem Pawła koniecznie muszą pójść się razem napić.

Najzwyczajniejszy przypadek, a raczej gorąca krew i zapalczywość jeszcze wtedy porucznika sprawiły, że prośba Pawła o przeniesienie do Polski została jednak spełniona, choć był moment, gdy Orłowski się obawiał, że cała sprawa zakończy się jego wydaleniem z armii.

Tak jak zwykł to od pewnego czasu robić, któregoś wieczoru wybrał się z kolegami z koszar na miasto. Był w paskudnym nastroju i wypił więcej niż powinien, a może mocniejszy trunku zbyt szybko zaszumił mu w głowie. Do tego któryś z napotkanych przypadkowo w kantine austriackich oficerów zbyt głośno wyraził niepocholebną opinię o Polkach, twierdząc, że każda – czy to szlachcianka czy dziwka – ma swoją cenę i nietrudno taką zaprosić do łóżka, jeśli ma się pieniądze. Orłowski nie miał pojęcia, że gorzkie słowa żołnierza są spowodowane bardzo stanowczą i upokarzającą odmową, którą dostał od przebywającej z rodzicami w Wiedniu panny Janiny Ostropolskiej, za to natychmiast poczuł się w obowiązku bronić honoru rodaczek, zwłaszcza że przed oczami od razu stanęła mu Ewelina.

Rozmowa z porucznikiem Pierwszego Pułku Piechoty Obrony Krajowej była na tyle burzliwa, że zakończyła się nie tylko rozbitymi nosami, ale obustronną deklaracją pojedynku, co oczywiście szybko doszło do uszu generała Lebidiewa. Ostrowski nie zdążył rano do końca wytrzeźwieć, a już dowódca wezwał go do raportu.

– Co ci przyszło do głowy, żeby urządzić burdy?! – grzmiał wściekły. – To jest placówka dyplomatyczna, a nie jakaś parchata knajpa w Warszawie!

– *Wasze priewoschoditelstwo!* Melduję posłusznie, że jako oficer i dżentelmen nie mogłem pozwolić, aby porucznik Bachmann w mojej obecności znieważał damy – odparł wyprężony na baczność Orłowski.

– Bądź cicho! – warknął Lebidiew. – Pojedynku ci zakazuję, dziś wieczorem wyjeżdżasz. Przyspieszę twoje przeniesienie, nie mam wyjścia – dodał jakby do siebie. – Odmaszerować!

– *Słuszajus!*

Żeby uciszyć skandal, Lebidiew musiał się pozbyć Pawła, był więc zmuszony postarać się dla niego o przydział w jakimkolwiek innym miejscu, a że naprawdę nie chciał dla swojego adiutanta źle, postanowił spełnić jego prośbę sprzed kilkunastu tygodni. Odtąd Orłowski miał dowodzić rotą piechoty, którą ulokowano w osadzie Żyrardów, aby wzmocnić tamtejszy garnizon – po fali zamachów terrorystycznych wzrosło zagrożenie strajkami i rozruchami, zwłaszcza w takich miejscowościach wokół fabryk i zakładów skupiających robotników, podatnych na rewolucyjną propagandę.

Zanim jednak nowo mianowany kapitan miał się udać do swojego oddziału, otrzymał kilka dni urlopu, z którymi nie do końca wiedział, co zrobić. Na początku miał zamiar zostać w Warszawie – pospacerował po mieście, zajrzał do Ogrodu Saskiego, odwiedził kilka księgarni i galerię sztuki, wybrał się nawet na przedstawienie teatralne, za to solennie omijał wszelkie knajpy – ale szybko skorygował plany, bo chociaż minęło kilka miesięcy, nadal nie potrafił tu przebywać, nie wspominając Eweliny i nie widząc jej w napotkanych po drodze damach. Co wieczór dochodził do konkluzji, że niepotrzebnie marzył mu się powrót tutaj, by za chwilę zmienić zdanie. W jakiś sposób świadomość, że jest blisko ukochanej, przynosiła ulgę. Kilukrotnie wybierał się do Strojnowskich, ale w końcu rezygnował – wiedział, że Eweliny już tam nie zastanie: na placówkę sprowadzano również warszawską prasę i któregoś razu znalazł tam przedślubne zapowiedzi zamieszczone przez jego przyrodniego brata.

Depesza z Rudy, z powiadomieniem o pogrzebie wdowy po Borku, ułatwiła mu podjęcie decyzji, żeby przyspieszyć wyjazd. Śmierć Stefani zasmucała, miał nadzieję jeszcze ją odwiedzić, tymczasem się okazało, że

jest za późno – jakby los zerwał ostatnią z nici łączących go z czasem dzieciństwa. Od teraz pozostały mu chyba tylko mundur i służba, tutaj przynajmniej miał jeszcze szansę coś osiągnąć, a nawet pomóc innym – nie dalej jak miesiąc temu prosił Lebediewa o rekomendację dla młodszego brata Antona, który bezskutecznie starał się o przyjęcie w szeregi któregoś z lejbgwardyjskich pułków. Orłowski miał nadzieję, że sprawa się powiedzie, bo rodzina Makarowów potrzebowała funduszy, szczególnie teraz, kiedy ich ojciec zaniemógł i stracił posadę, w majątku wybuchł pożar, a pieniądze po sprzedanym folwarku szybko się kurczyły. Paweł mógł ich wspomóc chociaż w ten sposób, wdzięczny za okazane kiedyś serce i nadal szarpany wyrzutami sumienia przez śmierć Antoszy. Zresztą drugi z braci – Aleksiej – również poległ na tej cholernej wojnie, jak w myślach Orłowski nazywał konflikt w Mandżurii.

Wkrótce dostał jeszcze jedną wiadomość, podpisaną imieniem hrabiego Sorokina. Zdziwił się i chwilę rozważał, czy w ogóle otwierać list. Co to mogło być? Zaproszenie na obiad? Nieco rozbawiony taką myślą zaczął czytać pismo i z westchnieniem mruknął, że bez wizyty w Przylesiu jednak się nie obędzie.

Pojechał do dworku z samego rana, żeby zdążyć zakwaterować się w koszarach i udać na pogrzeb. Ten sam kościół i cmentarz przypomniały mu poprzednią wizytę tutaj. Uśmiechnął się gorzko. Dziś na ulicach było więcej patroli, a ludzi na uroczystości jakby mniej. Domyślił się, że żołnierze obstawiają każde większe zgromadzenie, co mogło zniechęcać uczestników. Popatrywano na niego niezbyt przyjaźnie, ale nikt już nie odważył się okazać jawnej wrogości.

Nie spodziewał się, że Sorokin pojawi się na pogrzebie, ale kiedy go dostrzegł, zaczekał na hrabiego przy bramie cmentarza i podszedł się przywitać.

– Winszuję awansu, Pawle Konstantinowiczu.

– Proszę przyjąć serdeczne życzenia z okazji ślubu, panie hrabio – wymienili uprzejmości.

Orłowski już chciał zapytać, czy od razu załatwi sprawę formalne, o których Sorokin wspominał w swoim piśmie sprzed kilku dni, ale Aleksandr go ubiegł, zapraszając do Przylesia.

– Tym razem się pan nie wymówi – oznajmił. – Obiad czeka, a moja małżonka nie wybaczy mi, jeśli nie przyjmę pana odpowiednio. Nie jest pan byle kupcem, żeby interesy załatwiać po hotelach.

– Bardzo mi miło, panie hrabio, jednak...

– Żadnych „ale” – przerwał mu Sorokin, wskazując na oczekujący powóz.

Oczywiście gdyby Paweł uparł się nie jechać, żadna siła by go do tego nie zmusiła, no może oprócz rozkazu Lebediewa. Jednak chęć spotkania z Eweliną była silniejsza niż animozje z hrabią. Przestał się już oszukiwać, że wrócił do Królestwa z jakiegokolwiek innego powodu.

W drodze rozmawiali o Stefanii Borkowej, która niemal do swoich ostatnich chwil gotowała we dworze. Jej śmierć była nagła, lekarz podejrzewał, że nie wytrzymało serce. Sorokin nawet wspominał, że teraz trudno będzie znaleźć kogoś tak dobrego na zastępstwo.

– To prawda, kiedy wyjechałem do szkoły wojskowej, przez pierwsze dwa lata nie mogłem się przyzwycząić, że zwykłą zupę można przyrządzić tak, aby była niejadalna. Cokolwiek Stefa postawiła na stole, to człowiek się za dokładką oglądał. – Paweł się roześmiał.

Dojechali szybko. Orłowski pochwalił zmiany we dworze i Aleksandr zaproponował, że po obiedzie oprowadzi go po majątku. Tymczasem weszli do środka.

– Proszę poczekać w salonie, Sonia zaraz poda herbatę – z uśmiechem zaproponował Sorokin. – Powiem Ewelinie, że już jesteście.

– Sama was wypatrzyłam – dobiegło od strony schodów i młoda hrabina Sorokina pokazała się u ich szczytu. – Dzień dobry, Pawle Konstantinowiczu.

Pomyślał, że nie lubi, gdy ona zwraca się do niego z otczestwa, jakby koniecznie chciała zaakcentować dystans między nimi. Ale uklonił się najuprzejmiej, jak potrafił, a kiedy zeszła do nich, pochylił się, aby ucałować podaną dłoń. Przypomnił sobie moment pożegnania sprzed kilku miesięcy i coś ścisnęło go w piersi, aż musiał

głębiej nabrać powietrza. Ewelina dziś nie była ani zawstydzona, ani niepewna, za to jeszcze piękniejsza niż ją zapamiętał. Po przelotnym zdziwieniu na jej twarzy zorientował się, że to ostatnie zdanie wypowiedział na głos. Uśmiechnęła się uroczo i podziękowała za komplement.

– Usiądźmy. – Sorokin po chwili milczenia wskazał wygodne fotele i kanapę, ustawione wokół niewielkiego stolika, w pobliżu kominka. Nie sposób było nie zauważyć, że jemu się uwaga kapitana nie spodobała. – Na którą zarządziłaś obiad, moja droga?

– Wszystko będzie gotowe za godzinę. Zobaczymy, czy ten kucharz, którego sprowadziłeś z Warszawy, się sprawdzi – westchnęła.

– Rozmawialiśmy w drodze o niezrównanej kuchni Stefanii – wtrącił Orłowski.

Czuł się niezręcznie, obecność Eweliny okazała się dla niego trudniejsza, niż przypuszczał. Oczywiście chciał ją zobaczyć, ale kiedy była tak blisko, nie mógł znieść choćby tego, że to hrabia siedział tuż przy niej i trzymał jej dłoń. Nagle odniósł wrażenie, że palą go pocałunki tych wszystkich przypadkowych kobiet, z których żadna nie mogła się z nią równać, a on w jakiś sposób zawiódł i zdradził swoją ukochaną, zwiedzając obce pokoje i łóżka. Potem zaśmiał się w duchu z własnej naiwności, bo przecież ani nie mogła tego wiedzieć, ani jej to nie obchodziło. Za to w swojego męża była zapatrzona jak w obrazek i Paweł wiele by dał, żeby choć raz zobaczyć w jej oczach to, co Sorokin miał na co dzień i bez większego wysiłku.

Dotarło do niego, że stracił wątek rozmowy. Na szczęście akurat do salonu weszła pokojówka – delikatna, wręcz krucha kobieta o wąskiej talii – i zaczęła serwować herbatę. Paweł miał czas, żeby zebrać myśli. Odruchowo podążył za wzrokiem Aleksandra, który odprowadził spojrzeniem służącą. Ewelina zdawała się nie zwracać na to uwagi. Przypomniał sobie, o co pytali.

– Tak, przyjechałem na dłużej. Nie wracam już do Wiednia, zresztą generał Lebediew przenosi się do innej placówki dyplomatycznej – wyjaśnił.

– Zostaje pan w Warszawie?

– Tutaj – sprecyzował. – Dokwaterowano do osady Żyrardów rotę piechoty pod moim dowództwem.

– To można powiedzieć, Pawle Konstantinowiczu, że będziemy sąsiadami. – Sorokin się zaśmiał. – Liczę, że częściej będzie nas pan odwiedzał.

– Jeśli tylko obowiązki mi pozwolą, będę zaszczycony – odparł Orłowski sztywno.

Oczywiście, że chciałby tu przychodzić. Dla niej. Musiał przyznać przed sobą, że rozłąka nie ostudziła jego uczuć, miał wręcz wrażenie, że im bardziej niedostępna Ewelina stała się dla niego, tym mocniej ją kochał. Równocześnie pragnął stąd wyjść natychmiast i nie musieć dłużej patrzeć na rozmarzone spojrzenie, jakim obdarza męża, i na drobne gesty hrabiego, jakby podkreślające, do kogo naprawdę należy ta kobieta. Aleksandr zdawał się doskonale widzieć, co przeżywa Paweł, i tym bardziej pokazywał mu swoją przewagę.

Dotrwał jakoś do obiadu, opowiadając znowu o Wiedniu, a potem kierując rozmowę na białego kota, spokojnie drzemącego przy kominku. Dowiedziawszy się, że to prezent od Aleksandra, szybko pożałował tego pytania, bo Ewelina zaczęła się rozwódzić, jaki to był wspaniały pomysł.

Po posiłku, który okazał się bardzo smaczny, Ewelina przeprosiła panów, a Sorokin poprowadził Orłowskiego do swojego gabinetu. Zaproponował koniak i cygara. Uwagę Pawła zwróciła ślubna fotografia Sorokinów, ustawiona na reprezentacyjnym miejscu, pośrodku komody. Zatrzymał na niej spojrzenie może odrobinę zbyt długo, bo Aleksandr gestem dał mu znać, żeby przeszli dalej.

– Jak wspominałem, Józef zostawił panu swój majątek, który miałem przekazać dopiero po odejściu jego małżonki – zaczął, ledwie usiedli. – Chciał ją zabezpieczyć, na wypadek gdyby nie została w Przylesiu. Ale, jak pan wie, nie dopuściłem do takiej sytuacji.

– Rozumiem i dziękuję, że pan hrabia się tym zajął. Nie spodziewałem się, że Józef w ogóle o mnie pomyśli.

– Wiem z zapisów, że mój ojciec... nasz ojciec – poprawił się Aleksandr – przekazał mu pewną sumę pieniędzy za to, że zajął się...

– Moim wychowaniem – dokończył Orłowski. – Jeśli to te pieniądze po sobie zostawił, to nie uważam, żeby mi się należały. Ja dostałem to, co miałem dostać, czyli wykształcenie. I mówię to bez ironii. – Powstrzymał Sorokina, który chciał mu przerwać. – Jak hrabia widzi, radzę sobie. – Wskazał na dystynkcje.

– Jest pan dumnym człowiekiem, Pawle Konstantinowiczu. Szanuję to. Ale to sprawa Borka, jak rozporządził pieniędzmi, które otrzymał, i chcę uczciwie dopilnować jego ostatniej woli. To nie ma nic wspólnego ze źle pojętą łaską czy jałmużną, może mi pan wierzyć. Na wekslu jest cała suma plus to, co odłożył ze swoich zarobków. Proszę nie robić mi przykrości i go przyjąć. Miałbym tylko jedną sprawę...

– Tak?

– Chodzi o psa... Do Borków przypałała się kiedyś suka. Skoro zapisali panu całość majątku, to psa także, a ja chciałbym go zatrzymać w Przylesiu i proponuję wykupienie.

Orłowski zaczął się śmiać.

– Przepraszam – wykrztusił. – Na co mi pies? Przecież jakby *gospodin graf* o tym nie wspomniał, to nawet bym nie wiedział o jego istnieniu. Niech tutaj zostanie.

– Nalegam, że zapłacę. Przywiązałem się do niego.

„Widać nie wszystko jednak możesz kupić” – pomyślał Paweł ironicznie, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie.

– Toteż mówię, żeby został. Nie chcę pieniędzy, Aleksandrze Konstantinowiczu. – Nadal rozbawiony pokręcił głową. – Niechże zatem to będzie prezent – rzucił propozycję, bo hrabia dalej protestował.

– Prezent... To w takim razie musimy chyba to opić. – Sorokin sięgnął po butelkę koniaku.

– Zanim trafiłem na wojnę japońską, nie lubiłem pić – westchnął Orłowski. – Ale teraz nie odmówię. Wie pan, wojsko uczy najróżniejszych rzeczy. – Uśmiechnął się gorzko, myśląc o dłoni Eweliny wspartej lekko na ramieniu Aleksandra.

– Proszę mi mówić po imieniu.

Wypili.

Rozdział XXVIII

1907

Ewelina miała nadzieję, że uda jej się tego wieczoru porozmawiać z mężem na temat pomocy charytatywnej dla dzieci robotnic zatrudnionych w żyrardowskich zakładach lniarskich. Po tym, co ostatnio zobaczyła i czego się dowiedziała, będąc z Sonią na zakupach, takie działanie wydawało jej się konieczne, nie spodziewała się jednak, że Orłowski zabawi u nich tak długo. Nie przypuszczała również, że panowie spędzą sporo czasu w towarzystwie nie tylko własnym, ale również butelki alkoholu. Ku jej zdziwieniu dystans, który był między nimi, jeszcze podczas obiadu nagle zniknął. Sorokin oprowadził Pawła po majątku i opowiadał o jego przebudowie, znajdując w swoim towarzyszu uważnego słuchacza. Z kolei kapitan wspominał czasy, gdy jeszcze mieszkał w domu zarządcy przy dworze, czego z kolei z zainteresowaniem słuchał Aleksandr. Ożywioną rozmowę prowadzili także przy kolacji, aż znużona tym Ewelina postanowiła ich opuścić zaraz po posiłku. Zapowiadało się na to, że Orłowski u nich zanocuje, zwłaszcza że Sorokin zaczął dopytywać o wojnę, więc na wszelki wypadek kazała Soni przygotować pokój gościnny.

Dziwnie jej było spotkać Pawła po takim czasie. Z zawstydzeniem odkryła, że kapitan patrzył na nią z jednakowym zachwytem jak niegdyś. Chociaż wyraźnie usiłował się powstrzymać i uciekał wzrokiem, wielokrotnie łapała go na przyglądaniu się, zwłaszcza w momentach, gdy Aleksandr dotykał jej dłoni czy gładził ją po włosach. Choć mąż często zachowywał się tak na co dzień, w obecności Pawła dziwnie ją to peszyło. Dlatego się ucieszyła, że bracia znaleźli wspólny język i skupiali się bardziej na rozmowie niż na niej, nawet jeśli dopomógł w tym koniak. Uczciwie też musiała przyznać, że albo Aleksandr wypił więcej, albo Paweł miał mocniejszą głowę.

Rozebrała się do snu, zastanawiając się, czy czekać na męża, który po kolacji zaproponował Orłowskiemu jeszcze partyjkę kanasty. Z pewnością mogła, a nawet powinna odłożyć rozmowę na jutro, a nawet pojutrze. Czesła włosy przed toaletką, kiedy w drzwiach sypialni pojawił się Sorokin. Ciężko oparł się o futrynę i nic nie mówiąc, zaczął zdejmować z siebie części garderoby, rzucając wszystko bezpośrednio na podłogę. Ewelina przyglądała się temu ze zdziwieniem, nie widziała jeszcze Aleksandra w takim stanie.

– Ten Orłowski – mruknął jakoś dziwnie złowrogo, gdy zauważył jej spojrzenie – zbyt mocno ci się przyglądał.

Mówił niewyraźnie, zmiękczone alkoholem słowa łączyły się w jeden ciąg.

– Za dużo wypiteś, Aleksandrze – odparła spokojnie. Uznała, że nie powinna komentować tego, co powiedział.

Sorokin pozbył się koszuli, zsunął pantofle i podszedł do żony, rozpinając spodnie. Zatrzymał się tuż za nią, opierając dłonie na jej ramionach. Uniosła głowę i pozwoliła się pocałować. Mąż smakował koniakiem i tytoniowym dymem. Zachłannie brał jej usta, aż zabolalo.

– Ale nie powinien – kontynuował, prostując plecy – tak się gapić.

– Nie masz o co być zazdrosny. – Uśmiechnęła się. – Ja się w niego nie wpatruję – dodała uspokajająco.

– Ale jestem cholernie zazdrosny – oznajmił.

Pociągnął ją, żeby wstała, a sam przyklęknął i zaraz uniósł jej koszulkę, odsłaniając brzuch i piersi, do których przywarł chciwymi wargami. Nie protestowała, nie chciała, aby kontynuował dyskusję o Pawle, ale on nie odpuszczał i w przerwach między pieszczotami zapewniał Ewelinę, jak bardzo jest zazdrosny.

– Nie daję ci powodów – powtórzyła w końcu, odsuwając go lekko. Skóra paliła ją od natarczywości, z jaką wodził po niej ustami.

Aleksandr wstał, alkohol sprawił, że zatoczył się lekko, ale utrzymał równowagę. Popchnął żonę na łóżko.

– Pokaż mi – zażądał. – Teraz mi pokaż, że nie mam powodów.

Zsunął spodnie i przygniótł ją swoim ciałem. Nie protestowała, nie wiedziała, jak mogłaby to powstrzymać, przeciwstawić się drzemiącej w nim mocy. Wpuściła go w siebie, przyjęła gwałtowność ruchów, coraz mocniejsze

pchnięcia. Nie był dziś delikatny. Szybko się zatracił, przestał zwracać uwagę na Ewelinę, jakby ogarnięty niepohamowaną żądzą, którą natychmiast musiał zaspokoić. Spełnienie zalało go jak wybuch, zaskoczyło intensywnością, w jednej chwili wyczerpało. Ledwie miał siłę, żeby sturlać się na bok i zasnąć szybciej, niż zdołał o tym pomyśleć. Nawet się do końca nie rozebrał.

Ewelina przyglądała mu się długo, nie bardzo wiedząc, co ma o tym wszystkim sądzić. Niby to był ten sam przystojny mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy i mocnych ramionach, ale... takiego Aleksandra nie знаła. Dotychczas nawet gdy pragnął od razu się w niej zaspokoić, nigdy nie robił tego w taki sposób, jakby ona była tylko... przedmiotem. Nierządnicą. Tak się poczuła. Po raz pierwszy zupełnie dla niego nieważna. Zaskoczona otarła łzy z policzków. Jeszcze czuła na całym ciele dotkliwe, niemal bolesne pieszczoty, którymi obdarzył ją przed chwilą. Był taki niedelikatny i jednocześnie daleki, jakby ona zupełnie się nie liczyła. Pocieszyła się, że to dlatego, że wypił za dużo, że jutro wszystko będzie jak dawniej. Przecież siniaki na ramionach, ślad po zbyt mocnym uścisku, ukryje pod suknią.

Okryła męża kołdrą i poszła obmyć lepkie od nasienia uda. Dopiero potem zgaszyła lampę i jak najciszej położyła się obok Aleksandra. Odwrócił się do niej i objął ciasno, coś mamrocząc przez sen. Tak jak podczas ich pierwszej wspólnej nocy, dziś pokazał jej coś nowego. Tylko że tym razem nie do końca jej się to podobało.

Następnego dnia, ponieważ mąż nie wstał na śniadanie, musiała sama pożegnać Orłowskiego, który także wymówił się od posiłku, deklarując, że wzywają go obowiązki. Paweł odrobinę zbyt długo patrzył Ewelinie w oczy, zanim złożył na jej dłoni pocałunek. Lekki jak muśnięcie skrzydeł motyla i tak inny od wczorajszych natarczywych pieszczot Aleksandra. Zdziwiła się, że to porównuje. Przecież nie chciałaby dać mężowi powodów do zazdrości.

Sorokin pojawił się w salonie niedługo przed obiadem, świeżo ogolony, z ułożoną fryzurą. Po wczorajszym pijaństwie nie było żadnych śladów. Ucałował żonę na powitanie, tak jak co dzień, jakby wczoraj nic szczególnego się nie wydarzyło. Tuż przed jego przyjściem Sonia przyniosła herbatę.

– Kapitan Orłowski już wyjechał? – dopytał, biorąc filiżankę i sadwiąc się na sofie, obok siedzącej z podkulonymi nogami Eweliny.

– Z samego rana – odparła, zamykając tom poezji, który dotąd czytała.

– Nie zjadł nawet śniadania? – Przyjrzał jej się uważnie. Speszyla się. Był w tym spojrzeniu nikły ślad wczorajszej zaborczości.

– Nie, spieszył się. Jasiak go odwiózł wolantem.

Hrabia skinął głową, widać taka odpowiedź go ukontentowała.

– Wczoraj nas zaprosił na bal oficerski, który odbędzie się z okazji święta keksholmskiego pułku. Na koniec czerwca – doprecyzował. – Chcesz się wybrać?

– A ty? – spytała ostrożnie.

– Ja chcę ci sprawić przyjemność. – Uśmiechnął się. – Lubisz tańce. Zdążymy zamówić nową suknię, nawet z Paryża, jeśli będziesz mieć ochotę.

– Z pewnością miło będzie potaćzyć – zdecydowała.

– Doskonale.

– Aleksandrze?

Przez moment chciała zapytać o wczorajszą noc, ale zrezygnowała, skoro mąż najwyraźniej już wyrzucił wszystko z pamięci. Teraz przyglądał jej się ze zwykłą łagodnością i miłością w oczach. Tamto mroczne spojrzenie, wyzwolone alkoholem, odeszło wraz z porankiem. Ewelina odetchnęła. To był jej Aleksandr, jej miłość, jej mąż.

– No, powiedz, co cię trapi. Natychmiast temu zaradzę.

Przesiadł się tak, żeby położyć sobie jej stopy na kolanach. Rozczulił Ewelinę tym gestem.

– Pojechałam kilka dni temu z Sonią na zakupy do miasta. Wiesz, chciałam zobaczyć, jak tutaj jest – zaczęła, ale Sorokin jej przerwał.

– Nie rozumiem po co. Nie chcę, żebyś się narażała. Słumili te zamachy, ale przecież nadal się zdarzają. A tutaj te fabryki obok, robotnicy! – Podniósł głos, ale jedynie na chwilę, uspokoił się szybko.

– Aleksandrze, nic mi się nie stało. Nie mogę ciągle siedzieć w czterech ścianach. Zresztą do Warszawy pozwoliłeś mi pojechać nawet pociągiem – zauważyła.

– Bo nie byłaś sama, tylko z bratem – odparował. – Mogę za nim nie przepadać, zresztą, jak doskonale wiem, z wzajemnością, ale to jednak mężczyzna.

– Aleksandrze, proszę... – Nadąsała się. – Chcę ci o czymś opowiedzieć.

– No dobrze już. Słucham. – Powrócił do masowania jej stóp.

– Dzieci tych robotników kręcą się po mieście samopas. Dla tych najmniejszych mają ochronkę przy fabryce, dla starszych szkołę, a pozostałe, biedne i często niedożywione, się tułają, bo nie ma kto się nimi zająć – tłumaczyła. – Zresztą podobno w ochronce i szkole nie ma miejsca dla wszystkich. W tych robotniczych rodzinach jest tyle dzieci i muszą po kilkoro osób w jednej izbie mieszkać.

– I co ty masz z tym wspólnego, moja droga? – Sorokin uniósł brwi.

– Chciałabym jakoś pomóc tym dzieciom. Choćby jeden ciepły posiłek żeby dziennie miały.

– Rozumiem. Powiedz co, a ja to sfinansuję.

– Naprawdę? Mogłabym założyć dla nich kuchnię? – Ucieszyła się. – Wiesz, przy wydawaniu posiłków można wypytać, czego im potrzeba, można...

– Nie – uciszył ją. – Powiedziałem, że mogę dać pieniądze na to, co wymyślisz. Nie chcę, żebyś osobiście się tam pojawiała. To niebezpieczne. Poza tym mam wrażenie, że twoja wyprawa z Sonią była inspirowana rozmowami z bratem. Dobrze się domyślam?

– Tak – przyznała. – Pokłóciliśmy się w podróży. Wyrzucał mi, że mam możliwości, a nic nie robię. A gdy powiedziałam, że robotnicy w osadzie Żyrardów mają doskonałe warunki, to poradził mi naocześnie sprawdzić, na czym to polega.

– I postanowiłaś sprawdzić. Z Sonią.

Był zły. Wstał i krążył po pokoju. Ewelina siedziała jak trusia, nie bardzo wiedząc, czego może się spodziewać. Z jakiegoś powodu zagniewało go, że pojechała akurat z ich pokojówką. Nie rozumiała dlaczego.

– Robotnicy tutaj żyją naprawdę przyzwoicie. W murowanych domach, jak nigdzie indziej! Spytaj brata, czy w jakimkolwiek innym mieście tak jest. Stach albo nie zna realiów, albo celowo wprowadza cię w błąd. – Aleksandr zatrzymał się przed żoną.

– Może majstrowie i technicy z rodzinami mieszkają w tych nowych budynkach. Prządki czy zwykli robotnicy tłoczą się na wspólnych salach albo w drewniakach – zaprotestowała.

– Czyli Stanisław uważa, że technicy, którzy więcej umieją, mają w nagrodę mieć takie same warunki jak niewykwalifikowani wyrobownicy? Nie powinnaś go słuchać. Ze mną nie rozmawia, ale moje pieniądze twoimi rękoma chętnie by wydał, prawda? – zakpił.

Lineczka nie odpowiedziała. Nie wiedziała, jak zareagować na ten zarzut. Zgnębiona wbiła spojrzenie w swoje dłonie, zaciśnięte na wciąż trzymane książce. Sorokin zatrzymał się przy kominku. Na półce stał zegar, który pamiętał czasy jego ojca, z postacią kobiety niosącej kiść winogron. Obwiodł palcem smukłą figurę, ubraną zaledwie w opaskę na biodrach. Pamiętał, że fascynowała go, gdy był dzieckiem, ale wówczas stała w gabinecie ojca, gdzie rzadko go wpuszczano.

– To mam wyłożyć fundusze na tę kuchnię? – Odwrócił się do żony. Był już spokojny. Wspomnienie dzieciństwa zadziało kojąco. – No, Linusiu, nie bocz się na mnie.

Podniosła na niego oczy. Nie chciał widzieć w nich smutku. Nie lubił, gdy jej piękne usta drżały z innych powodów niż pocałunki.

– A mógłbyś?

– Przecież na samym początku to zadeklarowałem, a nie zmieniam zdania z byle powodu. Zwłaszcza że tobie na tym zależy. – Wrócił do niej i przysiadł na sofie. – Wszystko załatwię i będziesz mogła zobaczyć rezultaty – zapewnił.

Delikatnie wyjął z jej dłoni książkę i zerknął na okładkę.

– Lermontow? Poczytasz mi?

Z okazji sto dziewięćdziesiątej siódmej rocznicy sformowania Lejb-Gwardyjskiego Keksholmskiego Pułku im. Cesarza Austriackiego na ręce generała Aleksandra Aleksiejewicza Resina zarówno car Nikołaj II, jak i cesarz Franciszek Józef I przysłali depesze gratulacyjne z pozdrowieniami, które odczytano na uroczystym apelu. Mimo święta żołnierze odbywali zwykle ćwiczenia i nikt nie zwalniał ich z obowiązków. Paweł Orłowski był w tej komfortowej sytuacji, że odbywając służbę poza główną siedzibą pułku, w takim dniu dostał urlop i niejako przybył jako gość. Stawił się nieco przed wyznaczonym czasem, miał nadzieję porozmawiać chwilę z Michaiłem Wasilewiczem Makarowem, który szczęśliwie dzięki rekomendacji generała Lebediewa dostał się do pułku keksholmskiego. Podporucznik jednak był do wieczora zajęty i Orłowski uznał, że zamieni słowo na balu.

Nie liczył zbyt mocno, że hrabia Sorokin i jego małżonka odpowiedzą na zaproszenie, a kiedy pojawili się w wejściu do reprezentacyjnej sali oficerskiego kasyna, nie był pewien, czy bardziej go to ucieszyło, czy zasmuciło. Przywitał ich uprzejmie i podziękował za przybycie. Ewelina wyglądała prześlicznie, w błękitnej sukni ozdobionej granatowym haftem na kształt spływających ku dołowi liści i kwiatów. Ułożony w szpic pasek uwydatniał wąską talię, delikatny dekolt ozdobiony granatowymi kamieniami odsłaniał mleczną szyję i ramiona, podkreślał pełne piersi. Gdyby nie było to zwykłą impertynencją z jego strony, mógłby patrzeć tylko na nią.

Orkiestra zagrała. Ledwo zabrzmiały pierwsze takty walca *Mokszanskij połk na sopkach Manczżurii*, wszyscy oficerowie stanęli na baczność i trwali tak, dopóki utwór nie wybrzmiał. Kompozycja była nowa, ledwo co ogłoszona przez Ilię Szatrowa, ale już docierała do orkiestr wojskowych i poruszała zwłaszcza tych, którzy tam podczas wojny japońskiej byli. Nikt nie odważył się tańczyć do pięknej melodii, okupionej krwią poległych na tamtych wzgórzach. Orłowski myślał o Antoszy i zdawało mu się, że znowu słyszy jego krzyk, wołanie nawiedzające go czasem w snach.

Kiedy ostatnie takty ucichły, zebrani stali jeszcze przez chwilę w milczeniu, zanim gwar rozmów na nowo wypełnił salę. Dowódca lejbgwardii w imieniu szefa pułku – cesarza austriackiego Franciszka Józefa – z pompą powitał oficerów i ich gości oraz odczytał depeszę z pozdrowieniami od cara Nikołaja II. Mieszały się spojrzenia, szumiały toalety dam, ten i ów układał już w myślach listę chętnych do tańca pań i panien towarzyszących niektórym oficerom: żon, sióstr czy przyjaciółek, niekiedy bardziej oficjalnych, w innych przypadkach mniej, ale dziś wszyscy bez wyjątku mogli liczyć na splendor i zabawę, żeby bal długo pozostał największym wydarzeniem towarzyskim w stolicy i był z zachwytem wspominany na salonach Warszawy.

Wreszcie dano sygnał i bal się rozpoczął. Paweł dyskretnie obserwował Sorokinów. Nie wyglądało na to, że jej mąż będzie skłonny wypuścić żonę z objęć. Z uprzejmości zatańczył więc z żoną generała Resina i kilkoma innymi damami. Potem, stojąc pod oknem, z kieliszkiem wina w ręce, rozglądał się też za bratem Antoszy, ale ten wypatrzył go pierwszy, może dlatego, że oczy Pawła wciąż wyszukiwały w tłumie hrabiny Eweliny Adamowny.

– Kapitanie Orłowski! – Usłyszał za sobą znajomy głos. Odwrócił się w tamtą stronę.

– Michaił, jak dobrze cię widzieć! – Uściskał młodzieńca serdecznie, ucieszony ze spotkania.

Obok podporucznika stała panna, której nie poznał, dopóki nie dygnęła na powitanie i się nie uśmiechnęła. Nie mógł uwierzyć, że siostra Antona tak wyrosła. Przecież zapamiętał ją jako wiecznie roześmianego i nieco rozczochanego podlotka, córkę uwielbianą przez ojca. Złotowłosą dziewczynę, która potrafiła ujeździć konia na oklep. A dziś stała przed nim dama w dopasowanej szarej sukni, zdobionej brązową koronką, i z upiętą misternie koroną swych teraz już ciemniejszych, orzechowych włosów, w których połyskiwały rudozłote pasma. Wyglądała prześlicznie.

– Panna Tatiana Wasiliewna, co za spotkanie!

– *Siestrenka* ze mną do Warszawy przybyła, tu o dobrą posadę znacznie łatwiej, niż u nas w Kownie. Lekcje pianina daje – wyjaśnił Michaił. – Panie kapitanie, ja nie wiem, jak dziękować za wstawiennictwo, gdyby nie *wasze wysokobłagorodie*...

Orłowski mu przerwał, nie chcąc tego słuchać. Zwrócił się do Tatiany.

– Ależ ty wyrosłaś. – Pokręcił z niedowierzaniem głową, nadal trzymając jej dłonie w swoich, ale zupełnie nie zwrócił uwagi na roziskrzone spojrzenie, jakim obdarzała go dziewczyna. – Poświęcisz mi choć jeden taniec?

– Oczywiście, Pawle Konstantinowiczu.

Tym razem dostrzegł, że się zarumieniła, ale zanim się nad tym zastanowił, wypatrzył samotnie stojącą Ewelinę. Hrabia rozmawiał o czymś z którymś z wyższych rangą oficerów, na tyle zaaferowany, że nie zwracał uwagi na małżonkę. Orłowski szybko ocenił, że oto zyskał niepowtarzalną okazję. Ukłonił się pannie Tatianie i przeprosił, że na moment ich zostawi. Szybko podszedł do żony Sorokina, czując się jak złodziej. Ale czy był kimś innym? Usiłował wykraść choć jedną chwilę tylko dla siebie. Jak wtedy, gdy przeciągał ponad miarę moment pożegnania.

– Ewelino Adamowna, będę zaszczycony, jeżeli zgodzi się pani ze mną zatańczyć – poprosił, kłaniając się. Język polski przyciągnął uwagę kilku oficerów, ale nie dbał o to. Był tu dla niej.

Bez słowa podała mu dłoń. Ledwo znaleźli miejsce na parkiecie, zawirowali, bo orkiestra znów grała Straussa. Chwylił Ewelinę mocno w tali, przybliżył się. Wreszcie miał ją na wyłączność. Wprawdzie tylko jednego tańca, ale to musiało mu wystarczyć. Chciał zatonać w tych stalowobłękitnych oczach, nawet jeśli trwało to jedynie kilkanaście minut.

Ewelina się zachwiała, więc skorzystał z okazji i przyciągnął ją jeszcze mocniej. „Niech ten taniec będzie jak najdłuższy” – zaklinał orkiestrę, bo widział, że Sorokin już skończył pogawędkę z pułkownikiem Samarinem i czekał na żonę, popijając koniak zbyt dużymi łykami. Wirowali znowu. Napawał się bliskością ukochanej. Nie widział zawiedzionego spojrzenia Tatiany i zniecierpliwienia Aleksandra. Nie chciał widzieć.

Muzyka wybrzmiała. Taniec miał szybkie tempo, więc przez chwilę zdyszani patrzyli na siebie. Dla Pawła w tej chwili nic się nie liczyło, nie słyszał gwaru rozmów, dźwięków orkiestry strojącej instrumenty przed następnym utworem, nie zauważył służącego proponującego im szampana, widział tylko ją. Błyszczące oczy, lekko rozchylone usta, pierś raz po raz unoszącą się przyspieszonym oddechem. Kosmyk włosów Eweliny niepokojąco opadł na jej policzek. To było silniejsze od niego: delikatnie dotknął jej twarzy, odsunął popielaty pukiel.

– Odprowadzę panią – szepnął wbrew sobie.

Najchętniej poprosiłby o jeszcze jeden walc. I jeszcze jeden... Ale wiedział, że nie wypada, że Sorokin zbyt długo już czeka.

Podeszli do hrabiego, który z wyraźną ulgą podał żonie ramię. Orłowski podziękował, znowu po polsku. Ewelina unikała jego wzroku, ledwie znalazła się przy mężu, dostrzegł niepewność w jej postawie. Jakby ze strachem zajrzała w uśmiechnięte oczy Aleksandra. Zdziwiło to Pawła, zatrzymało, ale nie zdążył nic powiedzieć.

– Dziękujemy za zaproszenie, Pawle Konstantinowiczu. Imponujący bal. – Sorokin podał mu dłoń.

– Przyjemność po mojej stronie.

– Czemu nikt nie tańczył tego pięknego walca granego na rozpoczęcie? Taka przejmująca melodia, jaki ma tytuł? – spytała Ewelina, uprzedzając męża, który właśnie chciał się odezwać.

Aleksandr jakby zaskoczony zmarszczył brwi.

– *Moksański pułk na wzgórzach Mandżurii* – odparł. – Został skomponowany przez Szatrowa, kapelmistrza orkiestry pułkowej, uczestnika bitwy pod Mukdenem. Napisał go na cześć bojowników poległych w tamtym miejscu. Nie wypada nam tańczyć.

– To tam, gdzie...

– Tak – przerwał łagodnie, łowiąc jej zamyślane spojrzenie. – Nie ma potrzeby teraz o tym mówić.

Hrabia skinął głową. Objął Ewelinę zaborczym gestem.

– Nie będziemy zatem pana kapitana zatrzymywać, zwłaszcza że tamta piękna dama już pana wypatruje – rzucił nieco kpiąco Sorokin.

Paweł podążył za jego wzrokiem. Tatiana odpowiedziała mu skinieniem głowy i skryła twarz za wachlarzem.

– To siostra mojego przyjaciela, Antoszy – wyjaśnił niepotrzebnie, bo Aleksandr już go nie słuchał.

– Zechcesz nieco odpocząć – zwrócił się do żony. Nie spytał, tylko stwierdził, i odeszli.

Orłowskiemu nie pozostało nic innego jak odnaleźć Tatianę i poprosić o obiecany taniec. Poszła chętnie, jak to ona, z radością poddając się muzyce, zarażając go śmiechem. Rzeczywiście, chciała z nim tańczyć, nasycać się dotykiem dłoni, łowić spojrzenie. Ani się obejrzał, jak podarowała mu kolejnego walca, które orkiestra grała na potęgę, jakby zapomnieli innych utworów, a potem następnego, aż bal dobiegł końca. Paweł bardzo się starał, żeby nie porównywać Tani z hrabiną Sorokiną, ale nie mógł powiedzieć, że odnosił w tym zamiarze sukcesy. Dziewczyna jednak wydawała się szczęśliwa i zadowolona z samej jego obecności, co przyjął ze zdziwieniem, bo miałyby tutaj wielu chętnych do tańca kawalerów.

Eweliny już tego wieczoru nie zobaczył, ale to nie znaczyło, że zdołał ją wyrzucić ze swych myśli.

Rozdział XXIX

1908

Aleksandr, tak jak obiecał, zabrał Ewelinę na wycieczkę po Europie, a potem pojechali z dłuższą wizytą do Petersburga. Sama podróż była cudowna, aż chwilami zdawało jej się, że to sen. Dotąd oprócz Wilna widziała jedynie Poznań i Kraków, teraz dzięki mężowi zwiedzała zachwycający Paryż, oglądała surowy Londyn i chodziła po ulicach Wiednia, rozpoznając miejsca, które Paweł opisywał jej w listach. W każdym z tych miast Sorokin starał się zapewnić swojej żonie rozrywki, rozpieszczał ją prezentami i pozwalał kupować wszystko, na co miała ochotę.

Tylko kolejny pobyt w rodzinnym mieście Aleksandra wspominała nie najlepiej. Wprawdzie dalsi krewni hrabiego, zarówno od strony ojca, jak i matki, oraz jego przyjaciele przyjęli ją dość życzliwie, ale poza zwyczajową uprzejmość nikt nie wychodził. Nie starano się jej poznać, jakby ciekawił ich jedynie jej wygląd, przez co miała wrażenie, że jest traktowana jak eksponat w kolekcji Aleksandra. Ale tym, co usilnie starała się wyrzucić z pamięci, było przykre spotkanie z teściową. Początkowo Ewelina się ucieszyła, że Natalia Nikolajewna w końcu zdecydowała się ją poznać, ale szybko się okazało, że za tym gestem nie stała chęć porozumienia, a potrzeba pokazania, gdzie jest jej miejsce. Przez cały obiad zносиła zawołowane przytyki do swojego pochodzenia i majątku, a na koniec usłyszała, że to zapewne z jej winy syn nie może ogłosić, że niedługo zostanie ojcem. „Jedynie do tego mogłabyś się nadać, żeby nie przynieść wstydu nazwisku, które nosisz” – oznajmiła wyniośle, czego Aleksandr już nie wytrzymał. Chłodno oznajmił, że zrezygnują z deseru, i nie czekając na odpowiedź matki, wyprowadził Ewelinę z salonu. Gdy już znaleźli się w jego mieszkaniu, długo się nie odzywał. Stał zachmurzony przy oknie i nie reagował na nieśmiałe zagadywanie Eweliny. Dopiero kiedy dotarło do niego, że dziewczyna opacznie rozumie jego milczenie, przygarnął ją do siebie i stanowczo zapowiedział, że ma się nie przejmować tym, co powiedziała jego matka.

Natomiast po powrocie Sorokin zdecydował się zająć najpilniejszymi sprawami w Towarzystwie Akcyjnym i odbyć kilka spotkań z architektem Fijałkowskim, przez co często wracał do majątku późnym wieczorem.

– Ostatnio prawie cię nie widuję – wymawiała mu.

– W takim razie nie będziemy gasić lampy w sypialni.

Sorokin śmiał się w odpowiedzi, czym ją zupełnie rozbrajał, bo nie wiedziała, czy powinna przytaknąć, czy oblać się rumieńcem. Jej mąż doskonale wiedział, jak rozbudzić w niej to, czego pragnął, i skwapliwie korzystał ze swojej mocy.

– Po prostu tęsknię za tobą, gdy zostawiasz mnie samą.

– Jeszcze kilka dni, kochana, i będę cały twój – uspokajał zadowolony. – Tymczasem możesz bez przeszkód plotkować ze swoimi koleżankami.

Ewelina westchnęła. Wiele by dała, żeby mieć tutaj towarzystwo, w którym czułaby się swobodnie. W Warszawie często spotykała się z zaprzyjaźnionymi rodzinami, ale po jej ślubie wiele z tych kontaktów nagle uległo ochłodzeniu i jeśli któraś z pań przyjmowała jej zaproszenie, to nigdy nie były to dłuższe wizyty. Natomiast w okolicy jeszcze nie zdołała nikogo poznać na tyle, żeby mogła mówić o swobodnych odwiedzinach. Na wszystkie wieczorki lub przyjęcia chodziła z Aleksandrem, dlatego wielu Polaków mimo pozornej uprzejmości trzymało ich na dystans. Z kolei gdy zapraszali ich Rosjanie, to ona nie potrafiła się odnaleźć, mimo że język znała dobrze, czuła się obco.

Ktoregoś dnia uznała, że nie może siedzieć bez przerwy w Przylesiu i musi się wyrwać chociaż do Żyrardowa. Tęskniła za Warszawą, ale tak bez zapowiedzi wołała nie wyjeżdżać, Aleksandr jasno dał jej do zrozumienia, że chce, aby ustalała z nim takie sprawy z wyprzedzeniem. Prawdę mówiąc, nawet gdy wybierała się na zakupy z Sanią, również narzekał, że jedzie bez niego, i nalegał, żeby towarzyszył im zarządca lub w ostateczności stary lokaj, Igor. Ewelina rozumiała te obawy, jeśli chodziło o Warszawę, ale Ruda Guzowska i osada żyrardowska w porównaniu ze stolicą wydawały jej się wyjątkowo spokojnym miejscem. Dlatego uznała, że raz na jakiś czas

może się wybrać na przejażdżkę do miasta w towarzystwie jedynie swojej pokojówki, i kazała przygotować lekki powóz, którym Sonia z łatwością mogła pokierować. Nie miała nawet jasno określonego celu, bo żadne sprawunki jej nie interesowały – z Europy przywiozła mnóstwo nowych sukien, a sklepy tutaj nie mogły się równać z eleganckimi salonami paryskimi czy nawet warszawskimi.

Weszły do monumentalnego kościoła Matki Bożej Pocieszenia, w którym Ewelina bardzo lubiła się modlić, podziwiając równocześnie wysokie sklepienie niedawno wybudowanej świątyni i wspominając kościół św. Anny w Wilnie. Cieszyło ją, że Aleksandr nie sprzeciwiał się jej religii ani nie nalegał szczególnie, aby chodziła z nim do cerkwi. Mąż również doceniał dzieło architekta Dziekońskiego, nawet wybrał się z nią specjalnie, by kolejny raz obejrzeć budynek i jego wnętrze, żywo też interesował się kolejnymi pracami wykończeniowymi, jak choćby projektem witraży, na którego realizację pozwolił żonie przeznaczyć spory datek. Zaprosił wówczas na obiad grafika Jana Kantego Gumowskiego, który przedstawił wspaniałe rysunki z wyobrażeniem najpiękniejszych polskich kwiatów. Były tam i maki, i chabry, i malwy, a największe wrażenie zrobiło na nich wyobrażenie Matki Boskiej z Dzieciątkiem pośród pola lnu. Oboje byli zachwyceni.

Odwiedziły jeszcze cukiernię, spędzając miło czas nad filiżanką kawy i racząc się wybornym tortem śmietanowym, i wstąpiły do księgarni, jednak to wszystko nie zadowoliło hrabiny, która nie chciała zbyt wcześnie wracać do domu.

– Soniu, pojedziemy jeszcze do robotniczej części osady – zdecydowała.

– Pani hrabino, przecież *graf* przestrzegał, żeby się tam nie zapuszczać – bąknęła nieśmiało służąca.

– Tylko na moment. Chciałabym zobaczyć kuchnię, którą Aleksandr ufundował. Nie będziemy nawet wysiadały z powozu – uspokoiła ją Ewelina.

Sonia nie protestowała więcej, chociaż przeczuwała, że jej pan nie wykaże się zrozumieniem. Nie mogła jednak dyskutować z hrabiną, skierowała więc powóz na Podblich, bo w tej dzielnicy znajdowała się wspomniana placówka.

Ewelina z zainteresowaniem patrzyła na zmieniający się krajobraz. Im więcej pojawiało się czynszowych kamienic ze zlokalizowanymi w ich okolicy sklepikami i warsztatami, tym robiło się ciasniej. Ale przy budynku, w którym Sorokin kazał założyć jadłodajnię, nie dostrzegła wielu ludzi, prawdopodobnie dlatego, że nie była to pora wydawania posiłku.

Pomimo wcześniejszej deklaracji hrabina postanowiła wysiąść. Zanim Sonia zdołała zareagować, otworzyła drzwi powozu i śmiało udała się do środka. Pomieszczenie było o wiele mniejsze, niż sobie wyobrażała, i ciasno zastawione stolikami, które w odróżnieniu od świeżo wymalowanych ścian wyglądały na nieco sfatygowane. Od razu owionął ją zapach gotowanej kapusty. Zapadła cisza, gdy zwrócono uwagę na stojącą w drzwiach damę, zapewne nie był to tutaj zbyt często spotykany widok. Sorokina dopiero teraz uświadomiła sobie, że mąż prawdopodobnie nigdy tu nie zawitał, zlecając wykupienie budynku i organizację kuchni swojemu zarządcy, który dbał również o pieniądze przeznaczone na zaopatrzenie stołówek.

– Una tu czego? – zapytał ktoś półgłosem, ale pytanie zostało skierowane w przestrzeń.

Ewelina poczuła się nieswojo. Ludzie patrzyli na nią raczej wrogo, z dziwnymi błyskami pogardy w oczach, jakby od razu uznali, że ona nie ma prawa przebywać na ich terenie. Nie pasowała do tego wnętrza, wyróżniała się chociażby strojem, eleganckim i czystym, tak różnym od znoszonych sukienek i fartuchów kręcących się przy kuchni kobiet. Dopiero kiedy za jej plecami stanęła Sonia, zrobiło jej się lepiej.

– Kto tutaj zarządza? – zapytała, starając się, by nie znać było drżenia głosu i niepewności.

– No ja.

Stanęła przed nią grubawa kobieta w czepku i fartuchu. Ona również spoglądała z niechęcią, choć nieco kryła swoje intencje. Hrabina rozejrzała się jeszcze, omiatając wzrokiem całe pomieszczenie. Właściwie nie miała pojęcia, o czym mogłaby rozmawiać z tą kucharką.

– Czy wszystko funkcjonuje jak należy? – zapytała.

– A dyć, jaśnie pani widzi, co jest. – Kobieta wzruszyła ramionami, nie do końca rozumiejąc, o co może chodzić wytwornie ubranej damie. – Obiad będziem dawać zaniedługo, to dzieciarni nalezie – dodała.

– A dużo dzieci przychodzi? – indagowała dalej Ewelina, chociaż miała ochotę uciec.

– Jaśnie pani jak poczeka, to i sama zobaczy.

– Pani hrabina na nic czekać nie będzie – odezwała się milcząca dotąd Sonia, występując o krok przed swoją panią. – I jak pani hrabina pyta, to trzeba odpowiadać – zrugła kucharkę.

– Toć co ja mam powiedzieć? Ja tu od gotowania jestem, nie od liczenia.

– Dobrze, chodź, Soniu.

Ewelina z ulgą wyszła na powietrze i szybkim krokiem wróciła do powozu. Nie zdążyła jednak wsiąść, bo wokół niej zaroiło się od dzieci proszących o datki. Miała wrażenie, że wszystkie mają niemal identycznie umorusane twarze, potargane albo skołtunione włosy, obszarpane i brudne ubrania, do tego żadne z nich nie miało butów. Trudno też było odróżnić, czy to chłopcy, czy może są w tej chmarze też dziewczynki. Nie wiedziała, co zrobić, a bała się otworzyć torebkę, żeby nie stracić całej jej zawartości.

– Przepuście – poprosiła słabo, coraz bardziej zdezorientowana, bo napierające dzieciaki zagroziły jej wejście do pojazdu.

– Paszli stąd, sobaki! – huknęła Sonia, ale nie wiedzieć czemu jej wyraźnie rosyjski akcent wzbudził jedynie śmiech i większą natarczywość dzieciarni.

Przechodzący obok dorośli patrzyli z zaciekawieniem, ale nikt nie zamierzał interweniować. Dopiero kiedy w głębi uliczki rozległ się tętent kopyt, zwiastujący kozacki patrol, dzieci się rozpierzchnęły i ukryły w pobliskich bramach. Jeden z chłopców, lekko utykający, nie zdołał na czas usunąć się żołdakowi, który od razu zamierzył się batem. Ewelina zakryła usta, tłumiąc okrzyk przestachu. Oczyma wyobraźni widziała już rzemień bezlitośnie smagający niewinnego malca.

– Stać!

Rzucony ostro rozkaz natychmiast powstrzymał kozaka, który niechętnie opuścił nahajkę, a dzieciak nietknięty umknął z pola widzenia. Hrabina z ulgą wypuściła powietrze i z ciekawością spojrzała, kto przeszkodził żołnierzowi. *Sotnik*, który odesłał krewkiego żołdata, zeskoczył z konia i podszedł wolnym krokiem do kobiet.

– Mam nadzieję, że nie ucierpiały panie? – spytał uprzejmie.

– Dziękuję panu oficerowi za pomoc, nic nam się nie stało – odparła zaraz Sonia, która chciała jak najszybciej odjechać z tego miejsca.

Ewelina jednak stała jak wmurowana.

– Czy ten żołnierz naprawdę by tego chłopca smagnął batem? – spytała, nadal przerażona tym, co się właśnie rozegrało na jej oczach.

Kozak nie odpowiedział na zadane pytanie, tylko lekko pokręcił głową.

– Proszę się nie zapuszczać w tę dzielnicę, to nie jest bezpieczne miejsce – poradził cicho.

Hrabina w końcu uległa Soni i dała się zaciągnąć do powozu. Odjeżdżała z ulgą. Żal jej było tych dzieci. Była świadoma, że życie, które wie dzie, jest wyjątkowe, ale tak naprawdę nigdy nie zetknęła się ze skrajną biedą i nie miała pojęcia, jak może wyglądać taka egzystencja. W Warszawie czy Włnie widywała z daleka żebraków, jednak żaden z nich nie śmiał się do niej zbliżyć, dlatego dziś odebrała natarczywość dzieci niemal jak napad. Zastanawiała się, czy ta jedna kuchnia to nie za mało, i postanowiła, że porozmawia z mężem, który przecież dysponował większym niż ona rozeznanie. Ona dotąd nie interesowała się, jak taka pomoc może wyglądać. „Powinam więcej poczytać i sama zaproponować Aleksandrowi jakieś rozwiązania” – myślała.

Pokojówka z troską przyglądała się swojej pani. Wyrzucała sobie, że ją posłuchała i zamiast wrócić do majątku, pojechały do dzielnicy robotniczej. Uświadomiła sobie, jak bardzo rozgniewa się *graf*, gdy się o tym dowie. Z dwojga złego wolała już się narazić na złość hrabiny niż hrabiego Sorokina.

Jej obawy spełniły się szybciej, niż podejrzewała, bo gdy przyjechały do Przylesia, okazało się, że Aleksandr wrócił dziś wcześniej i mocno zaniepokoiła go nieobecność małżonki. Kiedy tylko powóz zatrzymał się na podjeździe, hrabia wyszedł, by osobiście powitać Ewelinę. Wyraz jego twarzy nie zwiastował nic dobrego i Sonia miała wręcz wrażenie, że w oczach Aleksandra można dostrzec nadchodzącą burzę. Próbowała dyskretnie się wycofać, ale hrabia powstrzymał ją gestem.

– Gdzie byłaś? – zwrócił się do żony, gdy kazał odprowadzić powóz.

– W Żyrardowie. Nudziłam się.

– Mówiłam, żebyś nie wyjeżdżała sama – syknął. – I nie, towarzystwo Soni tu nic nie zmienia.

– Przecież nic się nie stało. – Ewelina próbowała zbagatelizować całe wydarzenie, ale zdradziła ją niepewność w głosie i fakt, że szybko uciekła spojrzeniem. – Cieszę się, że dziś wróciłeś wcześniej – dodała przymilnie.

– Chyba nie wszystko jest w porządku – mruknął Sorokin. – Soniu, gdzie byliście?

– W kościele i kawiarni, *gospodin graf*. – Pokojówka dygnęła przed hrabią. Próbowała zataić informację o wizycie na Podblichu, ale wzrok Aleksandra sprawił, że nie odważyła się tego zrobić. – A potem jeszcze pani hrabina życzyła sobie zobaczyć jadłodajnię dla robotniczych dzieci.

– Co?! Byliście w fabrycznej dzielnicy?! I jaką, u licha, jadłodajnię?! – zachnął się, bo zdążył zapomnieć o kuchni, którą ufundował na prośbę Eweliny. W tej chwili bardziej interesowało go to, że jego żona zrobiła coś tak niedorzecznego.

– Nie pamiętasz? Prosiłam cię o fundusze... – próbowała wytłumaczyć, zdziwiona pytaniem męża.

– Ach, to! – Sorokin lekceważąco machnął ręką. – Soniu, możesz już odejść – oznajmił, nie patrząc nawet na służącą. – A jeśli jeszcze raz narazisz hrabinę na niebezpieczeństwo, to na pewno stracisz u mnie pracę – dorzucił groźnie. Z trudem powstrzymywał narastającą złość.

– Ja jej kazałam.

– Więc następnym razem tego nie zrobisz. – Aleksandr zbagatelizował wyjaśnienie żony. – Jestem pewien, że Matuszkiewicz ma dokładne raporty z funkcjonowania tej niedorzecznej garkuchni, nie musisz tam jeździć – warknął, gdy tylko zostali sami.

– To źle, że się zainteresowałam? Wydaje mi się, że można tam wiele poprawić, przede wszystkim jeden posiłek to za mało. – Ewelina nie kryła zdziwienia i nie rozumiała zdenerwowania Aleksandra.

– Posłuchaj, Ewelinko... Nic mnie nie obchodzi, jak żyje ta biedota i dlaczego nie umie sobie radzić, mimo że Dietrich daje im pracę, a kilka organizacji stara się opiekować ich dziećmi. Nie będę karmił wszystkich przybłędów z okolicy, niech będą wdzięczni za to, co dostają. – Choć Sorokin mówił cicho, zimne nuty w jego głosie sprawiły, że Ewelina aż zadrżała. – Natomiast bardzo mnie obchodzi ty i twoje bezpieczeństwo.

– Ale Aleksandrze...

– Słyszałaś, co powiedziałem – przerwał jej stanowczo. – Nie zgadzam się, żebyś sama odwiedzała takie miejsca.

– Dobrze, mój mężu – zgodziła się potulnie.

Dopiero wtedy spojrzenie Aleksandra złagodniało. Uśmiechnął się ciepło.

– Nie darowałbym sobie, gdyby spotkała cię jakaś krzywda.

Paweł Orłowski wyszedł z kwatery *sotnika* Andrieja Konaszewicza i wolnym krokiem udał się w stronę swoich koszar. Odwiedzał kozaka co jakiś czas i nawet go lubił, choć ten uparcie narzekał na obecność piechoty w Żyrardowie, zwłaszcza gdy nieco wypili. Był przekonany, że on i jego *sotnia* to wystarczająca gwarancja, aby utrzymać porządek „bez użerania się z tymi fajłapami, co koni się boją”. Paweł tylko się uśmiechał i nie komentował, a Konaszewicz swoje wywody nieodmiennie kończył zapewnieniem, że nie ma na myśli Orłowskiego.

– Paweł, ty *moj drug* – podkreślał z mocą.

Dzisiaj nie było inaczej, choć kapitan nie miał ochoty na dłuższe pogawędki i po omówieniu najważniejszych spraw dotyczących sytuacji w mieście dość szybko pożegnał gadatliwego oficera. Od rana nękały go ponure myśli. Miał poczucie, że traci tutaj czas, a równocześnie nie umiał zdecydować, co innego mógłby robić. Jakby umiał już tylko być żołnierzem, walczącym za nie swoją sprawę, nikim więcej. Nie był nawet pewien, czy w ogóle czuje przywiązanie do jakiegokolwiek ziemi czy narodu. Nie uważał się za Rosjanina, ale tak do końca nie był przecież Polakiem, a już na pewno nie zasługiwał na miano patrioty, bo stawał przeciwko tym, którzy o tę swoją ojczyznę gotowi byli walczyć i ginąć wbrew rozsądkowi.

Wiedział dobrze, że gdyby nie hrabina Sorokina, już dawno postaraliby się o przeniesienie jak najdalej od Królestwa, a może nigdy by tu nie trafił, tylko został na wygodnej posiadzie u Lebediewa. Ale jeśli było mu żal, to jedynie tego, że któregoś dnia pewnie wyda rozkaz strzelania do nieuzbrojonych ludzi, bo nie cofną się przed salwami w powietrze. Tego, że co jakiś czas mógł zobaczyć kobietę, którą pokochał, nie żałował. Trwał przy niej jak przywiązany niewidzialnym sznurem i choć wielokrotnie się za to przeklinał, nie potrafił odpuścić. Wprawdzie ostatnio nie widywał jej wcale, bo Sorokin niedługo po czerwcowym balu oficerskim zabrał żonę w kilkumiesięczną podróż – najpierw po Europie, a wiosną pojechali znowu do Petersburga – ale przecież wiedział, że ona tu wróci. I czekał niczym wierny pies, odliczając coraz bardziej dłużeńce doby i nie mogąc znieść swojej niemocy. O ile łatwiejsze byłoby wszystko, gdyby mógł zapomnieć. Albo gdyby jej w ogóle nie spotkał...

Sorokinowie zjechali do Przylesia dopiero kilka tygodni temu, na koniec lata. Oczywiście postanowili ich przywitać. Może miał nawet nadzieję, że przez ten czas czar prysł, że uwolni się z tych okowów, które sam sobie narzucił, ale gdy tylko Ewelina na niego spojrzała, już wiedział, jakie to mrzonki. Kochał ją nawet bardziej i nic na to nie umiał poradzić. Uświadomił sobie, że gdy jej nie było, wszystkie dni wydawały się takie same, a potem – już w samotności swojej kwatery – siedział z butelką wina i zadawał sobie pytanie, czy takie życie, wiecznie z boku, z tęsknotą wpisaną w codzienność, zawsze w cieniu przyrodniego brata, ma sens.

Znowu padało. Niesiona porywistym wiatrem nieprzyjemna mżawka osiadała na mundurze, wdzierając się pod ubranie wilgocią i zimnem. Paweł przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się w zaciszu swojego gabinetu.

– Pasza! – dobiegło gdzieś z tyłu i aż się wzdrygnął. Znajomy głos, zupełnie jak Antona. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to złudzenie. – Paszka, no zaczekaj!

Odwrócił się. Brat Makarowa biegł do niego w poprzek ulicy.

– Misza! Co ty tutaj robisz?

Nie widzieli się dawno, bo Orłowski nie bywał zbyt często w Warszawie, a Michaił dużo przebywał na szkoleniach, mniej w siedzibie pułku. Uściskali się i zgodnie ruszyli w stronę zabudowań koszarowych. Rozpadało się na dobre, duże krople siekły pod kątem, utrudniały mówienie, więc zaczęli rozmawiać dopiero wtedy, gdy już wygodnie zasiedli za stołem w kantine, zamówiwszy *soliankę* i *warieniki* na drugie danie, a do tego karafkę z wódką.

– No, to opowiadaj. Co cię tu sprowadza?

Przez dłuższy czas rozmowa obracała się wokół spraw pułku, dopiero kiedy omówili już wszystko, a trunku ubyła mniej więcej połowa, Michaił postanowił wyłuszczyć, z czym naprawdę przyjechał.

– Tylko ty się, Pasza, nie śmiej... Tatiana mi głowę suszy, żebym się dowiedział, co u ciebie, bo ostatnio się nie widzimy. Spokoju mi nie dawała, tylko ciągle Paszka i Paszka. W końcu dopięła swego i przyjechałem.

Paweł starał się nie roześmiać, ale strapiiona mina Michaiła mu tego nie ułatwiła.

– Przyjechałeś – potwierdził.

Zakłopotany Makarow pokiwał głową.

– No co poradzisz, wiesz, jak ona się uprzeć potrafi. W święto pułku liczyła, że się pojawisz, ale cię nie było na balu, to zawiedziona – kontynuował.

– Miałem służbę – skłamał Orłowski.

Nie chciał tam być, nie widział powodu, skoro Eweliny nie było w Królestwie. Przywołał w pamięci te dni, w których rzeczywiście bywał w Warszawie, zanim w ogóle przestał gdziekolwiek się stąd ruszać. Spotykali się wtedy z Michaiłem i jakoś zawsze była z nimi Tatiana, urocza trzpiotka, której trudno usiedzieć w miejscu. Uśmiechnął się.

– No sam widzisz. – Misza rozłożył ręce.

– Miło, żeś przyjechał. Serdecznie pozdrów Tanię ode mnie. Zawsze chętnie ją zobaczę, gdy znajdę czas i wybiorę się do Warszawy – zapewnił, choć wcale nie miał przekonania, że będzie chciał ten czas znaleźć.

Szybko się jednak okazało, że to nie koniec misji, z którą siostra wysłała Michaiła Wasiliewicza do Żyrdowa.

– Prezent ci od niej przywiozłem.

– Prezent? Z jakiej okazji? – zdziwił się Paweł.

Makarow nie odpowiedział, wzruszył ramionami, mrużąc „za babą nie trafisz”, i sięgnął za pazuchę. Wydobył mały pakunek, obłożony bibułą i przewiązany wstążką, wręczył Orłowskiemu i kazał schować. Nalał sobie wódki i wypił jednym haustem. W tej chwili jeszcze bardziej przypominał swojego starszego brata i Paweł na chwilę uległ temu złudzeniu, jakby to Anton do niego mówił. Misza zaczerpnął powietrza, jakby gotował się do tej wypowiedzi przez cały wieczór.

– Paszka, powiem ci tylko, że moja siostra to uczciwa i dobra kobieta. Ja widzę, że ty inną masz głowę zajętą, ja znam... Ale rozważ to. Taszeńka chętnie ci odpisze na list.

– Antosza... – Orłowski zakasłał i teraz on wychylił porcję alkoholu. – Antosza byłby na pewno dumny, że dbasz o siostrę – dokończył niezgrabnie. – Ale ja nic ci obiecać nie mogę, zresztą... – Machnął ręką. – Żadna ze mnie dla niej partia.

– Zastanów się. Nasi rodzice byliby wam radzi.

Nie odpowiedział już. Kazał odwieźć Michaiła na stację, a sam powlókł się do swojego gabinetu. W głowie mu szumiało. Sięgnął po prezent od Tatiany i z ciekawością rozwinął cienki papier. W środku była chusteczka z ręcznie wyhaftowanymi symbolami keksholmskiego pułku. Zamyślony przyłożył tkaninę do nosa. Delikatnie pachniała fiołkami.

Rozdział XXX

1908

Stanisław Strojnowski niespokojnie krążył po pokoju. Od zarzuconego cienkim wełnianym kocykiem wąskiego i niewygodnego łóżka do przeciwległej ściany odmierzył pięć kroków, od drzwi do okna – identycznie. Oprócz posłania w izbie nie było wielu wygod – ot, stół i dwa niezbyt starannie zbite taborety. Na jednym z nich Stach niedbale porzucił swój surdut. Do tego niepasująca zupełnie stylem etażerka, z małą i dającą niewiele światła lampą naftową, a wszystko rozmieszczone w przedziwnie niespójnym i niewygodnym układzie, bez żadnych nadających wnętrzu charakteru bibelotów. Ściany nieudolnie usiłowały ozdabiać gdzieniegdzie naderwane tapety w dawno niemodne wzory. W rogu przy łóżku wydzielono zasłoną miejsce do mycia z poobijaną miednicą.

Strojnowski nie zamierzał przywyknąć do takich niewyszukanych standardów, choć niejednokrotnie zdarzało mu się już nocować i w gorszych warunkach, to nadal nie tyle bieda, co brak gustu budziły w nim odrazę. Mieszkania nie wynajęto jednak dla jego przyjemności, a w konkretnej sprawie. Tymczasem Kosinowski spóźnił się już przeszło godzinę, a to mogło oznaczać wszystko – od wycofania się z akcji, przez zbyt upojny wieczór w knajpie, po wpadkę.

Zimny wiatr wdarł się do pomieszczenia, zafurkotał firanką i Stach pospieszył przymknąć okiennice. W tym samym momencie zaalarmowało go niecierpliwe stukanie w drzwi, tak szybkie, że ledwo był w stanie wychwycić umówione znaki. Zawahał się przez moment, a wtedy pukanie się powtórzyło, jakby rozpaczliwie, nerwowo.

Otworzył w nadziei, że to w końcu Tomasz Kosinowski, ale się zawiódł i równocześnie ogarnął go niepokój. W wejściu stała młoda łączniczka – Felicja Obiniewiczówna, zdyszana, jakby biegła przez dłuższy czas, i wyraźnie czymś poruszona. Nie miała żadnego nakrycia głowy, jasne kosmyki przy skroniach lekko lepiły się do skóry, kropelki wilgoci perliły nos.

Stach od jakiegoś czasu widywał ją na zebraniach i wiedział, że dziewczyna jest pewna. Choć dopiero niedawno przybyła z Krakowa, miała poświadczenie od swojego starszego kuzyna, od dawna współpracującego z Kosinowskim. Nigdy jednak nie mieli okazji porozmawiać, trzymała się na uboczu i tylko taksowała uważnym spojrzeniem obecnych. A oczy miała wyjątkowo błękitne i przez to aż nazbyt przenikliwe.

– Tomasz aresztowany – wydyszała i Stanisław szybko wciągnął ją do środka, od razu zatraskując drzwi.

Oparła czoło o jego ramię, aż Strojnowski się wystraszył, że Felicja jest ranna, ale po chwili dostrzegł, że to jedynie zmęczenie, wzbierające jak fale w każdym oddechu dziewczyny. Przez moment Stach zatrzymał wzrok na zwijających się nad karkiem włoskach. Zapach ciepłej skóry podrażnił go tak mocno, że aż sam się zdziwił, i skrępowany nagłą bliskością delikatnie odchrząknął.

– Gdzie?

Obiniewiczówna uniosła głowę. Nie odpowiedziała od razu, milczała, wpatrując się, pozornie bez skrępowania, w oczy Strojnowskiego. Stanisław przez długą chwilę nie czuł się na siłach, żeby przerwać kolejnym pytaniem intymność tego spojrzenia. Nie śmiał nawet mrugnąć, podobnie jak Felicja.

– W uliczce obok placu targowego. Przy księgarni. Zasadzka – wyjaśniła w końcu krótko.

– Ciebie widzieli?

Dziewczyna pokręciła głową. Oddech już miała wyrównany, wciągnęła powietrze jeszcze głębiej i przytomniej rozejrzała się wokół, jakby dopiero pojęła, gdzie jest.

– Nie. Od razu przybiegłam tutaj. Kluczyłam. Bez ogona – zapewniła.

Strojnowski przytaknął z aprobatą.

– W takim razie nie ma wyjścia, jutro ty pójdziesz ze mną – zdecydował po krótkim namyśle, choć to ktoś inny miał dowodzić całą akcją. Jednak zarówno on, jak i łączniczka znali dokładnie plan i nie było powodu, by rezygnować z tak pieczołowicie obmyślanej zasadzki.

Felicja ponownie zamilkła i pobladła aż nadto wyraźnie. Do wyjścia miała dwa kroki, nie cofnęła się jednak. Za to wymięła Stacha, nadal bez słowa, i rzuciła płaszcz na ten sam taboret, na którym leżało już okrycie Strojnowskiego. Potem oparła dłonie o parapet i zastygła, jakby zaabsorbowana widokiem za szybą. Ale Stanisław był niemal pewien, że to jedynie pozory, doskonale wyczuwał targające dziewczyną emocje, były jak piecyk buchający żarem.

Strojnowski podszedł bliżej, zatrzymał się o krok za plecami Felicji. Był od niej wyższy o pół głowy. Odślonięta przez wysoko upiętą fryzurę szyja przyciągnęła jego uwagę. Powoli wciągnął powietrze,

– Pierwsza akcja. Boisz się – stwierdził cichym głosem.

– Ogromnie. Ale pójdę.

Głos dziewczyny drżał, podobnie jak jej ramiona. Nagle Stanisław pomyślał, że to nie tylko z powodu jutra. Przecież stali tak blisko siebie, a ona nie protestowała, jakby wręcz czekała na to, co będzie dalej.

– Wystarczy, że będziesz w odwodzie. Znasz plan. To tylko bomba, a ty rzucasz celnie, poradzisz sobie – zapewnił łagodnie.

Spięte dotąd ramiona Felicji opadły nieznacznie, jakby pochwała Stacha rozbiła część trzymającego ją napięcia. Westchnęła znowu, choć dużo spokojniej.

Strojnowski przełknął ślinę. Było coś w tej dziewczynie... wyraźna determinacja, a jednocześnie miał wrażenie, że ona czeka na jego ruch. Wahał się jeszcze, bo przecież w razie odmowy ryzykował powodzenie całej akcji.

– Felicja? – Delikatnie położył dłonie na jej ramionach. – Trzęsiesz się.

– Nie tylko ze strachu – odszepnęła. – Od początku słabość mnie ogarnia przy tobie.

Ostatnie słowa wypowiedziała szybko, jakby miała tylko jedną szansę na wyznanie.

– Dlaczego to mówisz? – zapytał Stanisław równie cicho.

To wydawało się nieprawdopodobne, ale może Obiniewiczówna zauważyła jego spojrzenia, dostrzegła, że Stach czasem zbyt długo jej się przyglądał. Może bystrzej niż on potrafiła rozpoznać zainteresowanie...

Nie czekał na odpowiedź. Wprawnymi ruchami zaczął rozbijać pospinane jeszcze mięśnie na karku Felicji, przenosząc masaż niżej, pomiędzy łopatki. Podobnie jak przed chwilą wyraźnie odczuwalna bliskość sprawiła, że przeszedł go dreszcz, wzbierający nagłym ciepłem w podbrzuszu. Dziewczyna nie zaprotestowała, jęknęła tylko i lekko odchyliła głowę, poddając się chwilowej przyjemności.

– Jutra może nie być. Co mamy do stracenia? Nie chcę się kryć przed tobą. – Nadal szeptała, poruszona.

Stach postąpił o krok, z łatwością musnął ustami skroń dziewczyny i znowu spotkał się z przyzwoleniem. Dmchnął lekko, żeby pobudzić delikatne miejsce za jej uchem, zniżył głowę, by w ślad za oddechem posadzić krawędź małżowiny. Dłonie przesunął na przód i począł powoli rozpinąć guziki jej sukni. Nie nosiła gorsetu, co powitał z radością, bo nie wyobrażał sobie dłużej czekać, musiał się dostać do nagiej skóry, pogłodzić biust, zjechać mocno przez brzuch do krawędzi bioder.

Felicja odwróciła się gwałtownie, nagłym ruchem okoliła palcami twarz Stanisława, mocnym pocałunkiem wpiła się w jego usta, zawładnęła nimi, niemal do krwi przygryzając wargi. Stach, całkowicie tym owładnięty, z pomrukiem oddał pieścizotę, równocześnie niecierpliwie zrywał z dziewczyny spódnicę i napawał się bliskością jej gorącego ciała.

W końcu brak oddechu zmusił ich do przerwy. Znowu związali spojrzenia. Uśmiech zabłysł w oczach Felicji, rozjaśnił twarz. Stach chłonał wzrokiem jej pięknie wykrojone pełne usta, nabrzmiałe teraz od pocałunków i krwi. Felicja powolnym, pieścizotliwym ruchem sięgnęła do chusty noszonej przez Strojnowskiego pod szyją. Rozsupłała węzeł i pozwoliła, żeby jedwab swobodnie opadł pod ich nogi. Przez moment się nie ruszała, jakby onieśmielona swoim gestem, lecz zaraz pospiesznie wyswobodziła mężczyznę z pozostałej górnej części garderoby. Pochyliła się, językiem podrażniła jego sutki, otoczyła brodawkę wargami, pieściła to lekkim jak piórko tchnieniem, to zdecydowanym naciskiem palców lub ostrym – paznokci. Stanisław nie powstrzymał jęku,

który przejął go nagłym drżeniem, sięgnął wprost do podbrzusza, aż musiał się wesprzeć o framugę okna, żeby nie upaść. Stracił poczucie czasu i miejsca, był tylko dotyk rąk i ust Felicji, jego ciche westchnienia.

Prawie nie spali tej nocy, choć nie rozmawiali już wiele, wypełniając czas niespiesznymi pieszczotami i rozedrganymi namiętnością pocałunkami. Dopiero tuż przed świtem Felicja zasnęła, wtulona pod ramię Stanisława, który opiekuńczo głaskał jej włosy. Zdziwiła go czułość tego gestu, który nagle wydał mu się aż nazbyt naturalny i aż westchnął z nagłej tęsknoty za czymś, czego sam do końca nie pojmował. Nigdy nie potrzebował, by była przy nim kobieta związana małżeńską czy podobną przysięgą, wolał przypadkowe schadzki, krótkotrwałe miłości, z których nic nie wynikało. Może trzy lata temu był tego bliski, ale cóż z tego – Anna Filipowna ich zdradziła, wskutek czego omal nie wpadli wszyscy po zamachu na Czerkasowa. A nagle chciałby, żeby ta dziewczyna została tu na dłużej, w jego łóżku i w jego życiu.

Nie mówili dużo, szykując się na akcję. Tylko tuż przed wyjściem Stach nagle przyciągnął Felicję do siebie i pocałował mocno, niemal boleśnie. Potem było już szybko. Zasadzka w dokładnie ustalonym wcześniej miejscu na idącego rano do pracy naczelnika nowo powstałego żyrardowskiego karczeru, Gołubowskiego. Tego samego, który aresztował bojowca Habelmana po zabiciu podejrzewanych o zdradę organizacji Gadzalińskich. Funkcjonariusza przesunięto tu z Płocka, po zorganizowanym pod koniec lipca tego roku nieudanym zamachu na niego, pewnie w ramach awansu, żeby docisnął nieposłusznych władzy robotników. Ale Organizacja Bojowa mu nie zapomniała...

Strojnowski oddał kilka strzałów, w tym jeden, na szczęście, celny, bo funkcjonariusz z wrzaskiem bólu zwał się na ziemię, na próżno usiłując powstrzymać tryskającą z gardła krew. Obiniewiczówna miała cisnąć bombę w chroniących Gołubowskiego żandarmów, ale niestety nie trafiła. Stach rzucił się do ucieczki, zanim jeszcze kozacy zorientowali się, co się dzieje. Choć w uszach szumił mu wiatr i wzburzona walką krew, to przez moment zdawało mu się, że słyszy za sobą tupot butów towarzyszk, a świadomość, że Felicja jest tuż za jego plecami, wzmacniała poczucie sukcesu.

Dopiero gdy powietrze zadrzało od huku kolejnego wystrzału, dotarło do niego, że biegnie sam. Nie powinien tego robić, ale nie potrafił inaczej: zatrzymał się i obejrzał. Dziewczyna leżała, a nad jej ciałem pochylało się dwóch carskich. Czterech następnych gnało wprost na Stanisława. Przez chwilę nie dostrzegał nic, tylko dziwnie powyginaną sylwetkę Felicji, z pąsowym jak róża wykwitem krwi na plecach. Przymknął oczy. Poczucie winy, wymieszane z rozrywającym żalem i stratą, niemal przygniotło go do ziemi. Dziewczyna nie do końca wiedziała, na co się pisze, a on pozwolił, wręcz wydał rozkaz, żeby z nim poszła. Wykorzystał ją. Nie w łóżku, ale dla sprawy. Zabrzmiało mu w uszach głucho to, co Felicja wypowiedziała, stojąc przy oknie. Rzeczywiście dla niej jutra już nie było.

Kiedy ponownie spojrzął za siebie, kozacy byli tuż za nim i pojął, że chwila słabości będzie go kosztować bardzo wiele. A może po prostu jego szczęście, pozwalające mu dotąd wychodzić bez szwanku z wielu opresji, już się wyczerpało. Próbował jeszcze strzelać i nawet zranił dwóch, ale szybko któryś powalił go nahajem.

Rozdział XXXI

1908

***Panie kapitanie!

Orłowski wiedział, że sierżant Popkowicz nie zrywał go o świcie bez istotnego powodu, więc jego obecność pod drzwiami sypialni oznaczała, że coś się wydarzyło. Szybko naciągnął spodnie i dopinając koszulę, kazał wchodzić. Oczywiście intuicja go nie zwiodła – przed więzieniem miał miejsce zamach. W milczeniu, kończąc zakładanie munduru, wysłuchał jeszcze niekompletnego meldunku, po czym od razu polecił wysłać do Żyrardowa dodatkowe patrole.

Ze znużeniem pomyślał, że musi się wybrać do naczelnika policji, dowiedzieć szczegółów i skoordynować najbliższe działania. Było więcej niż pewne, że Rybakow będzie się domagał, żeby do każdej dwójki policyjnej dołączyć żołnierza pod broń. Paweł nie sądził, żeby to było aż takie konieczne, wystarczy, aby jego ludzie byli w gotowości, zdarzenie przed więzieniem oceniał raczej jako precyzyjną akcję którejś z organizacji bojowych, bardziej zemstę niż wstęp do zamieszek wśród robotników, którzy ostatnio woleli pracować, a nie strajkować. Nie dalej jak wczoraj policjanci aresztowali przecież jakiegoś bojowca i chyba zbyt wcześnie ogłosili sukces, skoro dziś rano tym upartym rewolucjonistom jednak udało się kogoś zastrzelić. Czasami ich podziwiał. Mijały lata, a oni się nie poddawali i ciągnęli nierówną walkę. Tyłu zostało aresztowanych, straconych, wysłanych na Sybir, a nadal trwali. Jednak to ich obciążał winą za krew wszystkich niewinnych ofiar, za śmierć z powodu źle rzuconych bomb czy zbłąkanych kul, za represje i prześladowania dotyczące jego rodaków. I za strach wśród tych, którzy chcieli żyć spokojnie.

Orłowski zastanawiał się, jak długo jeszcze to potrwa. Ile razy będzie zmuszony wydawać rozkazy, by tłumić nawet nie samą rewolucję, ale jakąkolwiek o niej myśl. Jego rota temu służyła. To byli sprawni ludzie, dobrze wyszkoleni, karni. Sama ich obecność miała sprawiać, żeby nikt nawet nie ważył się myśleć o rozruchach. Patrolowali nie tylko ulice w osadzie, ale i okoliczne wioski, obstawiali każdą okazję i uroczystość, która mogła służyć większym zgromadzeniom. Byli wszędzie, gotowi do natychmiastowej reakcji, gdyby tylko komuś przyszedł do głowy protest. A jednak dziś tamtym się udało i znów będzie musiał wzmocnić swoje narzędzia terroru. Miał świadomość, że jest tego częścią i trwa tutaj ze swojego wyboru.

Zaczęło padać i Orłowski niechętnie spojrzął za okno. Nie zwykł jednak odkładać obowiązków.

– Sierżancie! Uprowadźcie naczelnika Rybakowa, że się do niego wybieram.

– *Słuszajus!*

Policmajster ugościł go jak zwykle, cygarami i wódką, od której Orłowski się wymówił. Nie umknęło mu zdemerowanie naczelnika, ledwie tłumione resztkami uprzejmości. Tak jak Paweł przypuszczał, zażądał, by na ulicach widocznych było więcej żołnierzy, i nieudolnie próbował zasugerować, że ich brak przyczynił się do powodzenia zamachu.

– Gdy tylko otrzymałem meldunek, natychmiast kazałem wzmocnić patrole – spokojnie poinformował go Orłowski. – A jeśli chodzi o napaść, to proszę skierować swoje pretensje do *sotnika* Konaszewicza, bo zdaje się, że to on odpowiada za ochronę urzędników.

– Ale...

– Ten zamach się w ogóle powiódł? – Paweł już nauczył się nie dyskutować z Rybakowem, traktowanie go z góry dawało zadziwiające rezultaty.

– Tak, Gołubowski nie żyje, młodszy z bojowców również – przyznał naczelnik. – Starszego aresztowaliśmy. Mamy szczęście, bo jego nazwisko jest na listach poszukiwanych od lat. To Strojnowski. Jest szansa, że wyda nam resztę, a jak nie on, to ten pojmany wczoraj. Już zawiadomiłem Warszawę.

– Albo nic nie powie – zauważył kapitan, wzruszając ramionami, żeby nie dać poznać po sobie, jakie wrażenie zrobiło na nim nazwisko zamachowca. – Tak jak i nie wydusiliście informacji o planowanym ataku.

– Tamten się zarzekał, że jest tu sam.

Orłowski machnął ręką.

- Straty wśród cywilów?
- Żadnych, o tej porze byli tam jedynie kozacy.
- Dobrze.

Porozmawiali jeszcze przez kilka minut, ale Orłowski miał już w głowie tylko jedno – musiał jak najszybciej pojechać do Eweliny. Nie przepadał za Stanisławem, ale wiedział, jak bardzo brat jest jej drogi. Zaraz opuścił naczelnika i żeby nie tracić czasu, osiodłał Strzałkę, którą kupił za część pieniędzy pozostawionych mu przez Józefa Borka i trzymał w garnizonowej stajni.

Już w drodze do Przylesia się zawahał, czy robi dobrze, powiadamiając hrabinę o aresztowaniu Stanisława, ale po chwili popędził konia. Nie wiedział przecież, czy uda mu się szybko dotrzeć do Adama Strojnowskiego, a ona mogła łatwiej przekazać wieści. Nie chciał też bez uprzedzenia depeszować do Warszawy.

Sorokina zobaczył z daleka, hrabia najwyraźniej wybrał się na poranną przejażdżkę, tak jak zwykł to robić niemal codziennie, gdy bywał w majątku. Orłowski pomyślał, że wypadałoby do niego podjechać, ale Aleksandr go nie dostrzegł i skręcił w stronę zagajnika, podrywając konia do galopu. Postanowił więc, że uda się prosto do dworu. Kiedy wjeżdżał w obsadzoną grabami alejkę, ponownie zaczął siąpić deszcz. Paweł zeskoczył z siodła, a jeden ze służących podszedł, żeby odebrać wodze.

– Pan kapitan na długo?

Pokręcił głową, żeby nie odprowadzali klaczy, i nakazał powiadomić hrabinę, że prosi o chwilę rozmowy.

Czekał w salonie i znowu dopadły go wątpliwości. Może trzeba było zapowiedzieć się na popołudnie, a nie nachodzić tak rano, kiedy być może Ewelina jeszcze spała.

– Czy podać panu kapitanowi herbatę?

– Dziękuję, Soniu, poproszę – odparł, uświadomiwszy sobie, że nie jadł śniadania.

Hrabina zeszła do niego w negliżu, z włosami jeszcze niespiętymi, wyraźnie zaniepokojona nagłą wizytą. Orłowski przełknął ślinę, bo nagle zaschło mu w ustach. Nie był gotowy na tak intymną sytuację. Nigdy jeszcze nie widział Eweliny w domowym stroju. Wstał, niepewnie poprawiając mundur.

– Paweł! Czy coś się stało? – powitała go niespokojnie.

– Przepraszam za wizytę bez zapowiedzi. – Skłonił się. – Tak, mam nie najlepsze wieści.

– Aleksandr? – Przyłożyła dłoń do ust i pobladała.

– Nie! Proszę się nie denerwować. Usiądź. – Podprowadził ją do fotela. Najchętniej nie puszczałaby jej dłoni, ale zreflektował się i cofnął.

– Mów, nie trzymaj mnie w niepewności.

– Chodzi o twojego brata Stanisława. Właśnie się dowiedziałem, że został aresztowany. Przykro mi – szybko nakreślił sytuację.

– Jak to aresztowany? Tutaj? Co on tutaj robił? – Ukryła twarz w dłoniach, jakby chciała się szybko uspokoić. Kiedy ponownie na niego spojrzała, jej oczy były pełne łez. – Jak to?

Orłowski walczył ze sobą. Tak bardzo chciał teraz Ewelinę przytulić, pocieszyć. Chociaż pogłaskać włosy, cokolwiek. Ścisnął pięści, aż zaboląło. Ku jego uldze do salonu weszła Sonia z herbatą. Niepewnie popatrzyła na ocierającą policzki hrabinę, ale nic nie skomentowała, tylko postawiła tacę na stole. Paweł miał chwilę, żeby oprzytomnieć.

– Obawiam się, że to sprawa polityczna – odparł, podając Ewelinie filiżankę.

Uznał, że lepiej nie mówić o zamachu i śmierci naczelnika karceru.

– Nie mogę uwierzyć... Myślałam, że z tym skończył. – Pokręciła głową, już nieco spokojniejsza. – Nawet dał nam do zrozumienia, że wyjeżdża, długo się nie odzywał. Pawle, co mu grozi?

– Chcą go przewieźć do Warszawy.

– Boże... – szepnęła.

Nawet ona nie miała złudzeń, że w najlepszym wypadku Stach skończy na Syberii, na wieloletnim zesłaniu. A w najgorszym... Takich jak on po prostu wieszano. Wprawdzie teraz już po procesie i wyroku, ale śmierć na stokach Cytadeli nadal zbierała obfite żniwo.

– Naprawdę mi przykro. Pomyślałem, że im wcześniej się dowiecie, tym lepiej.

– Tak, dziękuję.

– Muszę już wracać – powiedział z obowiązku.

– Nawet nie tknąłeś herbaty – zauważyła. – Posiedź ze mną, zanim wróci Aleksandr. Nie chcę być sama z takimi wiadomościami – dodała prosząco, a on aż poczuł ucisk w piersi.

– Nie ma potrzeby, już jestem. – Sorokin energicznie wkroczył do pokoju, niweczając wszystkie nadzieje Pawła. Nadal był w stroju do jazdy. Pachniał wiatrem i deszczem, widocznie pogoda sprawiła, że skrócił przejażdżkę. Z marsową miną podszedł do żony i chwycił jej dłoń. Skierował wzrok na Orłowskiego. – Witaj, Pawle. Co cię do nas sprowadziło tak rano? – Wyrazny zarzut zagrzmiał jak pomruk burzy w jego głosie.

– Brat Eweliny Adamowny został dziś zaaresztowany – wyjaśnił kapitan po rosyjsku.

– Rzeczywiście przykra wiadomość. Dziękuję, że nas uprzedziłeś.

Orłowski skinął głową.

– Gdyby konieczna była pomoc, mogę wybrać się do Warszawy, do...

– Możesz wysłać w moim imieniu telegram do ojca? – poprosiła Ewelina.

– Mówiłem, że nie ma potrzeby – warknął Sorokin. – Zajmę się tym.

„*Gospodin graf* raczył mnie odprawić” – sarknął Orłowski w duchu.

Aleksandr zwrócił się do Eweliny, objął ją, nie zważając, że nie są sami, jakby obecność kapitana nie była już dla niego istotna. Delikatnie starł łzy z jej twarzy, coś do niej szepnął. Paweł stał jeszcze chwilę, chłonąc czuły obrazek i myśląc, jak bardzo pragnie znaleźć się teraz na miejscu przyrodniego brata. Na przemian zalewała go złość i zazdrość pomieszana z tkliwością, gdy patrzył na zapłakaną Lineczkę. Ale mąż odgradzał ją od niego niczym mur. W końcu wyszedł, nie żegnając się.

Przywołał koniuszego ze Strzałką, wskoczył na siodło i poderwał klacz do szybkiego kłusu, a ledwie minął bramę majątku, przeszedł w galop. Zaciskał zęby, a i tak czuł wilgoć na policzkach. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał. Gdy był dzieckiem? A teraz nie wiedział, co się z nim dzieje. A może to deszcz, przecież mżyło? Tyle że deszcz nie sprawia takiego bólu jak to coś rozrywające mu serce... Pochylił się nad końską grzywą, popuścił wodze. Klacz zwolniła. Orłowski przetarł oczy rękawem, poklepał Strzałkę po szyi. Zarzała w odpowiedzi.

Ucisk w piersi nie zelżał. Paweł odetchnął głęboko, chcąc się pozbyć nieznośnego uczucia żalu i porażki. Nie rozumiał, przecież właściwie nic się nie wydarzyło, a jednak nie umiał sobie poradzić. Pomyślał, że musi się opanować, zanim wróci do koszar. Zaklął po polsku, ale obraz zapłakanej Eweliny, pocieszanej przez Aleksandra, nie chciał zniknąć z jego pamięci.

Niepilnowana klacz się zatrzymała. Orłowski zauważył to dopiero po chwili. Minął go jakiś jeździec, przyglądając się z zaciekawieniem, nawet spytał, czy wszystko jest w porządku. Kapitan odegnał go machnięciem ręki.

Resztę drogi pokonał lekkim kłusem, nie chcąc przemęczać konia. Pomimo protestów Sorokina uznał, że wyśle telegram do ojca Eweliny, nadłożył więc nieco drogi, żeby wstąpić do urzędu pocztowego. Gdy dojeżdżał do koszar, był już w miarę spokojny. Sam rozsiadł Strzałkę, doprowadził do porządku po jeździe. Nie lubił, gdy robił to ktoś inny, i zachodził doglądać zwierzę dwa razy dziennie – dawało mu zajęcie, chwilę wytchnienia. Dziś to jednak nie pomagało.

– Panie kapitanie! – sierżant Popkow zameldował się przepisowo.

– No, co tam? – zagadnął ze znużeniem.

Nie miał siły na tytuły, na formalność. Zaczynał rozumieć Lebediewa, który unikał jak ognia oficjalnego zachowania, gdy tylko był w towarzystwie zaufanych podwładnych.

– Żadnych nowych wiadomości, *wasze wysokobłagorodie!*

– Bardzo dobrze. Pójdę coś zjeść – odmruknął.

Dzień dopiero się rozpoczął, a on czuł się, jakby miał paść ze zmęczenia. Powlókł się do kantyny, choć zupełnie nie czuł głodu i w efekcie poprosił tylko o jajka na miękko i kawę, a potem siedział nad talerzem, odrywając kawałki chleba, maczał w żółtku i wolno przeżuwał. Nieznośny obraz nie znikał sprzed oczu, czy je trzymał zamknięte, czy otwarte. Zapłakana była taka piękna i krucha, że nie potrafił tego dłużej znieść. Ale też nie mógł nic zrobić – czy był od niej daleko, czy blisko, pozostawała tak samo niedostępna. Miał ochotę kłąć i pić do nieprzytomności, ale przecież miał służbę, nie uchodziło. Pomyślał, że po raz kolejny obowiązki trzymają go w ryzach. Nic więcej nie miał.

Po południu zaszedł jeszcze do Rybakowa, chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Stachu. Czuł wyraźnie, że wokół wzbiera nieokreślona siła, coś się działo, wisiało w powietrzu, jak cisza wzmagająca się przed burzą. Albo jak czas przed bitwą, kiedy nieznośne oczekiwanie zajmuje wszystkie myśli. Pomyślał, że jednak się pomylił we wcześniejszych przypuszczeniach i spokój tak szybko nie zapanuje.

– Panie naczelniku, nie będę zajmował czasu. – Podziękował za alkohol, do którego wypicia Dimitrij Fiodorowicz zawsze szukał okazji. – W osadzie jest zbyt spokojnie, coś się szykuje.

– Tak pan kapitan uważa?

– To raczej przecucie. Kiedy będziecie przewozić tego Strońskiego, Strońskiego? – celowo pomylił nazwisko.

– Strojnowskiego – poprawił go cierpliwie policjant z pobłażliwym uśmiechem. – Jutro albo pojutrze o świcie. Dostanę telefon.

– On jakiś ważny? – dopytał, choć pamiętał, o czym rano mówił naczelnik. Wiedział jednak, że Rybakow znajduje upodobanie w poczuciu wyższości, jakie go ogarniało, gdy mógł się wykazać wiedzą niedostępną dla innych.

– Jakże by nie. O kilka zasadzek jest podejrzany, a i na konwój pocztowy w okolicach niedawno napaść była.

– Zabił kogo jeszcze?

– Nie wiem, ale chyba tylko poranił. I teraz go mamy, odpowie za wszystko.

– A ten drugi co zginął?

– To, wyobraź pan sobie, dziewczyna, ale nic toto niewarte. – Policjant machnął lekceważąco ręką. – Tysiące takich po więzieniach siedzi. No, ta się już męczyć nie będzie.

– Zapewnię dodatkowych żołnierzy do ochrony – zaproponował Orłowski.

– Dam panu kapitanowi znać, jeśli będzie taka potrzeba.

Rozdział XXXII

1908

Aleksandr nie był zadowolony z wizyty kapitana Orłowskiego. Zwykle jego obecność przy Ewelinie mu się nie podobała, trudno było nie zauważyć uwagi, z jaką przyrodni brat ją traktował, nie widzieć tego pełnego oddania spojrzenia, którym za nią wodził, ale dziś zdenerwował go szczególnie. Przez jakieś głupie sentymenty zastał żonę we łzach i długo nie potrafił jej uspokoić. Uważał, że Paweł niepotrzebnie przyjechał z informacjami o aresztowaniu Stanisława, zdenerwował tylko Lineczkę, a z tej wiedzy i tak nic nie przyjdzie oprócz frustracji, bo teraz będzie oczekiwała, że Aleksandr coś w tej sprawie zrobi.

– Chodź do sypialni, połóżysz się. – Wziął ją za rękę i troskliwie pomógł wstać. – I nie pokazuj się więcej Orłowskiemu w tym stroju – dodał stanowczo.

– A telegram?

– Poślę kogoś – mruknął, choć zupełnie go to teraz nie interesowało. – A ty odpocznij. Nie powinnaś się denerwować.

– Może lepiej zjedzmy śniadanie – zaproponowała cicho. – Tylko się przebierz.

– Nie podobam ci się? – Przytulił ją mocniej.

– Sasza, ty wiesz, że nie o to mi chodzi. Nie żartuj. – Pocałowała go.

Zamruczał z ukontentowaniem.

– No dobrze, zaraz do ciebie dołączę – obiecał.

Wychodząc, obejrzał się jeszcze. Żona stała przy oknie, wprawdzie nadal zatroskana, ale łyżki już obeschły. Wyglądała pięknie w tym jedwabnym szlafrocisku, który dla niej ostatnio sprowadził z Paryża. Przytłumione deszczem światło odbijało się szarością w jej oczach, przez co cała twarz nabierała niepokojącego wyrazu. Wrażenie potęgowały rozpuszczone włosy, spadające na plecy łagodnymi falami. Sorokin nie chciał jej takiej dalekiej, zamyślanej. Miała być tu z nim. Tu i teraz. Bo o kim innym mogła myśleć?

Poczuł nagłą chęć, żeby wtopił palce w jej miękkie pukle, złapać je w węzeł na karku. Zawrócił. Ewelina spojrzała zdezorientowana. Aleksandr chwycił ją mocno, zaborczo. Podała mu się, tak jak lubił, pozwoliła na natrączywy dotyk, na mocny pocałunek. Ale już było mu mało. Ztracał się szybko, zbyt szybko. Wiedział, że to przez zazdrość, przez świadomość innych oczu patrzących na nią przed kilkoma minutami, obecności innego mężczyzny nieoddzielonej ciasnym gorsetem, intymnej rozmowy bez jego obecności. Nie powinna do tego dopuścić. Dlaczego tak szybko do tamtego zeszła, dlaczego nie kazała mu czekać?

– Aleksandrze? – szepnęła, kiedy w końcu pozwolił im na złapanie oddechu.

– Chodź do sypialni – rozkazał chrapliwie.

Nie czekał na odpowiedź, nie dbał w tej chwili o jej reakcję. Musiał zaspokoić pragnienie, przekonać się natychmiast, że Ewelina jest jego i tylko jego. Zawsze mu na to dawała przyzwolenie, nigdy nie zrobił nic wbrew niej, ale zdarzało się, że tuż po spełnieniu przychodziło otrzeźwienie i orientował się, że w stanie, do którego doprowadzała go zazdrość, byłby zdolny posiąść żonę wbrew jej woli. I wtedy się siebie bał. Mroku, który zbyt łatwo go ogarniał.

Na zewnątrz dał się słyszeć tętent kopyt. Ktoś podjechał prawie pod ganek. Rozeźlony Sorokin puścił Lineczkę i podeszedł do okna, gotów wyprosić przybysza, zwłaszcza gdyby okazał się nim jego brat.

– Posłaniec, o tej porze? – zdziwił się.

Napięcie minęło. Przeprosił żonę i wyszedł sprawdzić, o co chodzi. Po chwili trzymał w dłoni depeszę z Petersburga. Podziękował i rozkazał, żeby ugoszczono kuriera w kuchni. Sam wrócił do salonu.

– Kazałaś podać śniadanie? – spytał, rozglądając się za nożykiem, którym mógłby rozciąć kopertę.

– Zaraz to zrobię. – Była jeszcze zdyszana po jego pieszczotach. Przez moment zawiesił wzrok na jej nabrzmiałych od pocałunków wargach i przełknął ślinę.

– Pójdę do gabinetu.

Ciekawość, a może przecucie nie najlepszych wieści zwyciężyło. Usiadł przy mahoniowym biurku i otworzył depeszę. Zmarszczył brwi. Nikołaj Aleksandrowicz pisał, że matka nagle zaniemogła. Zachorowała bardzo poważnie. Zwykle przeziębienie zaczęło się przeradzać w pneumonię, gorączka nie spadała, a jej stan pogarszał się niemal z godziny na godzinę. Stryj prosił o natychmiastowy przyjazd.

Aleksandr westchnął. Natalia Nikołajewna poprzednio również wezwała go z powodu choroby. Nawet napisała, że chce w końcu poznać jego żonę. Tyle że jej złe samopoczucie było jedynie pretekstem. Owszem, przyjęła Ewelinę w swoim domu, ale chyba tylko po to, żeby ją upokorzyć. Do teraz pamiętał swoją wściekłość tamtego dnia, kiedy matka zasugerowała, że Lineczka prawowitą małżonką stanie się w jej oczach dopiero, gdy da mężowi potomka, a to, że jak dotąd nie była brzemienna, to wyłącznie jej wina. Ewelina bardzo przeżyła całą sytuację i przez dwa dni nie była w stanie wstać z łóżka. Wtedy zapowiedział sobie, że dopóki nie doczekają się przeprosin, jego noga w tym domu więcej nie postanie. Jednak teraz pisał stryj i wyglądało na to, że nie ma powodów, by nie dawać wiary jego słowom. Podparł głowę rękoma i siedział tak przez moment, bijąc się z myślami. Potem zawołał Igora i kazał sobie podać świeże ubranie.

– Przepraszam, że tak długo to trwało. – Pocałował Ewelinę w policzek, zanim usiadł do stołu.

– Co to za depesza?

– Matka jest chora. Jadę do Petersburga – odparł krótko. – Zechcesz mi towarzyszyć?

– Nie wiem... – odparła cicho, niepewna jego reakcji.

– Nie musisz. Zrozumiem – zapewnił. – Ale nalegam, żebyś to rozważyła.

– Nikt mnie tam nie traktuje poważnie, Aleksandrze.

– Potrzebują czasu, rozmawialiśmy o tym nieraz. Nie, nie lekceważę twoich słów – dodał szybko. – Po prostu wiem, jak to wygląda w mojej rodzinie.

– Ale Stanisław...

– Co Stanisław?

– Jak mogłabym go teraz zostawić? Ojciec pewnie najmie mecenasa, ale ty jesteś Rosjaninem, możesz więcej. Aleksandrze, pomóż mu. Przecież potrzebny jest adwokat, musi być proces! – Spojrzała na męża z nadzieją rozpalającą oczy.

– Ewelino, ty chyba żartujesz?

Sorokin odłożył sztucę i gniewnie odsunął od siebie talerz z faszerowanym kwiczołem podanym na maślanej grzance. Odechciało mu się jeść.

– Nie żartuję. Przecież możesz to zrobić, możesz mu pomóc – odparła.

Zdziwiła go jej wiara, że on może w ogóle chcieć się tym zająć.

– Wiesz, za co twój brat został schwytany? Wiesz, czym się zajmował? – spytał, siłąc się na spokój i ocierając usta serwetą.

– Paweł mówił, że to sprawa polityczna.

– A ty pewnie uważasz, że chodzi o patriotyczną prasę albo ulotki agitacyjne? – parsknął.

Lineczka w milczeniu potaknęła. Sorokin zachnął się i wstał, na nowo podenerwowany.

– Nie, tacy jak on organizują zamachy na ludzi cara. Urzędników, funkcjonariuszy, dowódców. Tacy jak on zabijali przypadkowych ludzi, bo te ich bomby wybuchały, jak chciały. Nie pamiętasz, jak zginęła Czesława? Rozmawiałem z twoim ojcem, jak myślisz, skąd tam się akurat znalazł Stach? On należał do takiej organizacji i pewnie dlatego został aresztowany. – Aleksandr krążył po jadalni. – Naprawdę uważasz, że to przypadek? Twój brat ma krew na rękach.

– Nie mów tak! – Teraz i ona zerwała się z krzesła, nieuważnie potrącając filiżankę. Bursztynowy napar rozlał się płamą na białym obrusie.

– Mam cię okłamywać? – zapytał zimno. – Obiecałem ci, że nie będę tego robił. Oczywiście możesz dopytać kapitana Orłowskiego, skoro nie przekazał ci wszystkich informacji.

– Ale Stanisław nie... Nie mógłby! – Rozpląkała się. – To musi być pomyłka! Nie pomożesz mu?

– Nie mam najmniejszego zamiaru – orzekł twardo. – Przez takich jak on giną moi rodacy, mało brakowało, a straciłbym ciebie. Mam mu pomagać? W imię czego?

Zatrzymał się przed nią. Oboje oddychali szybko, zagniewani, każde zatrzaśnięte w swojej racji, głuche na argumenty.

– Proszę, Aleksandrze.

– Nie, Lineczko. Tego nie zrobię nawet dla ciebie.

– Dobrze więc... Rozumiem, że pozostawiasz to w mojej gestii? – Uniosła dumnie podbródek.

– Absolutnie nie. Zakazuję ci mieszać się w tę sprawę – oznajmił stanowczo.

Ewelina rzuciła mu wyzywające spojrzenie. Nie miała najmniejszego zamiaru go posłuchać, widział to. Ach, jaka była w tym piękna! Sorokin chłonął wzrokiem rodzący się w niej upór. Jej piersi raz po raz unosiły się kusząco, pociągały go na wpół rozchylone usta, wyeksponowana długa szyja jakby zapraszała do pocałunku, doprowadzała do szaleństwa. „Orłowski widział ją w tym stroju – przypomniał sobie. – Patrzył na jej ciało przykryte jedynie tymi miękkimi tkaninami, odznaczające się pod jedwabiem. Bliskie, wystawione na żer jego pożądliwych oczu”.

Żądza i zazdrość pomąciły myśli Aleksandra. Uległ. Wystarczył krok i już mógł sunąć niecierpliwymi wargami po jej mlecznej skórze. Gwałtownym szarpnięciem rękawa odsłonił jej ramię, gotów dobrać się do rozkosznych krągłości.

– Zostaw!

Nie posłuchał. Kontynuował coraz bardziej natarczywe pieścizoty i nie zwracał uwagi na prośby żony, żeby przestał.

– Bądź cicho! – warknął w końcu. Głucho. Złowrogo.

Umilkła. Odwrócił ją do siebie tyłem, odsunął szlafrok i zsunął z niej pantalone, odsłaniając pośladki. Szybko rozpiął swoje spodnie, napał gorącymi z pożądania lędźwiami. Musiał ją mieć, tutaj i teraz. Chwycił mocno piersi Eweliny, aż jęknęła z bólu, ale nie zważał już na nic. Zatracił się w pospiesznych ruchach, szybko prowadzących do gwałtownego spełnienia. Krzyknął gardłowo i nie mogąc przez chwilę ustać na nogach, oparł się na żonie całym ciężarem ciała. Wyswobodziła się.

– Jak mogłeś zrobić coś takiego? I to tutaj – oskarżyła go. Nie płakała. Jedynie pobladła i drżały jej wargi. W oczach miała strach.

Aleksandr czuł się, jakby powrócił z dalekiej i długiej mrocznej podróży, choć przecież wszystko nie trwało więcej niż kilka minut. Poczuł ostre uderzenie w policzek. Za chwilę trzasnęły drzwi i usłyszał, że Lineczka wbiega po schodach, żeby schronić się w swojej sypialni. Powoli zapiął spodnie i ciężko opadł na krzesło. Dopiero teraz docierało do niego, co się wydarzyło. Właśnie spełnił swoje najgorsze obawy.

– *Durak* – szepnął. – *Szto ja zdziałał?*

Ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł się ani otrząsnąć, ani uwierzyć w to, co właśnie zrobił. Nie był w stanie się ruszyć, choć wiedział, że powinien pobiec za żoną i błagać o wybaczenie. Siedział, przytłoczony nagłą niemocą i poczuciem winy, pomieszany z atakami wściekłego gniewu, choć już sam nie wiedział, przeciw komu skierowanego.

– *Job twoju mać!* – wrzasnął.

Zerwał się i jednym ruchem ściągnął obrus. Rozległ się dźwięk tłuczonej porcelany, dziwnie kojący, choć jedynie przez chwilę. Chwytał po kolei naczynia, które jeszcze pozostały całe i z impetem rozbijał je o podłogę czy ściany. Talerzyki, filiżanki, maselniczka, salaterki jedno po drugim rozpryskiwało się po całym pokoju, a Sorokin, klnąc, rzucał dalej, dopóki nie ogołocił stołu z całej zastawy. Ulga nie nadeszła. Nie miał pewności, czy kiedykolwiek jeszcze nadejdzie. Przyłożył dłoń do policzka. Ślad po uderzeniu palił żywym ogniem.

Wystraszona Sonia obawiała się wejść do jadalni. Zajrzała tylko przez szparę w niedomkniętych drzwiach i wycofała się do kuchni. Trzeba było przeczekać.

Rozdział XXXIII

1908

Przecucia go nie zwiodyły. Już następnego dnia przed karcerem zgromadził się tłum żądający wydania ciała młodego bojowca. Orłowski nie miał pojęcia, skąd wzięli się podburzacze i jak udało im się pociągnąć za sobą tak duże grupy robotników, ale zbierało się ich więcej i więcej. Jego żołnierze doskonale wiedzieli, co robić, ale powtórzył rozkaz, że strzelać mają dopiero na jego wyraźne polecenie, i to najpierw w powietrze. Nie wszystkim się to podobało, ale tych najbardziej opornych wydalili z oddziału, a pozostali uznali, że lepiej nie ryzykować.

Zadanie było proste: rozproszyć demonstrujących i nie dopuszczać do placu nowych. Robili to już kilka razy, z dobrym skutkiem, ale dziś miał wrażenie, że jest inaczej. Coś się kłębiło w tych ludziach, większa niż zwykle determinacja i gniew. Przekonanie o niewinności schwytyanych? Byli aż tak naiwni? Nie, to raczej pewność, że postępują słusznie, że tak trzeba.

Patrzył na anonimowe twarze powykrzywiane złością i upojone jednością z masą ludzką i choć usiłował ich zrozumieć, nijak mu się to nie udawało. Krzyczeli i nie chcieli się cofnąć, nie przeszkadzał im nawet coraz silniej padający deszcz. Niebo zasnuły nabrzmiałe wilgocią stalowe chmury, więc mimo wczesnego przedpołudnia dzień był ponury i ciemny. A oni trwali...

Paweł nie zamierzał wzbudzać dodatkowej agresji, prowokować – a tak by się stało, gdyby wydał teraz rozkaz natarcia. Kazał więc swoim zostać na pozycjach i otoczyć plac, żeby nikt się nie prześlizgnął. Może niektórych trzeba będzie aresztować, ale to nie było jego rolą, tylko policji. Czekał. Już tak nieraz bywało, że protest cichł samoistnie, gdy nikt nie reagował, jednak dziś kapitan zbyt na to nie liczył. Napięcie iskrzyło w powietrzu, emocje były jak wrząca woda, która za moment uniesie pokrywę kotła.

Uznał, że nie warto dłużej czekać. Nakazał zacieśnić kordon, zacząć wypierać demonstrujących sprzed karceru. Krok za krokiem. Cofnęli się pod naporem, ale nagle ktoś ze środka tłumu dał sygnał i poleciały w ich stronę kamienie. Odpowiedzieli strzałami w powietrze, choć Orłowski nie spodziewał się, że to pomoże.

– Padnij!

Komendę wydał odruchowo, gdy tylko zobaczył lecący w ich stronę granat. Rozległ się huk, tak dobrze mu znany. I wystrzały. Miał pewność, że to nie jego ludzie złamali rozkaz. To już nie byli nieuzbrojeni robotnicy. Jeszcze dwa wybuchy, czyjeś jęki. Orłowski zerwał się na nogi, dał rozkaz do natarcia, a sam rozejrzał się, licząc rannych.

– Popkow, sprowadź lekarza.

– *Słuszajus!*

Był pewien, że co najmniej dwóm żołnierzom pomóc się już nie da. Zbyt wiele widział takich ran. Tętent koni zapowiedział nadjeżdżających kozaków. Zaczęli gonić uciekających z placu ludzi, w ruch poszły nahajki i szable. Karcer będzie dziś pełen, szpital też.

Jednak nie wszyscy ustąpili, nawet pod groźbą strażaków. Mieli jeszcze ręcznie robione bomby, mieli rewolwery. Piątka ludzi, broniąca się rozpaczliwie, bo przecież ich los był już przesądzony. Można było ich nawet podziwiać za brawurę i odwagę. Położyli kilku carskich, zanim sami zaczęli padać jak muchy. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Ostatni z nich, chyba cudem trzymający się na nogach, nagle spojrzał wprost na Pawła. Zamachnął się, rzucił i wtedy sam padł od kuli. Orłowski przetoczył się na bok, ładunek przeleciał tuż obok i wybuchł gdzieś z nim. Paweł się obejrzał, żeby sprawdzić, czy ktoś nie ucierpiał i wtedy ją zobaczył...

Dotąd skulona pod drzewem, wystraszona bliskim hukiem, podniosła się i zaczęła uciekać gdzieś na oślep, w wąską uliczkę prowadzącą w stronę dzielnicy robotniczej. Co tu robiła?! Zaklął i przywołał zastępcę. Było już po walce, wiedział, że porucznik Wiaczewski zadba o wszystko. Poleciał mu przejąć dowództwo, a sam – nic nie wyjaśniając – pobiegł za Ewelina. Przez tę krótką chwilę zdążyła zniknąć mu z oczu. Gwizdnął na przejeżdżającego kozaka i kazał mu zsiadać. Przykażny z ociąganiem wykonał rozkaz. Orłowski wskoczył na siodło i zawrócił w stronę, gdzie pobięła hrabina. Uciekający ludzie i coraz gęściej padający deszcz nie ułatwiali

mu zadania. Kluczył między budynkami, zaglądając wszędzie, ale nigdzie nie mógł wypatrzeć Eweliny. Przecież nie rozplynęła się w powietrzu.

Odjechał już dość daleko od miejsca zamieszek, wokół ucichło. W końcu ją dostrzegł. Siedziała pod ścianą, w sukni ubrudzonej błotem, bez kapelusza. Kiedy zeskoczył z konia i podbiegł bliżej, dostrzegł coś jeszcze – pochylała się nad zawiniątkiem z kwilącym niemowlęciem. Zdziwił się. Skąd tutaj dziecko? W uliczce oprócz nich nikogo nie było, kamienica też wydawała się cicha, nie wątpił jednak, że czujne oczy obserwują go z okien. Poprawił pistolet w kaburze przy pasie.

– Lineczko... – Przyklęknął obok i nie bacząc na nic, objął dziewczynę. Otarł jej twarz, z niepokojem badając, czy nie jest poraniona.

– Paweł! – Rozpląkała się. – O Boże, jak dobrze, że tu jesteś.

– Chodź, zabiorę cię do domu.

Ale wbrew deklaracji się nie ruszył. Hrabina oparła czoło o jego ramię, była tak blisko jak nigdy, nie chciał tracić nic z tej chwili i wbrew rozsądkowi ją przeciągnąć, ile to możliwe. Pogłaskał mokre od deszczu włosy Eweliny.

– Paweł... – szepnęła. Uniosła głowę i przez moment patrzyła mu prosto w oczy.

– Co to za dziecko? – spytał spokojnie. Nie chciał jej dodatkowo denerwować.

– Nie wiem, jakaś kobieta wcisnęła mi je w ręce i uciekła.

– Nic ci się nie stało? Nic cię nie boli?

– Kostka... Upadłam.

– Wszystkim się zajmę – zapewnił. Wziął ją na ręce i usadził w siodle. Potem zdjął swój płaszcz i ją okrył. Ewelina przytuliła do piersi zawiniątko z dzieckiem. – Dlaczego jesteś w mieście sama? Gdzie Sonia?

– Wyjechałam bez niej. Bez nikogo... – odpowiadała chaotycznie. – Chciałam z tobą porozmawiać. Po drodze... Trafiałam na te rozruchy. Tam strzelali, huk. Mój koń się spłoszył, uciekł. A ja... nie pamiętam. Biegłam? Bałam się, jak wtedy, gdy zginęła Czesia. – Rozpląkała się znowu.

– Lineczko, jesteś już bezpieczna. – Ścisnął jej dłoń. – Nic ci nie grozi. Uciszyliśmy tamte zamieszki.

– Dlaczego ona mi dała swoje dziecko? – pytała. Miał wrażenie, że go nie słucha.

– Nie wiem. Może uznała, że to okazja, aby polepszyć jego los.

– Zabierzesz mnie do domu?

– Najpierw znajdę ci tu lekarza. Dlaczego wyjechałaś sama? Aleksandr wie? – dopytał. Nie rozumiał, co się mogło wydarzyć, że Ewelina zachowała się tak nieodpowiedzialnie.

– Nie... Chciałam cię spytać o Stanisława. Muszę mu pomóc, powiadomić rodziców. Aleksandr... nie chce się w to mieszać.

– Wystarczyło, żebyś po mnie posłała – zauważył łagodnie.

– On mi zabronił. Powiedział, że Stanisław to zbrodniarz.

Orłowski nie odpowiedział. Dochodzili już do placu przed więzieniem i poprowadził konia tak, żeby Ewelina nie dostrzegła śladów po walkach i karetkach szpitalnych odjeżdżających z rannymi. Rozejrzał się i zamachał do jednego ze swoich żołnierzy.

– *Wasze wysokobłagorodie!* – Młody kapral trzasnął obcasami.

– Sprowadź powóz dla hrabiny Sorokiny. I doktora – rozkazał.

– *Słuszajus!*

– Nie trzeba lekarza – zaprotestowała słabo Ewelina.

Paweł zwrócił się do niej i ucałował w dłoń.

– Twój mąż mnie zabije, jeżeli o to nie zadbam.

Powóz podjechał szybciej, niż oczekiwali, ale wcale nie ten, po który posłał. Orłowski poznał od razu, kto siedzi w środku. Hrabia Sorokin najwyraźniej się zorientował, że żony nie ma w domu, i wyruszył, żeby ją znaleźć.

– Na miłość boską, Linusiu, co ty wyprawiasz?! Wszędzie cię szukam!

Aleksandr wyskoczył na ulicę. Złym spojrzeniem zmierzył Pawła, który niechętnie puścił rękę Eweliny i odsunął się o krok, kłaniając się hrabiemu.

– Hrabina skręciła kostkę, już wołałem po lekarza.

Sorokin nie zwrócił na jego słowa uwagi. Podeszedł do żony, nadal siedzącej w siodle, zarejestrował wojskowy płaszcz otulający jej ramiona i tłumoczek, który tuliła do siebie. Paweł dostrzegł, że hrabia zaciskał pięści, cała sytuacja musiała go kosztować wiele nerwów.

– Co ty sobie wyobrażasz, żeby wyjeżdżać bez powiadomienia nikogo?! Co to miało być?! Sama widzisz, że to niebezpieczne! – zaczął krzyczeć, a Ewelina skuliła ramiona i opuściła wzrok, jak karcona uczennica.

Orłowski zrobił krok i położył rękę na ramieniu hrabiego. Ścisnął boleśnie, zmuszając, by tamten odwrócił się do niego. Mierzyli się wzrokiem. Paweł nie krył wzburzenia, gotowy nawet na przemoc, gdyby Aleksandr kontynuował reprimendę.

– Nie ma potrzeby podnosić głosu, pani hrabina jest wystraszona – wycedził przez ściśnięte zęby.

Zerknął na Ewelinę, wpatrującą się w nich szeroko otwartymi oczami, błyszczącymi od wstrzymywanych łez, i ścisnęło mu się serce. Była taka bezbronna, zdana na gniew męża. Poczuli, że zrobi wszystko, aby ją chronić. Sorokin chciał się wyszarpnąć z uścisku, ale Paweł trzymał go mocno.

– Nie ma potrzeby – powtórzył i dopiero puścił.

Aleksandr zaklął bezgłośnie, ale nie skomentował. Już i tak wystarczająco świadków przypatrywało się tej scenie, nie miał ochoty na awanturę.

– Powiesz mi, co tu się dzieje? – zwrócił się, już ciszej, do przyrodniego brata.

– Może najpierw niech Ewelina Adamowna usiądzie bezpiecznie w powozie? – zaproponował spokojnie kapitan.

Sorokin po chwili złowrogiego milczenia ochłonął i na to przystał. Sam zdjął żonę z siodła i ją przeniósł. Upewnił się, że jej wygodnie.

– Co to za dziecko? – Nieświadomie powtórzył pytanie Pawła.

– Matka je porzuciła. Zatrzymajmy je, Aleksandrze.

Paweł pomyślał, że gdyby to jego Ewelina poprosiła z taką żarliwością w głosie, zgodziłby się na wszystko bez mrugnienia okiem. Widział, jak bardzo jej na tym zależy. Hrabia jednak wyglądał na rozdrażnionego samym pomysłem i stanowczo pokręcił głową na znak niezgody.

– Racz nie żartować. Dość już na dziś tego – odpowiedział zimno.

Pojawił się lekarz i Aleksandr zarządził, żeby ten zabrał niemowlę.

– Nie wiem czyje, jakaś kobieta wcisnęła je mojej żonie, zabierzcie je! – warknął. – Tylko jeszcze proszę zbadać kostkę hrabiny. – Wskazał powóz.

Orłowski przeszedł pod drzewo, gdzie deszcz tak nie dokuczał, i oparty o pień zapalił papierosa. Kiedy Sorokin do niego dołączył, poczęstował i jego. Hrabia nie odmówił.

– Przed karcerem zamieszki. Demonstranci zaczęli rzucać bomby. Dopiero gdy wszystko uspokoił się, dostrzegłem Ewelinę... – zaczął opowiadać.

Aleksandr słuchał go uważnie. Zachłannie zaciągał się dymem, jakby to miało mu pomóc trzymać nerwy na wodzy, zwłaszcza gdy była mowa o strzelaninie i panicznej ucieczce hrabiny. Obaj wiedzieli, że zamach, w którym zginęła Czesława, a którego świadkiem była Ewelina, mógł spowodować w niej taką właśnie reakcję.

– Czyli koniecznie chciała dowiedzieć się o Stanisława? – upewnił się Sorokin. – A co jej powiedziałaś?

– Nic jeszcze. – Paweł wzruszył ramionami.

Nadal targał nim gniew na hrabiego. Pomyślał, że nie pozwoli mu tak traktować Eweliny, i ogarnęło go poczucie bezradności, aż zaśmiał się gorzko w duchu. Jak niby miał to zrobić? Nie miał nad Sorokinem żadnej władzy oprócz tego ułamka dziś, kiedy powstrzymał go przed publicznym okazywaniem złości.

– I dobrze. Nie powinna opuszczać domu bez niczyjej wiedzy. Może ta przygoda da jej do myślenia. – Aleksandr zdusił niedopałek obcasem. – Dziękuję ci za pomoc, że się nią zająłeś jak trzeba i zadbałeś, żeby była bezpieczna. Umierałem z niepokoju – dodał sucho. Gładkie zdania zabrzmiały nieszczerze, jak wymuszona formuła.

Nie czekając na odpowiedź, wrócił do żony.

Paweł stał w pewnej odległości i obserwował. Kiedy lekarz z porzuconym dzieckiem pojawił się na ulicy, polecił mu wziąć powóz, który właśnie sprowadził przyboczny. Potem oddał kapralowi pożyczonego konia, żeby odprowadził go do kozackich koszar.

– Albo porozglądaj się tutaj, może ten przykażny gdzieś czeka. W najbliższej knajpie bym sprawdził. – Zaśmiał się.

Odetchnął. Świat wokół wracał do dawnego biegu. Za chwilę na placu nie będzie śladu po zamieszkach, wszystko zostanie uprzątnięte. Jego żołnierze powrócą do patrolowania miasta. Aleksandr zadba o bezpieczną drogę swojej żony do domu. Jemu pozostanie wrócić do koszar i przyjąć meldunek porucznika Wiaczesławskiego o zabitych i rannych. A potem może pójść na wódkę.

Powóz Sorokinów ruszył. Orłowski uniósł dłoń. Żał mu było, że nie pożegna Eweliny, nie uściśnie jej palców. Stangret jednak wstrzymał konie, ktoś musiał dać znać, żeby poczekał. Paweł podbiegł. Hrabia uchylił drzwi i rzucił kapitanowi jego płaszcz, nieuważnie, nie dbając, czy spadnie w błoto, jakby ten był zwykłym służącym. Orłowski był przekonany, że zrobił to celowo, żeby pokazać swoją wyższość.

– Dziękujemy jeszcze raz. – Głos Aleksandra wręcz mroził, a uprzejmość nie sięgała oczu.

Ewelina posłała kapitanowi błady uśmiech. Paweł ukłonił się tylko jej, jakby hrabiego nie było w powozie. Potem już tylko patrzył, jak się oddalają. Zatęsknił do chwili sprzed kwadransa, gdy hrabina była z nim sama, bezbronna i zagubiona. Założył mokre okrycie. Wyobraził sobie, że kołnierz zatrzymał zapach włosów Eweliny, i westchnął.

Milczała całą drogę do domu, nie chciała nawet spojrzeć na Sorokina, który również nic nie mówił, ale czuła niemal namacalnie buchający od niego gniew. Może i była głupia, wychodząc samotnie, może postąpiła nieodpowiedzialnie, ale czy tak powinien się zachowywać mąż? Po tym, co się wydarzyło w jadalni, nie spała całą noc. Po raz drugi potraktował ją jak przedmiot. Do tego zmusił ją do spółkowania w miejscu, gdzie każdy mógł wejść. I dlaczego? Czy kiedykolwiek zrobiła coś przeciw niemu, czy dawała mu powody do zazdrości? Wiedziała, że to jego słabość, że przywykł myśleć o niej jak o swoim trofeum, którego nikt nie może tknąć, i dbała, żeby nic nie burzyło tego obrazu. Chciała płakać, ale łzy nie płynęły. Aleksandr przez cały wczorajszy dzień nie przyszedł do jej sypialni. Mówiła sobie, że i tak by go nie wpuściła, ale przecież wiedziała, że jeśli tylko miał takie życzenie, nie potrafiłaby męża powstrzymać. Złościła się, że nie zechciał jej nawet przeprosić, i w gruncie rzeczy żałowała, że się nie pojawił, nie okazał skruchy, jakby jej ciało było czymś, czym mógł do woli dysponować i co mu się należało. A przecież obiecywał, że jej nie skrzywdzi. To, co zrobił, nie pasowało do tych zapewnień. Oczywiście nie wybaczyłaby mu od razu, ale jeśli rzeczywiście żałowałby swojego czynu, była skłonna okazać łaskę. Tyle że jak na razie jej mąż nie zamierzał w ogóle o nic jej prosić.

Teraz siedział naprzeciwko z chmurną miną. Odległy i niedostępny. Czy to ten sam człowiek, którego tak pokochała? Ten sam, który potrafił być tak czuły i delikatny? Przy którym niemal co dnia odkrywała, jak silna może być miłość? Co go odmieniało?

– Soniu, przygotuj dla pani kąpiel.

Nawet nie zauważyła, że już dojechali. Sorokin znowu wziął ją na ręce i przeniósł wprost na piętro, usadził na łóżku, dbając, żeby nie urazić skręconej kostki.

– Pomóc ci się rozebrać?

– Nie.

– Czegoś ci potrzeba?

– Dziękuję.

Rozmawiali jak obcy. Nawet Paweł kilkadziesiąt minut temu zwracał się do niej z większym zainteresowaniem. Przypomniała sobie pełne oddania spojrzenie Orłowskiego i zadrżały jej wargi od wstrzymywanego płaczu. Zaciśnęła w palcach tkaninę spódnicy. Sorokin patrzył w okno. Pionowa zmarszczka przecinała jego czoło. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały odgłosy krzątania się służby.

– Co to był za absurdalny pomysł, żeby zatrzymać tamto dziecko? – spytał nagle.

Nie odpowiedziała. Nie miała ochoty z nim teraz rozmawiać. Skoro według Aleksandra to niedorzeczne, to nie zamierzała dyskutować. W tamtym momencie, kiedy poczuła, że trzyma w ramionach całkowicie od niej zależną istotkę, chciała, żeby tak już zostało. Zapragnęła dać temu chłopczykowi najlepszy dom, jaki mogłaby dla niego stworzyć, skoro już na początku życia został odrzucony przez własną matkę. Ewelina pragnęła macierzyństwa, czekała na ten moment, kiedy oznajmi mężowi, że jest brzemienna. Ale to nie następowało, a po okrutnych słowach, które usłyszała od Natalii Nikołajewny, zaczęła się obawiać, że Aleksandr uważał tak samo. Nie rozmawiała z nim o tym. Bała się potwierdzić, że miała rację.

– Zdecydowałaś co do wyjazdu? – zmienił temat, a Ewelina spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie chcę tam jechać.

– Dobrze więc, pojedę sam.

Stał jeszcze przez moment w milczeniu. Kilukrotnie jej się zdawało, że chce coś powiedzieć, ale w końcu wyszedł bez słowa. Ewelina gniewnie otarła łzy, które teraz znalazły ujście na jej policzki. Do pokoju zajrzała Sonia i spytała, czy jest gotowa na kąpiel. Przytaknęła.

Leżąc w ciepłej wodzie, przywołała do siebie służącą.

– Soniu, kiedy hrabia wyjeżdża?

– Kazał przygotować walizki na popołudnie. Zaraz po obiedzie. Pociąg odjeżdża z Warszawy około północy, pani hrabino.

– Powiedz mi, Soniu...

Pokojówka zatrzymała się w pół ruchu. Zmieszana, choć Ewelina nie zadała jeszcze pytania. Obawiała się, że hrabina dowiedziała się o jej przeszłości. Państwo wydawali się pokłóceni, *graf* wczoraj całą zastawę potłukł. Zadrżała. Służba tutaj to najlepsze, co przydarzyło się w jej życiu, i nie chciała tego stracić. Dlatego gdy tylko się zorientowała, że pani wyjechała sama do miasta, natychmiast powiadomiła hrabiego. A może o to chodziło i teraz Sorokina ją wyrzuci?

– Tak, pani hrabino?

– Dziś zdarzyło się coś dziwnego... Zgubiłam się w mieście i jakaś kobieta, wiesz, w tej robotniczej dzielnicy, podeszła do mnie. Myślałam, że chce mi pomóc, ale ona... ona dała mi swoje dziecko i odbiegła. Nie rozumiem, skąd wzięła się w niej taka determinacja.

– Z biedy – westchnęła Sonia. Była w tym pewna ulga, że pytanie dotyczyło zupełnie innego tematu.

– Porucznik Orłowski powiedział mi to samo. Dlaczego nie szukała innej pomocy?

– Może szukała, tylko nie znalazła. Może w domu czekały inne dzieci.

Ewelina nie ciągnęła rozmowy. Nie rozumiała tamtego świata i bała się go, a przecież starała się im pomóc. Aleksandr ufundował kuchnię dla biednych. Czy w ogóle posyłali tam dzieci? Musi zapytać.

– Przygotuj mi suknię popołudniową. Zjem obiad z hrabią.

Podczas posiłku przyglądała się mężowi. Jadł, nic nie mówiąc, nadal zagniewany. Nie spojrzał na Ewelinę ani razu. Żał rozlał się jak tamta herbata z nieuważnie potrąconej filiżanki i tak samo wsiąkał w nią, zajmował coraz więcej miejsca. Bolało ją jego zachowanie, jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wdzierał się siłą między jej nogi. Nigdy jeszcze nie robił tego w ten sposób. Mimo jej protestu. Zadrżała. Wspomnienie na dobre odebrało jej apetyt. Odłożyła łyżkę i odsunęła talerz z zupą rybną.

Aleksandr podniósł wzrok, ale nadal nic nie powiedział. Sięgnął po pieczeń. Chciał jej usłużyć, ale pokręciła głową. Nie miała pewności, czy będzie w stanie jeszcze przełknąć cokolwiek. Czekala, aż mąż skończy jeść.

– Zmieniłaś zdanie? – Odłożył sztućce i sięgnął po kieliszek z winem.

Niemal poczuła chłód wiejący z tego pytania. Mróz z Petersburga.

– Nie.

Wstał i rzucił serwetkę na stół.

– Kiedy wrócisz? – wyrwało jej się tak cicho, że nie wiedziała, czy ją usłyszał.

– Nie wiem tego. Dam ci znać. Nie wybieraj się sama do miasta. Chyba że do Warszawy, z ojcem.

Ruszył do drzwi, ale przystanął jeszcze. Jak wtedy obejrzał się przez ramię. Ewelina poczuła, że strach ściska jej podbrzusze, zatrzymuje oddech. „Nie!” – krzychało w niej. Ale milczała.

– Powinnaś ze mną jechać – zauważył Aleksandr, ale nie czekał na jej odpowiedź. Wyszedł.

Rozdział XXXIV

1908

Dni robiły się coraz zimniejsze. Po strzeleniu przed więzieniem miasto ucichło. Pogoda i strach jednakowo zatrzymywały wszystkich w domach. Tylko patrole snuły się po opustoszałych ulicach. „I po co im to było?” – zastanawiał się Orłowski, gdy rankiem wybierał się na przejażdżkę. Czasem zapędzał się w pobliże dworku w Przylesiu. Zatrzymywał konia i patrzył z oddali na zabudowania, w głupiej nadziei, że dojrzy Ewelinę. Sorokina nie widywał, być może hrabiego nie było, doszedł więc do wniosku, że i hrabina z nim wyjechała. Dobrze, że wysłał w jej imieniu tę depezę, bo pewnie zagniewany mąż nie pozwoliłby jej powiadomić rodziców o aresztowaniu Stanisława...

Wiadomość od hrabiny go zaskoczyła. Zamiast odesłać odpowiedź, pojechał od razu. Ewelina przyjęła go w salonie, zapowiadając, że akurat podają obiad i będzie rada, jeżeli szwagier dotrzyma jej towarzystwa.

– Zjemy w ogrodzie zimowym. – Uśmiechnęła się. – A tymczasem może napijesz się herbaty? Pewnie przemarzłeś?

– Chętnie – odpowiedział, rozcierając zgrabiące dłonie. Wiatr był dziś wyjątkowo nieprzyjemny, jakby podszyty mrozem.

– Hrabia wyjechał?

– Do Petersburga. Natalia Nikolajewna jest chora – wyjaśniła.

– To przykra wiadomość, mam nadzieję, że powróci do zdrowia.

– Nawet nie napisał do mnie jeszcze, czy dojechał i kiedy wraca. – Hrabina jakby go nie słyszała. – Po prostu pojechał i jakby przepadł.

– Na pewno Aleksandr wkrótce się odezwie – pocieszył ją.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć! – rzuciła z gniewem. Była wyraźnie rozdrażniona, a może rozżalona. Nie umiał zdecydować. – Przepraszam, Pawle. Nie powinnam być niegrzeczna.

– Co cię trapi, Lineczko? – wyrwało mu się. Nie wolno mu było przecież tak do niej mówić, nie teraz, gdy została żoną Sorokina. Wtedy, w uliczkę, po prostu się zapomniał. A teraz musi baczyć na słowa.

Jednak ona nie wydawała się urażona. Uśmiechnęła się, ale szybko spoważniała.

– Martwię się o Stanisława.

– Rozmawiałeś z ojcem?

– Tak, odwiedził mnie. Dostał twój telegram, a kiedy przeczytał w „Kurjerze” o tych... zamieszkach, wybrał się sprawdzić, czy wszystko u nas dobrze. Mówił, że postara się o adwokata, ale dotąd nic nie wiem. Żadnych wieści – westchnęła.

– To nie takie proste zorganizować pomoc w takiej sytuacji, jesteś tego świadoma, prawda?

– Może mi powiesz w jakiej? Aleksandr mówił okropne rzeczy, nie chciał w ogóle słyszeć o jakiegokolwiek pomocy dla niego. Dlaczego, Pawle?

Orłowski oparł przedramiona na kolanach. Nie odpowiedział od razu, nie wiedział co. Pytała już o to i wówczas świadomie uniknął rozmowy. Była roztrzęsiona, nie chciał jej dodatkowo niepokoić. A teraz miał rozwiązać jej obraz starszego brata, który nosiła w pamięci? Opiekuńczego i wspierającego. Kogoś, na kogo mogła liczyć, nawet gdy był daleko. Czy ona w ogóle mu uwierzy?

– Dlaczego? – powtórzyła.

W czasie gdy on myślał, ona niecierpliwie łąłała na drobne kawałeczki piernikowe ciastko. Teraz zdecydowanym ruchem odsunęła talerzyk od siebie i wpatrywała się w Orłowskiego, niemo żądając odpowiedzi.

– Bo to prawda – odparł cicho. – Hrabia Sorokin cię nie okłamuje. Twój brat zastrzelił naczelnika karceru. Za to go pochwycono. Ale istnieje prawdopodobieństwo, że brał udział w innych zamachach, bo był działaczem organizacji, która się takimi zbrojnymi atakami zajmuje. Aleksandr, pomagając mu, wystąpiłby przeciwko tym wszystkim, którzy ucierpieli przez takich bojowców, nie tylko Rosjanom zresztą.

Bał się podnieść wzrok i na nią spojrzeć. W ciszy słyszał wyraźnie, jak szybko oddychała, domyślał się, że usiłowała powstrzymać łzy. Paweł mimowolnie zacisnął pięści. Tak bardzo pragnął ją pocieszyć, objąć, przytulić mocno i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Dlatego nie patrzył, obawiał się swoich reakcji, tego, że nie zdoła się powstrzymać.

– Jak... jak to możliwe? Cemu oni to robią?

Wyglądała na zdumioną, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że za atakami bombowymi stoją jej rodacy.

– Wierzą, że tak przysłużą się Polsce. – Wzruszył ramionami. Jak miał wytłumaczyć coś, czego do końca nie rozumiał? – Wierzą, że trzeba skończyć z rządami cara, oddać władzę w ręce ludu i robotników. I to ma nam przywrócić niepodległość.

– Zabijanie?

– Traktują to jak wojnę. A na wojnie...

– Nie kończ! – poprosiła, wstając. – Dość już.

– Przepraszam, jeżeli...

– Nie, nie przepraszaj – znowu mu przerwała. – Po prostu to już dla mnie za dużo...

Podniósł głowę i spojrzął na nią. Ocierała policzki koronkową chusteczką, sztywno wyprostowana, jej sylwetka na tle okna była jak wyrzeźbiona. Wokół głowy zniżające się jesienne słońce, które właśnie zaglądało do salonu, wymalowało aureolę. Aż poczuł w ustach suchość. Wszystko w nim rwało się do niej, chciał ją objąć, ochronić ramionami przed światem. Ale wiedział, że nie powinien. Nie była jego i nigdy nie będzie.

– Hrabino, obiad jest gotowy. Czy podać? – Sonia bezszelestnie pojawiła się w drzwiach.

Ewelina skinęła głową.

– Chodźmy.

Podążyła przodem. Oranżeria była wspaniała. Paweł szczerze podziwiał zgromadzone rośliny, niektóre z nich kwitły, ciesząc oko egzotyczną feerią barw. Przekroczenie progu tego pomieszczenia było niczym wstęp do innego świata, pełnego oszałamiających zapachów i niezwykłych pnączy, drzewek i krzewów.

– Ten ogród to moja duma. – Uśmiechnęła się, widząc jego zachwyty. – Przyjemnie jest jadać tutaj posiłki, zwłaszcza kiedy jestem sama.

– Jest piękny, ale to mnie nie dziwi, jest odzwierciedleniem ciebie. Jak wszystko w tobie jest piękne; i twarz, i ubranie, i dusza, i myśli – sparafrazował Czechowa.

– Nie komplementuj mnie, Pawle. – Zarumieniła się.

Odsunął krzesło, żeby mogła usiąść, i zajął miejsce naprzeciwko. Zarówno zaserwowana zupa z kalafiorów, jak i pieczona kaczka z groszkiem okazały się wyborne, choć jeśli miałyby powiedzieć szczerze, to kuchnia Stefy stała o klasę wyżej.

– Nie dziwi cię, że nie pojechałam z Aleksandrem? – spytała niespodziewanie.

– Nie śmiałem pytać.

– Jego rodzina, zwłaszcza matka, mnie nie akceptuje, a znajomi ledwie tolerują. Petersburg to cudowne miasto, zachwycające o każdej porze roku, i pokochałam je nie mniej niż Aleksandr, ale... nie mogę znieść tej wyniosłości, z jaką się do mnie odnoszą. To mi odbiera siły, jakby mnie... wysysali. Ale kiedy jestem w Królestwie, to nie jest lepiej. Moi polscy znajomi nagle się oddalili tylko dlatego, że jestem żoną Rosjanina. Nikt mi tego nie powiedział wprost, ale z ulgą przyjęli mój wyjazd tutaj. Już nie trzeba mnie zapraszać na wieczorki i herbatki, z tym obłudnie uprzejmym: „Przyjdź, nawet jak hrabia nie znajdzie czasu”... Przepraszam, zanudzam się. – Ucichła, nie skończywszy zwierzenia.

– Nie zanudzasz. Przeciwnie, rozumiem to bardzo dobrze – odparł łagodnie. – Dla Rosjan jestem za mało rosyjski, dla Polaków za bardzo.

– Dlaczego nie patrz na to, jakim dobrym człowiekiem jesteś? – zaprotestowała. – Dlaczego rodzina Aleksandra nie spróbuje najpierw mnie poznać, potem oceniać, jeśli już muszą to robić? Mnie rodzice wychowali inaczej.

– Tak im łatwiej, Lineczko.

Zapomniał się po raz kolejny, aż zachnął się w duchu na własną głupotę. Za kogo hrabina będzie go uważać, jeśli pod nieobecność jej męża wykorzysta sytuację na... Nie dokończył tej myśli, ale postanowił bardziej pilnować języka.

– Dziękuję ci. Ta rozmowa mnie pokrzepiła. I dawno nie miałam okazji mówić tyle po polsku – dodała.

Odłożyła serwetę na stół, więc Orłowski wstał, żeby służyć jej pomocą.

– Cała przyjemność po mojej stronie, hrabino. – Skłonił się.

– Ach, Pawle, przypomniałeś mi, jak lubiłam nasze konwersacje poprzez listy. Sprawisz mi radość, jeżeli przyjmiesz zaproszenie na kolejną pogawędkę. Nie proszę o zbyt wiele? – Z nadzieją podniosła na niego oczy.

Orłowski po raz kolejny przepadł. Czy ona nie wiedziała, że jest w stanie zrobić wszystko, o co go poprosi?

– Przeciwnie, to będzie zaszczyt dla mnie, dotrzymać pani towarzystwa.

Oficjalny ton pomagał mu się zdystansować, uspokoić targające nim emocje. Niewiele to dało, ale przynajmniej zachowywał pozory.

– Przyjedź więc, gdy tylko obowiązki ci pozwolą – zaprosiła go serdecznie.

– Dziękuję, hrabino.

Odprowadziła go na ganek, podała dłoń na pożegnanie. Nachylił się, żeby złożyć kurtuazyjny pocałunek.

– Pawle?

– Tak?

Wyprostował się, ale nie puścił jej ręki, zaniepokojony nutami frasunku. Lekko ścisnął jej delikatne palce. W domu nigdy nie nosiła rękawiczek. Paweł bezwiednie pogładził gładką skórę dłoni i zaraz napomniął się w duchu.

– Naprawdę nie ma już nadziei dla Stanisława?

– Jeżeli podczas rozprawy nie zdołają mu udowodnić niczego poza tym, co zrobił w Żyrardowie, to dobry adwokat wywalczy nie karę śmierci, a więzienie i krótszy wyrok. Nie sądzę, żeby było możliwe coś więcej – przyznał uczciwie. – Wasz ojciec na pewno już się tym zajął, przecież on nie zostawiłby syna bez pomocy, tego jestem pewien.

– Dziękuję, że mnie nie okłamujesz. Do zobaczenia.

Uwolniła dłoń. Orłowski się uklonił i w końcu odjechał. Obejrzał się po kilku metrach. Ewelina stała jeszcze w drzwiach i pomachała mu z uśmiechem. Odpowiedział salutem i pognął konia. Pod opuszkami wciąż czuł jej gładką skórę, choć przecież ścisnął wysłużone wodze, a w uszach zamiast wiatru nadal słyszał miłe słowa pożegnania. Nie przeszkadzał mu nawet zimny deszcz, który rozpadał się zaraz po zachodzie słońca, jakby zapadający zmierzch zachęcił ulewę, aby zasnuła świat.

Natalia Nikolajewna nie wstawała już z łóżka. Wprawdzie gorączka spadła nieznacznie, ale pozostawiła po sobie takie spustoszenie i słabość, że lekarze nadal nie robili wielkich nadziei. Aleksandr odwiedzał matkę codziennie i spędzał u niej tyle czasu, ile potrzebowała, cierpliwie znosząc jej napady kaszlu, niespodziewane drzemki i grymaszenie przy jedzeniu. Nie myślał w tym momencie o wszystkich dzielących ich animozjach, które niegdyś tak zajmowały jego głowę. Złe wspomnienia zacierały się w jego pamięci, gdy patrzył na nią, taką bezbronną w wielkim łóżku, bladą niemal jak pościel, w której leżała. Nie wierzył, że to kres jej życia, i niecierpliwie wyglądał poranka, który przyniesie wyczekaną poprawę. Ale coraz silniej docierało do niego, że to mrzonki.

– To kwestia dni – powiedział któregoś wieczoru stryj. On sam, choć cztery lata starszy od Natalii, trzymał się całkiem nieźle i choroby go omijały.

– To za wcześnie... Nie jestem gotowy – wyznał zgnębiony.

Z Nikolajem również nie poruszali trudnych tematów, teraz cokolwiek ich dzieliło, wydawało się błahe. Rytm całego domu zwolnił, dostosowany do samopoczucia jego najważniejszej mieszkanki.

– A czy można być gotowym na umieranie, Aleksandrze? Nawet żołnierze jadący na front myślą o tym, żeby wrócić do domu, a nie umrzeć na polu bitwy.

– Nadal jest nadzieja – upierał się Sorokin.

– Powiadom swoją żonę, powinna przyjechać – poradził mu Nikołaj, kręcąc głową na upór bratanka.

Jednak Aleksandr nie napisał. Od momentu przyjazdu nie wysłał do żony ani jednej wiadomości, choć bardzo potrzebował tutaj jej obecności. Obawiał się odmowy Eweliny, a poza tym nie wiedział, jak ubrać w słowa to, co czuł. Z początku się złościł, że z nim nie przyjechała, i wyrzucał sobie, że nie postawił sprawy ostrzej, równocześnie zaś nie do zniesienia był wstyd, który nim targał, gdy uświadamiał sobie, jak potraktował żonę w jadalni. Nie umiał sobie z tym odczuciem poradzić, nigdy dotąd nie przeżywał takiej rozterki. W pierwszej chwili usiłował przekonać samego siebie, że jego gniew był słuszny, ale szybko sam przed sobą przyznał, że to, jak postąpił, było niedopuszczalne. Znowu destrukcyjna zazdrość wzięła górę nad rozsądkiem, chociaż tyle razy obiecywał sobie, że nad tym zapanuje, bo Ewelina jest oddana tylko jemu. Ale nawet teraz, gdy myślał, że ktokolwiek mógł choćby spojrzeć na jego ukochaną tak jak on, mimowolnie zaciskał pięści. Kochał ją do szaleństwa, niemal do bólu, a to oznaczało, że mogła być tylko jego.

Tylko jak miał ją przeprosić? Nie miał pojęcia. Zaczynał się już nad tytułem listu, nie chcąc niczym urazić Ewelinki... Lineczki... Linusi... A im dłużej zwlekał z wysłaniem pisma, tym trudniej mu było. Depesza nie wchodziła w grę. W ten sposób jej nie wyjaśni, jak bardzo ubolewa nad swoim zachowaniem, nie w ten sposób chciał przeprosić. Wysyłał służących po wciąż nowe prezenty, które wymyślał zamiast skreślenia choćby kilku słów do żony.

Poza tym tęsknił do niej. Chciałby, żeby była obok, jadła z nim posiłki, zasypiała wtulona w jego ramiona. Uwielbiał to. Każdą chwilę, jaką razem spędzali, zwykł celebrować. Bywały poranki, gdy budził się wcześniej i podparty na łokciu obserwował śpiącą żonę. Zanim otworzyła oczy, przeciągała się rozkosznie, a gdy potem na niego spoglądała, uśmiech od razu rozjaśniał jej twarz, jakby zapalało się światło. Nigdy nie miał tego dość. Całował ją i kochał, jeszcze nie do końca rozbudzoną. Brakowało mu tego teraz szczególnie, bo mogłaby rozproszyć nieznośnie przytłaczającą atmosferę umierania, która powoli wsączała się w każdy zakamarek domu.

Wieczorami, siedząc na parapecie, patrzył w okno, obserwując z góry poruszające się po zasypanym śniegiem Newskim Prospekcie powozy oraz przechodniów, zagłuszając kieliszkiem ulubionego reńskiego wina wspomnienie z lat dziecińczych, gdy siadywał tak z matką i razem wymyślali niestworzone historie o widocznych w dole ludziach. Zwykle w jego wersji wszyscy byli dzielnymi rycerzami ratującymi swoje księżniczki z opresji. Nie wiedział już, czy większy ból sprawiały mu te reminiscencje, czy zastanawianie się, co teraz robi jego Ewelina. Z jednej strony miał nadzieję, że za nim tęskni, z drugiej – obawiał się, że jego przedłużające się milczenie tylko pogłębia niechęć żony.

Trapiło go także, czy kapitan Orłowski wykorzystywał jego nieobecność, żeby częściej bywać w Przylesiu. Nikt tak jak ten człowiek nie doprowadzał go do szału tym zachwyconym spojrzeniem, jakim wpatrywał się w Lineczkę. Czy ona tego nie widziała? A może znajdowała upodobanie w tej adoracji? Myśl o tym była nie do zniesienia. Obiecywał sobie, że rozmówi się z przyrodnim bratem zaraz po powrocie. Gdyby nie ten wyjazd, zrobiłby to już dawno. Nie mógł przecież pozwolić, żeby byle żołnierzyk pouczał go publicznie. Nawet wówczas gdy w sumie miał wiele racji.

Zasypiał zwykle późno, choć wstawał dość wcześnie, ze strachem, że dziś otrzyma straszną dla niego wiadomość. Obawa najczęściej przeradzała się w złudną nadzieję, że matka poczuła się lepiej i wkrótce dojdzie do pełni sił, ale to szybko nikło, gdy jak najciszej wsuwał się do jej sypialni.

Któregoś dnia, nie mogąc już znieść dusznej atmosfery zdającej się oplatać go niczym niewidzialna pajęczyna, wybrał się na miasto. Jak za kawalerskich czasów wylądował w knajpie, gdzie wlewał w siebie wódkę za wódką, w nadziei, że stan upojenia oderwie go od ponurych myśli. Gdy już dobrze szumiało mu w głowie, zapragnął damskiego towarzystwa. Kazał, by podstawiono mu powóz.

– Gdzie mam jechać, jaśnie panie? – Stangret pomógł Aleksandrowi wejść do pojazdu i nie dając po sobie znać, że w ogóle zauważył, jak bardzo hrabia jest pijany, czekał na instrukcje.

Sorokin już miał na końcu języka jeden z lokali, które chętnie odwiedzał jeszcze parę lat temu, ale nagle dotarło do niego, że żadna z dziwek nie zdoła go zaspokoić. Żadna nie sprawi, że poczuje się lepiej, nie ukoi jego skołatanych nerwów. Pocieszenie mógł znaleźć w ramionach jednej, jedynej kobiety na świecie – jego żony, do której w tej chwili zatęsknił tak mocno, że niemal czuł ból w całym ciele. Z westchnieniem podał adres mieszkania matki przy Newskim Prospekcie.

Natalia Nikolajewna była już tak wycieńczona, że nawet nie rozmawiali. Częściej jej czytał. Prosiła o bajki Kryłowa, jakby powrót do czasów, gdy sama mu je czytała, przynosił jej radość. Co raz zapadała w drzemkę, a Sorokin niespokojnie przerywał, żeby sprawdzić, czy matka nadal oddycha. Nienawidził tych momentów, ogarniającego go wówczas przerażenia i tego, że nawet powalona ciężką chorobą matka jest władna sprawić, że czuł się jak bezbronny chłopczyk.

– *Gospodin graf...*

Aleksandr zerwał się z łóżka. Obecność służącego w środku nocy w jego pokojach mogła oznaczać tylko jedno.

Rozdział XXXV

1908

Zbliżało się Boże Narodzenie, a Aleksandr nawet nie przysłał telegramu. Ewelina nie była pewna, czy czekać na męża, czy wybrać się na te dni do Warszawy. Potem się dowiedziała, że rodzice od dawna planowali odwiedzinę u Marianny i Seweryna w Poznaniu. Oczywiście i ona była zaproszona, ale nie umiała podjąć decyzji. Nie potrafiła zwierzyć się ani mamie, ani ciotce ze swoich rozterek, tym bardziej nie była w stanie opowiedzieć im, co się wydarzyło przed wyjazdem męża, i przyznać, że nie ma od niego żadnych wiadomości, odkąd przebywa w Rosji. Nie miała złudzeń, że takie wieści spowodowałyby jedynie nawrót niechęci Barbary do hrabiego i zniszczyłyby to, co już udało się zbudować, a tego nie chciała, przynajmniej do powrotu Aleksandra z Petersburga i rozmowy z nim. Raz wierzyła, że jest na to wszystko jakieś wytłumaczenie, że on już nigdy się tak nie zachowa, w inne dni, gdy samotność i obawy bardziej jej doskwierały, była przekonana, że wszystko, co dobre, dobiegło już końca.

Także o Stachu wciąż nie mieli dobrych informacji. Pocieszające było jedynie, że wciąż czekał na proces, co przynajmniej znaczyło, że żył. Ale co działo się za murami Cytadeli, Ewelina wolała nie myśleć.

Zbawienne okazały się dla niej spotkania z Pawłem Orłowskim. Kapitan przyjeżdżał co kilka dni, zdarzało się, że razem wybierali się na konne przejażdżki, bo z czasem, w dużej mierze dzięki mężowi, znalazła w tym upodobanie. Lubiła śnieżny krajobraz, pola pokryte bielą, czasem skrzące się w południowym słońcu. Dużo też rozmawiali, co pomagało jej oderwać myśli od wciąż milczącego Aleksandra. Przyłapywała się nawet na tym, że kiedy Pawła nie było o kilka dni dłużej niż zwykle, zaczynała jej tej obecności brakować i tylko o tym myślała przez cały dzień.

Nie zwróciła uwagi, a może nie chciała zauważyć, że z każdą wizytą pozwala mu siadać bliżej siebie czy dłużej trzymać dłoń na pożegnanie. Czasem w emocjonalnej rozmowie sama chwytala jego rękę. Poważniał wtedy, jakby chłonał taką chwilę całym sobą, ale nigdy nie przekraczał pewnej granicy, zawsze postępował układowo, nawet nigdy nie rozpiął guzików munduru w jej obecności. Musiała przyznać, że była w Pawle delikatność, której jej brakowało w codzienności z mężem. Orłowski nie słuchał po to, żeby potem wydać decyzję i polecenia, niechby nawet służące zaspokojeniu jej potrzeb, tak jak coraz częściej robił to Aleksandr. On chciał wiedzieć, jakie Ewelina ma zdanie na temat, który omawiali.

– On nadal nie pisze. Dlaczego? – spytała któregoś popołudnia, gdy szczególnie mocno dokuczała jej niepewność.

– Nie wiem, Ewelinko. Z pewnością gdyby wydarzyło się coś złego, ktoś by cię powiadomił. Złe wieści docierają szybciej niż dobre – odparł, bezbłędnie odgadując, co ją martwiło. To także w nim lubiła. – Zapewne hrabia ma wiele na głowie, jeśli jego matka choruje. Może jest zbyt strudzony, aby skreślić długi list, a nie chce wysyłać zdawkowych informacji? Znasz swojego męża, on albo robi coś z rozmachem i całym bogactwem, jakim dysponuje, albo... nie robi wcale.

– Tłumaczysz go... Tłumaczysz, chociaż sam pisałeś do mnie wieczorami, po wielu godzinach służby. Nie powiesz mi, że nie byłeś zmęczony. – Z niedowierzaniem pokręciła głową, a kiedy nic na to nie odrzekł, dopowiedziała: – Po prostu chcesz mnie pocieszyć.

– Oczywiście, zależy mi na twoim dobrym samopoczuciu, ale też nie sądzę, żeby twój małżonek celowo chciał ci przysporzyć cierpienia – zapewnił.

Posmutniała. Nieświadomie przypomniał jej ten okropny dzień przed wyjazdem Aleksandra do Petersburga.

– Nie celowo... – wyrwało jej się, ale nie dokończyła. Wstała i podeszła do okna. – Brakuje mi tańców – zmieniła temat. – Tęsknię za teatrem, za koncertami. Zanim hrabia wyjechał, to nawet gdy nie wybieraliśmy się gdzieś dalej, to przynajmniej czasem bywaliśmy w resursie czy jak Towarzystwo Akcyjne organizowało jakieś wydarzenie, ale też nieczęsto. Bez męża nikt mnie nigdzie nie zaprosi. Polacy trzymają dystans, a dla Rosjan jestem tylko żoną hrabiego, jeśli nie muszą, nie okazują mi żadnych względów.

– Jeśli pozwolisz, zabiorę cię chociażby...

– Nie, Pawle. To nie wypada – przerwała mu, chociaż na moment zwiędła ją myśl, że mogliby razem pojechać tam, gdzie nikt ich nie rozpozna. Szybko jednak wróciła do rzeczywistości.

Odwróciła się i dopiero wtedy zobaczyła, że Orłowski stał tuż za nią. Patrzył jej w oczy z niezwykłą czułością, nie dostrzegała tego dotąd. A dziś złowił ją tym spojrzeniem, przytrzymał. Jakby bezbłędnie wyczuł, że jej słowa o cierpieniu nie były przypadkowe, i jak zawsze był gotów służyć wsparciem.

– Żałuję – szepnęła.

Ewelina nagle poczuła, że ona także wolałaby, żeby nie miały nad nią takiej władzy okowy konwenansów i jeszcze silniejsze więzy zazdrości Aleksandra. Wiedzioną tym uczuciem, położyła dłoń na ramieniu Pawła. I choć miał to być gest pocieszenia, szybko się okazało, że tylko przypieczerowała nim intymność chwili.

– Owszem, to byłby miło spędzony czas – odpowiedziała, z każdym słowem mówiąc coraz ciszej.

Ogarniające ją napięcie było wprost nieznośne. Zawiesiła wzrok na lekko drżących wargach stojącego zbyt blisko mężczyzny. Przeszło jej przez myśl, że chciałaby musnąć je palcami, poczuć pod opuszkami ich ciepło, i z trudem się powstrzymała. Co w nią wstąpiło? Skąd w niej takie pragnienia? Czy ta inność Pawła tak ją pociągała, czy może oddanie, które okazywał jej na każdym kroku?

Nie miała pojęcia, że Orłowski przeżywał katusze. Że wszystko w nim wrywało się do niej, że najchętniej zamknąłby ją teraz w ramionach i nigdy nie wypuścił. Był jak sparaliżowany: wiedział doskonale, że nie powinien tak się zachowywać, ale nic, zupełnie nic nie był teraz w stanie na to poradzić. Pragnienie tym razem zwyciężyło nad wolą. A może on już stracił siłę, by walczyć. Tyle razy wyobrażał sobie tę chwilę, tyle razy w marzeniach całował ją na różne sposoby. Teraz była tuż przed nim, czuł jej ciepły oddech na ustach i nie potrafił się cofnąć. Chciał jej tak bardzo, że to aż bolało.

Milczeli, ale żadne z nich się nie poruszyło. Z zewnątrz dobiegło poszczekiwanie psa, zegar wybił kwadrans, ale jakby tego nie słyszeli. Nie istniał nawet Aleksandr, może nawet na chwilę zniknął cały świat. Paweł powoli, ostrożnie, jakby nie chciał jej spłoszyć, wyciągnął dłoń i dotknął policzka Eweliny. Łagodnie przesunął kciukiem, jak wtedy, na balu, gdy odgarniał kosmyk jej włosów. Przypomniała sobie to wyraźnie. Czy tamtego dnia już patrzył na nią jak teraz? Ze wzruszeniem, ale i żarem tłącym się wyraźnie w jego oczach, obecnym w przyspieszonym oddechu.

Uniosła lekko twarz i przyzymkając oczy, przyjęła pieszczotę. Mężczyzna nieznośnie wolno przesunął dłoń w stronę szyi, na kark, tuż do nasady splecionych w kunsztowną fryzurę włosów. Ewelina zadrżała. Ten gest, choć tak podobny do władczygo uścisku jej męża, teraz odczuła zupełnie inaczej. Rozchyliła usta, a Paweł postąpił o krok i pochylił się nad nią. Wydawało się, że już nie ma odwrotu... Całował inaczej niż Aleksandr. Nie czuła w tym niepewności, choć była delikatność, ale również nie odnalazła zaborczości, tak charakterystycznej dla wszystkiego, co robił hrabia Sorokin.

Jak długo ją tak całował? Żadne z nich nie wiedziało. Dali się uwieść chwili. Pozwolili na kilka minut zatracenia, zapomnienia o dzielących ich przeszkodach. Liczył się dotyk, smak ich ust, elektryzujące muśnięcia warg i języków, niecierpliwy taniec dłoni.

A potem moment umknął wraz z ponownym biciem zegara, wraz z opamiętaniem się Eweliny. Odepchnęła Pawła. Jeszcze przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa, oddychał ciężko i patrzył nieprzytomnie, ale już do niego docierało, co właśnie zrobił. A do niej, że pomiędzy pocałunkami on powtarzał, jak bardzo ją kocha.

– Wybacz mi – szepnęła. Na twarzy miał wymalowaną taką rozpacz, jakby właśnie zaprzepaścił wszystko, co mu drogie. – Wybacz mi.

Chciał przed nią uklęknąć i chwycić dłonie w błagalnym geście, ale nie pozwoliła. Pokręciła głową, więc odstąpił od niej.

– Wybacz mi, proszę – powtórzył. Cierpienie naznaczyło tembr jego głosu ostrą nutą.

Stał przed nią z bezradnie opuszczonymi ramionami. Ewelina nie umiała rozstrzygnąć, czy bardziej jej szkoda jego czy siebie, nie była w stanie zdecydować, czy żałuje, że pozwoliła na to zapomnienie, na zakazaną bliskość.

Jednak nawet w tym mętliku i natłoku emocji, który ją ogarniał, doskonale wiedziała, co mu powinna odpowiedzieć. I że Aleksandr pod żadnym pozorem nie może nawet powziąć cienia podejrzeń, co się tutaj stało.

– Jeśli... – Spojrzała na Pawła, ale szybko odwróciła wzrok. – Jeśli kochasz mnie tak, jak mówisz, to nigdy już... – Zacięła się. Trudno było to oznajmić. – ...nigdy już nie spotkamy się bez obecności mojego małżonka.

O mało nie dopowiedziała, żeby zapomniał o tym pocałunku, o jej chwili słabości, że to z tęsknoty za Aleksandrem, że wcale tego nie chciała. Ale przecież to nie była prawda. W tamtym momencie pragnęła tego nie mniej niż on. I wiedziała doskonale, że żadna siła nie zmusi Pawła, by porzucił to wspomnienie, widziała to wyraźnie w jego oczach, pociemniałych od niedawnego podniecenia i teraz tak pełnych żalu.

Orłowski czekał jeszcze przez moment. Może na jej dalsze słowa, może na jakiś gest. Ale Ewelina już umilkła. I obawiała się na niego spojrzeć, bała się tego pełnego powstrzymanego żaru wzroku. Cisza pomiędzy nimi gęstniała jak zbierająca się nocą nad ziemią mgła.

– *Słuszajus!* – Kapitan nagle wyprężył się przed nią na baczność i trzasnął obcasami. A potem wybiegł.

Ewelina dopadła do okna i widziała, jak szybkim krokiem udaje się w stronę stajni, dopinając płaszcz. Odjeżdżając, nie obejrzał się w stronę dworu, ale ona patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w oddali.

Nie mogła wiedzieć, że po przejechaniu kilkuset metrów Paweł zatrzymał konia i długo stał, spoglądając na Przylesie. Nie dbał o mroźny wiatr sypiący mu w twarz grubymi płatkami śniegu. Dopiero kiedy w sypialni na górnym piętrze zamigotało nagle światło lampy, otarł rękawem twarz i zawrócił w stronę koszar. Pistolet w kaburze przy pasie ciążył mu jak nigdy.

Rozdział XXXVI

1908

Aleksandr wrócił w poranek pierwszego dnia katolickiego Bożego Narodzenia. Było tak wcześnie, że Ewelina jeszcze spała, gdy wynajęty na stacji powóz zajechał przed dwór. Hałas wyrwał ją ze snu. Wyrzała i z niedowierzaniem zobaczyła swojego męża. Już zapomniała, jakie zawsze robił na niej wrażenie swoją postawną sylwetką i nienagannym strojem. Spojrzał w górę, jakby wyczuł jej obecność, i zamachał jak uczeń. Roześmiała się z ulgą, że już tu jest, że czas czekania dobiegł końca.

O pocałunku Pawła długo nie mogła zapomnieć. Śnił jej się, wybudzał w środku nocy i nie potrafiła odróżnić, czy to koszmar, czy wręcz przeciwnie. Ciągle miała w uszach to jego podszyte rozpaczą żołnierskie pożegnanie, niczym zapewnienie, że jej słowo jest rozkazem. Brzmiał, jakby już tylko służba w armii mu pozostała i nikim innym jak żołnierzem być nie chciał. Żałowała go, ale przecież nie mogła pozwolić – teraz, kiedy już wiedziała, jakie uczucie do niej żywi – na to, aby był zbyt blisko. Miała pewność, że już nigdy by się nie zapomniał aż do tego stopnia, ale czy to w porządku wystawiać go ciągle na próbę? Nie, nie chciała tego. Martwiła się tylko, jak on znosi odrzucenie, i w dużej mierze pozwalało jej to uciszyć własne sumienie, podpowiadające, że sama brała udział w czymś, czego jej mąż na pewno by nie pochwalił.

Początkowo planowała samodzielnie wybrać się do Warszawy po prezenty dla Aleksandra i rodziny, ale po zastanowieniu uznała, że posłucha zaleceń męża, i wysłała Sonię z całą listą sprawunków, które chciała zamówić. Nie wątpiła, że dziewczyna sobie poradzi. Wprawdzie nadal nie wiedziała, kiedy hrabia zamierza chociażby dać jakiś znak życia, ale wolała być przygotowana. Poza tym myślenie o świętach i podarkach, planowanie zakupów oraz menu znacznie ułatwiały trudne oczekiwanie. Częściej także jeździła do kościoła w nadziei, że to choć trochę odkupi jej nierozsądne zachowanie.

Widząc męża, czym prędzej narzuciła szlafrok na nocną koszulę i nie dbając, że niedogrzana o tej porze podłoga ziębi jej bosc stopy, zbiegła po schodach.

– Aleksandr! Nareszcie!

Cały rozpromienił się na jej widok. Chwycił ją mocno, uniósł i zakręcił. Pisnęła, więc natychmiast ją postawił i otoczył ramionami. Jego płaszcz był zimny, a on sam pachniał tytoniem.

– Linusiu, moja ukochana... Tak za tobą tęskniłem. Wybacz mi, proszę. Jestem durniem, okropnym durniem – szeptał, obsypując pocałunkami jej włosy.

Nie wiedziała, czy przeproszał ją za swoje milczenie, czy za tamto okropne zachowanie w jadalni, czy za wszystko naraz. Jak inaczej brzmiało to „wybacz” w jego ustach niż niedawna pełna rozpacz prośba Pawła. Aleksandr nie miał wątpliwości, czy ona mu daruje. On to wiedział. Tym bardziej zdziwiło ją, gdy nagle osunął się przed nią na kolana i spojrzał na nią roziskrzonymi oczami.

– Aleksandrze, co ty robisz?

– Błagam cię o wybaczenie, *ma toute belle*.

– W takim razie muszę to przemyśleć. – Zaśmiała się. – Ale wstań.

– Absolutnie! Będę tak oczekiwał na twoją decyzję, pani.

Rozbawiona pokręciła głową.

– Jesteś niemożliwy.

– Ale cię kocham. I przepraszam – dodał już poważniejszym tonem. – Nie powinienem się tak zachować. Wybaczysz mi?

Potaknęła, prosząc, aby już przestał kłęczeć. Miała tyle pytań, ale mąż uciszył wszystkie pocałunkami. Smakował ją zachłannie, jak zawsze, jakby tylko ona na całym świecie była w stanie zaspokoić jego pragnienie.

– Każę przygotować ci kąpiel i śniadanie. – Udało jej się w końcu wyswobodzić z zaborczych ramion hrabiego.

– Co tylko zechcesz – zgodził się. – Podróż była męcząca. Ale chodź ze mną na górę, chciałbym porozmawiać. Potem zobaczysz, co ci przywiozłem z Petersburga – zapowiedział i zaraz pochylił się do jej ucha i szepnął: – Wolałbym zabrać cię prosto do łóżka, ale po kilkunastu godzinach w pociągu sama rozumiesz, że nie pachnę najprzyjemniej.

Zarumieniła się, równocześnie uświadamiając sobie, że za takim Aleksandrem też w jakiś sposób tęskniła. Za jego zaborczością i nieustępliwością, beczelną pewnością siebie i przekonaniem, że wszyscy muszą spełniać jego życzenia. Ale mimo wszystko wydawał jej się inny, poważniejszy, jakby naznaczył go smutek. Nie wiedziała jeszcze, co to dokładnie oznacza, choć jednego z powodów się domyślała.

Weszli do sypialni i Aleksandr z westchnieniem ulgi zrzucił z siebie płaszcz, a po chwili zsunął też buty i wygodnie rozsiadł się w fotelu w pobliżu kominka, wyciągając stopy w kierunku ciepła. Ewelina dopiero teraz się zorientowała, że sama niemal drży z zimna, i szybko okryła się pledem.

– Aleksandrze, powiedz, co z Natalią Nikolajewną – poprosiła cicho.

Sorokin rzucił jej pełne ulgi spojrzenie, jakby bał się sam poruszyć ten temat. Z westchnieniem przecesał dłonią włosy.

– Niestety, moja matka odeszła na początku miesiąca. Wróciłem dopiero teraz, bo miałem koszmarnie dużo spraw do uregulowania. Przepraszam, że nie powiadomiłem cię o pogrzebie, ale uznałem, że tak będzie lepiej. – Posłał jej pełne skruchy spojrzenie.

– Bardzo mi przykro – wyszeptała.

– Dziękuję. Zdążyłem ją pożegnać, to najważniejsze. Kazała cię pozdrowić, zanim... – Głos mu się załamał.

Podeszła i uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu. Przykrył ją swoją, a potem uniósł do ust i ucałował. Milczał jeszcze chwilę, a potem zauważył, że Ewelina nadal ma bose stopy, i pociągnął ją tak, żeby usiadła mu na kolanach.

– Przeziębisz mi się. – Troskliwie okrył jej nogi.

– Tęskniłam za tobą. Dlaczego nie napisałeś? Nie przysłałeś nawet depezy? Codziennie czekałam na znak od ciebie i bardzo się martwiłam.

– Przez całą drogę do Warszawy zamiast spać usilnie się zastanawiałem, jak ci to wytłumaczyć. – Uśmiechnął się smutno. – I nadal nie wiem... Sprawilem ci przykrość, przepraszam. Naprawdę tęskniłaś? I czekałaś? – zamruczał, ukontentowany jej wyznaniem.

Ewelina położyła głowę na jego piersi i pomyślała, że Aleksandr przesadzał, wcale nie pachniał nieprzyjemnie. Uśmiechnęła się do swoich myśli. I w niej się coś odmieniało.

– Naprawdę – przyznała. Poczula, że całuje jej skroń.

– Kocham cię – powiedział po polsku i przytuliła się mocniej. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo.

Nie odpowiedziała. Jeszcze przez moment miała przed oczami Pawła, który wyznawał jej miłość w tym samym języku, ale jak zazwyczaj bliskość Aleksandra zwyciężyła.

Nie mówiła nic, ciesząc się jego obecnością. Czy mu wybaczyła? Chyba już w momencie, gdy wysiadł z powozu. Przez ostatnie dni bardziej się martwiła tym, dlaczego nie wraca, niż czymkolwiek innym. A teraz był tuż obok i tylko dla niej. Nie wątpiła w jego szczerą intencję.

– Ewelinko? – odezwał się tymczasem Sorokin. – Jest jeszcze jedna sprawa...

– Tak?

Mocniej zabiło jej serce. O czym chciał mówić? Co jeszcze się wydarzyło w Petersburgu? Czy pojawił się ktoś w jego życiu? Ktoś taki jak Paweł dla niej? Ale przecież ona zakończyła to tak szybko, gdy tylko się zorientowała, że coś w ogóle zaczęło się dziać. A on?

Nieświadomy jej obaw Aleksandr przerwał tę gonitwę myśli.

– Nadal nie pochwalam działalności twojego brata, ale widzę, jak jest ci drogi, a ponadto uważam, że każdy ma prawo do sprawiedliwego procesu i obrony. Dlatego opłaciłem dla niego bardzo dobrego adwokata, który ma

doświadczenie w podobnych sprawach. Zrobiłem to jeszcze w Petersburgu i z tego, co wiem, skontaktowałem się już z twoim ojcem.

Z niedowierzaniem spojrzała mu w oczy, niepewna, czy się nie przesłyszała. Mąż posłał jej ciepły uśmiech. Wyglądało na to, że mówił jak najbardziej poważnie.

– Aleksandrze... – Pocałowała go. – Dziękuję, tak bardzo ci dziękuję.

– To nie znaczy, że Stach wyjdzie szybko z więzienia. Ale mecenas Ruciński zrobi wszystko co w jego mocy, aby złagodzić wyrok – uprzedził.

– Wiem, ale przynajmniej nie będzie sam.

– A jeśli mowa o twojej rodzinie, to masz ochotę wybrać się do nich, do Poznania? – Oczywiście Aleksandra się śmiały. Z zadowoleniem przyjął kolejny pocałunek, a potem uszczęśliwiona Ewelina zaprowadziła go do łóżka. Kąpiel i śniadanie musiały poczekać.

Rozdział XXXVII

1909

Rozdiestwo Christowo Paweł Orłowski zamierzał spędzić tak jak i pierwszy dzień nowego roku – na służbie, ale w końcu przystał na zaproszenie Michaiła Wasiliewicza, żeby choć na jeden dzień wybrał się do niego i jego siostry do Warszawy. „Pasza, przyjedź. W tym roku my nie jedziemy do rodziców, rażniej nam wszystkim będzie, przyjedź chociaż na Soczelnik” – zachęcał go uparcie, aż w końcu dopiął swego.

Nie wybrał się z pustymi rękoma, wypadało wręczyć gospodyni podarek. Długo się zastanawiał, w końcu zdecydował się zakupić srebrną broszkę i pudło najlepszych pralinek, a dla Makarowa butelkę dobrego koniaku. Może Tatiana mu jakoś zapomni i wybaczy, że nie napisał do niej nawet z podziękowaniem za prezent, który kiedyś przywiózł Michaił.

W niewielkim, trzypokojowym mieszkaniu w kamienicy przy Hożej stawił się punktualnie, a siostra Antona (nie potrafił o niej myśleć inaczej) powitała go jak zwykle radośnie. Wyglądała bardzo ładnie w brązowej sukni, prostej, ale ozdobionej misternie wyhaftowanymi turkusowymi kropeczkami. Pasował jej ten kolor. Dawno się nie widzieli i ponownie zdumiało go, jaka piękna kobieta wyrosła z małej Tani, która uparcie przeszkadzała młodym uczniom szkoły oficerskiej w poważnych, w ich mniemaniu, rozmowach.

– Nie trzeba prezentów, Paszka, nie trzeba. No, siadaj, stół już zastawiony. Cieszę się, że przyszedłeś – mówiła i śmiejąc się, prowadziła do salonu.

Przygotowała socziwo, gołąbki z kaszą i pyszne solone śledzie z cebulką, za którymi Orłowski wprost przepadał. Do tego barszcz i pierożki. Od razu przypomniał sobie święta, na które kiedyś został zaproszony do rodzinnego majątku Makarowów pod Kownem. Spędzili je jeszcze wszyscy razem. Potem ojciec Michaiła i Tatiany rozchorował się ciężko i stracił stanowisko w urzędzie, do tego dotknęła ich klęska pożaru, dlatego Makarowowie musieli folwark sprzedać i przenieść się do miasta. Nie było już tamtych szczęśliwych lat, nie było Antoszy... Nie potrafił ukryć smutku, który go ogarnął. Tatiana to dostrzegła i zaraz naalała mu wódki.

– Nie trzeba o tym teraz myśleć, Paszka. Nic nie mów, ja wiem, że ty naszych teraz wspominasz, a Antoszkę najwięcej. Nic im z naszego smutku. To czas radości – szepnęła, choć i ona otarła zwiłgotniałe oczy.

Uśmiechnął się do niej i wypił, żeby nie sprawiać przykrości. Zachęcała go do jedzenia, bo – jak podkreślała – głodnego za stołem trzymać się nie godzi. Rozmawiali, trochę jednak wspominając szczęśliwe czasy sprzed wojny w Mandżurii, ale i żartowali, bo Tatiana tak umiała pokierować pogawędką, że przypominali sobie głównie te radosne chwile i śmiali się aż do łez. Gospodyni nie szczędziła przy tym alkoholu i choć Paweł trochę się wzbraniał, dość szybko zaszumiało mu w głowie. Nawet pośpiewali razem, dziewczyna miała silny, miły głos, przyjemnie było słuchać.

– No, a gdzie Michaił? Czemu się spóźnia? – spytał w końcu. Zorientował się nagle, że zjedli już niemal cały posiłek, a kolegi nadal nie ma.

Tatiana zajrzała mu w twarz, przekrzywiając głowę. Figlarne błyski zamigotały w jej bursztynowych oczach.

– A Misza to nie przyjdzie – oznajmiła niefrasobliwie. – Służbę ma.

– Rozumiem – mruknął Paweł, choć nie do końca pojmował, dlaczego Michaił zapraszał go na świąteczną kolację, choć sam nie zamierzał się na niej pojawić. – To rozpakuj prezent, mam nadzieję, że będzie ci się podobać.

– Będzie, będzie. – Zaśmiała się. – Lubię prezenty. A tobie mój przypadł do gustu?

– Przepraszam, że nic wtedy ci nie napisałem, zachowałem się okropnie. – Ścisnął jej dłoń. – Bardzo się podobał. Dziękuję.

– No, nie napisałeś – potaknęła niewesoło i znowu sam przed sobą poczuł się głupio, że tak ją zawiódł. – Pewnie byłeś zajęty. Misza opowiadał, że w tej twojej Rudzie to czasem więcej obowiązków dla wojska jak tutaj. Nie kłopotz się tym, Paszka, ja wiem, że nie zawsze wszystko się układa. Ale i dziś coś mam dla ciebie – zmieniła temat i od razu się rozpogodziła.

Wręczyła mu paczkę, starannie przewiązaną brązową wstążką, ale Paweł nie chciał otworzyć, dopóki ona nie obejrzała podarku od niego. Ucieszona, od razu przypięła broszkę do sukienki i zaczęła dopytywać, czy pasuje.

– Bardzo – zapewnił ją i pomyślał, że większą ozdobą jest jej uśmiech, rozjaśniający oczy.

Prawie powiedział to na głos, ale w ostatniej chwili stchórzył. Nie był pewien, czy wypada i jak by to przyjęła, a jeszcze mniej – dlaczego nagle wydało mu się to tak ważne.

– Zajrzyj w końcu do środka – ponagliła go i musiał rozpakować prezent.

– Sweter? Przyda mi się, w koszarach nie jest zbyt ciepło. – Roześmiał się. – Dziękuję.

– Sama dziergałam. Niech ci się dobrze nosi, Paszka.

Spojrzał na nią, zaalarmowany czułą nutą w jej głosie. Tatiana spoglądała mu w oczy z jednej strony śmiało, z drugiej czujnie, jakby w każdej chwili miała się spłoszyć i uciec. Przygryzła w zaaferowaniu dolną wargę, znacznie pełniejszą od górnej, co nagle przykuło uwagę Pawła. Zanim się odezwała, zmrużyła na moment oczy, jak kot.

– Ech, Paszka, *nu i duracziok ty*, przecież wiesz, żeś mi drogi, że ja ciebie zawsze lubiłam bardziej od innych – stwierdziła.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zaskoczyła go, aż westchnął mimowolnie. Ile by dał, żeby takie słowa usłyszeć od Eweliny. Ile by zrobił, gdyby choć przez moment spojrzała na niego tak, jak teraz Tania. Nadal nie potrafił o tamtej zapomnieć, wciąż jeździł, żeby z daleka wypatrywać cienia hrabiny w oknach dworu, wciąż rozpamiętywał tamten pocałunek, na który się odważył. Nie potrafił odpuścić, choć przecież wyraźnie mu powiedziała, że go nie chce. Na szczęście niedawno wrócił Sorokin i Orłowski nie zamierzał mu wchodzić w drogę, więc zaniechał swoich wycieczek i chyba mu było z tym nieco lepiej, choć nadal zdarzało mu się budzić, łapczywie wciągając powietrze, ze snu, w którym Ewelina prowadziła go do sypialni, a on zanurzał się w niej, spragniony i oszalały ze szczęścia.

Poczuł dłoń Tatiany na policzku i ogarnęła go dziwna tklivość. Zrzuciłby to na karb wypitej wódki, ale wiedział, że byłoby to kłamstwo. To, jak go traktowała, jak na niego patrzyła, rozczulało go i nie pozwalało stąd wyjść, choć może powinien.

– No, Paszka, odezwij się – poprosiła.

– Co mam powiedzieć, Tanieczko? – spytał miękko.

Pocałowała go pierwsza. Miała delikatne i ciepłe usta. Nie porównywał jej już do Eweliny, tylko mocniej przygarmał do siebie. Potrzebował bliskości, zwykłej i namacalnej, którą mógł do woli smakować. I smakował. A kiedy brakowało mu tchu i nie był w stanie powstrzymać wzrastającego gwałtownie pragnienia, po prostu porwał ją na ręce i poniósł do pokoju, który wydawał mu się sypialnią. Tam ją na nowo objął, tak ciasno, żeby czuć każdy jej oddech, i pieścił coraz bardziej zachłannie. Nie dbał, żeby zamknąć drzwi do pokoju, światło padające z salonu pozwalało ją widzieć, a nie chciał nic stracić.

Pomogła mu zdjąć mundur, a sama szybko zrzuciła suknię i gorset, jakby się obawiała, że Paweł się rozmyśli albo oprzytomnieje. Ale on, choć oszołomiony, równocześnie czuł się trzeźwy jak nigdy. Chłonał wzrokiem szczupłą sylwetkę Tatiany, poznawał rozpalonymi dłońmi kryjące się pod koszulką krągłości. Nie myślał wiele ani nie mówił. Nagle ta dziewczyna zawładnęła nim całym i nie mógł pojąć, jak mógł dotąd nie dostrzegać, jaka jest zjawiskowa. Nie krygowała się, dotykała go śmiało, z wprawą, o którą jej nie podejrzewał.

Zanim popchnął Tanię na łóżko, ściągnął z niej ostatni fragment odzieży. Chciał ją czuć pod sobą naga, bezbronna, oddaną tylko jemu. Tatiana jęknęła przeciągle, gdy na nią opadł, poddała mu biodra, pozwoliła na rytm, który narzucił, ale miał wrażenie, że dotrzymuje mu kroku, że biegną razem, coraz szybciej, coraz natarczywiej. Nie była dziewczicą ani nowicjuszka, wiedziała, co ma robić, żeby sprawić mu największą przyjemność. I w końcu porwała go za sobą, doprowadziła tam, gdzie chciała, cały czas nie odwracając wzroku, jakby podziwiała każdy grymas rozkoszy na jego twarzy.

Spełnienie zaskoczyło oboje. Ogarnęło ich gwałtownie, do cna, narastało niepowstrzymanymi falami, żeby w końcu wybuchnąć i ofiarować ulgę. Nadal patrzyli sobie w oczy. Paweł pocałował Tatianę delikatnie,

z czułością, która już go nie dziwiła. A potem pozwoliła mu zasnąć.

Obudził się przed nią. Świtało. W pokoju panowało już zimno, bo kominek dawno wygasł, a on leżał zupełnie odkryty – Tania ściągnęła z niego całą kołdrę. Spała teraz na niej, z jedną nogą ugiętą w kolanie, obejmując poduszkę i lekko posapując przez rozchylone usta. Wczoraj starannie upięta fryzura, w nocy zupełnie się rozsypała, co tylko dodawało jej uroku. Rudokasztanowe loki odcinały się wyraźnie od pastelowej pościeli, nieśmiało światło od okna łagodnie oblekało wypięte biodro dziewczyny i Paweł błędził wzrokiem po jasnej, lekko piegowanej skórze, sycił się szczegółami, które w pośpiechu i podnieceniu umknęły mu wczoraj.

Patrzył na dziewczynę z na wpół rozmarzonym uśmiechem. Nigdy dotąd nie obudził się obok kobiety, miewał je przez kilka godzin, ale nie zdarzyło mu się zasnąć po skończonym akcie, tylko się ubierał i wychodził, nie dbając, co z nimi jutro będzie. Teraz, kiedy tak przyglądał się jeszcze nierozbudzonej Tatianie, poczuł, że jest inaczej, i bardzo mu się ta zmiana podoba, że nie miałby nic przeciwko, gdyby mógł spędzać poranki obok niej częściej. Jako człowiek honoru po tym, co się wczoraj wydarzyło, nie wyobrażał sobie innego scenariusza niż oświadczyzny. Będzie tylko musiał wystąpić w dowództwie o pozwolenie na ślub, ale nie sądził, by robiono mu przeszkody, a Tania wczoraj potwierdziła, że nie jest jej obojętny. Nie poszła przecież z nim wbrew sobie. Do tego była siostrą Antoszy, zaopiekowanie się nią to niemal jego obowiązek, co do tego nie miał wątpliwości.

Przez chwilę myślał o Ewelinie. Dalekiej i niedostępnej, która zakazała mu nawet odwiedzin w swoim domu, gdy nie było tam jej małżonka. O Ewelinie, którą adorował już tak długo, że sam nie wiedział, jak zakończyć ten swój dumny afekt, naiwne pragnienie czegoś, co nigdy nie miało być jego. Tyle razy wyraźnie dała mu do zrozumienia, że kocha innego. A kobieta obok była ciepła, namacalnie bliska i traktowała go z czułością, której potrzebował.

Tania zamruczała i otworzyła oczy. Od razu zauważyła nagość nieprzykrytego niczym mężczyzny i rzuciła Pawłowi nieco zawstydzone spojrzenie spod długich rzęs.

– Zmarłeś.

Przekręcił się na bok i objął dziewczynę. Uśmiechnęła się. Jego ciało już dawno było na nią gotowe.

– Myślę, że coś na to poradzisz.

Kiedy później zostawiła go w sypialni, żeby pójść się umyć i przygotować śniadanie, błyskawicznie podjął decyzję, że nie będzie zwlekał. Ubrał się pospiesznie i nie dopinając płaszcz, zbiegł po schodach kamienicy wprost na śnieżną ulicę. Mróz zamieniał jego oddech w pióropusze pary. Wymyślał sobie od głupców, ale nie zawrócił.

Wprawdzie większość sklepów ze względu na dzień świąteczny była zamknięta, ale szybko przekonał Żyda, żeby otworzył mu skład. Sprawnie załatwił, co chciał, zapłacił wekslem i równie szybko ruszył w drogę powrotną. Na szczęście stróż, przekonany rublem, wpuścił go, nawet bez zbytnich komentarzy. Zdyszany stanął przed drzwiami mieszkania Tatiany i zapukał.

Otworzyła szybko, wyraźnie zdziwiona jego widokiem.

– Paszka?

Na jej policzkach dostrzegł ślady łez.

– Mogę wejść?

Cofnęła się bez słowa. Orłowskiego nagle opuściła pewność siebie. Nie powinien wychodzić bez uprzedzenia, przecież tak ją tym zasmucił... Wolno pozbył się płaszcz i odłożył czapkę. Uklęknął, zanim Tania zdążyła zaprotestować.

– Tatiano Wasiliewno, czy uczynisz mi zaszczyt i zgodzisz się zostać moją żoną?

Głos go zawiódł, więc ostatnie słowa wyszeptał. Serce biło mu mocniej niż poprzedniej nocy, gdy kochali się tak zapamiętale. Bał się, że Tania go wyśmieje i pogna precz, ale ona tylko pokiwała głową, ze śmiechem ocierając łzy.

Paweł wstał i wsunął na palec Tatiany pierścionek z niewielkim szafirem.

– *Oj durak, ty durak!* Myślałam już, żeś uciekł ode mnie.
Nie odpowiedział, tylko zaczął ją całować.

Rozdział XXXVIII

1909

Wiosna tego roku nie skradała się nieśmiało, ale szybko wzięła w posiadanie budzącą się z zimowego rozleniwienia ziemię, obsypała drzewa pąkami, posłała nasycone słońcem odżywcze deszcze, żeby dały podkład rozkwitającej zieloności, która nasączała serca nadzieją i radością. Ludzie z przyjemnością odkładali do kufrów szuby i futrzane płaszcze, wylegali na spacer, ciesząc się światłem i niosącym świeżość wiatrem. Wszędzie panował wzmożony ruch, budziły się rośliny i zwierzęta. Ożywiły się pola, rozgwarzyły na nowo targi i miejskie place.

Ewelina była szczęśliwa jak nigdy. Aleksandr mimo żałoby po matce odłożył na bok wszystkie swoje zajęcia i zajmował się jedynie nią, spełniając wszelkie zachcianki. Ze względu na pamięć o Natalii Nikolajewnie hrabina nie prosiła o bale, ale zabierał ją na koncerty, wycieczki, jeździli na premiery teatralne, nawet do Wiednia, do Carltheater, na prapremierę operetki Franza Lehára *Cygańska miłość*, a w marcu do Paryża na pokaz pleografu Kazimierza Prószyńskiego we Francuskim Stowarzyszeniu Fizycznym. Kiedy czuła się znużona, spędzali miłe chwile w Przylesiu, jedynie w swoim towarzystwie. Sorokin również i wówczas wydawał się szczęśliwy i mawiał, że dwór jest ich azylem. Nie spieszył się do organizowania przyjęć w jego zaciszu, wołał na obiad wynajmując salę w resursie albo w którymś z warszawskich hoteli. Jeżeli przyjmowali goście, to jedynie najbliższą rodzinę i przyjaciół. I to nie te wszystkie wydatki, zakupy i prezenty najbardziej cieszyły Ewelinę, ale atencja męża, intensywniejsza jeszcze niż za czasów, gdy starał się o jej rękę. Radował ją czas, który jej poświęcał.

– Gdy już obdarzysz mnie dziećmi, będzie mniej miejsca na te wszystkie rozrywki, chcę, abyś się tym nacieszyła – mówił jej.

Wyczuwała, że Aleksandr nie może się doczekać, kiedy żona mu oznajmi, że jest brzemienna, ale ten czas uparcie nie chciał nadejść, co spędzało jej sen z powiek. Rozmawiała z siostrą i matką, obie doradzały jej cierpliwość. Nawet ciotka Leokadia wtrącała swoje trzy grosze, przypominając, ile lat minęło od dnia ślubu Natalii Nikolajewny z hrabią Konstantinem do narodzin Aleksandra. Pocieszało to Ewelinę w jakiś sposób, ale i ona od dawna pragnęła dziecka, więc każdy kolejny miesiąc, w którym odkrywała, że nadal krwawi, był dla niej rozczarowaniem. Doceniała, że mąż – pomny, jak przeżyła kąśliwą uwagę jego matki – nie czynił jej uwag na ten temat, a czasem nawet wydawał się spokojniejszy niż ona, pewniejszy, że wyczekiwany dzień nadejdzie.

Pawła Orłowskiego nie widywała wcale, nie pojawiał się w majątku, zgodnie z tym, co jej obiecał. Czasem przypominała sobie ich rozmowy, zwłaszcza gdy pielegnowała kwiaty w swojej oranżerii, łatwo było o wspomnienia, bo tam spędzali najwięcej czasu. Bywało, że ogarniała ją nostalgia, bo miała świadomość bezpowrotnej utraty więzi między nimi. Jesliby jej wtedy nie pocałował... Ale on – czego nie dostrzegła w porę, a może po prostu usilnie nie chciała dostrzec, bo bardzo lubiła z kapitanem Orłowskim przebywać i toczyć dyskusje – pragnął o wiele więcej, niż Ewelina mogła mu ofiarować. Prawdopodobnie gdyby nigdy nie spotkała Aleksandra, to mogłoby się mu powieść, ale tego, że na jej drodze pojawił się hrabia Sorokin, przecież nie żałowała. Zwłaszcza teraz, gdy wszelkie niedomówienia między nimi zdawały się przeszłością.

Raz tylko kapitan przywiózł jakieś pismo dla hrabiego, jednak nawet nie zsiadł z konia. Przyglądała mu się z okna, a on spojrzął w górę, jakby przyciągany sobie tylko wyczuwalną siłą, ale szybko odwrócił wzrok. Potem już do nich nie zaglądał. Ewelina spytała nawet męża, z jaką sprawą kapitan przyjechał, a ten odparł, że chodziło o jakieś urzędowe regulacje, nawet nie słuchała dokładnie wyjaśnień. Zganiła się za swoje przypuszczenie, że przybył tu specjalnie dla niej.

Sprawa nadal przebywającego w więzieniu Stanisława również ją martwiła i także od tego Aleksandr chciał odciągnąć jej myśli. Tłumaczył, że mogą jedynie czekać, a wynajęty mecenas z całą pewnością poprowadzi sprawę z największą starannością. Wreszcie nadeszły z Warszawy wieści o planowanej rozprawie. Ewelina chciała jechać do stolicy, ale Sorokin przekonał ją, żeby została w Przylesiu.

– To może potrwać wiele dni, jeśli nie tygodni – tłumaczył. – Właściwie im dłużej, tym dla twojego brata lepiej, zaufaj mi, proszę.

Posłuchała, choć i tak, mimo starań Aleksandra by ją ukoić, nocy poprzedzającej pierwsze posiedzenie sądu w sprawie brata nie przespała. Potem przez cały dzień wyczekiwała choćby depešy, ale znowu spotkało ją rozczarowanie.

Ojciec przyjechał dopiero następnego dnia po południu, strapiony jak nigdy. Ewelina rzuciła mu się w objęcia, dopytując o wieści, ale zbył ją nieco niecierpliwie.

– Jeżeli pozwolisz, Linusiu, najpierw porozmawiam z Aleksandrem.

Już chciała zaprotestować, ale w tym momencie w salonie pojawił się hrabia i uprzejmie przywitał teścia.

– Aleksandrze Konstantinowiczu, proszę jeszcze raz przyjąć od nas podziękowanie, że zaangażował pan mecenasa Rucińskiego. To wielki człowiek. Moja małżonka również przesyła pozdrowienia. Znamy pana poglądy i bardzo doceniamy, że pomimo tego zdecydował się pan na taki gest. – Adam Strojnowski uścisnął podaną mu dłoń. Formalność jego słów zaalarmowała Ewelinę, niepokój ogarnął ją niczym zimny dreszcz. – Mogę prosić o chwilę osobistej rozmowy? – dodał tymczasem ojciec.

– Zapraszam do mojego gabinetu – oznajmił hrabia, nie zwracając uwagi na nadąsaną minę żony.

– Tato! Aleksandrze! – powstrzymała ich. – Jeśli chcecie rozmawiać o Stanisławie, to ja muszę przy tym być!

– Prosiłem cię, Lineczko, za chwilę wszystkiego się dowiesz. – Strojnowski wydawał się nieprzejednany, ale Sorokin się zawahał.

– Gdyby nie prośba mojej żony, nie uczestniczyłbym w tej sprawie – zauważył. – Jeżeli więc sprawa rzeczywiście dotyczy Stacha, to uważam, że Ewelina powinna być przy rozmowie obecna. Może w takim razie każę podać herbatę tutaj. – Skinął na Sonię.

– Nie wydaje mi się to właściwe, ale w pana domu, hrabio, nie zamierzam się sprzeciwiać pana woli. – Strojnowski się wycofał, kryjąc niezadowolenie z decyzji Aleksandra.

Ewelina z ulgą opadła na sofkę i przyglądała się, jak ojciec zajmuje miejsce w fotelu, bierze z rąk pokojówki filiżankę z herbatą, a potem z namaszczeniem miesza łyżeczką w parującym naparze. Obecność córki wyraźnie była mu nie na rękę.

– Mecenas Ruciński był znakomicie przygotowany do rozprawy – zaczął. – Miał wszelkie karty przetargowe, które mogły zaważyć na korzyść Stanisława. Naprawdę nie można mu nic zarzucić, ze swojego zadania wywiązał się znakomicie.

– Ale? – dopytał Sorokin. – Nie wątpię w rzetelność mecenasa. I zdaję sobie sprawę, że wyroki sądów... cóż, są wyrokami sądów – dokończył.

– Ale nie będzie już kolejnych rozpraw, zapadł wyrok – westchnął Strojnowski.

– Jak to? – nie wytrzymała Ewelina.

– Co to za wyrok? – spytał w tym samym momencie Aleksandr, ale już zapobiegawczo objął żonę. Nie miał dobrych przeczuć, po minie Adama odgadł, że trudno było oczekiwać łagodniejszego wymiaru kary.

– Ostateczny, Aleksandrze Konstantinowiczu. Kara śmierci. Nie było szansy, bo Stach...

– Nie! – Ewelina się rozplakała. – Dlaczego?

Sorokin przygarnął ją mocniej, pogłaskał po włosach, ale pytającym spojrzeniem zmierzył teścia. Ten wstał, jakby ze zdenerwowania nie mógł już usiedzieć na miejscu. Sorokin widział jak na dłoni, że doktor Strojnowski jest rozgniewany na syna, ale także zażenowany tym, o czym miał opowiedzieć.

– Nie sądziłem, że Stanisław zachowa się w ten sposób, wprost zniweczy wszystkie starania i pana hrabiego, i mecenasa. Proszę sobie wyobrazić, że on przyznał się do wszystkich występków przeciwko zabor... caratowi – poprawił się. – Do wszystkich zamachów, kradzieży, akcji bojowych czy jak to jeszcze nazywali. Po prostu przyznał się przed sądem! – perorował, coraz bardziej rozdrażniony. – Do wszystkiego! Jaki inny wyrok mieli wydać? Pewnie ten ichni „Robotnik” będzie się teraz rozpisywać o nim jak o męczenniku, ale na co to wszystko?

– Usiadł ciężko, z opuszczonymi naraz ramionami, jakby przygniótł go ciężar zmęczenia i straty. Otarł czoło chustką.

Ewelina płakała cicho. Aleksandr milczał.

– Też mi trudno zrozumieć, co Stanisławem kierowało, i bardzo mi przykro – odezwał się w końcu. – A mecenas Ruciński niech się nie martwi, zapracował na swoje wynagrodzenie – uspokoił Strojnowskiego. – Jeżeli będzie pan łaskaw, to przekażę za pana pośrednictwem weksel z ostatnią ratą.

– Jest pan szlachetnym człowiekiem, Aleksandrze. Przyjechałem zaproponować, że zwrócę wydatki, które pan poniósł w związku...

– Nie ma mowy – uciął Sorokin.

Ewelina nie słuchała ich dalszej wymiany zdań, oślepiona wciąż płynącymi jej po policzkach łzami. Przecież to wszystko oznaczało, że nawet pogrzebu nie będą mogli Stanisławowi wyprawić. Nie mogła się pogodzić z tym, że jej brat tak głupio zmarnował daną mu szansę. Że zwlekał z tym aż do procesu.

– Jak już musiał się przyznać – odezwała się, nie zważając, że przerywa ojcu – to czemu nie wyznał tego wcześniej? Dlaczego czekał?

Aleksandr się zawahał, zanim udzielił odpowiedzi.

– Nie miał okazji, Ewelinko – westchnął. – Nie przesłuchiowano go.

– Dlaczego? – nie rozumiała. Słyszała, że przesłuchują wszystkich.

– Bo zapłaciłem, żeby tego nie robili – wyjaśnił ze znużeniem. – Chcieliśmy z twoim ojcem, żeby miał szansę dożyć rozprawy. A nawet moje pieniądze nie wystarczyłyby, żeby go wykupić. Na współpracę też Stach nie zgodziłby się pójść.

– Czyli... on sam chciał, żeby go stracili?

– Nie zamierzam tego oceniać, Linusiu. – Poglaskała jej dłoń. – Adamie Aleksandrowiczu, jak to zniosła pana żona?

Strojnowski z rezygnacją pokręcił głową.

– Nie najlepiej. A jeszcze przed nami powiadomienie drugiej córki.

– Może zechciałaby przyjechać do Przylesia? Odpocznie kilka dni, Lineczka na pewno chętnie mamę ugości – zaproponował, a żona spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Dziękuję, hrabio.

Do rozprawy nie działa się niemal nic. Najpierw przesłuchali go kilka razy, oczywiście dotkliwie bijąc gdzie popadnie, aż miał wrażenie, że zaraz wyzionie ducha. Ale gdy tylko zaczynał tracić przytomność i nabierał nadziei, że ból się skończy, natychmiast go cucono i zaczynało od nowa. Stanisławowi Strojnowskiemu właściwie było już wszystko jedno. Najpierw nic nie mówił, licząc, że go zakatują. Potem się okazało, że jednak dotrwa do procesu, bo nagle wizyty u śledczych się skończyły i zostawiono go samego w celi. Raz na kilka dni dostawał marną miskę kaszy i wiadro z wodą. To drugie, z fekaliami, wynoszono jeszcze rzadziej.

Czas mijał Stachowi na ponurych rozmyślaniach, które przerywał tylko krótki i niespokojny sen. Bardziej niż osamotnienie i bezczynność zabijały go wyrzuty sumienia. Dotąd nikt z jego ludzi nie zginął przy nim na akcji. Dopisywało mu niemal legendarne szczęście, a jedyna wpadka miała miejsce, gdy dopuścili w swoje szeregi zdrajcę. A teraz musiało paść na Felicję, z czym Stanisław nie potrafił się pogodzić. Widział ją ciągle przed oczami, to szepczącą w miłosnym uniesieniu, to martwą, leżącą na bruku. I cokolwiek robił, nie był w stanie pozbyć się tego widoku. Budził się z koszmarnych snów, w których pieścił jej pokryte krwią nagie ciało, tylko po to, aby zadrećcać się na jawie tym, co jej zrobił.

Kiedy pozwolono na krótką rozmowę z kimś, kto przedstawił się jako jego adwokat, podjął już właściwie decyzję, jak postąpi.

– Kto pana tu przysłał?

– A czy to ważne, panie Strojnowski?

- Ważne – burknął. – Chciałbym wiedzieć, kto traci na mnie pieniądze.
- Pana rodzina. Bardzo się martwią.
- Proszę im przekazać, że działałem z pełną świadomością, jak mogę skończyć. I lepiej, żeby mnie z nimi nie kojarzono.

Mecenas przekonywał, że jest w stanie wywalczyć dla niego łagodniejszy wyrok, Stanisław jednak nie miał ochoty w ogóle rozmawiać i tylko wzruszał ramionami, powtarzając, że nie potrzebuje pomocy.

Nie mógł sobie wybaczyć, że Felicja nie żyje. To była wyłącznie wina jego nieprzemyślanej decyzji i głupiej brawury. Kto wie, czy nie niepotrzebnej, bo akcję mogli przełożyć. Gdyby nie upór Stacha, Obiniewiczówna byłaby przy nim. A nawet jak nie u jego boku, to żywa.

Sądzono go razem z Kosinowskim. Tamten wyglądał znacznie gorzej, zapewne miał mniej spokoju, ale dał Strojnowskiemu znak, że nic nie powiedział. A potem Stanisław oświadczył, że atak przy karcerze planował samodzielnie, a Kosinowski był jedynie łącznikiem, który nie miał o niczym pojęcia. Zarówno na twarzy Tomasza, jak i wynajętego mecenasa odmalowało się niemal identyczne niedowierzanie. Nie spodziewali się, że Strojnowski powie znacznie więcej. Potwierdził swój udział w napadzie na pociąg pocztowy. Opowiedział o zamachu na Czerkasowa i kilku innych – choć, niestety, nieudanych. Wiedział doskonale, na kogo oprócz niego poluje *Ochrana*, więc te akcje, które mógł, również wziął na siebie. Jemu już nie zależało, a mógł się przysłużyć kilku kolegom. Miał dużo czasu, żeby swoją przemowę dokładnie obmyślić.

Wyrok śmierci był nieunikniony i miał nadzieję, że nie będzie musiał długo czekać na jego wykonanie. Ucieszył się, że Kosinowski dostał raptem kilka lat odsiadki.

Zjawili się po niego po tygodniu, o świcie. Poszedł bez protestu, nawet z jakąś ulgą, że doczekał tego końca. Nie czuł chłodu ani nie wadziła mu gęsta niczym mgła mżawka zasnuwająca niebo. Myślał o Felicji, kiedy doprowadzano go pod szubienicę, wspominał jej zapach i natarczywy dotyk, gdy założono mu stryczek. Dopiero tuż przed tym, jak stracił równowagę, spojrzął w oczy swoim oprawcom i zdołał krzyknąć: „Jeszcze Polska nie umarła!”.

Rozdział XXXIX

1910

Sorokin wpadł na Orłowskiego przypadkiem, podczas bytności w mieście. Uświadomił sobie, że dawno kapitana nie widział, może raz czy dwa od swojego przyjazdu z Petersburga, więc to było jeszcze pod koniec tamtego roku, a teraz już cieszyli się pełnią lata. Najpierw pomyślał, że spokojniej było w Przylesiu bez jego obecności, nie musiał znosić umizgów Pawła do Eweliny. A potem zdał sobie sprawę, że widok przyrodniego brata już nie wywoływał w nim tamtych mrocznych emocji. Coś się w Aleksandrze zmieniło, gdy w Petersburgu czuł przy umierającej matce i tak bardzo bał się momentu, gdy Natalia Nikołajewna odejdzie, a równocześnie przeżywał męki, bo naprawdę się obawiał, że żona mu nie wybaczy tego, jak ją potraktował. Obiecał wtedy sobie, że to się więcej nie powtórzy, nie chciał już nigdy widzieć oczu Eweliny przepełnionych strachem, i postanowił, że nie dopuści do sytuacji, w której żona będzie się go bała, bo przecież to on powinien ją chronić.

Tak, uspokoił się i nie czuł już potrzeby udowadniania całemu światu, że Lineczka jest tylko jego. Przecież pokazywała mu to każdym spojrzeniem i gestem, a nie znał uczciwszej kobiety od niej i nic nie mogło równać się z pasją, z jaką oddawała mu się w sypialni. Tylko jemu. Widział to w jej pełnym miłości i rozmarzonym spojrzeniu.

– Paweł! – przywitał go z uśmiechem. – Dawno się nie widzieliśmy.

Orłowski odpowiedział uprzejmie, choć z wyraźnym dystansem, jakby nie miał pewności, czy Aleksandr nie żywi nadal urazy za kłótnię po zamieszkach. Rozmawiali chwilę, a potem Sorokin zaprosił kapitana do majątku na niedzielny obiad, ale ten odparł, że jest zmuszony odmówić.

– To bardzo miłe z waszej strony i zawsze z przyjemnością goszczę w Przylesiu, jednak nie będę mógł się pojawiać. Pojutrze wyjeżdżam do Kowna i nie będzie mnie jakiś czas – wytłumaczył się.

– Odezwij się zatem po powrocie. Moja żona na pewno będzie rada cię zobaczyć, zwłaszcza jak przywieziesz wieści ze świata. – Roześmiał się.

Kiedy wieczorem, zanim zasnęli, opowiadał o tym spotkaniu Ewelinie, zauważył, że na chwilę się zmieszała, gdy wspomniał o propozycji odwiedzin, ale zrzucił to na karb echa swojej uprzedniej zaborczości.

– Myślałam, że nie przepadasz za Orłowskim – zauważyła po chwili, potwierdzając to przypuszczenie.

– Było, minęło. – Machnął ręką.

– Ciekawe, co go w tamte rejony ciągnie. Pewnie jakieś wojskowe sprawy. – Roześmiała się niefrasobliwie. – My w sumie także dawno nie wyjeżdżaliśmy...

– Powiedz tylko, na co masz ochotę, a natychmiast to zorganizuję. A Orłowskiego nie dopytywałem. Wiesz, że on nie należy do rozmownych. No chyba że z tobą... – droczył się, ale w oczach miał radosne iskry.

Był w doskonałym nastroju, a Ewelina dobrze wiedziała, że w takim momencie jest w stanie zrobić dla niej wszystko.

Dziś jednak nie zamierzała zbyt wykorzystywać przychylności męża, wystarczała jego obecność, tak naprawdę nie miała ochoty na żadne wyjazdy. W ostatnich tygodniach Aleksandr wrócił po trosze do swoich obowiązków architekta i zdarzało mu się dłużej bywać poza domem, a zupełnie od tego odwykła i tęskniła za jego obecnością. Poza tym nieśmiało kielkowała w niej nadzieja, że w końcu będzie mogła zakomunikować Aleksandrowi tę najważniejszą wiadomość, nie chciała jednak – tak jak poradziła jej Marianna – mówić zbyt wcześnie, żeby nie przywołać pecha. Już kilkakrotnie taka postawa uratowała ją przed rozczarowaniem. Wiedziała, jak bardzo mąż na to czeka, wołała więc mieć pewność, żeby przedwczesna radość nie przerodziła się potem w żal.

Z rozleniwieniem poddawała się pieścizdom, którymi obsypywał ją mąż, i poczuła takie rozpierające szczęście, że aż roześmiała się w głos, czym zdumiała Aleksandra.

– Czy uczyniłem coś zabawnego? – spytał, spoglądając na nią z góry.

– Uczyniłeś, że jestem szczęśliwa.

Sorokin się rozpromienił, a potem wymruczał, że za chwilę będzie szczęśliwa stokroć bardziej. Wyciągnęła do niego rękę.

Świetny humor nie opuszczał hrabiego również rankiem. Zbudził się wkrótce po świcie, kiedy słońce rozlewało się łagodnym światłem po polach, ale nie niesło ze sobą jeszcze skwaru i letniej duchoty. Lubił w takie poranki jeździć konno, obserwować budzące się do życia wsie, chłopów wychodzących w pole, dzieciaki gnające krowy na pastwiska i dziś także cieszył się na przejażdżkę. Delikatnie, żeby nie zbudzić żony, ucałował jej ciepły od snu policzek i cicho wyszedł z sypialni – miał nadzieję, że Lineczka pośpi jeszcze i wypocznie. Ostatnio wydawała mu się bledsza i martwił się trochę, że to może oznaczać jakąś chorobę.

Zanim poszedł się przygotować, dał znać Jaškowi, żeby osiodłał mu Zorę, potem już w kompletnym stroju wrócił się jeszcze, żeby przekazać Soni instrukcje, na wypadek gdyby Ewelina obudziła się przed jego powrotem. Pokojówki nigdzie jednak nie było widać, choć zwykle jako pierwsza kręciła się po domu. Nieco zirytowany postanowił, że mimo wszystko poszuka służącej i przekaże, co ma do przekazania. Pewnym krokiem wszedł do części, gdzie pokoje miała służba przebywająca na co dzień we dworze. Myślami był już na łąkach i galopował w stronę lasu. Chciał jak najszybciej porozmawiać z Sonią i jechać. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zapukać, z impetem nacisnął klamkę i jak wryty zatrzymał się na progu.

Sonia, ubrana jedynie w spódnicę, stała tyłem do wejścia, pochylona nad miednicą, ale na dźwięk otwieranych drzwi wyprostowała się. Pierwsze, co Aleksandr zobaczył, to jej obnażone plecy, pokryte nieregularnymi brzydkimi bliznami. Zgrubienia układały się w chaotycznie poprzecinane pręgi, odcinały się wyraźnie od niemal przezroczystej cery dziewczyny. Słowa ugrzęzły mu w gardle. To musiało stać się już po tym, gdy ją spotkał pierwszy raz, bo wówczas plecy miała gładkie, dobrze to pamiętał. Więc nie uniknęła pogromu...

Poruszony okrucieństwem, którego musiała doświadczyć, podszedł bliżej. Sonia się nie ruszała, zatrwożona jedynie zakryła skrzyżowanymi ramionami piersi. Sorokin delikatnie dotknął jej skóry.

– Soniu, kiedy to się stało? – szepnął. – Dlaczego nic nie mówiłaś?

Przypomniał sobie tę noc, kiedy ją miał, taką kruchą i wystraszoną. Pożałował, że wówczas nie pociągnął rozmowy, nie dopytał więcej, że potem, gdy się dowiedział o rozruchach, nie spróbował jej odnaleźć, nie pomógł. Poczul gniew, kielkujący gdzieś pod skórą, gniew na tych, którzy doprowadzili do czegoś takiego.

Pokojówka, zażenowana sytuacją, w milczeniu opuściła głowę. Nie chciała nic mówić, nie chciała wracać do tamtych wydarzeń. Miała nadzieję na zawsze zapomnieć o nocy, podczas której o mało nie straciła życia, o strachu, jakiego nigdy ani wcześniej, ani później nie doznała, o upokorzeniu, gdy gnali ją nagą ulicami, wśród śmiechu i krzyków. I wśród spadających bez przerwy razów. Do dziś budziły ją koszmarnie sny i nękał tamten ból.

– Niech pan hrabia zostawi – poprosiła ochryłym szeptem. – Nie trzeba...

– Ale... – zaczął, jednak nie dokończył. Od drzwi dobiegł rozdzierający, podszyty histerią krzyk Eweliny.

– Aleksandr!

Sorokin zmełł w ustach przekleństwo. Zdawał sobie sprawę, jak wygląda w oczach żony, która zastała go w służbówce, z dłonią na plecach niemal nagiej pokojówki.

– Wszystko ci wytłumaczę – oznajmił, choć już w połowie wypowiedzi zorientował się, jak niewiarygodnie to zabrzmiało.

– Nie chcę jej tutaj widzieć.

Złość Eweliny uderzyła w Sonię. Ogłuszona żalem, nie była nawet w stanie bezpośrednio zwrócić się do – w swoim mniemaniu – winowajczynie, patrzyła wprost w oczy męża. Aleksandr westchnął. Czuł, że za moment złość, podburzona tym, co zobaczył, weźmie nad nim górę. Nie cierpiał, kiedy oskarżano go o coś, czego nie zrobił.

– Soniu, ubierz się – polecił i zwrócił się do żony. – Lineczko, chodź do sypialni, porozmawiamy.

– Nie mamy o czym.

Oczy Eweliny napęły się łzami, które niczym wezbrane strumyczki popłynęły po jej policzkach. Cofnęła się na korytarz, a Aleksandr wyszedł w ślad za nią. Próbował ją objąć, ale odepchnęła go i obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersi.

– Proszę... Nic nie zaszło – podjął kolejną próbę wyjaśnienia.

– Bo przyszedłam? – Głos jej się łamał.

– Wysłuchasz mnie czy nie?! – warknął zniecierpliwiony, a kiedy pokręciła głową, w geście rezygnacji machnął rękoma i skierował się do wyjścia.

Zorza na pewno była osiodłana, już czekała. Pojedzie, tak jak planował, da czas Ewelinie na ochłonięcie i sobie na uspokojenie. Czuł, że jest o krok od wybuchu, a bardzo nie chciał teraz awantury. Wystarczy tego. Gdy wróci, będą mogli spokojnie porozmawiać. Nie oglądał się za siebie, żeby nie sprowokować się do wybuchu.

Wskoczył na siodło i od razu za bramą majątku pozwolił klaczy na galop. Potrzebował pędu, wolności, powietrza uderzającego w twarz. Pochylił się nad końskim karkiem i zachęcił Zorzę do przyspieszenia. Łąki były teraz tylko jego, wiatr mu służył, niósł coraz szybciej i szybciej.

Ewelina nie mogła uwierzyć, że Aleksandr nie zamierzał nic jej tłumaczyć, że po prostu wyszedł, zostawił ją, nie zrezygnował z planów, nawet w takim momencie. I do tego jeszcze wydawał się obrażony i rozgniewany. Na nią? Nie rozumiała, co właściwie tam zaszło. Jedyne, co było dla niej oczywiste w tej sytuacji, to wina Soni. A chciała tylko dołączyć do męża, towarzyszyć mu w porannej przejażdżce albo chociaż wyjechać naprzeciwno, gdyby nie zdążyła przygotować się przed jego wyjazdem. Dlatego potrzebowała pokojówki – nie mogła znaleźć swojej amazonki. A ponieważ nigdzie dziewczyny nie było, udała się prosto do jej pokoju. I zastała tam swojego męża. Czyżby na tym polegała część jego przejażdżek? Była zdruzgotana tym odkryciem i ogromem podejrzeń, które teraz w niej szalały.

– Masz natychmiast opuścić Przylesie – zwróciła się do wciąż tkwiącej na środku pokoju służącej.

Sonia od momentu, w którym Aleksandr pojawił się w drzwiach, zdołała jedynie naciągnąć na siebie koszulę i dopiero na bezpośrednio zwrócone do niej słowa drgnęła i oprzytomniała.

– Hrabino, niech mnie pani łaskawa wysłucha! Proszę! – Z płaczem rzuciła się do nóg swojej pani. – Błagam, ja nic nie zrobiłam! A pan hrabia tylko tu wszedł, nic więcej nie było. Proszę dać wiarę, mogę w cerkwi przysiąc, że nie kłamię – łkała, niemal leżąc na podłodze.

Ewelina, chociaż spodziewała się lamentu, nie była gotowa na tak żarliwe prośby służącej. Zwłaszcza wzmianka o świątyni ją zdziwiła, bo Sonia była bardzo religijna, a przy tym przesadna i nie szafowała takimi deklaracjami. „Tylko co mi z tego, skoro równie dobrze ona może po prostu kłamać” – pomyślała zgnębiona i gniewnie zmarszczyła brwi.

– Niby czego mam słuchać? Twoich wymówek? Nie mam zamiaru. Zbieraj się i żebyś cię więcej tutaj nie widziała – fuknęła.

Starła się zachować fason i już nie histeryzować. Służąca nie powinna widzieć jej w takim stanie. Nie pokaże jej już swoich łez, niech sobie nie myśli. A słuchać jej wymówek? Jeszcze czego! Ostrem tonem nakazała pokojówce wstać, ale ta nie posłuchała.

– Pani hrabino, ja wszystko powiem, jak na spowiedzi powiem, pani hrabina niech mi tylko da szansę. Jedną szansę. Potem sobie pójdę, jak będzie trzeba – błagała dziewczyna jednym tchem.

– Wstań w końcu – burknęła Ewelina i Sonia tym razem podniosła się z podłogi.

Hrabina uznała, że wystarczy tej farsy i zamierzała odejść do swojej sypialni, żeby tam czekać na powrót męża. Odwróciła się plecami od łkającej wciąż dziewczyny. Nie chciała więcej jej widzieć, dość już narobiła!

– Błagam... – dosłyszała zduszony szept Soni. Płacz musiał dławić jej gardło. – Potem pójdę, ale błagam o szansę – dobiegło jeszcze.

Ewelina się zatrzymała. Trudno było jej znieść dojmującą rezygnację wyraźnie słyszalną w głosie pokojówki. Jakby ta nie widziała już sensu w prośbach, ale próbowała, bo tylko to ją trzymało przy życiu.

Zastanawiała się jeszcze, ale w końcu uznała, że lepiej jak się dowie, co dziewczyna ma do powiedzenia, zanim skonfrontuje to z Aleksandrem. Zdecydowała się na powrót do służbówki. Rozejrzała się i usiadła na wąskim, równo zaścielonym tapczanie.

– Mów – nakazała.

Sonia zaczerpnęła powietrza.

– Tylko niech pani hrabina się nie denerwuje – poprosiła cicho. Weszła w ślad za swoją panią do izdebki i teraz stała naprzeciwko Eweliny, mnąc w dłoniach spódnice.

– Soniu, naprawdę uważasz, że mogę być teraz spokojna? Mów, co masz do powiedzenia. Tylko szybko.

Przełknęła ostatnie łzy i uniosła dumnie podbródek. Postanowiła nie okazywać słabości, a łaskawość. Początkowo spodziewała się, że Sonia zacznie oskarżać Aleksandra, dlatego się zdziwiła, kiedy ta zaczęła zupełnie inaczej.

– Bo, pani hrabino, to przez to, że ja dziś zasnęłam. Zwykle przecież wstaję jeszcze przed Jaśkiem, pierwsza wstaję, pamięta pani. Ale dziś to zasnęłam i jak pan hrabia tu zaszedł, to akurat się myślałam i nie miałam jeszcze bluzki nałożonej.

– A to hrabia tutaj częściej zachodzi? – zainteresowała się Ewelina, na nowo rozgniewana. Co ta Sonia zamierzała jej wmówić?

– Nie, uchowaj Boże! Ja tylko chciałam powiedzieć, że jakbym nie zasnęła, to jak pan hrabia co ode mnie chciał, toby tu nie musiał mnie szukać. No i tych blizn by nie zobaczył. Bo to przez te moje blizny on tak... tutaj... Tylko rękę na plecach mi położył, nic więcej, przysięgam, nigdy mnie tutaj nie tknął.

– Jakie blizny?

Opowieść Sońki, choć chaotyczna, jak na razie brzmiała sensownie, a sama pokojówka wydawała się mówić szczerze, co nieco Ewelinę ukoilo. Nie mogła znieść myśli, że Aleksandr miałby się zaspokajać ze służącą, i z całych sił pragnęła, żeby nie okazało się to prawdą. Krytycznie spojrzała na niewiele starszą od siebie dziewczynę.

– O, takie. – Podciągnęła koszulkę, odwracając się do hrabiny tyłem.

W jednej chwili cała złość Eweliny zamieniła się we współczucie. To było potworne. Nie pojmowała, kto i czym mógłby zrobić coś takiego.

– Boże, Soniu... Jak to się stało?

– A to ja już muszę pani hrabinie wszystko powiedzieć. Żeby nie było wątpliwości, że ja prawdę mówię. Bo ja pana hrabiego to poznałam, długo zanim tu na służbę przyszedłam. Pan hrabia wtedy kawaler był i spotkał mnie w takim przybytku, wie pani hrabino, takim dla mężczyzn.

Ewelina westchnęła. Gniew wrócił. Czego jeszcze się dzisiaj dowie?

– Chcesz mi powiedzieć, że uprawiałaś nierząd?! I ja mam być spokojna?! I co z tymi bliznami, przecież to nie Aleksandr ci je zrobił?! – krzyknęła. – Co to za bzdury?!

– Skąd, pani hrabino! Pan był dobry dla mnie. Raz tylko tam był, ja go więcej nie widziałam, przysięgam! I to nie tak, że ja byłam dziwką, bo chciałam. Ja tego nie wybrałam, pani hrabino... – Opuściła głowę. Kilka łez spadło na jej spódnice, zostawiając ciemne kropeczki. – Mój mąż mnie tam sprzedał, żeby jego długi wykupiła – dokończyła cicho.

– Co ty mówisz, Soniu? – Ewelina zakryła usta dłonią. – Jak to możliwe?

– To prawda, nie oszukuję pani hrabiny. Młoda i naiwna byłam. Poszłam na piękne słówka, zamiast z rodzicami do Rosji wracać. A on okazał się hazardzistą i pijakiem okropnym, okradł mnie ze wszystkich oszczędności. Bił, głodził, aż w końcu sprzedał za długi – powtórzyła, ocierając oczy. – No a potem były te ataki na lupanary, nie dałam rady się schować, nie zdążyłam, jak po nas przyszli. I mnie wywlekli na ulicę, bili batem. Nie wiem nawet kto. Dobrze, że litościwi ludzie mnie do szpitala zanieśli, bo bym nie przeżyła. Potem mnie siostry leczyły. I dzięki temu uczciwą pracę mogłam znaleźć – wyrzuciła z siebie niemal jednym tchem.

– To było pięć lat temu? – upewniła się Ewelina.

– Tak, wtedy. A potem, jak mnie pani najęła tutaj, to pan hrabia mnie poznał, alem go ubłagała, żeby nie mówił o mojej przeszłości, bo się bałam, że mnie pani wyrzuci. I pan hrabia nigdy o tym nie wspomniał nawet i nigdy mnie brać nie chciał, przysięgam! – zarzekała się.

Hrabina odetchnęła z ulgą, bo przecież ani nie mogła mieć do męża pretensji o jego życie przed ślubem, ani też nie miała wpływu na to, co wówczas pustoszyło warszawskie ulice. Czytała jedynie o tym w gazetach, z niedowierzaniem, że takie okropieństwa mogą się w ogóle dziać. A teraz Sonia była namacalnym przykładem, że to nie były wymysły pismaków. Żal jej się zrobiło dziewczyny, wyciągnęła do niej rękę.

– Nie wyrzucę cię – zapewniła. – Przykro mi, że musiałś przez to wszystko przejść.

– Dziękuję! – Sonia się rozpląkała i znowu przypadła do nóg Eweliny. – Dziękuję, pani hrabino.

– Wystarczy już, Soniu. Teraz wracaj do swoich obowiązków. Podaj mi za pół godziny śniadanie – poleciła.

– Oczywiście, pani hrabino.

Wstała i nie oglądając się już na pochlipującą dziewczynę, chciała się udać do sypialni. Ledwo jednak zaczęła wchodzić po schodach, usłyszała tętent zbliżającego się konia. „W samą porę, żebyśmy mogli porozmawiać” – pomyślała z ulgą. Nie mogła się doczekać, aż wyjaśni to nieporozumienie. Nie wątpiła, że Aleksandr potwierdzi słowa pokojówki. Gdy już wysłuchiwała całej opowieści, dokładnie rozumiała, że gniew męża nie wynikał z faktu przyłapania go w pokoiku Soni, ale tego, że Ewelina nie chciała z nim porozmawiać. Zaraz to naprawią i wszystko będzie tak jak jeszcze wczoraj wieczorem, kiedy czuła się spokojna i szczęśliwa.

– Pani hrabino! Pani hrabino!

Krzyk Jaśka natychmiast zburzył jej ledwo odzyskaną równowagę. Zatrzymała się i wyjrzała przez balustradę. Nie była w stanie odgonić złych przeczuc, które natychmiast obsiadły jej głowę, jak chmara wróbli.

– Nie krzycz tak! – napomniwała go. – Co się stało?

– Pani hrabino! – wydyszał koniuszy. – Zorza bez pana wróciła!

– Co takiego?!

– Koń sam do dworu przybiegł. Hrabiego nie ma!

Ciemne płatki zaczęły fruwać przed jej oczami. Zamrugała i z trudem złapała powietrze. Pomogło jedynie na chwilę, zdawała sobie sprawę, że ma już niewiele czasu. Mocniej chwyciła poręcz schodów i zebrawszy całą siłę woli, huknęła na Jaśka:

– To dlaczego tu jeszcze stoisz?! Bierzcie konie i szukajcie! Psy weźcie! Szukajcie!

Zarejestrowała jeszcze, że służący wybiegł. Trzasnęły drzwi. A potem już ogarnęła ją podstępna ciemność i poczuła, że spada. Coś boleśnie uderzyło ją w kolano, w łokieć, pod plecami załomotały drewniane stopnie. Szum w uszach ucichł powoli, zastąpiony przez niepokojącą ciszę.

Rozdział XL

1910

***Wiwat młodej parze! Wiwat!

Przed cerkwią garnizonową oprócz rodziców i brata panny młodej zebrali się niemal wszyscy podoficerowie roty dowodzonej przez kapitana Orłowskiego i kilku oficerów lejbgwardii, tych bardziej zaprzyjaźnionych z Pawłem czy Michałem. Tatiana ze śmiechem pomachała wojskowym w odpowiedzi na okrzyki i gratulacje. Polały się trunki i żołnierze ruszyli do nowożeńców z osobistymi gratulacjami i toastami.

Orłowski z uśmiechem patrzył na szczęśliwą Tanię. Pięknie wyglądała w prostej, ale modnej sukni ślubnej, pasowała jej idealnie, mimo że kupowana naprędce. Ledwie tydzień temu wrócili z Kowna z jej rodzicami. Pojechali przede wszystkim pomóc im w podróży, bowiem Wasilij i Sofija po sprzedaży kowieńskiego mieszkania zdecydowali się przenieść do Warszawy, bliżej swoich dzieci, ale też Paweł chciał oficjalnie poprosić o rękę Tatiany. Został przyjęty, jednak rodzice jego wybranki postawili sprawę jasno: ślub ma się odbyć jak najszybciej ze względu na stan zdrowia ojca przyszłej panny młodej. Żeby spełnić to życzenie, Orłowski musiał w błyskawicznym tempie postarać się o zgodę na ożenek.

Samej Tani przyspieszona ceremonia bez zbytich przygotowań nie wadziła, wręcz przeciwnie – była wszystkim zachwycona. Śmiała się, że i tak się naczekała, aż Paweł ją zauważy. On zaś... uważał, że tak będzie dobrze. Lubił ją bardzo, a zaopiekowanie się siostrą Antoszy traktował jak swój obowiązek. Poza tym Tatiana pomagała mu nie pamiętać o Ewelinie, była jednoznacznym przypomnieniem, że tamta jest niedostępną mrzonką. Miał nadzieję, że z czasem nauczy się ją kochać, tak jak ona kochała jego. To nie była niedojrzała dziewczyna, mimo młodego wieku Tania wiele przeszła i dużo rozumiała. I nie bała się też trudnych rozmów, nie udawała. Od początku wymagała od Pawła szczerości i sama też odwodziła się tym samym. Tak było uczciwie.

– A ty sobie, Paszka, nie myśl, że ja nie widziałam wtedy na balu, jak patrzysz na tamtą hrabiankę – powiedziała mu kiedyś. Leżeli obok siebie nady i spoceni, przyjemnie wyczerpani fizyczną miłością. Zachodził do niej tak często, jak mógł, nie dbając zbyt o konwenanse, jakby starał się wynagrodzić dziewczynie czas, kiedy na niego czekała. – Nie myśl, że nie dostrzegłam, jak za nią spojrzeniem wodzisz. Najchętniej to z nią byś cały bal przetańczył, nie ze mną. A rok później i jej na święcie nie było, i ciebie, boś nie miał po co. Powiedz mi, kochasz ją?

Właściwie to nawet nie było pytanie. Zaskoczyła go. Byli przecież dawno po słowie, Tania zgodziła się zostać jego żoną. Zgodziła się z radością, której nie ukrywała. Obce jej były gierki i podchody, przyznała, jak bardzo tego nie cierpi. Zgadzał się z tym. Im więcej rozmawiali, tym bliższa mu się stawała, ale czy darzył ją tak wypalającym uczuciem jak Ewelinę? Tego nie umiał powiedzieć. Czasem myślał, że tamto spopieliliło jego emocje i nigdy nie będzie już zdolny cokolwiek poczuć...

– Taniu, to przecież nieistotne, z tobą się chcę żenić.

Próbował się wymigać od odpowiedzi. Nie chciałby jej sprawiać przykrości, bo przecież w jakiś sposób była mu droga i bliska. Uwielbiał z nią przebywać, rozmawiać, kochać się niespiesznie albo dla odmiany gwałtownie i szybko.

– Dla mnie istotne – odparła cicho. Usiadła i opierając się o poduszki, popatrzyła na Orłowskiego z góry. – I nie dlatego, że chcę oddać ci pierścione. Po prostu chciałabym wiedzieć, czy mam jakieś szanse, żebyś i na mnie tak kiedyś popatrzył – dodała poważnie.

Nie zamierzał jej ranić. Ani okłamywać. Dlatego milczał. Ale jeżeli wydawało mu się, że dziewczyna da się zbyć w ten sposób, bardzo się mylił. Odwrócił się tylko na brzuch i oparł czoło o biodro Tatiany. Przymknął oczy. Skrępowanie spowodowane niespodziewanym pytaniem mieszało się z odurzającym zapachem dziewczyny. Zaschło mu w gardle.

– Nic nie mówisz – westchnęła. – Wiem, co to znaczy.

– Hrabina Sorokina jasno dała mi do zrozumienia, że mój afekt wobec niej jest niewłaściwy – odezwał się sztywno po kolejnej chwili ciszy.

– Paszka... Ja nie rozsządzam, czy to właściwe, czy nie. Ja pytam o twoje uczucia. Dobrze wiem, jak trudno kochać kogoś, kto tego nie zauważa.

Na moment przytknął usta do jej gorącej skóry i również usiadł.

– Tanieczko, po co te pytania? Na ciebie patrzę inaczej, bo ty inna jesteś. Ale czy to oznacza, że tamta lepsza od ciebie? Nie.

– A jak mamy razem żyć, jeśli nie będziemy sobie mówić prawdy? – Zajrzała mu w oczy.

– Nawet jak ta prawda czasem zaboli?

– Nawet wtedy, Paszka. Kochasz ją jeszcze? – pytała uparcie.

– Wydaje mi się, że to blaknie jak pozostawiona na słońcu chusta. Nie widuję Eweliny, poza tym mam ciebie, więc o niej nie myślę – przyznał szczerze. – Ale nie chcę być egoistą, Taniu. Jeżeli nie odpowiada ci...

– Oj, Paszka, Paszka... – przerwała mu. – Nic nie chcę zmieniać. Tylko bądź tu ze mną, mnie to wystarczy. Wiem, że nie da się kogoś zmusić do kochania. I ja nie będę cię zmuszać. Będę czekać.

Umilkł, poruszony jej słowami. Co mógł odpowiedzieć na takie wyznanie? Pomyślał, że Tania jest mądrą kobietą. Pocałował delikatnie jej dłoń.

– Lubię, gdy jesteś obok.

– Naprawdę? – Rozpromieniła się.

– Bardzo lubię.

Nie wracała więcej do rozmowy o Ewelinie, ale Orłowski czasem zmagał się z wyrzutami sumienia, że nie potrafił właściwie odwdzińczyć się Tatianie za jej miłość, tak czystą i bezwarunkową. Wyrzucał sobie, że nie zasługuje na to, co ona mu ofiarowała. Najczęściej wątpliwości dopadały go po wspólnie spędzonej nocy, bo wciąż nie mógł uwierzyć, że Tania tak chętnie oddaje mu swoje ciało, i wciąż nie mógł się tym nasycić. Dziewczyna zazwyczaj bezbłędnie wyczuwała jego nastroje i dopytywała, co go trapi, a on nie miał pojęcia, co ma odpowiedzieć, bo gdy kilka razy próbował to wyjaśnić, nie znajdował jej zrozumienia.

– Po prostu bądź przy mnie – słyszał.

A teraz stała obok niego, piękna i szczęśliwa, z tym uśmiechem, który tak go urzekał, któremu nie sposób było się oprzeć, bo zdawał się opromieniać nie tylko uroczą twarzyczką Tatiany, ale emanować na wszystkich, którzy na nią patrzyli. Przyjmowała gratulacje z wdziękiem i radością, zapraszała wszystkich na poczęstunek w kantynie i żartobliwie groziła palcem oficerom, zapewniającym Pawła, że dziś sobie razem popiją.

Już mieli iść do podstawionych dorożek, kiedy przed cerkiew ktoś zajechał. Orłowski rozpoznał powóz Sorokinów i zdziwił się, bo nie informował Aleksandra i jego żony o swoich zamiarach. Może było to niegrzeczne i niewłaściwe, ale uznał, że spokój Tatiany jest ważniejszy niż konwenanse.

Stangret zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki. Po chwili w ich zarysie ukazała się Sonia, która zaraz pomogła wyjść swojej pani. Paweł przystanął, niezdeterminowany, ale wyglądało na to, że Sorokina nie jest tu z jego powodu, bo kilka pierwszych kroków skierowała w stronę świątyni, poświęcając młodej parze ledwie spojrzenie. Dopiero kiedy rozpoznała Orłowskiego, zatrzymała się. Paweł poczuł, że Tatiana zaciska palce na jego ramieniu, ale był jak ogłuszony.

Ukryte za czarną woalką oczy Eweliny wyrażały zdumienie, a on nie był w stanie odwrócić wzroku, zignorować żaloby ciemnej sukni hrabiny, nie poszukać jej spojrzenia. Nie potrafił też do niej podejść, zdawała się jeszcze bardziej niedostępna niż przed laty. I jak wówczas musiał walczyć z targającym go uczuciem.

Patrzyli na siebie jak z dwóch odległych brzegów rzeki. Nie wiedział, czy głosy wokół ucichły, czy on przestał je słyszeć. I ile to wszystko trwa. Dopiero kiedy Ewelina skinęła mu głową i odeszła, znikając w mrocznym wnętrzu cerkwi, wszystko uderzyło na powrót, ze zdwojoną mocą.

– Chodź, Pasza. – Tatiana zmusiła go, by na nią popatrzył. – Czekają na nas.

Epilog

1914

Noc zazwyczaj przynosiła ciszę. Przylesie zasypiało. Nie skrzypiała podłoga, nikt nie krzątał się po kuchni, nawet psy po zmroku, spuszczone z łańcucha, nie miały ochoty czekać bez powodu. Czasem tylko wiatr szarpał gałęziami drzew, a deszcz uderzał o dachy i szyby. Burze ostatnio omijały dwór, ale nie wojna. Jej groźny pomruk, choć nierzeczywisty, zdawał się dochodzić z oddali niezależnie od pory dnia, nocy i natężenia innych dźwięków. Wieczorami, gdy głosy milkły, czuć go było jeszcze wyraźniej.

Już dawno powinni stąd wyjechać, ale nie umiała podjąć decyzji. Konstantin miał dopiero trzy latka, trzeba go chronić, bo nic nie wskazywało na to, że wojna szybko się skończy, a tutaj front był coraz bliżej i stawało się coraz mniej bezpiecznie. Nie bardzo tylko wiedziała, jaki ma obrać cel, bo wszędzie zagrożenie wydawało się podobne.

Wczoraj otrzymała depezę, że chcą zakwaterować w Przylesiu sztab dowództwa rosyjskiego. Czy miała coś do powiedzenia? To nie było pytanie ani uprzejma prośba, ale rozkaz ubrany w kurtuazyjne zwroty. Nie, nie zostawi tak tego wszystkiego!

Ewelina stanęła przy oknie i zapatrzyła się w usiane gwiazdami niebo. Rozpoznała Wielki Wóz i odnalazła Gwiazdę Polarną. Może powinna im zaufać i pozwolić wskazać sobie drogę? Nedorzeczny pomysł. Nie ma prawa uciekać, tu jest jej dom. Zostanie.

– Mamo, nie mogę zasnąć. *Ja nie mogu spat’*.

Kostieńka pojawił się bezszelestnie za jej plecami. Szybko się odwróciła i wzięła marudzącego synka na ręce. Ufnie wtulił się w matkę, oparł główkę na jej ramieniu, a po chwili zaczął równomiernie posapywać. Oczekała jeszcze trochę, zanim zdecydowała się odnieść synka do łóżeczka. W sypialni zatrzymała się na moment przed lustrem. Patrzyła na miękki wykrój ust chłopczyka, prosty nos i ocienione długimi rzęsami policzki. Był taki podobny do Aleksandra...

Łzy tęsknoty zapiekły pod powiekami, ale je zdusiła. Kostieńka mógł się w każdej chwili obudzić.

Od wydawcy

Kochane Czytelniczki, Kochani Czytelnicy!

Przed Wami kolejna cudna powieść spod klawiatury Małgorzaty Garkowskiej, aczkolwiek, zważając na czas akcji, zdecydowanie powinnyśmy napisać „spod pióra”. Bo gdy ją czytałyśmy, wyobrażałyśmy sobie piękną pisarkę siedzącą przy ogromnym dębowym biurku i maczającą gęsie pióro w kałamarzu z gęstym atramentem. Tak właśnie działa wehikuł czasu, do którego wsiadamy, otwierając *Jedyny walc*.

My już jesteśmy po lekturze i jesteśmy zachwycone! Gosia pisze w taki sposób, że trafia do wszystkich – i do tych, którzy kochają historię, jak Ania, i do tych, którzy na lekcjach historii byli ewidentnie znudzeni, jak Magda. Nie tylko znakomicie odwzorowuje świat, który kiedyś istniał naprawdę, choć wykonała potężną pracę związaną z researchem i na kartach tej powieści znajdziecie wiele detaliów i smaczków dla wytrawnych koneserów narracji historycznych. Przenosimy się do początku XX wieku, kiedy Polska była jeszcze pod zaborami, ulicami Warszawy jeździły dorożki, a w fabrycznej osadzie w Żyrardowie wybuchały protesty ciemniejących robotników. W dynamicznej akcji znajdziemy też zamachy, pościgi i konspiracyjne organizacje. Stanowią one doskonałe tło dla losów świetnie skrojonych bohaterów...

No właśnie, historia historią, ale najważniejsze są tutaj emocje. To one sprawiają, że od zapisanych przez Gosię stron nie możemy się wprost oderwać. I kiedy śledzimy losy tych wszystkich ludzi, którzy kiedyś chodzili naszymi drogami, ubrani w piękne suknie, krynoliny, eleganckie fraki i cylindry, mamy wrażenie, że jesteśmy tuż obok, jakbyśmy ukryci za kotarą podglądali ich radości i dramaty. Czytamy i obiecujemy sobie, że kolejny rozdział będzie tym ostatnim, który skończymy przed północą, co się nie udaje. Ostatecznie zamykamy książkę nad ranem i żalujemy, że nie ma tysiąca stron.

Jedyny walc można uznać za piękny, klasyczny romans. Wichry namiętności Eweliny, Aleksandra i Pawła z pewnością niejednokrotnie Was zaskoczą, a także rozczulą. Można w tej powieści dostrzec również wątek walki niepodległościowej i relacji pomiędzy Polakami i Rosjanami, które przez lata spletały się niczym węzeł gordyjski. Arcyciekawe jest również obserwowanie procesu dorastania głównej bohaterki, która najpierw otoczona jest opiekuńczymi skrzydłami rodziców, a później męża. Choć od tego czasu minęło raptem nieco ponad sto lat, można śmiało napisać, że kobiety znajdują się obecnie w zupełnie innym świecie. I choć niektórym z nas być może się marzy, by jakiś dżentelmen nas adorował, zabiegał o nasze względy i usuwał pyłki spod naszych stóp, doszliśmy do wniosku, że owszem, to urzekające, ale jeśli miałoby się wiązać z brakiem prawa głosu, wolimy mieć możliwość decydowania o własnym losie i na przykład prowadzenia firmy. Choć gdyby ktoś nam te pyłki usuwał spod stóp na trasie do urzędu skarbowego, to byłybyśmy zachwycone! Ale to już zupełnie inna opowieść...

Jesteśmy przeszczęśliwe, Gosiu, że po raz kolejny nam zaufałaś i oddałaś tę powieść w nasze ręce. Zajęłyśmy się nią z ogromną czułością. Jak zawsze zadbałyśmy o każdy szczegół. Kochani Czytelnicy, dziękujemy Wam, że to docenicie. Cieszą nas każde miłe słowa skierowane w naszą stronę. Cieszą nas pozytywne recenzje i opinie. Każda z nich wywołuje uśmiech na naszych twarzach. Wiemy, że książki z naszego wydawnictwa niektórzy z Was kupują w ciemno, że nasze turkusowe logo jest dla Was wystarczającą rekomendacją. To dla nas naprawdę ogromne wyróżnienie. Bardzo Wam za to dziękujemy. W wypadku *Jedynego walca* starałyśmy się, by ta wspinała narracja z dawnych lat również graficznie przenosiła czytelnika w czasie – wszystkie ozdobniki i ilustracje zostały dobrane tak, by sprawiały wrażenie, jakby wyszły spod ręki drukarza czy rysownika z początku XX wieku. Koniecznie dajcie nam znać, czy udało nam się osiągnąć ten efekt.

Słowa od wydawcy znajdują się zawsze na końcu książki. Pewnie czytacie je tuż po rozstaniu się z bohaterami. Może na otarcie łez, a może po to, by trochę dłużej z nami pobycć... Szykujemy już dla Was kolejne tytuły i wiemy, że będziecie zachwyceni! Nie może być inaczej, bo mamy najlepszych czytelników na świecie!

wydawnictwoflow.pl

facebook.com/wydawnictwoflow

[instagram.com/wydawnictwoflow](https://www.instagram.com/wydawnictwoflow)

Magdalena Witkiewicz i Anna Seweryn
Wydawnictwo FLOW